

# A. PILIPIUK

## RZEŹNIK DRZEW



fabryka słów

www.fabrykaslow.pl

# A. PILIPIUK

## RZEŹNIK DRZEW

Ilustracje  
Dismas

**fabryka słów**

Lublin 2013

# Spis treści

Karta tytułowa

Szkolenie

Rzeźnik drzew

Operacja „Jajca”

Sprawa Filipowa

Szantaż

Czytając w ziemi

Położ

Bunt szewców

Poddasze

Serce kamienia

Teatralna opowieść

Ślad oliwy na piasku

# Szkolenie

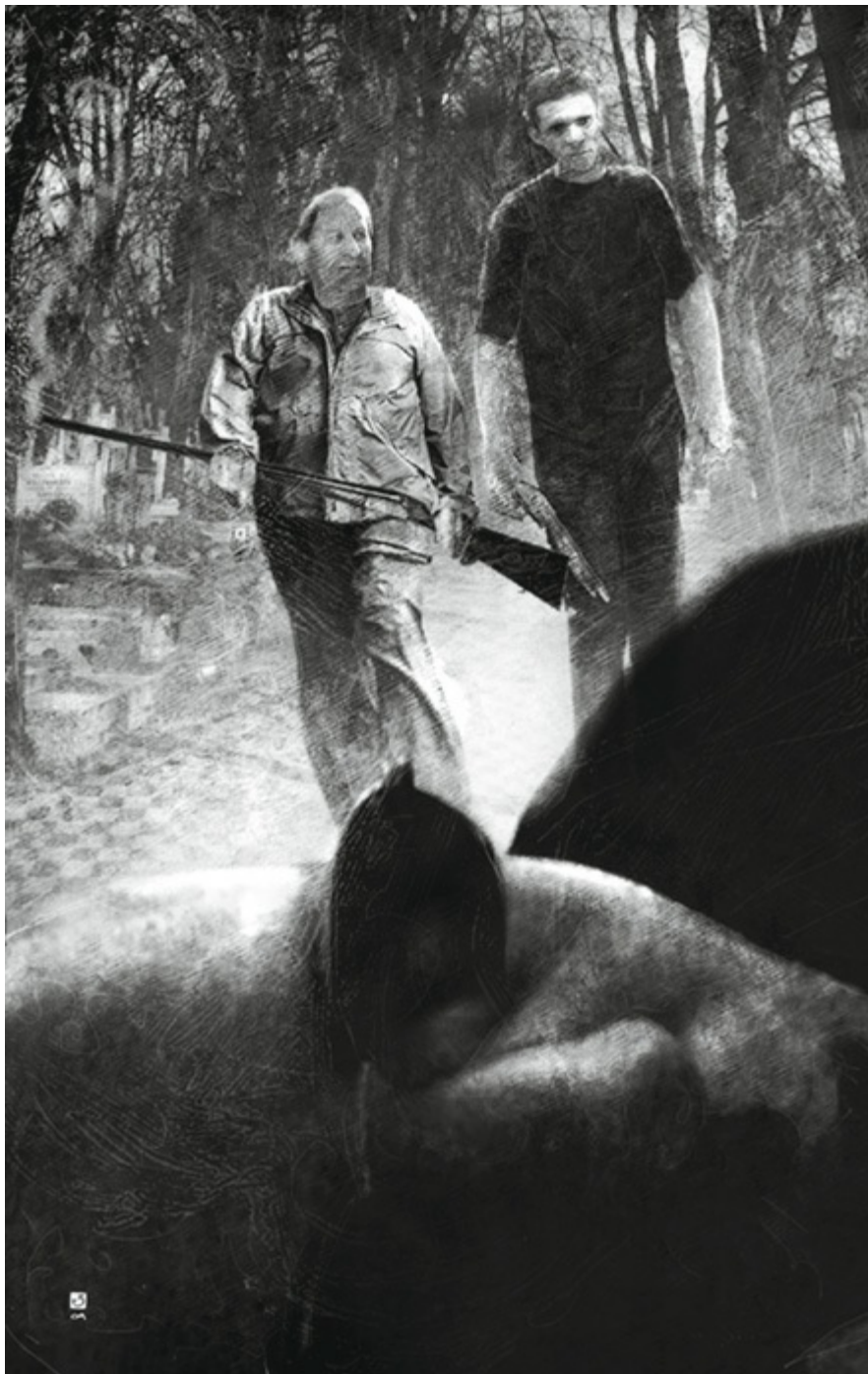


**B**o widzisz, synu, robota nasza jest gówniana, co do tego nie ma dwu zdań. To nie jakiś wiejski cmentarzyk, gdzie wszyscy spokojnie leżą, co najwyżej czasem jakiś domorosły egzorzysta tego czy owego kołkiem przypalikuje. My tu mamy sto czterdzieści hektarów do upilnowania na dwóch. I z milion albo i lepiej nieboszczyków. Ja wiem, że dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt siedem procenta spokojnie leży, ale rzecz się rozchodzi o tę końcówkę zafajdaną. Bo te trzy setne, jak sobie od miliona sztywniaków policzysz, to liczba wychodzi taka, że włosy z głowy rwać.

Noż sam oceń, matole, sześć klas podstawówki skończyłeś, powinieneś umieć. Trzydzieści tysięcy, głąbie! A może trzy tysiące tylko? Czego się śmiesz, durniu? Ja maturę zdałem, ale sześćdziesiąt lat minęło. Tak czy siak, za dużo tego tałatajstwa łązi. Samego muru z pięć kilometrów, drzew tyle, że na dziesięć kroków nic nie widać, bram i furtek, że nie policzysz. I dwóch nas tylko na nocnej zmianie pilnuje, żeby martwiaki nie chodziły na miasto szaleć. Że co? Do nogi wytłuc? Odbiło ci? Jak niby to zrobić? A właściwie robimy... Każdego tygodnia paru ubywa. No i to właśnie jest nasze zadanie.

Po co? W sumie to nigdy się nie zastanawiałem. Kazali likwidować, to likwiduję. Praca taka. Może żeby po mieście nie łązili? Jak kto nie żyje, to ma nie fikać, tylko grzecznie w piachu leżeć. A jak nie leży, to nasz zafajdany obowiązek takiego położyć. Partyjni się ich boją albo kościelni kazali? Nie nasza rzecz, my tu jesteśmy od brudnej roboty, ideologię niech sobie urzędnicy ustalają.

Nie, z wilkołakami prawie co spokój. Za komuny jeszcze przetrzebiliśmy. Księżyc wstawał, pełnia, wyłaziły. Rozpięto się zawczasu wieczorkiem fladry. Żaden wilk tego nie przejdzie, to i całymi stadami rozwalaliśmy. Partyjniacy i esbecy też przychodzili sobie powalić. Gadali, że to dla dobra partii, dla ćwiczenia na wszelki wypadek, jakby się miała noc żywych trupów zacząć. Ale mi się widzi, że po prostu postrzelać chcieli. Bo i ryzyko żadne, a efekty niezłe. I człowiek się cieszy, bo w sercu czuje, że pożytek ludziom przyniósł. Tylko że wilczków mało było od początku, to i szybko się zabawa skończyła.



Ghule to niby można przy świeżych grobach ubić, ale też trza czasem całą noc w zasadzce siedzieć, a i to nie zawsze przylezie. A już takich zombiaków czy wampirów nijak nie upilnujesz. Wylązą z grobów, kiedy chcą. Po parę miesięcy taki śpi, zgłodnieje, to wyjdzie. Mały częściej ssać musi, duży to i pół roku drzemie, zanim go przypili. Nie ma reguły.

Że co? Zacementować wszystkie grobowce? Daj se siana, idioto nieszczęsny. Toż ich tyle, że nawet ci kolesie od ratowania zabytków nie policzyli ich nigdy. Zresztą jak niby? Ty wiesz, ile betoniarek zaprawy by poszło? Skąd taką forszę wziąć, skąd tylu ludzi? I jak to urzędasom wytłumaczysz? A i surowca tyle trza,

że budowy w całej stolicy byś na miesiąc zatrzymał.

Dobra, pogadanka o BHP odfajkowana, daj ten kajet, to ci pokwituję. Teraz dalszy ciąg szkolenia. Praktyka zawodowa znaczy. Masz pilnować cmentarza, to czas wprawy nabrać. Bierz obrzyna, ja śrutówkę, idziemy w teren, spróbujemy kropnąć paru. Że co, za wcześnie? Zmrok już zapada. Oni lubią wyłazić, jak jeszcze normalniaki się po alejkach snują. Wolą się gubić w tłumie, bo nocą to walę bez ostrzeżenia, nawet nie sprawdzam, czy to martwiak, czy zwykła hiena.



No, pierwszy klient załatwiony. Zobacz se, jak prawdziwy zombiak wygląda. Cobyś zapamiętał. Czemu strzelałem w plecy z czterdziestu metrów? Pod wiatr zśliśmy, zwęszyłem drania i tyle. Czujesz, jak perfumą jedzie? Z pół flaszki dezodorantu na siebie wypaprał. Dlaczego? Ech, dziecko, dziecko, to przecież jasne, każdy umarłak się trochę rozkłada, to i śmierdzi. A tak se może zapach trochę zamaskować. Na ryj z kilogram tapety nałożył. Czemu, pytasz? Bo już mu plamami widać po skórze siało... Dobra, w krzaki go, GPS, rano przyjadą grabarze furgonetką, to sobie go zabiorą. A my idziemy dalej. Noc jeszcze długa.



No, nieźle nam idzie, młody. Północy jeszcze nie ma, a już drugi klient obsłużony. Skąd wiedziałem, pytasz? Proste jak drut! Zombiaka najprościej po oczach poznać, mętne ma jak u śniętej ryby. No właśnie, niemoto, a myślałeś, że dlaczego w ciemnych okularach nocą po cmentarzu łązi? Zawlecż trupa w krzaki i idziemy. Może jeszcze co pod lufę podlezie. Bosakiem ciągnij, ręką nie dotykaj, bo jeszcze jakiego hifa złapiesz. Był tu taki jeden praktykant, co kieszenie zombiakom sprawdzał. Nie dość, że gówno z tego miał, bo pieniądze jak znalazł, to i tak z obiegu dawno wyszły, a jeszcze się jakąś francą zaraził. Poszło mu jakby zieloną pleśnią po skórze, włosy wyleciały i kojfnął. Spotkałem go potem parę razy, powinienem kropnąć, ale swojaka to jakoś głupio... A drugi, też głupi szczeniak, uparł się złotych zębów szukać. No i trafił na wampira. Martwina poszła od razu, rękę to mu piłką w kanciapie upitoliłem, ale za późno... Trza było frajera do pieca wsadzić. No pewnie, że zadowolony to on nie był, szpadłem musiałem dobijać. Odpoczął? Idziemy dalej.



Kuźwa, żeś się młody pospieszył. Nie bądź taki wrywny. Robota niby prosta, a dałeś plamę. To nie był zombiak, tylko Franek, grabarz. Że co, niby trupem śmierdział? Taka u nich robota, że się od martwiaków zapach łąpie. No nic, mówi się trudno. Nie becz, normalna rzecz. Wprawy nabiera się po latach. Ja na początku też nieraz się pomyliłem.

# Rzeźnik drzew



Jesienny dzień na Powązkach był ciepły i słoneczny. Dwaj pracownicy MPO przyczłapali na miejsce pracy.

– Ależ wielgachne i rozłożyste wyrosło to drzewo – powiedział Edek z mimowolnym podziwem.

– Widać z grubych nieboszczyków soki ciągnęło – zażartował ponuro jego zwierzchnik. – Trzeba ogolić z konarów, zanim położymy. I uważać, gdzie gałęzie będziemy rzucać, bo gęsto tu... – Popatrzył na liczne grobowce otaczające pień. – Roboty w... – zmełł przekleństwo. – Bez wysięgnika nie damy rady.

– Na ciężki sprzęt za wąsko. – Brygadzista Robert pokręcił głową. – Nie wjedzie tu ciężarówką. Trza się po drabinie wspinać i ciąć ręcznie... Diabli nadali.

Odpalił piłę łańcuchową i stanąwszy na czyimś grobie, zabrał się do najniższego uschniętego konara.

Gałęż grubości uda dorosłego mężczyzny poddała się szybko. Doszedł prawie do połowy, gdy zęby trafiły na coś twardego.

– Karwia, co jest, żelazem nabite? – Przydusił mocniej.

Drewno poddało się. Edek złapał koniec bosakiem i nagiął, po czym jednym ruchem ściągnął tak, by konar upadł na ścieżkę.

– Próchno totalne – sarkał Robert, wyłączając piłę. – Dawno powinno iść do wycięcia... No, co jest?

Jego pomocnik oglądał miejsce cięcia.

– Zobacz, jakie dziwne – powiedział. – Czarne w środku.

– Zwykły zgnilec. – Wzruszył ramionami. – Czasem szlag trafia od zewnątrz, czasem od środka...

– Nie, to twarde jest. Czarne i twarde, jakby w środku kilka słoików skamieniało.

Brygadzista pochylił się, poskrobał ciemną plamę.

– Sam nie wiem – mruknął. – Co ja, leśnik jestem, żeby wiedzieć, od czego drzewo usycha? – zirytował się. – Skoczysz na bazę, podjedziesz furgonetką, weź obie drabiny i bierzemy się za to!

– No to idę.

Edek dźwignął się ciężko i po chwili znikł między nagrobkami.

– Nie dość, że twarde, to jeszcze mi piłę upaćkało – sarknął Robert, oglądając zęby narzędzia powalane czymś podobnym do lepiku.

Usiadł ciężko na kamiennej płycie. Jesienne słońce przyjemnie grzało, czuł narastające rozleniwienie. Pomocnik wróci najwcześniej za pół godziny... Nieoczekiwanie poczuł w nozdrzach zapach dymu. Coś się pali?

Uniósł głowę i osłupiał. Znikła chyba połowa grobowców. W ich miejsce pojawiły się kopczyki ziemi z wetkniętymi krzyżami. Drzewa także były inne. Zniszczone, połamane, częściowo odarte z liści. Gałęzie walały się po ziemi.

Co, u diabła? – pomyślał. Co się, do cholery, dzieje? Gdzie ja jestem?

Zza drzew słychać było kanonadę. Pocisk gwizdnął mu koło ucha i roztrzaskał pobliski nagrobek. Nisko nad cmentarzem przeleciał samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Znowu strzelano.

To do mnie wałą, zrozumiał natychmiast.

Klucząc między płytami, przebiegł do końca i wyskoczył na alejkę. W oczy i płuca wżerał się dym. Miasto za murem płonęło. Na cmentarzu słychać było krzyki, trzask gałęzi łamanych butami, huk wystrzałów.

Niemcy, uświadomił sobie.

Rozejrzał się w panice. Nazistów nie było jeszcze widać, ale czuł, że otaczają go coraz ciaśniejszym pierścieniem. Przyczał się za drzewem. Wyjrzał ostrożnie zza grubego pnia. Edek w hitlerowskim mundurze kucnął za nagrobkiem. Pistolet w jego dłoni chwiał się nerwowo.

To on do mnie przed chwilą strzelał, uświadomił sobie drwał. Parszywy zdrajca... Zaraz zobaczymy, kto kogo...

Podkradł się cicho i gdy był tuż za plecami kumpla, odpalił piłę. Przyjaciel poderwał się nerwowo.

– Zdychaj, świniou!!! – Robert opuścił narzędzie prosto na głowę wroga. Spostrzegł jeszcze, że pistolet w dłoni podwładnego plunął ogniem, i wszystko zgasło.



Tymczasowy zarządca cmentarza, ksiądz Antoni, siedział w swojej kancelarii. Słuchał zmartwiały raportu policjanta.

– Wygląda na to, że wpadli w jakiś amok – mówił nadinspektor. – Brygadzysta zaatakował pomocnika piłą spalinową, a ten wsadził mu trzy kule w brzuch. Obaj zginęli na miejscu.

Duchowny milczał wstrząśnięty. Wreszcie nerwowym ruchem poprawił okulary.

– Chciałbym zobaczyć ciała... – wykrztusił.

– Odradzam. – Funkcjonariusz pokręcił głową. – Wie ksiądz, widziałem w



życiu wiele jatek, ale to...

– Rozumiem. Co ich skłoniło do...

– Nie wiemy. Pracowali razem od miesiący. Nie kłócili się. Taki zgodny zespół. Młodszy miał spluwę, bo pracował wcześniej jako konwojent. Nigdy się nią nie chwalił, nie zgrywał chojraka. A tu naraz wypalił kilka razy w różne strony, a potem zastrzelił kumpla, gdy ten urzynał mu głowę piłą mechaniczną.

– Może zaczął strzelać, a brygadzysta chciał go obezwładnić?

– Piłą?

– Może liczył na to, że się przestraszy.

– Nie wiemy – westchnął policjant. – Sądzymy raczej, że zatruli się jakimś narkotykiem. Zobaczmy, co wykażą testy toksykologiczne. Pożegnaj się, pora na mnie.

Ksiądz spisał sobie notatkę, a potem, westchnąwszy ciężko, wyszedł z biura. Spędził pół godzinki, wędrując pomiędzy grobowcami leżącymi w starej części nekropolii. Zatoczył krąg i zamierzał już wracać do świątyni, gdy gdzieś w pobliżu usłyszał równy stukot młotka. Ruszył w jego stronę. Na alejce parkowała sfatygowana furgonetka. Leżały na niej jakieś detale z piaskowca. Przy sporym grobowcu pracował starszy mężczyzna w drelichu. Usuwał płytę skruszoną zębem czasu. Nowa, dorobiona na wymiar, spoczywała opodal.

– Niech będzie pochwalony. – Na widok duchownego kamieniarz uchylił czapki.

– Na wieki wieków, amen – pozdrowił go ksiądz. – Pan Zenon Cwajnos?

– Proszę mówić mi Zenek – mruknął rzemieślnik. – Wszyscy tak mówią, chyba że jakiś młody, to wtedy gada wujaszek Zenek.

Rzemieślnik dobiegał sześćdziesiątki. Był szeroki w barach, ale niezbyt rośły. Wysokiemu księdzu sięgał co najwyżej do ramienia. Miał spracowane dłonie, na których skóra stwardniała do tego stopnia, że nie używał nawet rękawic. W prostackiej twarzy połyskiwały łagodne i rozumne oczy.

– Widzi wielebny, posypało się... Nawet kamień nie wytrzymuje świństwa, którym oddychamy. Ksiądz jest, jak mniemam, tym nowym proboszczem?

– Na razie na zastępstwie. Nie wiem, czy mnie tu zostawia.

– I na sam początek urzędowania taka przykra historia – westchnął Cwajnos.  
– To jakby potknąć się na progu nowego domu.

– A i owszem. Znał ich pan?

– Z widzenia raczej. Parę razy gadaliśmy. Wsiowe chłopaki, głupie toto, ale w porządku. Pecha mieli...

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Wpakowali się na jakieś złe miejsce. Tam już kiedyś zginęli ludzie. Na probostwie są kroniki parafialne, proszę w nich sprawdzić. Kiedy to było... –

Zmarszczył brwi. – W siedemdziesiątym ósmym chyba. Albo i wcześniej. Grabarz i dwaj pomocnicy poszlachtowali się szpadlami. Dwóch odratowali, poszli siedzieć za tego trzeciego, bo on, niestety...

– Dziękuję za informację. Sprawdzę to sobie.

– Jakby było trzeba coś przy kościele z kamieniarki zrobić, proszę zadzwonić. – Wygrzebał z kieszeni wizytówkę. – Drobne roboty na poczekaniu i gratis, grubsze do negocjacji. Poprzedni proboszcz zawsze ze mną współpracował.

– Dobrze zna pan cmentarz?

– Dość dobrze, ale tyle tu zakamarków, to nawet i mnie czasem coś zaskoczy.

– Czy mógłby mi pan pokazać miejsce, gdzie zginęli drwale?

– Chodźmy – mruknął, ale mina nieco mu zrzędła. – To bliźiutko...

Boi się, zrozumiał duchowny.

Zenek stąpał czujnie, rozglądając się na boki. Proboszcz kroczył za nim. Czuł nieprzyjemny szum w uszach.

– Czasem człowiek żałuje, że miedziane trumny wyszły z użycia – powiedział kamieniarz.

Ksiądz przełknął nerwowo ślinę.

– To by coś pomogło?

– Nie wiem – westchnął. – Gadałem kiedyś z jednym doktorem, od was, z Akademii...

– Teraz to już Uniwersytet imienia Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

– A rzeczywiście. No więc mówił mi o ptomainach trupich i innych takich substancjach. Ponoć gdy ciało się rozkłada, mogą się wydzielać jakieś wyjątkowo zjadliwe narkotyki. Takie, które zamiast zwykłego haju wywracają mózg na drugą stronę, umożliwiają kontakt z demonami, demolują całą jaźń...

– Myśli pan, że to to?

– Proszę księdza, ja prosty kamieniarz jestem. Ale myślę, że jak takie świństwo z trupa ciecze, to i drzewo, gdy tego korzeniami pociągnie, to zdziczeć może...

– Drzewo? Zdziczeć?

– Wie ksiądz, ja tu na cmentarzu już czterdziesty rok pracuję. Różne rzeczy się widziało. Naprawdę różne. – Wzdrygnął się na samo wspomnienie. – Nekrofile na ten przykład. Gdyby nie byli uzależnieni albo opętani, toby tego przecież nie robili? Prawda? Albo woda. Teraz to bezpiecznie w miarę, wodociąg położony, ale dawniej, jak tu jeszcze studnie były, to pamiętam takiego staruszka, który pił wodę z tych studni. Tak litr albo nawet dwa litry na raz. Szedł w krzaki, wysikiwał i pił znowu. Gadałem z nim nawet – kamieniarz zniżył głos. – Mówił, że jak się opije, to czasem w trans wpada i widzi wtedy

czasy swojej młodości.

– I trupi jad go nie powalił!?

– W końcu chyba tak, bo żeśmy go pewnego ranka znaleźli na tej ławce sztynnego. Oczy w słupek, lekarz orzekł wstrząs toksyczny czy coś... Ale tak pomyślałem, czemu on to robił? Może coś z tych nieboszczyków i cieknie, co ich wspomnienia zachowuje? Albo inny jakiś jad, który na mózg działa. Tak może być i tak. Kto to wie...

– Nie znam się na tym – mruknął proboszcz.

– A drzewa... Drzewa to drzewa. Większość zwykła, ale czasem... Kto wie, różnie przecież bywa. No i jesteśmy.

Zatrzymali się koło potężnego kasztanowca. Miejsce nie wyglądało szczególnie przerażająco. Cmentarz jak cmentarz. Piaskowcowe płyty starych grobów porosły liszczami mchu. Na jednej z nich leżała gałąź. Trociny zdążyły już zmieszać się z błotem. Na marmurowym epitafium opodal widniały zbrązowiały rozbryzg. Ziemia była dosłownie stratowana, policyjni technicy zajrzeli w każdą dziurę i zdeptali absolutnie wszystko.

– Nic ciekawego. – Zenek wzruszył ramionami. – Tylko to cholera... – Miał ochotę klepnąć pień, ale w ostatniej chwili cofnął dłoń.

Ksiądz pochylił się nad upiłowanym konarem. Drewno było normalne, jasne. Tylko sam rdzeń był smoliście czarny. Duchowny wyjął z kieszeni scyzoryk i poskrobał podejrzaną plamę. Była twardsza niż otaczający ją spróchniały już miąższ.

– Niby jak heban. Ciężkie, zbite... – zawyrokował Zenek. – Widziałem już coś takiego...

– Tu, na cmentarzu?

– Tak, jeśli trumna była z uczciwego surowca i leży w miejscu, gdzie jest wilgotno, a nie ma piasku, to tak czernieje i twardnieje, jakby trochę kamieniała. Ale to dębina musi być, a nie kasztan.

– Utniemy próbkę – zdecydował ksiądz. – Pokażę znajomemu stolarzowi. Ciekawe, kto mi to teraz wytnie...

– Myślę, że tu nie obejdziesz się bez rzeźnika – westchnął Zenek, patrząc spode łba na rozłożystą koronę kasztanowca.

– Kogo? – zdziwił się duchowny.

– Rzeźnika drzew – mruknął i zadumał się.



Proboszcz wszedł do zakładu, schylając głowę, bo drzwi były niskie. Woń szelaku, drewna, wosku i politory przyjemnie zakręciła w nosie. Po lewej stały meble pościągane przez łowców okazji z całego kraju. Kulawe stoliki, zniszczone szafki, zniszczone biurka, stoczone przez korniki łoża. Po prawej, jak na

defiladzie, prezentowały się podobne graty, tyle że odszykowane na wysoki połysk. Stary stolarz przerwał usuwanie farby olejnej z wykładanego orzechową intarsją blatu stolika.

– Niech będzie... – zaczął, ale naraz urwał i poprawił okulary.

– Na wieki wieków, amen – poważnie odpowiedział duchowny.

– A niech mnie. To przecież mały Antoś... Gadali, że do seminarium... To już po święceniach?

– Siedem lat temu.

– Ależ ten czas leci – zafrasował się. – Co mogę zrobić? Klęcznik, konfesjonał? A może ołtarz potrzebny? – Wyszczерzył w uśmiechu nieliczne zębiska. – Oczywiście wszelkie renowacje, uzupełnienia uszkodzeń... – Wskazał gestem mebelki.

– Jak przy spowiedzi – mruknął proboszcz. – Z czarnych i sparszywiających dusz robimy znowu białe...

– Tylko że u mnie z gwarancją na lata. – Stolarz puścił oko. – A z grzesznikami sam wiesz, jak bywa.

Duchowny usiadł na wskazanym krześle.

– Potrzebuję konsultacji.

– Stolarskich? Jak trzeba, mogę dać telefony do trzech historyków sztuki.

– Raczej dendrologicznych. Mam taki dziwny kawałek...

Wyjął z teczki próbkę upiłowaną na cmentarzu. Renowator rozłożył na blacie kawałek gazety, wytrząsnął ścinek z torebki, obejrzał drewno i ostrożnie poskrobał ciemną plamę końcem noża. Potem otworzył drzwiczki piecyka, cisnął gazetę wraz z tym, co na niej leżało, w płomień. W ślad za nią poleciały torebka i narzędzie. Podszedł do zlewu w kącie i starannie umył ręce. Gdy odwrócił się do gościa, był tak blady, że ksiądz aż się przestraszył.

– Antoś... Gdzieś ty to znalazł? – zapytał poważnie.

– Na cmentarzu...

– Rośnie?

– Tak, jest drzewo do wycięcia i... Ale co to właściwie jest?

Stolarz westchnął ciężko.

– Czasem bywa, że zdrowe z pozoru drzewo zaczyna chorować. Czasem piłuje się pień i w środku okazuje się zgniły. Bywa, że w dębach, które rosły na błocie, rdzeń pnia jest ciemny, a nawet czarny. Ale to wszystko naturalne. Z chorób się bierze albo z innej przyczyny. A to... Gadali mi o tym starzy cieśle. Są drzewa, które zabijają. Czasem rosną w gęstym lesie, czasem na cmentarzu, bywa, że w parku, jak stary. Tam wyrastają, gdzie zginął ktoś naprawdę podły albo gdzie krew padła na ziemię...

– Więc...

W palenisku coś zahurkotało, jakby między węglami tłukła się mysz. Stolarz zacisnął wargi. Do popielnika sypnęły iskry i wszystko się uspokoiło.

– Ogień wszystko oczyści... – wymamrotał, strzelając spojrzeniem na boki.

– Ale to, co pan mówi...

– Ja tylko powtarzam, co mi powiedziano. Są rzeczy na niebie i ziemi. Oj, są... Takie drzewo kryje w sobie zło. Spróbujesz ruszyć, może być z tego wielkie nieszczęście.

– Ale co to właściwie jest?

– Byt. Może rozumny nawet. Coś jakby demon wrośnięty w drzewo, uwięziony, a może tylko pasożytnący. Sam tego nie wycinaj. Nawet nie próbuj. Tu potrzeba fachowca.

– Czyli co? Mam odszukać rzeźnika drzew? – przypomniał sobie rozmowę z kamieniarzem.

– Chyba tak się to nazywało...



Ojciec Zygfryd dobiegał dziewięćdziesiątki. Mówił z trudem i od lat poruszał się na wózku inwalidzkim, ale trzeźwości umysłu mógłby mu pozazdrościć dwudziestolatek. Wysłuchał relacji proboszcza i skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.

– No to masz problem – powiedział.

– Jaki dokładnie? – spytał ksiądz z irytacją.

– Najpopularniejsza z teorii mówi, że to opętanie. Zazwyczaj gdy umiera człowiek nawiedzany przez złe duchy, one opuszczają ciało i odchodzą poza naszą rzeczywistość. Ale bywa i tak, że zostają.

Proboszcz rozglądał się po wnętrzu celi. Trudno byłoby nazwać ją ascetyczną. Ściany pokrywały regały z książkami, obok prostego żelaznego łóżka znajdowało się biurko do pracy. Na nim stał komputer, obok leżało kilkanaście kartek zapisanych maczkiem, kałamarz i drewniany kubek z ołówkami. Połączenie tradycji i nowoczesności.

– Dlaczego zostają? – zapytał wreszcie.

– Nie wiem. – Zakonnik wzruszył ramionami. – A badam te sprawy od dobrych czterdziestu lat. Czasem taki duch przychazi się w trumnie, a czasem gdzieś w pobliżu. Starzy grabarze niejedno mogliby o tym opowiedzieć. Ten z jakiegoś powodu utknął w drzewie... Może siły mu brak, a może jest mu tam dobrze.

– Wciąż zabija.

– Niewykluczone, że sam jest poważnie okaleczony i że tylko to drzewo trzyma go przy życiu. Jeśli zostanie ścięte, nie odejdzie, ale zostanie unicestwiony... Tak twierdzi większość autorów.

– Czyli wystarczy ściąć? A może ogrodzić i poczekać, aż samo uschnie albo runie?

– Jeśli wyślesz kolejnych ludzi z piłami, skończy się tak samo albo i gorzej. Wszelki kontakt z pyłem, który powstaje przy piłowaniu czarnych znamion, jest śmiertelnie groźny. Tego nie da się ot tak ściąć i przewrócić. Potrzebujesz fachowca.

– To znaczy?

– Rzeźnika drzew.

– Już drugi raz słyszę to określenie.

Ojciec Zygryd sięgnął na regał i wyciągnął opasły rękopis oprawiony w skórę.

*Tak jak wśród ludzi bywają występni, tak i wśród drzew bywają drzewa łotrowskie, które śmierć niosą, osobliwie tym, którzy istnienia ich się domyślą lub przeciw nim wystąpią. Rada na nie jedyna to odnaleźć i nająć człowieka zwanego rzeźnikiem drzew. On jeden w ich niszczeniu wprawiony. Jednakowoż odnaleźć go niełatwo, gdyż nieliczni są i sekrety swego fachu kryją przed postronnymi* – odczytał.

– Nigdy nawet o tym nie słyszałem.

– A gdzie niby miałbyś słyszeć. – Staruszek zaśmiał się. – W seminarium tego nie uczą. Nawet na kursach egzorcystów już się o tym nie mówi.

– W takim razie jak zdołam go odnaleźć? – Rozłożył ręce.

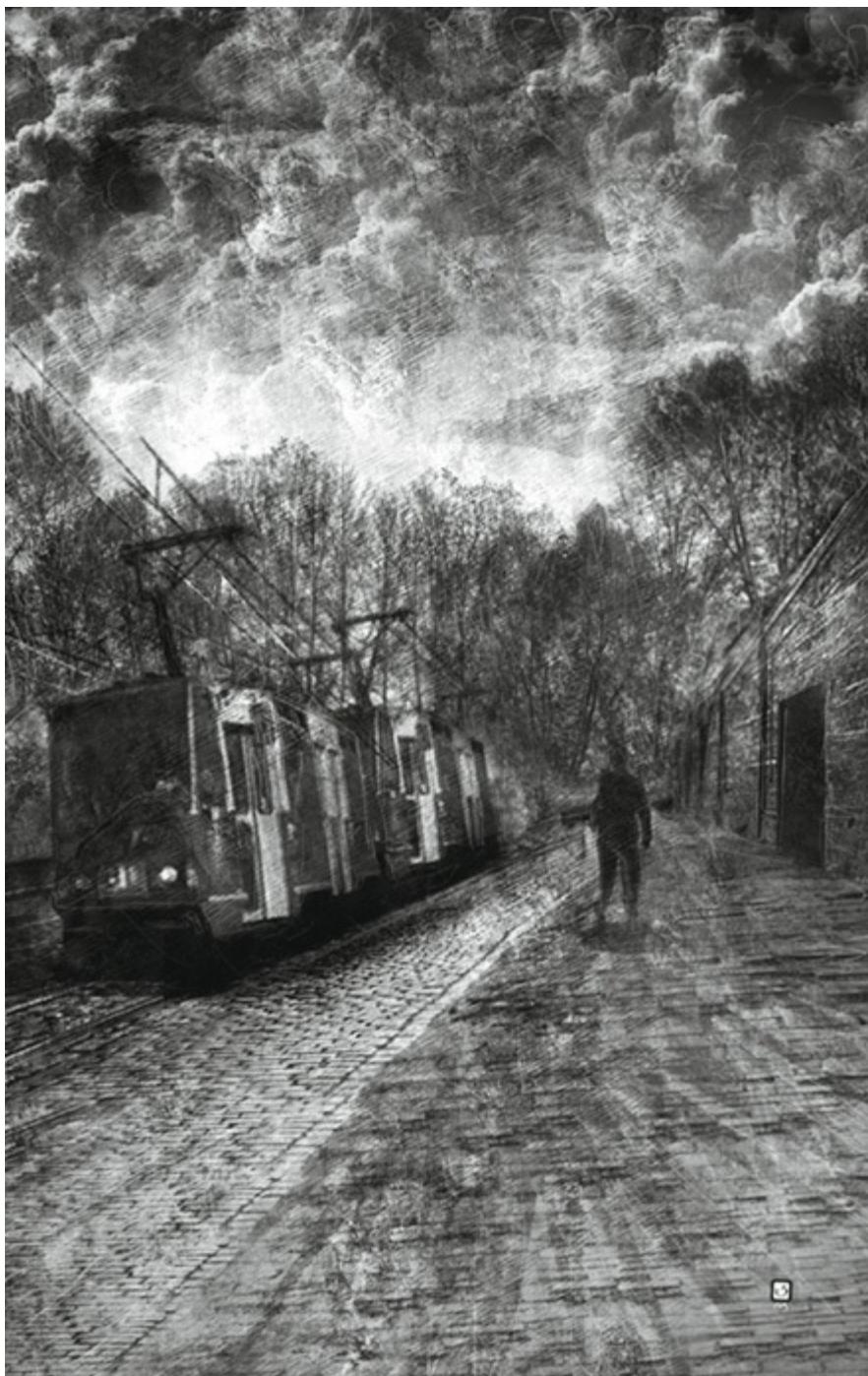
– Tu jest adres. – Stary zakonnik wręczył mu kartkę. – Sprzed czterdziestu lat wprawdzie, ale może jeszcze aktualny. Poszedłbym z tobą, lecz... – Klepnął bezwładne nogi. – Zostaniesz na kolacji?



Ksiądz wyskoczył z ostatniego tramwaju na przystanku pod murem nekropolii. Spojrzał na zegarek, potem oświetlił rozkład jazdy. Zasiedział się u starego zakonnika, autobusu już o tej porze nie złapie. Trzeba pójść pieszo.

Drzewa za cmentarnym murem szumiały. A gdyby tak? Miał przecież klucz od bramy. Zamiast iść naokoło, skróci sobie drogę przez cmentarz... Przez chwilę męczył się z opornym zamkiem i wreszcie zatrzasnął za sobą ciężkie wrota.

Prosto jak strzelił i gdy dojdę do starej części, to w lewo, powtórzył w myślach. Zabłądzić nie sposób.



Ruszył śmiało. Drzewa szumiały niepokojąco. Spodziewał się kompletnego mroku, ale gdzieś na grobach płonęły znicze. Początkowo czuł dziwne dreszcze, lecz szybko się uspokoił. Spacer jak spacer. Ścieżki równe, nawet się człowiek nie potknie w mroku. A że nieboszczycy w grobach leżą? Cóż, ciało to tylko powłoka... Duchy potępione? Nie powinny ruszyć na duchownego.

A jakby co... – dotknął brewiarza w kieszeni sutanny.

Złowróźbne drzewo rośnie daleko, minie je w odległości dobrych kilkuset metrów.

Żeby tylko nie trafił na jakieś hieny cmentarne, pomyślał nagle. Mogliby

mi zrobić krzywdę tylko dlatego, że ich zobaczyłem.

Wiatr wzmagał się, drzewa trzeszczały złowieszczo. Mijał właśnie kaplicę, gdy usłyszał za sobą dziwny dźwięk. Coś jakby...

Ktoś odbezpieczył broń! – uświadomił sobie, zamierając w pół kroku.

– Khm! – rozległo się znaczące chrząknięcie.

Duchowny odwrócił się na pięcie. W cieniu stał dziwny typek w kowbojskim kapeluszu i długim skórzanym płaszczu. W jednej ręce trzymał kuszę, w drugiej obrzyna o imponującym kalibrze. Miał ciemne okulary, światło zniczy odbijało się w szklach, reszty twarzy można się było co najwyżej domyślać.

– A, to nasz nowy kierownik – mruknął jakby zawiedziony i opuścił broń. – Przepraszam i nie zatrzymuję...

– Kim pan jest? – wykrztusił ksiądz Antoni.

– Ori mnie wołają. – Uchylił kapelusza.

– Ale co pan tu robi?

– Poluję na zombiaki, a co, nie widać? – zdziwił się nieznajomy. – Inne tałatajstwo, jak wlezie pod lufę, też dziabnę.

– Ale... Jak pan...

– Widzę martwych ludzi? Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że są martwi. Zupełnie jak w jednym hollywoodzkim filmidle – roześmiał się. – Prawdziwy problem jest z tymi, którzy świetnie wiedzą, a mimo to nie potrafią uleżeć spokojnie. Szczęść Boże, lepiej, żeby się ksiądz nie snuł o tej porze po cmentarzu.

Duchowny przyspieszył kroku.

– Panie Boże, wariat jakiś – mruknął. – Mam nadzieję, że mi w plecy nie strzeli...

Zza drzew błyskały już latarnie stojące przy ulicy. Po prawej pojawiła się tynkowana na biało bryła kościoła.



Proboszcz zaparkował przed małym domkiem na przedmieściach. Chałupka wyglądała nędznie. Zbudowano ją z szarych pustaków. W ogródku zarośnięty typek około pięćdziesiątki rąbał drwa. Ksiądz jednym rzutem oka ocenił jego sylwetkę. Postura atlety. Z drewnem też radził sobie nieźle, ogromna siekiera chodziła w jego rękach jak zaczarowana.

– Pan Marek Sypki? – zagadnął duchowny, podchodząc do metalowej furtki.

– Niech będzie pochwalony... Marek to dziadek mój był. Ja jestem Jan – wyjaśnił mężczyzna, odkładając mordercze narzędzie. – Dawno już pochowany, ale może ja w czym pomogę?

– Jest pan, eee... rzeźnikiem drzew?



Typek nieco pobladł i gestem zaprosił duchownego na podwórze. Otworzył drzwi chałupy. Weszli do izdebki. Urządzona była skromnie. Jedną ścianę zajmowała meblościanka. Nad tapczanem wisiał święty obrazek. Zasiedli w dwu zapadniętych fotelach.

– Rzeźnik drzew... Głupie określenie, sugeruje, że ja drzewa zabijam – prychnął. – A tu przecież nie o drzewo chodzi, tylko o tego parazyta, który w środku siedzi. Drzewo jest niewinne, a przez niego cierpi jak i człowiek. Aż w końcu bywa, że i umiera.

Zasiedli w fotelach.

– Nie chciałem pana urazić. Jeśli jest jakieś inne określenie pańskiej profesji... – zaczął proboszcz.

– Nie ma. Gdy je wymyślano, nikt nie przejmował się konwenansami. I tak już zostało.

Milczeli przez chwilę.

– Mam problem z drzewem – bąknął wreszcie duchowny.

Gospodarz westchnął bardzo smutno, ale nie powiedział nic. Spojrzał na stare zdjęcia zdobiące ścianę nad kominkiem. W jego wzroku malował się jakby wyrzut.

– Z drzewem na cmentarzu – uściślił proboszcz. – Odnalazłem pana, bo trzeba je zlikwidować.

– Jasna chol... – przypomniawszy sobie, że rozmawia z wysłannikiem Kościoła, urwał w pół słowa. – Proszę księdza, jest jeden problem.

– Koszta?

– Jakie tam koszta. – Machnął ręką. – Marne grosze ta usługa stoi.

– Zatem?

– Yyyy... Jak by to powiedzieć... Rzeźnikiem drzew był mój dziadek. Ojciec to go jeszcze parę razy widział przy robocie. A ja ojca raz. I mu się wtedy nie udało. U czubków teraz siedzi. Jak go przez łeb wicią chlasnęło, to ledwo wyżył i już nigdy normalny potem nie był.

– Ale przynajmniej teorię pan zna?

– I nawet sprzęt mam... I życie narażę, i grosza z tego nie będzie... – powiedział cierpko. – A skoro ktoś ze zleceniem przyszedł, to odmówić mi nie wolno. Zaprzysiężony jestem.

– Pokryjemy wszystkie koszta – zapewnił proboszcz.

– Nie możecie. – Pokręcił głową. – Prawa ustalone przed wiekami mówią jasno: za usługę mam prawo zażądać jednego orta srebrem.

– Orta? – zdziwił się duchowny.

– To taka dawna moneta. Osiemnaście groszy srebrem. – Rzeźnik sięgnął na półkę po klaser. – O, to po przodkach jeszcze kolekcja...

Strony wypełnione były niewielkimi srebrnymi pieniążkami. Najstarsze pochodziły z czasów Zygmunta III Wazy.

– Jeśli nie czuje się pan na siłach, to może jakiś inny członek waszej gildii?

– Nie wiem, czy ktoś w Polsce jeszcze się tym zajmuje. Od lat nie spotkałem żadnego... Może spróbuję – rozważał. – I jeszcze wynagrodzenie dziadowskie...

– Trzeba po prostu zmienić stawkę.

– Nie mogę – parsknął. – Starsi cechu złożyli wieczysty ślub któremuś kardynałowi, by taksy nie zmieniać.

– To bzdura. Minęło ponad trzysta lat!

– Proszę księdza, Kościół przestrzega praw i tradycji, które sięgają dwu tysięcy lat nazad... – Sypki spojrział duchownemu w oczy. – Dziadek tyle brał, to i ja muszę.

– Ale...

– Chce ksiądz powiedzieć, że to co innego? Aby zabić drzewo, trzeba znaleźć w sobie siłę fizyczną i co najważniejsze, tę, no, moralną. Jak starsi cechu pozwolą, dopiero wtedy stawkę zmienię.

– Starsi cechu...

– O ile jeszcze ktoś taki jest – uzupełnił. – Jeżeli nie wiem, czy są, to co mogę zrobić? Trza się przysięgi trzymać. Jak mówię, nie mam od lat kontaktu... Ja zdechnę i koniec pieśni. Zatem o której mam się stawić i gdzie?

– Jeśli jest pan gotów, samochód czeka. Wstąpimy tylko po drodze do sklepiku z monetami.

– No to kobyłka u płota – westchnął i zza szafy wyciągnął długi rapier w nieco obrdzewiałej pochwie. – Jeszcze bym się wypowiedział tylko, bo to różnie być może, a tu z sąsiadką miałem takie – uśmiechnął się z zażenowaniem – fikołki.

Ksiądz westchnął w duchu.

Mijają stulecia, a grzechy ciągle te same, pomyślał z melancholią.



Na nekropolii spotkali kamieniarza Zenka. Zaparkował furgonetkę opodal kasztanowca. Na widok proboszcza i rzeźnika wyraźnie się ożywił.

– No to mamy eksperta – ucieszył się, widząc rapier w dłoni przybysza.

– Ano macie mnie – mruknął z rezygnacją „ekspert”. – Wleczcie...

Zatrzymali się pod drzewem. Sypki na jego widok zrobił się zielony na twarzy. Wyjął z kieszeni piersiówkę i pociągnął długi łyk. Jego oblicze powoli zaczęło odzyskiwać kolor.

– Największe, jakie widziałem – westchnął. – No dobra, dużo to ja nie widziałem, ale większe cholerstwo niż to, co mi ojca sponiewierało. A i na zdjęciach po dziadku takiego olbrzyma nie było. Ale będzie roboty...

– Skąd się biorą takie drzewa? – zagadnął Zenek.

Ekspert zadumał się.

– Dziadek miał swoje teorie, zanim zginął. Ale tak po prawdzie tego nawet my nie wiemy. Może po prostu się rodzą? Ale mi się widzi raczej, że to parazyt.

– Pasożyt? – duchowny podpowiedział bardziej polskie słowo.

– A właśnie. Może demon, może co insze. Może z martwych ludzi wyłazi, a może z jajek się lęgnie czy z nasion kiełkuje. Bo nie tylko na cmentarzach takowe drzewa żyją. Choć tam ich najwięcej. Ale ubić się da, tylko trza wiedzieć jak i mieć trochę fachowego sprzętu. No i najważniejsze nie dać się zaskoczyć. Bo tatko myślał, że już ubił, raz tylko się petem zaciągnął i wtedy go trach. Myślałem, że głowę mu urwało...

Rzeźnik drzew przykląkł i przeżegnał się. Dłuższą chwilę trwał w modlitwie, wreszcie wstał.

– Odsuńcie się – polecił. – Może być różnie. A zawsze niebezpiecznie.

Zenek zapuścił silnik i odjechał kawałek. Ksiądz ruszył za nim. Zatrzymali się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Widzieli stąd wyraźnie plac boju. Rzeźnik położył na nagrobku swój pakunek. Poluzował troki, rozwinął płachtę. Wyjął stary stetoskop i obszedł drzewo, przykładając w kilku miejscach urządzenie do kory.

Wreszcie z rezygnacją wzruszył ramionami. Ujął w dłoń rapier i podszedłszy, jednym pewnym sztychem wbił go w pień prawie po rękojeść.

Niemożliwe, pomyślał ksiądz. Przecież to twarde, zbite drewno, musiałby mieć...

Suchy trzask przerwał jego rozważania. Pień eksplodował w bezgłośnym wybuchu. W jego miejscu spostrzegli coś na kształt drzewa, a może polipa, dużo mniejszego i smoliście czarnej barwy. Zagadkowa roślina zwinęła konary niczym macki, a następnie machnęła nimi w stronę mężczyzny. Ten wyrwał rapier. Wywijając szaleńczo młyńce, wycofywał się poza zasięg chłuszczących powietrze odrośli. Drzewo skurczyło się w sobie jak ameba i wysunęło jedną cienką, ale bardzo długą witkę.

Rzeźnik drzew na ten widok zaskamlał i puścił się pędem na przelaj, przez cmentarz, skacząc przez groby. Istota z wolna przybrała poprzednią postać i znieruchomiała jako dorodny kasztanowiec, tyle że już bezlistny.

Gdy podeszli do bramy, rzeźnik siedział na czyimś grobie i trzęsącymi się rękami wycierał klingę szmatką nasączoną oliwą.

– Zadanie niewykonalne. – Spojrzał na nich bezradnie. – To draństwo jest za silne. Ledwo się zdołałem wycofać. Zresztą widzieliście przecież, ile łap miało.

– Yyy... no tak... – wykrztusił ksiądz. – Oto, eee... honorarium.

– Nie zapracowałem – powiedział, ale monetę wziął.

– Co teraz? – zapytał kamieniarz.

– Musicie poszukać lepszego fachowca – wyjaśnił Sypki. – Ja tu nie poradzę. Chyba że sami chcecie, to wam sprzęt zostawię... Dziadek mówił, że był ktoś jeszcze w Poznaniu, może tam trzeba poszukać.



Zapadł już zmrok. Wieczorna msza się skończyła, wierni opuścili kościół. Cementarz też już zamknięto. Ksiądz Antoni przebrał się w zakrystii w zwykłą sutannę. Założył na nogi glany. W cholewkę wetknął bagnet, lecz zaraz go wyciągnął. Przecież tak się nie da chodzić...

Przelknął nerwowo ślinę i zaczął gromadzić sprzęt. Breviarz, kropidło, kadzielnica... Wreszcie był gotów. Wyszedł w ciemność cmentarnej nocy.

Skoro rzeźnik drzew sobie nie poradził, to co ja mogę... – naszły go wątpliwości.

Nie. To nie był prawdziwy fachowiec, tylko niedouczony wnuk rzeźnika. A coś zrobić przecież trzeba. Solidny egzorcyzm na pewno pomoże. Odeśle złego ducha... A jeśli to nie jest duch, tylko jakiś mutant albo kosmita? Przypomniał sobie kilka głupich seriali, które oglądał w telewizji. Jeszcze kawałek alejki, zaraz będzie zakręt i...

Zamarł zdumiony. W poprzek dróżki stała półciężarówka. Zenek też tu był, układał obok morderczego drzewa jakiś dziwny przedmiot.

– Dobry wieczór – powitał proboszcza. – A teraz proszę się odsunąć, bo cieplutko się zaraz zrobi.

– Cieplutko?

– Żeby sutanny nie okopciło... – wyszczerzył pieńki zębów. – Fachowiec za dychę rady nie dał, to widać tak mi pisane, trzeba samemu ręce brudzić.

– Ale co to jest? – Ksiądz spojrział na wyposażenie kamieniarza. – Pocisk jakiś?

– Hitlerowska bomba zapalająca. I jeszcze naokoło wiórów magnezu podsypałem. Ze trzy tysiące stopni Celsjusza da. Ja prosty człowiek jestem, dziadek mówił, że ogień wszystko, co złe, oczyszcza. Zresztą i ksiądz dobrodziej wie przecież, po co inkwizycja czarownicy teges na stosach, nie? Usmażę bydlę.

– Ale, panie Zenku, ja wszystko rozumiem, ale... Skąd pan to wytrzasnął!? – wykrztusił proboszcz.

– Ludzie różne rzeczy w grobach chowają – zachichotał. – Jak się czasem mogiłę otworzy, to nie do uwierzenia po prostu... A co do trumny potrafią z nieboszczykiem zapakować, to nie wiadomo, śmiać się czy płakać. Jak żywi z tej imprezy wyjdziemy, siądziemy wygodnie i przy kielonku koniaku takie rzeczy opowiem, że nie uwierzy ksiądz.

Saperką walnął w zapalnik bomby. Płomień był oślepiająco biały. Myśleli, że

demon jakoś zmanifestuje swoją obecność, ale drzewo po prostu się paliło. Wreszcie runęło na alejkę i połamało się na kawałki. Grabarz i ksiądz ścigali odłamane konary i ciskali na stos.

– Siarką i żelazem – powiedział Zenek, otrzepując ręce. – Do rana nie będzie śladu.

Drugą bombę wrzucił do jamy po pniu. Z zadowoleniem patrzył, jak dziura w ziemi zamienia się w miniaturowy wulkan.

– Do samego korzenia gada wypalimy!

★

Kilka alejek dalej łowca Ori przysiadł na nagrobku. Daleko między drzewami widać było poblask ogniska.

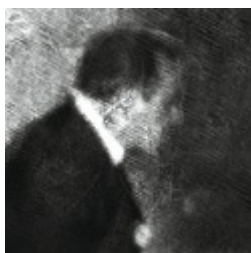
– Boże, co za fuszerka... – westchnął z politowaniem. – Zaraz tam taniec zwycięstwa odtańczą, Wędrowycze za dychę... Ale będą jaja, jak im tu straż pożarna przyjedzie.

Popatrzył na ściekającą po murze nekropolii gnijącą już ektoplazmę. Dwa srebrne bełty przyszpiliły główny korpus do cegieł. Macki zwisały bezwładnie.

– Zastrane Cthulhu, czy jak cię tam zwa – splunął – prawie ci się udało prysnąć. Na szczęście są na tym cmentarzu myślący ludzie.

Przedwieczny nie odpowiedział. Był już martwy.

# Operacja „Jajca”



Jerry Smith, stojąc w oknie hotelu Victoria, spoglądał na rozległy, zupełnie pusty plac i rysującą się w ciemności bryłę Teatru Wielkiego. Latarnie paliły się może jedną trzecią mocy. Miasto przypominało grób... Hotel też był prawie pusty.

– Jerry...

– Mów, proszę – rzekł, nie odwracając głowy.

– Przepraszam, że cię tu przyciągnęłam. W Tajpej wszystko wydawało mi się proste. Ale tu... Chodzą za nami krok w krok. Do tego tak tu ponuro. W dodatku słabo rozumiem po polsku.

– Może zatem wyjedźmy stąd. Niech będzie, co ma być. Ja miałem polskich przodków. Ciebie nic nie łączy z tym krajem ani z tym narodem. Nie musisz się poświęcać. Szanse, że uda się to znaleźć, i tak są minimalne.

– Ale istnieją. Jeśli to, co zanotował mój pradziadek, jest prawdą, musimy pomóc. Choćby dlatego, że oni kiedyś pomogli jednemu z nas. Strażnicy Perłowego Zwierzyńca nie mogą zawieść...

– Jeśli nie poradzisz sobie z tym zadaniem, nikt nie będzie cię winił.



Doktor Gazdowski z trudem uchylił sklezione ropą powieki. Zwlókł się z łóżka. Kac dręczył go straszliwie... Przeglądając się w lustrze, miał ochotę dać sobie w pysk. Z kostropatej tafli patrzył na niego jakiś rozczochrany, zapuchnięty menel po pięćdziesiątce. A on przecież miał dopiero trzydzieści dwa lata... Przez dziesięć minut stał pod zimnym prysznicem, by zrzucić z siebie choć jedną dekadę. Ubrał się, zakładając świeżą koszulę. Poczłapał do kuchni. Łyknął dwie aspiryny. Ból rozsadzający głowę trochę osłabł. Kawa? Puszka z „Inką” była prawie pusta.

A gdyby tak iść do Peweksu, pomyślał. Kupić paczkę prawdziwej... Raz w życiu zaszaleć. Zaprosić krawcową Irenkę...

Miał jeszcze zachomikowane siedem dolarów. Spojrzał na regał zastawiony książkami. Czarne chińskie znaki na grzbietach drwiły sobie z niego.

Wygrzebał z szafki paczkę sucharów. Teraz dopiero spojrzał na zegarek.

Dochodziła ósma. Do mięsnego nie ma już po co iść. O tej porze nie dostanie nawet mortadeli. Westchnął ciężko. Trzeba pozbierać się do kupy i spróbować jakoś przetrwać ten dzień...

Dzwonek do drzwi przeszył jego obolałą głowę jak rozpalony pręt wetknięty w ucho.

Przyszli po mnie, pomyślał, czując zimny pot na karku.

Rzucił okiem przez judasza. Zobaczywszy listonosza, odetchnął z ulgą i uchylił drzwi.

– Pan Gazdowski? Telegram do pana. Poproszę dowód osobisty...

Doktor wpuścił doręczyciela do przedpokoju, odszukał dokument. Pokwitował w odpowiedniej rubryce. Gdy za pracownikiem poczty zamknęły się drzwi, rozerwał blankiet. Przeleciał wzrokiem wystukany na maszynie tekst komunikatu.

STAWIĆ SIĘ W DNIU DORECZENIA GODZINA DWUNASTA PAŁAC  
MOSTOWSKICH POKÓJ STO DZIESIĘĆ  
MAJOR WIERCH

– Kur... – zdusił przekleństwo.

Czego chce od niego bezpieka? Nie wystarczyło im, że niebawem definitywnie wyleci z roboty? Aresztują? Internują? Cholera ich wie.

Musi iść, bo co innego mógłby zrobić? Do brata na wieś nie pojedzie bez przepustki. W Warszawie nikt go nie ukryje... Najbliżsi przyjaciele i znajomi internowani. Pomyślał o butelce wódki stojącej w szafce.

Spiję się w trupa i niech robią ze mną, co zechcą, pomyślał z rezygnacją.

Ale na wprowadzenie planu w życie zwyczajnie zabrakło mu odwagi.



Wewnątrz twierdza ubecji wyglądała jak zwykłe biuro. Korytarze, wykładzina rzucona na zdeptany drewniany parkiet, na ścianach lamperie z olejnej farby. Sinolog stanął niezdecydowany przed drzwiami numer sto dziesięć. Zapukać czy czekać? Zapukał.

– Wejść! – rozległo się z wnętrza.

Major Wierch był niewysokim człowieczkiem około czterdziestki. Sprawiał odpychające wrażenie. Łysa czaszka, małe, świńskie oczka...

– Witam, panie doktorze – odezwał się, nie wstając zza biurka. – Proszę siadać. – Wskazał krzesło. – Nie fatygowalibyśmy pana, ale mamy problem...

Gazdowski usiadł i w milczeniu czekał na wyjaśnienia.

– Jest pan orientalistą. Zapewne mówi pan po chińskiemu?

– Znam chińskie znaki, ale mówię tylko w podstawowych dialektach grupy północnej. Wie pan, Chiny to ogromny kraj. Zyją tam dziesiątki narodowości mówiących różnymi językami, narzeczeniami i dialektami. Tylko alfabet jest

wspólny. To ideogramy. Jeden znak oznacza jeden wyraz.

– Znaczy jak się dwóch spotka, to na słuch nie pokapują, co ten drugi gada, ale mogą sobie to na kartce zapisać? – Na twarzy ubeka odmalowało się zdziwienie.

– Mniej więcej.

– Znaczy gwarancji nie ma? – wołał się upewnić. – Bo wie pan, gości mamy, a z tłumaczami problem...

– Goście z Chin? Nie znają rosyjskiego?

– Jeden Amerykaniec, jak twierdzi, polskiego pochodzenia i Chincezka z Tajwanu. Amerykaniec nawija i po naszemu, i po angielsku, ale z babeczką mówi w jej języku. A tak sobie pomyśleliśmy, że warto by było mieć też wgląd w to, o czym gadają między sobą.

– Z USA i Tajwanu? – zdumiał się doktor. – Przecież nie dość, że jest stan wojenny, to jeszcze z Tajwanem nie mamy nawiązanych stosunków dyplomatycznych! Ale czego oni...

– A to już nie pański interes. – Ubek złożył papiery. – No, chyba zechce pan nam pomóc w tej śmierdzącej sprawie. Bo nie powiem, spec od Chińczyków toby nam się akurat teraz bardzo przydał.

– Co konkretnie trzeba by zrobić?

– Pochodzić z nimi, pogadać, zdobyć zaufanie, pomóc w poszukiwaniach. I oczywiście cały czas informować nas na bieżąco. Nie można zapominać, że to wrogowie, prawdopodobnie oficerowie albo chociaż agenci na żołdzie CIA.

– A USA to agresywny imperialistyczny kraj, który na całym świecie wtrąca się w wewnętrzne sprawy Związku Radzieckiego – sinolog zacytował dowcip.

– Celnie pan to ujął – ubek nawet nie zauważył, jak został zrobiony w konia.

– A sojusznicy naszego wroga są naszymi wrogami – zakończył z mocą. – I naszym patriotycznym obowiązkiem jest dopilnować, by wrócili do swych mocodawców z pustymi łapami. A jak pan pomoże, to ojczyzna oczywiście jakoś się odwdzięczy.

Doktor zamyślił się. Może i warto? Zobaczy, czego chcą przybysze, postara się ich ostrzec. Napisze dla ubecji raport taki, żeby bezpieczeniakom w piętę poszło i bokiem wyszło... Znajomości po tamtej stronie żelaznej kurtyny mogą się zawsze przydać. Tylko czy się uda? Czy nie wpakuje się w jakieś szambo? A jeśli to prawdziwi szpiedzy? Od takich spraw należy trzymać się jak najdalej. Na dwoje babka wróżyła.

– Przyjmijmy, że się zgodzę. Co w zamian?

– A co potrzeba? – zapytał major konkretnie.

– Jestem zawieszony w prawach pracownika. Moja sprawa niebawem stanie na posiedzeniu komisji dyscyplinarnej. Relegują mnie z pracy za to, że działałem



w Solidarności.

– I to wysoko – uzupełnił major. – Wiemy. I ze skruczą się pan nie spieszy. Trudna sprawa. – Pokręcił głową. – Niczego nie obiecuję, to nie mój departament. Zobaczą, czy cokolwiek da się zrobić. Jakies inne życzenia?

– Nie byłem jeszcze w Chinach – zakpił.

– Paszport znaczy? – zadumał się urzędnik. – No, nie wiem, to też nie ode mnie zależy. Zresztą teraz granica jest praktycznie zamknięta. Ale za jakiś czas, może...

– Na co mogę zatem liczyć?

– Kartki na mięso. Górniczy przydział, sześć kilo na miesiąc. W zależności od wyników może nawet dostęp do sieci specjalnych sklepów.

Dobre i to, pomyślał orientalista. Ale jeśli się sprzedawać, to drożej...

– A dałoby się popchnąć sprawę z moim fiacikiem? Zrobiłem przedpłatę, miał być rok temu do odebrania, ale wszystko strasznie się opóźnia...

– Zobaczą, co da się zrobić – powtórzył po raz kolejny ubek. – Parę lat opóźnienia to dziś norma.

Doktor westchnął głęboko.

– Zatem czego oni tu szukają?

– Zabrzmi to idiotycznie, ale twierdzą, że chcą odnaleźć jakieś jajka. Ich kumple, czy może krewni, ukryli je tu wiele lat temu, a że takie zgniłki to podobno przysmak, przybyli je odszukać. Zresztą pan oceni, na ile to wiarygodne...

– Brzmi dość konkretnie. Chińscy kucharze preparują kurze jajka w ten sposób, że trzymają je w wapnie. Zawartość ścina się w galaretę. To raczej kuchnia kontynentalnych Chin. Z drugiej strony z Czang Kaj-szekiem uciekło tak wielu... Tylko że te przepisy, o których słyszałem, zalecają spożywać jajka już po kilku tygodniach.

– I da się to jeść? – Na twarzy ubeka odmalowało się głębokie obrzydzenie. – Toż to musi śmierdzieć na kilometr.

– Pojęcia nie mam, nigdy nie próbowałem. Ale ponoć uchodzą za rarytas... I kosztują też niemałe pieniądze.

– No to się nie dziwię, że dali solidnie w łapę komu trzeba, by móc ich tu szukać – mruknął major. – I mówi pan, że po kilku tygodniach już do jedzenia, a oni starszych szukają? Podejrzane, podejrzane... – Podrapał się po tłustym podbródku. – No, to mamy sprawę obgadaną. – Usiadł prosto. – Porozmawia pan sobie z nimi albo raczej znaczki porysuje – zachichotał. – Hmm... co jeszcze? Przepustka nocna może się panu przydać i telefon panu włączymy, do kontaktów służbowych. Co wieczór napisze pan raport. Jak będzie coś ważnego, proszę go tu przynieść i zostawić na portierni. Jak mniej ważne, to raz w

tygodniu hurtem pan dostarczysz.

Ubek wyjął z szuflady jakieś papiery.

– Tu jest ankieta do wypełnienia. – Podał doktorowi długopis.

– Ale...

„Niczego nie podpisywać”, przypomniał sobie żelazną zasadę, którą wbijano mu do głowy w czasie budowy struktur związku.

– Wypełniaj, człowieku, toż nie werbujemy cię na agenta, będziesz naszym konsultantem do spraw merytorycznych.

Orientalista przestudiował papiery.

E, to nic groźnego, uspokoił się. To mogę parafować...

Co oznacza termin „osobowe źródło informacji”, wyjaśnił mu dopiero sąd lustracyjny dwadzieścia lat później.



Spotkali się w hotelowym holu. Gazdowski ukłonił się po chińsku i wymienił swoje nazwisko. Amerykanin Jerry Smith miał około pięćdziesiątki. Prezentował się godnie, wysoki, opalony, o kwadratowej szczęce. Skronie przyprószyła mu siwizna. Na szpiega jakoś nie wyglądał. Dziewczyna, Xu Wong, miała nie więcej niż siedemnaście lat. Była drobna, bardzo ładna, kruczoczarne włosy spływały jej falą do połowy uda.

– Zostałem oddelegowany przez polskie władze, by udzielić wszelkiej możliwej pomocy w waszych poszukiwaniach – zaczął sinolog po angielsku.

– To bardzo szlachetne z ich strony, będziemy musieli przekazać najserdeczniejsze podziękowania za tę troskę – przybysz odezwał się po polsku.

W jego oczach czaiła się wyjątkowo zjadliwa ironia. Na twarzy Chinki gościł uśmiech.

– Proszę, przejdźmy do naszego pokoju. – Gość zza oceanu zapraszającym gestem wskazał schody.

Weszli na piętro. Pokoik był niewielki i urządzony przez kogoś pozbawionego jakiegokolwiek gustu. Dwa łóżka, dwie szafki nocne, obrzydliwa reprodukcja na ścianie, równie paskudny syntetyczny dywan na podłodze.

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedział Smith. – Nie wiem, na ile się pan orientuje... Nasz problem jest bardzo złożony. Czy jest pan historykiem?

– Sinologiem.

– To się nawet nieźle składa. Nie znamy miasta, panna Wong nie zna też języka. W tych warunkach prowadzenie poszukiwań jest szczególnie trudne. Bardziej potrzebowalibyśmy historyka, może nawet archeologa. Ale cóż... Przecież nierozsądnie byłoby odmawiać. – Zmrużył oczy.

Wie, że przysłano mnie w określonym celu, zrozumiał Gazdowski. Cokolwiek powiem, zabrzmi nieszczerze.

– Może będę mógł jakoś pomóc? – wołał zmienić temat.

– Pod koniec dziewiętnastego wieku istniała w Warszawie niewielka chińska diaspora. Kuzyn pradziadka panny Wong był kimś w rodzaju przywódcy tej społeczności. Ostatni list wysłał do domu jeszcze przed wojną mandżurską. Pisał w nim, że przygotował piwniczny skład jajek i замуrował wejście. Chcemy to odszukać. Mija siedemdziesiąt pięć lat... Sądzymy, że jaja znajdują się, że tak powiem, w pełni rozkwitu.

– Daruje pan, ale to się nie trzyma kupy – wybuchnął Polak.

– Co takiego?

– Czytałem chińskie poradniki. Te rzekomo stuletnie jaja w rzeczywistości maceruje się przez kilkadziesiąt dni.

Smith uśmiechnął się tylko.

– To, co zwykle oferują restauracje, to tylko marna podróbka. Takie trzymiesięczne jajeczko kosztuje może kilka dolarów. Coś jak wasza kiełbasa z ochłapów i papieru gazetowego. Jak sztucznie postarzone wina. My szukamy prawdziwych delikatesów, jaj leżakowanych przez dziesięciolecia – odezwała się dziewczyna.

Dialekt, którym mówiła, był dla doktora ledwo zrozumiały.

– Czy pani mówi po polsku? – zdumiał się.

– Nie mówię, ale z grubsza rozumiem, o czym mówicie – odparła.

– Jej przodek zachował list kuzyna – Smith wrócił do tematu – ale przepadła koperta, na której mogły być dane nadawcy.

– Zatem musimy zacząć od ustalenia adresu. Potem przeprowadzić analizy architektoniczne i niewykluczone, że przeszukać piwnice – mruknął sinolog. – Sądzę, że to robota najwyżej na kilka dni. Czym zajmował się przodek panny Xu?

– Tym, czym niemal wszyscy. Obnośną sprzedają wyrobów importowanych z Dalekiego Wschodu. Ponadto miał pralnię albo udziały w pralni.

– Dziękuję, to już jakiś punkt zaczepienia. Zdają sobie oczywiście państwo sprawę, jak nikłe są szanse? To miasto, zwłaszcza dzielnice centralne, zostało niemal zrównane z ziemią.

– Zastanawialiśmy się nad tym problemem. – Amerykanin wskazał leżący na stoliku album, przedstawiający Warszawę zaraz po zakończeniu wojny. – Ale liczymy na łut szczęścia.

– Da się to w ogóle jeść? Te stuletnie jaja? – sinolog zwrócił się po mandaryńsku do dziewczyny.

– Jak znajdziemy, sam się pan przekona. Poczestujemy pana królewskim przysmakiem. – Uśmiechnęła się leciutko, spuszczać wzrok. – Od czego zaczniemy poszukiwania?



Zasiedli w czytelni profesorskiej. Biblioteka była zresztą niemal zupełnie pusta. Zaczęli od źródeł ogólnie dostępnych. Wśród dokumentów życia społecznego znaleźli książkę telefoniczną z początków dwudziestego wieku. Niestety, wśród abonentów nie było ani krewnego panny Xu, ani nikogo o chińsko brzmiącym nazwisku. Gazdowski wertował katalogi zawartości czasopism, Smith przedzierał się przez indeksy monografii o Warszawie. Chinka siadła naprzeciw nich i nudząc się jak mops, oglądała albumy. Gazdowski popatrywał na nią ukradkiem.

Śliczna jak egzotyczny ptaszek, rozmyślał. Ależ ten Amerykanin ma szczęście! Nie tylko żyje w wolnym kraju, nie tylko zarabia miesięcznie więcej niż przeciętny Polak przez kilka lat, ale jeszcze taką laseczkę sobie przygruchał, a ja mam anulowany paszport na demoludy, puste półki w sklepach i siermiężny seks z sąsiadką krawcową, jak ją akurat najdzie ochota... Poczul gwałtowny przypływ zazdrości.

Mijały godziny. Znaleźli zaledwie dwa artykuły, z magazynu przyniesiono im mikrofilm.

Niestety, niewiele się dowiedzieli. Oba teksty powstały w latach sześćdziesiątych. Wspomniano w nich tylko, że za cara żyli w Warszawie Chińczycy handlujący tanimi tkaninami, wschodnimi perfumami i oczywiście herbatą.

Co za idiotyzm, myślał Polak, wertując stare papierzyska. Członek Solidarności na zlecenie SB pilnuje cudzoziemców, którzy szukają śladów Chińczyków żyjących w Warszawie przed stu laty...

Jak się okazało z lektury drugiego artykułu, chińska diaspora była niewielka. Żadnych restauracji, żadnych znaczących nieruchomości. Żadnych nazwisk, żadnych adresów...

Wziął kartkę papieru i pospiesznie naskrobał kilkanaście chińskich znaków.

*Przydzielono mnie, abym was szpiegował.*

Pchnął papier przez blat w stronę dziewczyny. Przeczytała, dopisała odpowiedź, złożyła i zwróciła z uśmiechem.

*Nasze rzeczywiste cele są niemal tożsame z deklarowanymi. Jeśli dyskrecja będzie konieczna, poprosimy o nią.*

Pismo panny Wong było niezwykle kształtne. Porównując ideogramy swoje i jej, poczul zazdrość. Puścił do dziewczyny oko, pieczętując układ.

Dochodziła szesnasta, gdy doktor Smith uznał, że zrobili dość. Stos przejrzanych woluminów zajął sporą część blatu.

– Gdzie tu można coś zjeść? – zapytał. – Kuchnia hotelowa nam wybitnie nie służy.

– Nooo – zacukał się Gazdowski. – Nigdzie... Chyba żeby... Zapraszam na obiad do mnie. Na Stare Miasto mamy tylko kilka kroków.

Ruszyli. Otwierając drzwi, poczuł wstyd. Kawalerka była mikroskopijna, a do tego straszliwie zagracona. Księgozbiór zrobił na gościach pewne wrażenie. No cóż, wciśnięcie trzech tysięcy książek do mieszkania o powierzchni nieprzekraczającej trzydziestu metrów kwadratowych jest sztuką...

Usadził ich przy stole. Postawił puszkę z ciastkami od babci, a sam udał się do kuchni. Gdy nastawił już wodę na herbatę, wyciągnął z szafki zapas na czarną godzinę – weki przywiezione od brata. Otworzył te z gulaszem i przerzucił ich zawartość do rondelka. Obrął kartofle.

– Herbata, niestety, tylko gruzińska. – Wniósł tacę ze szklankami. Smith pociągnął łyk naparu.



18

– Prawdziwą herbatę to siano widziało, gdy koszący je rolnik odkręcił termos, by popić kanapkę... – westchnął sinolog. – Niestety, zdobycie czegoś lepszego...

Panna Wong smakowała przez chwilę ciecz.

– To dobra herbata, trzeba dać jej szansę – powiedziała.

Gestem zaprosił dziewczynę do kuchni. Chinka zakręciła się po pomieszczeniu, wybrała przedwojenny jeszcze miedziany tygielek do sosu i zaczęła odczyniać jakieś czary.

Gazdowski musiał zająć się daniem głównym. Wreszcie wszystko było

gotowe. Goście pałaszowali aż im się uszy trzęsły. Nawet herbata, fachowo zaparzona, nieoczekiwanie nabrała iście niebiańskiego smaku.



Kolejne dni miały podobnie. Od ósmej rano do późnego popołudnia przeglądali książki lub sprawdzali katalogi. Poszukiwania prowadzone niemal na ślepo przyniosły trochę ciekawych efektów. Ustalili, że większa część Chińczyków zamieszkujących niegdyś Warszawę opuściła miasto niedługo przed pierwszą wojną światową. Jakieś niedobitki, mocno już zasymilowane, żyły w mieście jeszcze w latach trzydziestych.

Teraz przyszła kolej na mikrofilmy czasopism. Niestety, wertowanie ogłoszeń drobnych i reklam nie dawało zgoła nic. Chińczycy zajmowali się handlem obnośnym, odwiedzali na przykład podwarszawskie wioski, sprzedając pachnidła, perfumy, tkaniny i czasem jakieś drobne wyroby. W sumie najrzadziej handlowali herbatą...

Tylko w dwu artykułach natrafili na informację o małej pralni prowadzonej gdzieś na Pradze przez ludzi tej nacji.

Czwartego dnia Smith przyszedł sam.

– Panna Xu przeziębila się – wyjaśnił Gazdowskiemu. – Arystokratka... Delikatna jak rasowy żrebak.

– Arystokratka? – zdziwił się Polak.

– Niemal czystej krwi, z drzewem genealogicznym sięgającym czasów dynastii Ming. Jej przodkowie byli na dworze cesarskim urzędnikami odpowiedzialnymi za hodowlę jednorogów, feniksów oraz smoków. Zwano ich Strażnikami Perłowego Zwierzyńca.

– Zważywszy na częstotliwość występowania jednorogów, funkcja chyba czysto tytułarna... – odparł sarkastycznie. – Skoro jeden z ich krewnych prowadził pralnię na Pradze, dedukuję, że utracili łaskę albo...

– Każdy popełnia jakieś błędy.



Strażnicy Perłowego Zwierzyńca... Doktor był prawie pewien, że kiedyś zetknął się z tą nazwą. Leżąc w łóżku, przeglądał monografie naukowe, głównie angielskojęzyczne. I wreszcie znalazł.

Służba powołana na początku XV wieku, za panowania cesarza Yongle, przetrwała do czasów cesarstwa Mandżukuo. Zakres kompetencji mieli szeroki. Otaczali opieką rzadkie zwierzęta żyjące w cesarskich parkach i rezerwach łowieckich. Dostarczali nowych, niezwykłych gatunków. Zawiadawali też apteką przy dworze, a dokładniej jej podwydziałem zajmującym się sporządzaniem leków, wykorzystującym części ciała i wydzieliny rzadkich zwierząt.

Podjejmowali też wyprawy celem pochwylenia stworzeń uchodzących za mityczne. Z czasem rozbudowana służba zaczęła się kurczyć, urzędnicy pełnili już tylko funkcje ceremonialne. Pod koniec istnienia dynastii Aisin-Gioro została ostatecznie rozwiązana...

W innej publikacji doktor trafił na kolejne informacje. Organizacja, marginalizowana przez dwór cesarza Pu Yi, odrodzić się miała na Tajwanie po ewakuacji z kontynentu Kuomintangu i niedobitków wojsk generała Czang Kajszeka. Filie istniały także w Makao, Hongkongu i wśród chińskich osadników w Singapurze.

– Czyli jak któryś z gerontokratów rządzących Tajwanem potrzebuje wyciągu z jąder tygrysa albo, dajmy na to, kawałek rogu jednorożca, to dzwoni do tej miłej dziewczuszki, ona idzie do tajnego magazynu albo do lochu, gdzie stoją klatki... – podsumował poszukiwania. – I widać właśnie zaszła taka okoliczność, skoro wysłano ją aż tutaj w towarzystwie faceta, który ma amerykański paszport, a gada jak rodowity warszawiak. Sojusz CIA i służb bezpieczeństwa Tajwanu? Nieważne. Ech, jakbym był w tej układance trochę ważniejszy, to może by mnie chociaż uwiodła, a tak...

A potem pomyślał o sąsiadce i swoich planach życiowych z nią związanych. Zawstydził się.



Ranek doktor spędził w archiwum, przeglądając dokumentację zgromadzoną w latach czterdziestych przez Biuro Odbudowy Stolicy. Rozwiązywał zetłale sznurki, otwierał zakurzone teczki. Przeglądał karta po karcie, ulica po ulicy, dom po domu. Ktoś wykonał benedyktyńską pracę. Niemal każdy dom był opisany. Materiał ilustrowały fotografie z czasów carskich, międzywojenne oraz dokumentujące zniszczenia w czasie wrześniowych nalotów i okupacji.

Uzbrojony w lupę szukał po szyldach. I wreszcie, gdy tracił już prawie nadzieję, spostrzegł niewielką wywieszkę. Zgodnie z carskimi rozporządzeniami była dwujęzyczna, po lewej cyrylica, po prawej alfabet łaciński. Ale pomiędzy napisami ktoś umieścił jeszcze chiński ideogram oznaczający pranie.

– A niech mnie – mruknął.

Budynek przy ulicy Ząbkowskiej przetrwał wojnę częściowo tylko wypalony. W latach czterdziestych wyremontowano dach i zasiedlili go ludzie. Nadal istniał.

Doktor zamówił kserokopię. Czekał potem pół godziny, patrząc, jak cud kapitalistycznej techniki wolno się nagrzewa, pracownik archiwum przeciera szklane tafle spirytusem i posypuje je cieniutką warstewką pyłu grafitowego.

Wreszcie z niezbyt wyraźną odbitką w teczce pojechał do biblioteki. Smith i jego towarzyszka siedzieli jeszcze nad mikrofilmami.



– Mam dla was prezent. – Wręczył dziewczynie papier.  
– A niech mnie! – mruknął Amerykanin. – Znalazł to pan!  
– Nie wiem oczywiście, czy to właściwe miejsce, ale nie natrafiłem na ślad żadnej innej chińskiej pralni. Wynotowałem za to adresy wszystkich pozostałych. Tak na wszelki wypadek. Dziś już późno, myślę, że jutro rano możemy tam pojechać i zbadać sprawę na miejscu.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a potem pocałowała go w policzek.



Za oknami szumiała ulewa. Doktor czytał, popijając herbatę. Nagle zadzwonił telefon. Gazdowski oderwał się od książki i podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Wierch mówi – warknęła słuchawka głosem ubeka. – Te kopane Chińczyki są u ciebie?

– Nie.

– Psia ich mać. No i zerwali się z łańcucha. Nie wrócili do hotelu. Coś knują, zarazy... Ale nas szefostwo obsobaczy!

Trzasnęła odkładana słuchawka.

Nie wrócili? – zdziwił się. Przecież jest noc... Godzina milicyjna. A może? Przecież znają adres. To oczywiste, pojechali odnaleźć skrytkę od razu, natychmiast i beze mnie. Jedyne szansa dowiedzieć się, czego tak naprawdę szukali, to nakryć ich teraz.

Załóżył gruby sweter, narzucił ortalionowy płaszcz. Zniósł rower po schodach. Sprawdził jeszcze, czy ma przepustkę w kieszeni, i ostro pedałowując, pojechał na Pragę.



Kamienica stała mokra, cicha i ciemna. Minęła północ. Tylko w dwu oknach widać było słaby poblask światła. Zsiadł z roweru i wprowadził go do bramy. Drzwi do piwnicy były zamknięte. Gazdowski wyjął z kieszeni scyzoryk, wsunął w szczelinę i po chwili manipulowania odepchnął języczek zamka. Zostawiwszy rower, zagłębił się w mroczny, cuchnący korytarz. Szedł, macając w ciemnościach drogę.

Zza rogu biła słaba poświata. Podkradł się cicho. W murze ziała nieregularna dziura, najwidoczniej przejście niegdyś zamurowano. Za nią widać było kawałek korytarza i kolejny zakręt.

Smith musiał sobie niezłe pomachać młotem, pomyślał sarkastycznie.

Wślizgnął się. Na podłodze leżała gruba warstwa kurzu oraz drobne ułamki cegieł, które przez dziesięciolecia odkruszyły się od stropu. Minął zakręt i zamarł zdumiony. To istotnie był skład jajek. Na drewnianych stelażach ujrzał

zapleśniałe, przegniłe kosze. Wewnątrz, obsypane białym proszkiem, leżały tysiące kurzych jaj. Pod jedną ze ścian stała ozdobna szafka, o drzwiczkach ozdobionych chińską laką. Była otwarta. W środku znajdował się jeszcze jeden koszyk, kryjący złocistej barwy skorupy wielkiego jaja.

Strusie czy co? – pomyślał w pierwszej chwili.

Oboje goście też tu oczywiście byli. Gazdowski poczuł, jak opada mu szczeka. Panna Wong siedziała na krześle. Rozebrała się do połowy. Nacięła jeden z sutków. Przy piersi trzymała...

– O chol... – zdusił przekleństwo.

Dziewczyna trzymała małego smoka. Sinolog patrzył na to kompletnie zdumiony. Zwierzę wyglądało dokładnie jak z chińskiego obrazka. Małe, kolorowe, złotookie, pokryte dziwnymi wypustkami.

– Co to jest? – wykrztusił. – Co wy robicie? – zapytał po chińsku.

– Potrzebna mu krew dziewicy – wyjaśniła dziewczyna. – Smok, gdy się rodzi, jest słaby i bezbronny. W warunkach naturalnych karmi go matka. Gdy jednak rodzi się wśród ludzi, ktoś musi się poświęcić... Gdy skosztuje krwi, nabiera sił i zyskuje moc, by się bronić...

– Ale skąd? Czemu...

– Smok w mitologii chińskiej to potężna istota, której zadaniem jest opieka i ochrona ludzi – powiedział stojący w kącie Smith. – Krewny panny Xu doświadczył wiele zła od Rosjan i wiele dobrego od Polaków. To jego dar dla was. Wolność. Smok będzie żył ukryty wśród was i chronił ten kraj. Tylko zanim dojrzał na tyle, by skruszyć skorupę jaja, musiało minąć trochę czasu. Ot, tak z siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Ale, wie pan, Chińczycy to taki naród, że nigdzie im się nie spieszy, choć zawsze w końcu postawią na swoim...

– I jak ten zwierz podrośnie, pourywa komunistom głowy? – wykrztusił doktor.

– Niewykluczone. Ale jego działanie jest subtelniejsze. To złoty węzeł na liniach losu. Zmienia samą ośnowę rzeczywistości. Tam, gdzie żyje, wszystko powoli zmienia się na lepsze.

– Powoli?

– Nie minie dziesięć lat, a ten kraj będzie wolny.

– Cóż za wzruszająca bajeczka – burknął major Wierch, pojawiając się w przejściu. W ręce trzymał pistolet. – A teraz łapki do góry i pod ścianę. Wszyscy.

Gazdowski zmartwiał. W jednej chwili zrozumiał, że perfidny ubek musiał go śledzić. Dom z pewnością jest już otoczony... Poczuł żal, wściekłość.

O nie. Po moim trupie, pomyślał.

Smok oderwał pyszczek od piersi dziewczyny i syknął gniewnie. Po alabastrowo gładkiej skórze chińskiej arystokratki popłynęła gruba kropla krwi.

Komunista, patrząc na zwierzę, stracił jakby trochę pewność siebie, ale zaraz odzyskał rezon.

– O ty, kurde – powiedział. – Nieznany gatunek jaszczurki znaczy. W zoo się ucieszą...

Gazdowski chwycił najbliższy koszyk jajek i cisnął nim w majora. Chyba połowa zawartości roztrzaskała się na twarzy i piersi ubeka. Sinolog skoczył i szarpnięciem skierował lufę broni w sufit. Oficer padł jak podcięty. Fala upiornego smrodu, uwięziona przez sto lat pod cienkimi skorupkami, rozlała się po piwnicy. Gazdowski nie zdołał powstrzymać torsji. Wymiotował jak wulkan.

I nagle zrobiło się zupełnie jasno. Podniósł głowę. Smok siedział tuż przed nim. W ciągu kilku chwil urósł co najmniej dwudziestokrotnie, był teraz wielkości kuca szetlandzkiego.

– Dziękujemy za pomoc – powiedział po polsku.

Panna Wong, odwrócona tyłem do mężczyzn, zapinała bluzkę. Smith stał, zagadkowo się uśmiechając.

– Ale...

Polak dezorientowany rozejrzał się po wnętrzu piwnicy.

– Sam powiedz, po co komu tacy towarzysze? – smok odgadł jego nieme pytanie. – A jakby kto pytał, powiedz, że zdezerterował... Wraz ze swoją obstawą. – Spojrzał w stronę drzwi, jakby przeszywał wzrokiem mur. – Dochowałeś lojalności wobec moich przyjaciół. Nie będzie ci to zapomniane.

Grzebnął pazurzastą łapą w paszczy i wyciągnął klamrę od pasa, która utkwiła mu między zębami. A potem rozmazał się w smugę złotego światła i wniknął w mur.

– Yyy... – wydusił sinolog i zemdlał.

Gdy doszedł do siebie, już dniało. Goście ułożyli go wygodnie na jakichś deskach i nakryli kurtką Amerykanina. Sami zajęli się przeglądaniem zgromadzonych w lochu zapasów jaj.

– Co to było? – wychrypiał, siadając.

– Znaleźliśmy skład jajek stworzony przez krewnego panny Wong – powiedział Smith. – Tym samym nasza misja w Polsce zakończyła się pełnym sukcesem.

– Smok?

– Odszedł i ukrył się – wyjaśniła dziewczyna. – Proszę się o niego nie martwić, poradzi sobie.

Doktor spojrział na podłogę. Wymamlana w smoczych zębach metalowa klamra od pasa ciągle tu leżała. Tylko tyle zostało po majorze Wierchu.

– On go...

– Pożarł. No cóż, bywa i tak, że smok sam wymierzy sprawiedliwość.

Zdobyte przez nas zapasy osiemdziesięcioletnich jaj będą ozdobą menu najwykwintniejszych restauracji w Tajpej. Oczywiście pomyślimy o stosownym procencie także dla pana – powiedział Amerykanin. – Jakość produktu, na ile potrafimy ocenić, jest pierwszorzędna, jajeczka godne cesarskiego podniebienia.

– Wy naprawdę jadacie to śmierdzące świństwo? – wykrztusił. – Przecież to musi być tak nieziemskie paskudztwo...

Smith uśmiechnął się i podał mu srebrną łyżeczkę. Gazdowski, poczuwszy woń jej zawartości, szarpnął się w tył.



Jerry Smith i panna Wong wyjechali trzy dni później. Pozwolono im nawet wywieźć znalezione jajka, choć inspektor sanitarny nie chciał dać zgody na eksport ewidentnie nieświeżych produktów. Niedługo potem zawieszono stan wojenny, a komisja dyscyplinarna wycofała sprawę doktora. Nawet się nie zdziwił, gdy zaproszono go do ambasady USA, gdzie wręczono mu wyciąg z konta w zagranicznym banku. Z dokumentu wynikało, że Gazdowski jest teraz szczęśliwym posiadaczem dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Poinformowano go też, iż za skromną prowizję CIA może mu te pieniądze dostarczyć.

Rok później doktor ożenił się z krawcową Ireną, która następnie urodziła mu trójkę dzieci. Nim poszły do szkoły, komuna anihilowała. Za przeschmugłowane z USA dolary doktor wraz z żoną założyli szwalnię i sieć butików, szybko dorabiając się jeszcze większej kasy. Majora Wiercha nikt nie szukał, a nawet jeśli szukano, sinolog nigdy nie był jednym z podejrzanych w tej sprawie.

Doktor bardzo liczył, że smok pozjada kolejnych komuchów. Niestety, nie doczekał się.

– Chińska tandeta – mrucał. – Dobre na raz, potem się psuje i przestaje działać. A może mu ten śmierdzący ubek zaszkodził? Taka swołocz to nie na delikatny żołądek...

Ale skorupy złocistego jaja i poznaczoną śladami zębów kłamrę ubeckiego pasa zatrzymał na pamiątkę.

# Sprawa Filipowa

*Leningrad, wczesna wiosna 1967*



Od zatoki wiało chłodem. Dzień w ogóle był jakiś parszywy, wilgotny i mglisty, na szczęście na deszcz się nie zanosilo. Stary mężczyzna szczelniej zawinął się w zniszczony wojskowy płaszcz. Wędrowiec garbił się, lata pracy w łagrach Workuty przygięły go do ziemi. Broda, którą zapuścił, nie do końca zakrywała blizny po lampie lutowniczej i ślady odmrożeń.

Długo szedł brzegiem morza. Znoszone buty przemiękły, kilka razy potknął się na kamieniach, ale brnął twardo naprzód. Za cyplem skręcił w głąb lądu. W brzozowym zagajniku pomiędzy wzgórzami przystanął na chwilę. Przez pięćdziesiąt lat wszystko się zmieniło. Niskie garby grobów dawno rozmyły deszcze. Wędrowiec przystanął. Kiedyś był tu niewielki cmentarzyk. Już chyba tylko on pamiętał te noce w tysiąc dziewięćset piątym, gdy z krytych więziennych karetek wynoszono zwłoki i wrzucano do płytkich, pospiesznie wykopanych grobów... A w tysiąc dziewięćset trzecim...

Długo szukał potrójnego nacięcia na korze brzozy, wreszcie stracił nadzieję. Przysiadł na kamieniu, z kieszeni wydobyl ćwiartkę wódki. Odkorkował, nalał do dwu szklanek. Jedną postawił na sąsiednim głazie. Stuknął swoją o brzeżek tamtej.

– To już ostatni raz, niebawem zobaczymy się po tamtej stronie – wyszeptał.  
– Ech, frajerze, frajerze...

Wódka rozgrzała stare kości. Ciepło obudziło wspomnienia...

*Sankt Petersburg, wiosna 1903*

Ostro pachniały końskie pączki, które poniewierały się tu i ówdzie na ulicach. Od Newy ciągnęło chłodem, rzeka niosła ostatnie bryły kry. Drzewa na skwerkach wypuściły pierwsze zawiązki liści, a w powietrzu unosiła się przyniesiona wiatrem woń świeżo zaoranej ziemi. Gdzieś za rogatkami miejskimi pola czekały na obsianie. Z kawiarenek i restauracji buchały zapachy jedzenia.

Przy akompaniamencie stukotu kopyt nabrzeżem przemknął odkryty powóz. Ci, którzy stali najbliżej, poznali ubranego w paradny mundur pasażera i

wyrzucili do góry czapki. Ekwipaż jechał szybko. Siedzący w jego wnętrzu car oderwał się od trzymany na kolanach papierów i pozdrowił tłum.

Wysoki, blady mężczyzna idący trotuarem nie podzielał ogólnej radości. Twarz miał zaciętą, w jego oczach płonęły ponure ognie. Ubrany był w długi czarny płaszcz, a głowę nakrył zrudziałą robociarską czapką. Dostrzegł zamieszanie, jakie wywołał przejeżdżający obok powóz, i domyśliwszy się, kto może nim jechać, zmrużył chytrze oczy. Konie sadziły szybko, drobinki błota tryskały im spod kopyt. Mężczyzna przyspieszył. Odruchowo namacał za pazuchą pistolet. A potem drogę zagroził mu zbity tłum.

Gdyby teraz wyciągnął broń, ci ludzie, którzy go otaczali, zatłukliby go na śmierć. Skrzywił się raz jeszcze. Była okazja, ale pal diabli. Co się odwlecze, to nie uciecze...

Wolno wycofał się poza tłum, zapinając jednocześnie guziki. W chwilę później, minawszy stójkowego, kamiennymi schodkami zszedł nad rzekę. Do specjalnego uchwyty, wmurowanego w kamień tuż nad wodą, przycumowano płaskodenną łódkę. Wewnątrz nie było wiosłarza, nawiasem mówiąc, spoczywał on od poprzedniego wieczora na dnie rzeki. Potrzeba nie zna prawa. Zwłaszcza gdy potrzebującym jest rewolucjonista... Spod ławki wydobył wiosła, oparł je wygodnie w dulkach i odpiąwszy łańcuch, popłynął w górę rzeki. Niedaleko, kilkaset arszynów.

W tłumie był jeszcze jeden człowiek, któremu nie spodobało się niedawne widowisko. Na widok ekwipażu skrzywił wargi w złym uśmiechu. Zawarł w nim całą swoją pogardę do cara i do ludzi. Postawił kołnierz płaszcza, sprawdził godzinę na złotym kieszonkowym zegarku i zdziwiony ruszył szybszym krokiem w stronę nabrzeża. Obaj dotarli na miejsce spotkania jednocześnie. Mężczyzna wskoczył do łódki i odbili, kierując się na środek rzeki. Teraz dopiero, gdy nikt nie mógł ich podsłuchać, zaczęli rozmowę.

– Profesorze Filipow...

– Mówcie mi po imieniu.

– Michaile Michajłowiczu, prosiłem was o spotkanie. Nazywam się Borys Sawinkow.

– Przywódca organizacji bojowej partii socjalistyczno-rewolucyjnej i tak dalej, ścigany listami gończymi, inicjator zamachu na ministra...

– Zgadza się.

Profesor popatrzył uważnie na swojego rozmówcę. Szczurza twarz z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi, chorobliwie biała skóra, a w szarych oczach dynamit...

– W swoim liście nalegał pan na spotkanie. Swoją drogą, gdy zobaczyłem podpis, myślałem w pierwszej chwili, że to prowokacja ochrony. Od czasu

zamachu na cara Aleksandra dość regularnie sprawdzają, co robię... – powiedział wreszcie uczony.

Terrorysta skinął głową.

– Z grubsza o tym chciałem rozmawiać.

– Jeśli potrzebujecie dynamitu, to trafiliście pod niewłaściwy adres. Nie zajmuję się produkcją takich rzeczy od dobrych dwudziestu paru lat... – Wyszczrzył zęby w paskudnym uśmiechu.

– Pan daruje. Po co miałbym fatygować was, gdyby chodziło mi o kilka funtów materiału wybuchowego? Nie ośmieliłbym się w tak błahej sprawie zwracać panu głowy. Dynamit sam umiem zrobić. Gorzej z trotylem...

– Mogę służyć fachową pomocą, jeśli chodzi o teoretyczną stronę zagadnienia. Ale tylko teoretyczną.

– Dziękuję, naprawdę nie trzeba. Mamy w partii kilku fachowców. Zająłem wam czas w zupełnie innej sprawie.

Sawinkow sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył plik kartek wyprutych z „Przeglądu Naukowego”.

– Tu jest wasz artykuł, Michaile Michajłowiczu.

– Nie wiedziałem, że rewolucjoniści czytują literaturę naukową. I to tak hermetyczną... Pismo, które redaguję, przeznaczone jest dla wąskiej grupy fachowców.

– Raczy pan żartować, panie profesorze. Może i nie skończyłem studiów, ale to nie znaczy, że nie mogę zrozumieć najprostszego... Zresztą czytam także prasę zagraniczną.

– Do czego pan zmierza?

– Piszecie, że dla medycyny przyszłości ogromne znaczenie będą miały hodowle bakterii.

– Tak. W Europie Zachodniej już się nad tym pracuje. Opracowano szereg pożywek, głównie na bazie żelatyny, które zaszczerpione odpowiednim bakcylem...

– Wybacz pan, czytałem.

– Oczywiście. Czym więc mogę służyć?

– Och, to proste. Od kilku lat stosuję trotyl i dynamit.

– Przeprowadziliście szereg zamachów, w tym liczne udane, nieprawdaż?

– Nie jest łatwo być terrorystą. Nasi przeciwnicy również nie próżnują. Konstruują opancerzone powozy, przywdziewają specjalne zbroje. A nasze bomby mają niewielki zasięg. Trzeba podbiec, rzucić, następuje wybuch, rzucający może zginąć. Można też dopaść carskich oficjeli w ich pałacach, ale wówczas potrzeba większej siły.

– Sto pudów trotylu zniesie z powierzchni ziemi pół miasta.

– Nie przesadzajmy, profesorze. Nasze najcięższe bomby mają po jakieś pół puda. Do przeniesienia stupudowej bomby musielibyśmy mieć kilku ludzi chętnych zaryzykować życie.

– To ma jakiś związek?

– Co?

– Wasza wypowiedź odnośnie do wysadzania całych pałaców z moim artykułem o bakteriach?

– Oczywiście. Tradycyjna broń jest trudna w użyciu i mało skuteczna. Pomyślałem natomiast, że można by wykorzystać do walki broń, nazwijmy to, biologiczną.

Uczony milczał, ale błysk w jego oku świadczył, że pomysł mu się spodobał.

– Czy jest to możliwe? – zapytał Sawinkow.

– Myślicie o celowym wywołaniu epidemii? – Idea ta najwyraźniej natychmiast zafascynowała Filipowa.

– Wielkiej epidemii, Michaile Michajłowiczu. Zarazy, która zmiecie z powierzchni ziemi stary świat i pozwoli nam na jego gruzach zbudować świat nowy. Socjalistyczny.

– O jakiej zarazie pan myśli?

– Jeden z moich przyjaciół, mieszkający w Mandżurii, zasygnalizował mi, że mają tam kilka przypadków dżumy. Chorzy zostali odizolowani, ryzyko epidemii zażegnano. Pomyślałem, że gdyby udało się przesłać pocztą słoiczek zarazków, a tu umiejętnie je rozmnożyć...

– Pocztą? – zadumał się uczony. – Nie wiem, czy bakcyle przetrzymają tak daleką drogę.

– Ma pan lepszy pomysł?

– Pchły. A konkretnie *Pulex irritans* – pchła ludzka. Przenosi dżumę, w niesprzyjających warunkach jest w stanie przetrwać, jak słyszałem, nawet osiemnaście miesięcy bez pożywienia. Czy pański przyjaciel ma dostęp do, nazwijmy to, „materiału”?

– Jest lekarzem.

– Epidemie na Dalekim Wschodzie dzięki stosowaniu przepisów sanitarnych z reguły nie są zbyt gwałtowne i dość szybko wygasają. Jeśli chcemy się tym zająć na poważnie, musimy się spieszyć. Proszę mu przesłać instrukcję następującą: niech się postara o mniej więcej tysiąc pcheł oraz metalowe pudełka, z jednej strony otwarte i zaciągnięte przesłoną z najcieńszego batystu lub jedwabiu. Jeśli przystawi je chorym do ciała, pchły będą w stanie kąsać przez materiał. Trzeba będzie wynająć kuriera.

– Mówił pan o osiemnastu miesiącach?

– To rekord odnotowany w szczególnie sprzyjających warunkach. Jeśli



mamy je przewieźć żywe, trzeba za wszelką cenę skrócić czas transportu. Do tego nie wiemy, jak długo bakcyl przetrwa w organizmie pchły.

– Poczta z Władywostoku czy Harbinu idzie ponad trzy tygodnie...

– Dlatego potrzebujemy firmy spedycyjnej. Na przykład „Ransson i syn”. Będą w stanie dostarczyć nam przesyłkę w dwanaście, może czternaście dni. Dysponują bardzo szybkimi spalinowymi drezynami. Oczywiście trzeba będzie im słono zapłacić. Osobno trzeba będzie opłacić kolej, aby pociągi rozkładowe czekały na mijankach, drezyna musi mieć zawsze wolną drogę.

– Da się tak?

– Oczywiście. W ten sposób przewozi się na przykład carskich kurierów czy pocztę dyplomatyczną. Zarząd dróg żelaznych już dawno odkrył, że może to być źródłem dodatkowego dochodu.

– A potem trzeba będzie kupić kilkadziesiąt szklanych słoików?

– W zasadzie hodowla bakterii nie jest potrzebna – powiedział profesor. –

Można to zrobić prościej.

– Zamieniam się w słuch.

– Przysłanymi pchłami zarazimy kilka tysięcy szczurów. Na nich wyhodujemy kolejne zarażone pchły. Wywołanie epidemii będzie proste. Wystarczy zapakować insekty do szklanych fiolek i na przykład przy użyciu procy wyeksponować gdzie trzeba. Same szczury też oczywiście wypuścimy, tworząc nowe ogniska zakażenia. Pańscy ludzie będą musieli na jakiś czas opuścić miasto. Oczywiście nie da się uniknąć ofiar wśród proletariatu i członków partii.

– Trudno. – Terrorysta wzruszył ramionami.

– Porozmawiajmy teraz o kosztach. Będę potrzebował odpowiedniego budynku na założenie hodowli, pieniędzy na zakup zwierząt oraz sfinansowanie przesyłki... Czy pańska organizacja dysponuje odpowiednimi funduszami?

– Nie, ale jeśli trzeba, mamy wytypowanych kilka banków, z których w razie konieczności możemy pobrać dowolne kwoty.

– Istnieją bankierzy, którzy popierają waszą walkę?

– Niezupełnie to miałem na myśli.



Nieduży foksterier biegł wzdłuż nabrzeża z nosem przy ziemi, węsząc świeży jeszcze trop, a jego pan, Nikifor Iwanowicz Susłow, rozmawiał z idącym obok stójkowym. Pokazał mu niedużą, niezbyt wyraźną fotografię. Żandarmów dobierano tak, aby łatwo zapamiętywali twarze, ale w tym akurat przypadku bardziej pomocne okazało się opisanie stroju uciekiniera. Stójkowy wrócił na posterunek, a Susłow szedł dalej ciągnięty przez psa. Opodal mostu zwierzę straciło ślad i przysiadło bezradnie na trotuarze. Na szczęście stróż siedzący w

budce na widok fotografii zamyślił się na chwilę.

– Widziałem takiego – powiedział wreszcie. – Godzinę temu przejeżdżał Najjaśniejszy Pan. Ten typek najpierw pobiegł za powozem, a potem zatrzymał go tłum. Zszedł nad rzekę, miał tam przywiązaną łódkę. Taką niedużą, z niebieskim paskiem nad linią zanurzenia.

– Dziękuję w imieniu służby. – Wcisnął stójkowemu srebrnego rubla i wszedł na most.

Z przewieszzonej przez ramię torby wydobył silną lornetkę. Dokładnie przyjrzał się jednostkom pływającym na obszarze, który mógł objąć wzrokiem. Niespodziewanie spostrzegł łódkę. Kiwała się na wodzie jakąś wiorstę dalej. W pierwszej chwili wydawało mu się, że płynie z prądem, ale zaraz dostrzegł, iż utknęła przy brzegu. Wyjął z kieszeni mapę i przez chwilę się zastanawiał. Następnie, przywiązawszy psa do latarni, wszedł do pobliskiej apteki.

– Chciałbym zadzwonić – powiedział, odwijając jednocześnie kołnierz.

W ciemnym wnętrzu błysnął złotem znaczek ochrony. Właściciel bez słowa postawił aparat na ladzie. Agent podniósł słuchawkę, prosząc o połączenie z departamentem. Po chwili, zadowolony z siebie, wyszedł z apteki i przedostawszy się na drugą stronę Newy, ruszył szybkim krokiem wzdłuż rzeki. Pies biegł przy jego nodze.



Agenci Josif Akimow i Tomasz Wilkowski już na niego czekali. Akimowa znał lepiej, wiele lat pracowali razem. Wiedział, że może na nim polegać. Wilkowski był praktykantem, służył w ochronie dopiero od kilku tygodni. Okazał się bardzo bystry i Nikifor już teraz czuł, że ten milkliwy Polak zajdzie bardzo daleko. Jednocześnie wyczuwał w nim coś dziwnego. Pewną obcość. Twarz miał chorobliwie bladą, a czasami zamykał na chwilę oczy, jakby chciał opanować zawrót głowy. Niekiedy, szczególnie rankami, miewał tiki nerwowe.

Susłow usiłował go rozgryźć. Tomasz, jak się wydawało, czekał na coś, co dopiero się wydarzy. Wypełniał wszystkie zadania wyjątkowo sumiennie, ale zbyt interesował się czasem. Skreślał kolejne dni w swoim kalendarzyku i często patrzył na zegarek. Widać było po nim potworne napięcie.

– I jak? – zapytał Susłow.

– Sprawdziliśmy dyskretnie cały park i bulwar nad wodą – zameldował Akimow. – Nigdzie ani śladu.

Popatrzył na psa. Foksterier kręcił się zdezorientowany, nie mógł podjąć tropu.

– Na! – Nikifor podsunął mu pod nos koszulę.

Pies znowu pokręcił się po nabrzeżu i usiadł. Wilkowski, nie pytając o pozwolenie, zdjął buty i zawinawszy spodnie, wszedł do wody. Po chwili

przyciągnął łódkę do brzegu. Nikifor zajrzał do środka. Na dnie leżało kilka niedopałków papierosów, pusta buteleczka, popiół wytrząśnięty z fajki oraz oderwany kawałek jakiegoś papieru. Wydobył go. Tuż przy linii rozdarcia zauważył brzeg pieczęci biblioteki uniwersyteckiej oraz fragment nagłówka „Prze...”. Umieścił świstek w swoim notesie.

– Było ich co najmniej dwóch – powiedział do praktykanta.

– Dlaczego tak sądzicie?

– Jeden palił papierosy, a drugi fajkę. Mogło być nawet trzech, choć łódka jest dość mała, lecz sądząc ze śladów wody na burcie, nie zanurzyła się zbyt głęboko. Dlatego myślę, że raczej dwóch.

– Racja! – powiedział Akimow z uznaniem.

– Pies też nam się już nie przyda. – Agent potrząsnął butelką – To nafta. Sawinkow natarł nią podeszwy butów. Stary numer. Domyśla się, że go ścigamy.

W tym momencie Wilkowski wyciągnął z krzaków jakiegoś pijaczka. Susłow podszedł do niego i pokazał mu znaczek.

– Porozmawiamy sobie? – zapytał.

Pijaczek energicznie pokręcił głową.

– Fatalnie. Chyba trzeba cię będzie zaprowadzić do cyrkułu. Jak długo tu siedzisz?

– Od rana – wybełkotał.

– Świetnie. A widziałeś może takiego, co tu wysiadł z łódki?

– Było ich dwóch – przyznał mężczyzna, charknął i splunął pod nogi. – Jeden jakby robotnik, ale rączki bielutkie. Socjalista aż śmierdziało. A ten drugi lepszy gość. Dewizkę miał. Złotą.

Susłow spojrzał na Akimowa. Twarz tego ostatniego wyrażała podziw.

– Poznajesz? – Podsunął pijakowi fotografię Sawinkowa.

– Ten sam! Ta sama wredna mordą!

– Kiedy wysiedli? – zapytał Wilkowski.

– Parę łyków temu. – Potrząsnął flaszką.

– Jakies piętnaście do dwudziestu minut – wydedukował Susłow. – Akimow, zabierzcie psa do cyrkułu. Wilkowski, pójdziecie ze mną.

– A ten tutaj?

Susłow wręczył pijakowi dwadzieścia kopiejek.

– Wypij sobie piwo za zdrowie ochrony – powiedział.

– Wedle rozkazu, panie naczelniku! – wrzasnął służbiście mężczyzna i usiłował zsalutować, ale trafił palcami w oko.

Napotkany niebawem kolejny stójkowy pokazał im, w którym kierunku udał się poszukiwany. Jak się okazało, dziesięć minut temu był już sam. Jego

tajemniczy towarzysz ze złotą dewizką zniknął bez śladu. Kolejny stójkowy nad kanałem widział, jak dopiero co ktoś w stroju odpowiadającym opisowi wsiadał do tramwaju. Pojazd było jeszcze widać, zniknął w perspektywie ulicy.

– Mamy szansę go capnąć – mruknął Nikifor. – Uważaj, drań na pewno jest uzbrojony.

– Gotów! – Polak z trzaskiem odbezpieczył trzymany w kieszeni rewolwer.

Obaj wywiadowcy złapali bryczkę i kazali jechać w ślad za tramwajem.

– Skaczymy jednocześnie – rozkazał Susłow. – W razie czego strzelaj tak, żeby zabić.

Wilkowski uśmiechnął się lekko. Bryczka przyśpieszyła. Skoczył, lądując na tylnym pomoście. Zrobił to tak zręcznie, że Nikifor się zdziwił. Woźnica strzelił z bata i po chwili Susłow wylądował na przednim pomoście tramwaju.

– Dokąd, dokąd, taka twoja... – wydarł się konduktor, ale widząc odznakę, którą mignął mu w przelocie agent, umilkł.

W wagonie nie było nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi. Żaden z podróżnych nie widział też człowieka przedstawionego na zdjęciu. Agenci wyskoczyli w biegu. Zawrócili na miejsce, gdzie po raz ostatni widziano wroga, i zaczęli wypytywać okolicznych stójkowych. Nikt nic nie widział. Zgubili ślad. Ścigany zniknął, jakby go ziemia pochłonęła.



– No to straciliśmy trop – powiedział ponuro Nikifor. – A już byliśmy tak blisko. Dziesięć minut i byśmy go mieli.

– Musieliśmy popełnić błąd – zauważył Tomasz. – Co będziemy robić dalej? Urwały nam się w rękę wszystkie nici...

– Spokojnie, nie panikuj. Ponieważ jesteś praktykantem, powiedz, co zrobiłbyś na moim miejscu.

– Cofnąłbym się do miejsca, gdzie widziano go po raz ostatni.

– Jak widzisz, to nic nie dało.

– A może do jeszcze poprzedniego?

– Koło łódki.

– Wobec tego wróciłbym do łódki i tam czekał, aż przyjdzie po nią.

– Musisz nauczyć się jednej podstawowej prawdy o rewolucjonistach. To nie są złodzieje. To znaczy oczywiście kradną, co tylko im wpadnie w ręce, ale poza pieniędzmi i żywnością przeważnie nie zatrzymują łupów na stałe. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Ukradł łódkę, popływał nią w towarzystwie znajomego po Newie, a potem porzucił ją na zawsze?

– Właśnie.

– Czy wniosek ten nie jest zbyt... pochopny?

– Zwróć uwagę, że nie przywiązał jej ani nie wyciągnął na ląd. Co teraz powinniśmy robić?

Wilkowski zamyślił się.

– Ten kawałek gazety z łódki i...

– I...?

– Nie wiem.

– Na łódce znajduje się tabliczka z nazwiskiem właściciela. Powinniście zwracać uwagę na takie szczegóły.

– Tak jest! Mając nazwisko właściciela, możemy ustalić, gdzie mieszka, i zwrócić mu jego własność.

– Chodziło mi raczej o możliwość sprawdzenia, czy złodziej i poszkodowany nie byli ze sobą w zmowie, ewentualnie czy Sawinkow nie zostawił tam jakichś innych tropów. Kartką jeszcze się zajmiemy. Gdzie znajdziemy adres?

– W cyrkule.

– Tak, ale w którym? Jest ich w Petersburgu wiele.

– Myślę, że w takim nad Newą. To znaczy obejmującym dzielnice przylegające do rzeki.

– To nam zmniejsza ich ilość do dziesięciu.

– To już niedużo. Chodźmy.

– Pięć godzin łażenia, pod warunkiem, że się rozdzielimy. Pomyśl jeszcze.

– Łódka! Może w admiralicji?

Susłow tylko westchnął ciężko.

– Na posterunku policji wodnej – odparł znużonym głosem. – Newa jest od wielu lat patrolowana przez specjalny oddział. Mają tam spis wszystkich, którzy pracują na rzece lub posiadają własną łódź. Wezwij dorożkę.



Na wschód od miasta rzeka płynęła tak, jak przed wiekami. Rozlana szeroko, sączyła się leniwie wśród starorzeczy i bagien. Nikifor i Tomasz weszli pomiędzy zabudowania rozłożonej na brzegu niedużej wioski. Lepianki wzniesiono byle jak z przypadkowych materiałów. Na widok obcych rozszczękały się kundle. Zza płotów wyjrzały rozczochrane głowy brudnych dzieciaków. Agenci kroczyli, nie zwracając na to uwagi. W nozdrza wżerał się smród gnijącej ryby. Niebawem doszli do chałupy leżącej na przeciwległym skraju wsi. Lekko uchylone drzwi kołysały się na wietrze. Weszli do środka bez pukania. Znaleźli się w sporej izbie, której podłogę pokrywała warstwa brudu. Meble, wyłowione najwidoczniej kiedyś z rzeki, przeżarte przez wilgoć i robaki, straszyły po kątach. Okna, zaciągnięte błonami łożyskowymi jakichś zwierząt, przepuszczały mało światła. Susłow, walcząc z obrzydzeniem, otworzył jedno z nich. Rozejrzał się uważnie.

– Właściciel łódki nie żyje – oznajmił.

– Skąd wiecie?

Agent wskazał mu podłogę w kącie. Pokryta była jakąś dziwną, zaskorupiałą masą.

– To krew. Musiał go trafić w aortę. Tryskało aż na ściany.

Na twarzy Wilkowskiego odmalowało się skrajne obrzydzenie, ale jego oczy pozostały nieruchome. Ten chłopak był niewiarygodnie wręcz opanowany. Zupełnie, jakby zobaczył w życiu takie rzeczy, że kilka trupów więcej nie mogło już zrobić na nim żadnego wrażenia.

– Co zrobił z ciałem? – zapytał praktykant.

Susłow rozejrzał się jeszcze raz, po czym ruszył w stronę drzwi w kącie pomieszczenia. Otworzył je z rozmachem. Ich oczom ukazała się niewielka komórka. Podłogę znaczyła kolejna duża plama.

– Nieboszczyk leżał tu przez kilka lub kilkanaście minut – powiedział do Tomasza. – Może dopiero tu skonał.

W ścianie komórki była dziura. Wyszli z domu, aby obejrzeć ją od drugiej strony. Na trawie znaleźli jeszcze trochę krwi. Idąc śladem kropli, dotarli do niedużego pomostu. Trop urywał się na deskach.

– Tu cumował łódkę – stwierdził Susłow.

– Gdzie jest ciało?

– Na dnie. Zobacz, jaka tu ławica małych rybek. Skocz no, powiedz tym z wioski, żeby wezwali ekipę śledczą, ja się tu jeszcze porozglądam.

Wilkowski pobiegł, a Susłow zawrócił do chatki. Przepatrywał uważnie wszystkie kąty, nie chcąc niczego przegapić. Niewątpliwie stoczono tu bójkę. Świadczyły o tym porzucony w kącie nóż rybacki oraz stłuczony talerz. Niestety, nigdzie nie widział nic, co mogłoby wypaść z kieszeni terrorysty. Nie sposób było także ustalić, kiedy rozegrał się krwawy dramat. Z przyzwyczajenia zajrzał na odchodnym do pieca. Leżało w nim sporo jakichś papierów, doszczętnie strawionych przez ogień. Ostrożnie, pomagając sobie pęsetą, zdjął najwyższy z nich. List. Słów nie dawało się odczytać, ale w nagłówku zachowała się nazwa miasta, z którego został wysłany. Kijów. Popioły poniżej były po prostu resztkami gazet. Minęła może godzina, nim rozległo się pukanie do drzwi. Odwrócił wzrok. W progu stali czterej policjanci. Pokazał im swoją legitymację i gestem wskazał plamę krwi, a następnie pokrótce zreferował sprawę. Wilkowski czekał już na zewnątrz.

– I co? – zapytał.

– Mamy w ręce jeszcze jedną nić. Miejmy nadzieję, że się nie zerwie.

– Ten strzępek gazety z łódki?

– Właśnie. Sprawdzimy, co drań czytał. Może to naprowadzi nas na jakiś

trop?

Wilkowski uśmiechnął się lekko.

On coś wie, pomyślał jego szef. Tylko skąd i co to jest? Czyżbym coś przeoczył? I dlaczego nic nie mówi?



Bibliotekarz był starszym mężczyzną o spojrzeniu oszołomionej światłem dnia sowy.

– „Przeгляд”? Hmm, tak, to nasza pieczęć. Zaraz sprawdzę.

Podreptał do magazynu. Wilkowski rozglądał się ukradkiem po czytelnii. Pod ścianami na regałach stały setki książek. Przy stole siedzieli studenci. Czytali, robili notatki. Wrócił bibliotekarz. Miał w ręce najnowszy numer. Otworzył go i zaklął cicho. Ze środka ktoś wyrwał kilka kartek.

– Barbarzyństwo – syknął.

– Czy macie tu jakiś rejestr czytelników? – zapytał Susłow.

– Tak, oczywiście, zapisujemy nazwiska korzystających. Zaraz sprawdzę, kto zaczął...

Otworzył grubą księgę i zaczął ją kartkować.

– Mam. Ihor Semenowicz Bezrodnyj.

Brwi Susłowa uniosły się do góry.

– Mieszka przy Pocztovej? – upewnił się.

– Tego nie wiem. – Bibliotekarz rozłożył bezradnie ręce. – Nie notujemy adresów.

– Czy możemy zobaczyć inny egzemplarz tego pisma? Chcielibyśmy sprawdzić, czego brakuje.

– Obawiam się, że nie dysponujemy. Ale na stopce jest adres redakcji.

Polak znalazł spis treści. Zagryzł leciutko wargi. Po chwili wyszli z biblioteki nieco mądrzejsi, niż byli, wchodząc.

– Co robimy? – zapytał Tomasz. – Mamy podwójny ślad. Idziemy do redakcji czy pogadać z tym, który się wpisał?

Szef poskrobał się po głowie.

– Redakcja nie zajac, nie ucieknie. Jest późno, pewnie nikogo tam już nie ma. Myślę, że trzeba wpaść na Pocztową. Złapmy dorożkę.

Po chwili już jechali.

– Co wyrwał anarchista? – zapytał Susłow. – Widziałem, że przeglądasz spis treści.

– Na brakujących stronach był artykuł o księżycach Jowisza oraz tekst profesora Filipowa o możliwości hodowli bakterii chorobotwórczych na sztucznych pożywkach.

– Michaił Filipow – mruknął Susłow. – Pseudonim Misza... Mamy drania w

kartotece od ćwierćwiecza. Podejrzewany o dostarczenie trotylu, który zabił cara Aleksandra, prawdopodobnie maczał palce w około trzydziestu innych sprawach. Do tej pory niczego mu nie udowodniono, ale, zdaje się, będzie wreszcie okazja. Najwyższy czas.

– Czy może mi pan teraz wyjaśnić, dlaczego poszliśmy tropem tego Bezrodnego zamiast prosto do redakcji?

– No cóż. Aby skorzystać z biblioteki, ten cały Sawinkow posłużył się indeksem swojego kumpla lub wysłał jego. Powinienem był pokazać bibliotekarzowi fotografię. No nic. W takim przypadku Bezrodnyj może nam powiedzieć, gdzie ukrywa się nasz drogi podejrzany. Niewykluczone też, że mieszka u niego w gościnie.

– Znacie jego adres. Dlaczego?

– Jest wojującym anarchistą. Prowadziliśmy niedawno dyskretną obserwację tego ptaszka.

– Anarchista, a jeszcze studiuje? Powinien dostać wilczy bilet!

– Błędne rozumowanie. Widzisz, Tomaszu, jeśli postudiuje jeszcze trochę, to może zmądrzeje na tyle, aby dostrzec bezsens swojej ukochanej ideologii. Ale oto i jesteśmy.



Wysiedli przed wysoką, obskurną kamienicą czynszową. Przeszli przez bramę na podwórze. Z tej strony budynek wyglądał jeszcze gorzej niż od ulicy. Ściany oblażyły z tynku, część szyb zastąpiono płatami tektury lub gałganami. W powietrzu unosiła się woń kurzu, stęchlizny i dawno niesprzątanym wychodków. Susłow skierował się do drzwi w kącie podwórza. Schody prowadzące na wyższe kondygnacje trzeszczały i uginały się złowrogo pod nogami. Wreszcie dotarli na poddasze. Nikifor wyciągnął z kieszeni rewolwer.

– Oto plugawa siedziba czterech albo pięciu zagorzałych wielbicieli Bakunina i Nieczajewa – szepnął. – W razie czego strzelamy bez ostrzeżenia.

Wilkowski wyciągnął swój pistolet i odbezpieczył go. Agent nacisnął klamkę. Wpadli do wnętrza. Nagle zatrzymali się, przerażeni tym, co zastali. W sporej izbie lokator mieszkania urządził sobie małą fabryczkę. Wszędzie stały butle z różnymi odczynnikami chemicznymi. Na podłodze poniewierały się ogniwa elektryczne i kostki gotowych produktów, trotyl, sponki. Lokator też tu był. Stał w niewymuszonej pozie, trzymając w ręce butelkę z oleistożółtą zawartością.

– Nitrogliceryna – ostrzegł.

Susłow zignorował go zupełnie.

– Gdzie jest Sawinkow? – zapytał, idąc spokojnie w stronę studenta.

– Nie podchodź, bo zginiemy wszyscy.



Uśmiechnął się, a potem walnął go z rozmachem w twarz. Anarchista uderzył o ścianę, gubiąc śmiercionośną butelkę. Naczynie leciało w stronę podłogi.

Teraz umrę, pomyślał Tomasz.

Zacisnął zęby. Nie chciał umierać. Butelka upadła i nic się nie stało. Odetchnął z ulgą. Jego pryncypał właśnie skuwał anarchiście ręce na plecach.



- Idź naprzeciwko do sklepu Jelisejewów. Zatelefonuj i wezwij ekipę śledczą
- polecił praktykantowi.
- To nie była nitrogliceryna – wykrztusił Witkowski.

– Popatrz, tu stoi miska tartych kartofli. – Jego szef wskazał na stół. – A tam jest patelnia. Właśnie chciał sobie smażyć obiad, gdy go naszliśmy.

– Zwykły olej!

– Właśnie. Kolorem się nie różni.

Tomasz wyszedł, a Susłow popatrzył uważnie na swojego jeńca.

– No to zeznawaj.

– Co mam zeznawać?

– Wszystko, co wiesz o Sawinkowie. Znowu jest w mieście. Czego szuka? Gdzie się zatrzymał? Z kim się kontaktuje?

– Nic nie wiem.

I wtedy agent niespodziewanie spostrzegł, że popełnił błąd. Na stole stały dwa talerze.

– Ty obezjajcu! – wrzasnął na jeńca.

Pchnął go na ziemię i otworzywszy z rozmachem okno, zaczął gramolić się na dach. Wypełził już połową ciała, gdy go zobaczył. Rozpoznał od razu. Twarz była uderzająco podobna do tej ze zdjęcia, które pokazywał setkom ludzi. Terrorysta Borys Sawinkow stał koło komina, piastując w dłoniach niewielką paczkę.

– Zapalnik kwasowy – powiedział spokojnie. – Jeśli sięgniesz po broń, upuszczę to.

Przez umysł agenta przemknęła myśl. Trzy sekundy. Trzy sekundy miały od chwili uderzenia bomby o bruk, czy na co tam została rzucona, do momentu wybuchu. Jeśli mu się uda... Ulica, gdy przyjechali, była pusta. Teraz mógł nią biec Tomasz. Mogły przechodzić dzieci. Jeśli strzeli, Sawinkow upuści bombę. Ładunek stoczy się po płaszczyźnie dachu i runie w dół. Na stoczenie się zużyje co najmniej dwie sekundy. Jeśli nie zaczepi o jakąś nierówność, wybuch nastąpi już na zewnątrz. Nad ulicą. Popatrzył w złośliwe oczy terrorysty.

– A co z przypadkowymi ofiarami? – zaciekawiał się.

– Burżuazyjna etyka – prychnął pogardliwie ścigany, po czym rzucił paczkę, kryjąc się za kominem.

Bomba odbiła się od dachu i poleciała w dół. Nim doleciała do ziemi, Nikifor z rewolwerem już biegł do góry po potrzaskanych dachówkach. Eksplozja zatrzęsała budynkiem. Rozległ się charakterystyczny odgłos pękających szyb. Agent miał rację, eksplozja nastąpiła już poza krawędzią dachu. Potrząsnął głową i wspinał się dalej. W chwili gdy dotarł do komina, padł pierwszy strzał. Kula odłupała kawałek cegły. Przywarł plecami do muru, a potem wychylił się i wystrzelił trzy razy. Zobaczył, jak ścigany znika za klapą otworu prowadzącego zapewne na strych sąsiedniego skrzydła domu. Znowu wypalił kilkakrotnie, ale chybił w pośpiechu. Załadował broń. Zaklął pod nosem, zaczął skradać się w

stronę otworu. Niespodziewanie zobaczył, jak dachówki falują. Chwilę później dach wybrzuszył się, a inspektor runął w wypełnioną ogniem i kawałkami desek czelusć. Gdy doszedł do siebie, leżał na podwórzu. Klęczał koło niego lekarz.

– No, nareszcie – powiedział, a potem wstał i poszedł opatrywać kolejne ofiary.

Susłow uniósł głowę. Był potłuczony i wszystko go bolało, ale chyba, na szczęście, nie doznał większych obrażeń. Tomasz podszedł do niego.

– Co się stało? – zapytał ranny.

– Coś wybuchło. Poraniło ludzi na ulicy. A potem na strychu nastąpiła kolejna eksplozja. Wyrwało kawał dachu.

– Ofiary w ludziach?

– Jeden zabity. Ten anarchista musiał mimo skutych dłoni odpalić solidny ładunek, skoro tak naruszyło więźbę. Czort wie co tam miał. Policja jest w drodze. Wezwałem.

– Ranni?

– Kilka osób. Głównie dostali odpryskami szkła. Was znaleźliśmy na korytarzu ostatniego piętra.

– Popełniłem błąd. Sawinkow wyszedł na dach. Ten zafajdany Bezrodny odwracał tylko uwagę. Na stole były dwa talerze. Przyganiałem ci, że nie umiesz patrzeć, a sam... Ech. Parszywe życie.

– Ale co się stało?

– Zachowałem się jak ostatni idiota. Wyszedłem na dach za Sawinkowem. Wtedy Bezrodny zdetonował pierwszą bombę z brzegu. Znaleźliście jego ciało?

– Tylko jakieś ochłapy. I strzep kurtki z kieszeniami.

Susłow, walcząc z bólem, próbował usiąść, ale lekarz oderwał się od oczyszczania rany jakiegoś chłopca siedzącego obok i pchnął go na ziemię.

– Proszę jeszcze poleżeć.

– Pokaż tę kurtkę – poprosił Wilkowskiego.

– Wisiała na wiązaniu dachowym. Pomyślałem, że może coś w niej będzie.

Dłonie rannego szefa wybebeszyły kieszeń. Znalazł kartkę, na której widniał zamazany rysunek wykonany ołówkiem i dopisek:

*Potrzeba 50 funtów*

*Antonow*

– Popełniliśmy właśnie kolejny błąd – powiedział. – Jak sądzisz, co robili ci dwaj spryciarze, w chwili gdy ich nakryliśmy?

– No, szykowali bombę. Mieli takie różne w miskach. A jedna leżała koło stołu, no nie?

– Nie. Oni rozbierali bomby.

– Po co?

– Sawinkow chce wysadzić coś w powietrze. Potrzeba mu do tego pięćdziesiąt funtów trotylu. I towarzysz Antonow. Najlepszy specjalista od materiałów wybuchowych.

– Mamy jego adres?

– Sprzed piętnastu lat.

Na podwórze weszło kilku policjantów z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Susłow podniósł rękę i pomachał na nich.

– Będę składał zeznania – powiedział do swojego podkomendnego. – Ty tymczasem zajmij się dalej śledztwem. W kwaciarni znajdziesz posłańca. Masz tu dziesięć rubli na koszt operacyjny. Będziesz wiedział, co robić?

– Tak. Śladem Sawinkowa, jeśli ktoś go widział. Wszystkich stójkowych z okolicy mam przed kamienicą. Rozpytam. Ponadto redakcja. Z centrali zdobędę zdjęcie Antonowa.

– Gdybyśmy mieli jego zdjęcie, to byłoby aż zbyt pięknie. Może tobie się poszczęści. Wstąp do biura po aparat fotograficzny. Weź mój, Carl Zeiss. Jest najlepszy, nawet car takiego używa. W drogę!

Dotknął ręką czoła podwładnego, jakby mu błogosławił. Ledwie tamten poszedł, do Nikifora podeszli mundurowi. Lekarz pomagał ładować rannych do konnego ambulansu, a on składał zeznania...



Akimow i Wilkowski szli znów gorącym śladem. Niestety, jak na złość nie mieli psa... Sawinkowa zapamiętano. Dwadzieścia minut temu biegł w rozpiętym czarnym płaszczu, a potem się go pozbył. Gdy piętnaście minut przed ich nadejściem wsiadał do dorożki numer pięćdziesiąt sześć, nie miał już płaszcza.

– No to jesteśmy w kropce – powiedział Akimow. – Dorożki nikt nie zapamiętuje.

– Pomyślmy, co zrobiłby szef na naszym miejscu. Aha, już wiem. Jeden z nas pójdzie do najbliższego cyrkułu i sprawdzi, do kogo należy ta dorożka. Potem trzeba odnaleźć jej zwykły postój, poczekać, aż wróci, i wypytać. Możesz się tym zająć?

– Dobrze. A ty?

– Poszukam płaszcza. Musiał go gdzieś tu ukryć.

– To jak szukanie igły w stogu siana.

– Przesadzasz. Szedł ulicą. Mógł zakręcić w najwyżej pół tuzina bram. W większości są szwajcarzy. Nie wpuściliby go, a przynajmniej zapamiętaliby jego wredną mordę. Musiał upchnąć go gdzie indziej. W załom muru. Gdziekolwiek.

– Ciekawe, dlaczego w ogóle się go pozbył.

– Dowiemy się, jeśli go znajdzie. Prawdopodobnie chciał zmienić swój

wygląd, aby utrudnić nam pościg. W pośpiechu mógł coś zostawić w kieszeni.

– Zatem ruszam do cyrkułu.

Rozdzielili się.

Tomasz przypatrywał się mijanym kamienicom. Niespodziewanie wypatrzył świeżo wybite okienko piwniczne. Podszedł do wejścia. Ten dom był nieco podrzędniejszej kategorii. W bramie stał tylko cieć. Tomasz błysnął odznaką.

– Chciałbym obejrzeć wasze piwnice.

– Ależ, panie naczelniku! – zaprotestował cieć. – Tu nie może być nic takiego. Pilnuję.

Ale już wygrzebał klucz. Gwizdnął. Przybiegł kilkunastoletni chłopak, pewnie jego syn.

– Stań tu i miej baczenie na wszystko – polecił mu, a sam z agentem ruszył do piwnic.

Wilkowski bez wahania wybrał korytarz, który zaprowadził go do sporej pralni. To jej okienka wychodziły na ulicę. Jedno było wytłuczone. Płaszcz, zwinięty w kłębek, leżał na podłodze. Ponieważ zachlapanie błotem szybki nie wpuszczały zbyt wiele światła, agent wyszedł z podziemi, trzymając odzież rewolucjonisty pod pachą. Zresztą nie chciał badać dowodu rzeczowego tutaj, przy dozorczy. Wyjął z kieszeni zegarek i popatrzył na niego uważnie. Doszedł do wniosku, że powinien zdążyć. Zamachał ręką na dorożkę.

– Do cyrkułu – polecił.

– Wedle rozkazu. Do którego?

– Do najbliższego.

Dotarł na czas. Josif Akimow właśnie wychodził.

– I czego się dowiedziałeś? – zapytał.

– Nie wiedzą, jak się nazywa. Spis powinienem otrzymać w zarządzie gildii dorożkarzy.

– To oni mają swoją gildię? – zdziwił się Tomasz.

– Widać mają. Dostałem ich adres. Ale słyszałem, że ta dorożka najczęściej zatrzymuje się na postoju dwie ulice stąd.

– W drogę.

– Widzę, że znalazłeś płaszcz?

– Tak. To nie było trudne. Zaraz obejrzymy go dokładniej.

Dorożka jeszcze nie wróciła z kursu. Postanowili na nią zaczekać. Siedli na ławce koło postoju i zaczęli bebeszyć kieszenie, wykładając zawartość na ławkę. Pomięte bilety z kinematografu i fotoplastykonu. Pobrudzona chustka do nosa, kawałek drutu oraz pugilares. W portfelu były dwa tysiące rubli.

– Cholera – powiedział Wilkowski. – Aż mam ochotę zdezerterować.

– A ja raczej nabieram chęci zostać rewolucjonistą. Jeśli taki może wyrzucić z

plaszczem tyle, ile zarobimy przez sześć lat...

– Czekał. Do diabła, znowu daliśmy się wrobić!

– Jak to?

– Jak myślisz, dlaczego on to tam rzucił?

– Nie wiem.

– A ja sądzę, że to nie był przypadek. To są pieniądze dla kogoś.

– Dlaczego nie wręczył osobiście?

– Nie chciał naprowadzać policji na trop... Pralnia stanowiła awaryjną skrzynkę kontaktową.

Z bocznej kieszonki portfela wyłuskał kartkę papieru.

*Trotylu nie będzie. Melina spalona. Bezrodny nie żyje. Uruchom swoje kontakty. Spotkamy się jutro o ósmej wieczorem przy moście.*

B.S.

– Jasna cholera – zaklął.

– Zawaliliśmy sprawę – zmartwił się Josif. – A może by podrzucić to na miejsce? Tamten znajdzie i...

– Zdobędzie trotyl, coś wysadzą w powietrze. Zginą ludzie. Myślę, że wrócić tam trzeba tak czy siak. Zaczaić się na tego, który przyjdzie odebrać wiadomość, a jutro o ósmej przy moście zapolować na Sawinkowa.

– A dorożka?

– Popatrz, właśnie jedzie.

Dorożkarz zatrzymał się na końcu ogonka i zgramoliwszy się na dół, dał koniom owsa. Poklepywał je właśnie po szyjach i coś do nich gadał, gdy podszedł do niego Wilkowski.

– Czy odpowie nam pan na kilka pytań? – zapytał, pokazując odznakę.

– Dlaczego by nie? Nie mam nic do ukrycia. – Mężczyzna mimo tej deklaracji uciekał spojrzeniem na boki.

Tomasz wyłowił z kieszeni zdjęcie. Zaczynało się już wycierać.

– Poznajecie tego człowieka?

– Musi co tak. Wiozłem go dziesięć minut nazad.

– A dokąd?

– Do takiego małego hotelu niedaleko – powiedział dorożkarz.

– Jedź tam – polecił Wilkowski Josifowi. – Wezwij posiłki i zrób ścisłą rewizję całego budynku. Obsadźcie dachy. Uważajcie, może być uzbrojony. Ba, na pewno jest uzbrojony. A ja zajmę się tym cholernym portfelem z piwnicy.

– Dobra. Gdzie się spotkamy?

– Tutaj. Niezależnie od tego, który z nas skończy pierwszy. Chyba że wydarzy się coś nieoczekiwanego. Wtedy wiesz, gdzie mnie szukać.

– Zgoda.

Zawrócił do kamienicy, którą niedawno opuścił. Otworzył okienko do pralni i wykorzystując chwilę, gdy na ulicy nikogo nie było, wślizgnął się do środka. Rzucił płaszcz na ziemię i przyczał się za drzwiami. Nikłowana lufa rewolweru załśniła ponuro. Z kieszeni wyjął maleńką książeczkę w języku rosyjskim. Wydrukowano ją na papierze cieńszym niż bibułka papierosowa. Książeczka miała pięćset stron i nosiła budujący tytuł: „Historia Rosji. Tom VI: 1883 – 1907”. Odszukał w indeksie, na których stronach wspomniano o Antonowie. Niebawem znalazł stosowny ustęp. W latach 1902 – 1907 Antonow-Owsiejenko ukrywał się w konspiracyjnym mieszkaniu. Poniżej był adres. Nazwa ulicy i numer domu się zgadzały. Wilkowski poczuł, jak strużka potu spływa mu po plecach.

Zabije mnie tutaj, pomyślał. I nadal będzie tu mieszkał. Akimow też zginie. On wiedział. Chyba że historia jest płynna. Wówczas...



Dwudziestu żandarmów otoczyło hotel. Trzech przyczaiło się na dachach okolicznych domów. Mieli w razie czego strzelać do tych, którzy spróbują ucieczki górą. Akimow wraz z dziesięcioma policjantami wpadł do środka. Nikt nie stawiał oporu.

– Gdzie zatrzymał się ten człowiek? – Agent pokazał fotografię recepcjoniście.

Ten obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Pokój dwadzieścia trzy – powiedział spokojnie. – Czy mogę zobaczyć nakaz?

Akimow pokazał mu figę lewą ręką, gdyż w prawej trzymał rewolwer. Ruszyli biegiem po schodkach.

– Pukać? – zapytał jeden z policjantów, gdy stanęli pod drzwiami numeru.

– Wywalamy od razu.

Drzwi wypadły dopiero po czwartym uderzeniu. Josif zaklął. Pokój był pusty, choć widać było, że przed chwilą jeszcze ktoś tu był. Na łóżku leżała dzisiejsza gazeta, otwarta na stronie z ogłoszeniami. Na krześle zrudziała czapka. Spod poduszki wydobyli nabity rewolwer. Jednak mieszkańca nie było. I tylko nieład w pomieszczeniu wskazywał, że ptaszek wyfrunął z klatki w pośpiechu, zostawiając nawet jeden kapeć.

– I co dalej? – zapytał jeden z gliniarzy.

– Ścisła rewizja! Nie mógł przecież opuścić budynku. Sprawdzić wszystkie pomieszczenia. Sąsiednie numery, wychodki i piwnice też.

Rewizja trwała kilkanaście minut. Nie znaleziono nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi poszukiwanego. Akimow nie krył rozczarowania.

– Musiał spostrzec nas przez okno i uciec od tyłu. Szukaj wiatru w polu.

Trudno, jesteście panowie wolni.

Wyszedł z hotelu i ruszył na postój dorożek.



Sawinkow odetchnął z ulgą, rozluźniając chwyt. Walizka gniotła go w kark. Zsunął się ciasnym szybem i po chwili wylazł z kominka. Wydobył walizkę. Założył kapeć na bosą nogę.

– Partacze – powiedział pod adresem nieobecnej już ekipy.

Zauważył, że zabrali gazetę i prawie wszystkie jego rzeczy. Zaklął pod nosem. Nie miał czasu czyścić ubrania z sadzy. Przeszedł na drugą stronę korytarza i wytrychem otworzył drzwi do sąsiedniego numeru. Przywłaszczył sobie czyjąś koszulę oraz marynarkę. Spodnie okazały się trochę przykuse, lecz nie miał wyboru. Odziany i spakowany, wymknął się od tyłu.



Wilkowski czuwał. Czas mijał wolno. Dwa razy usłyszał kroki w piwnicznym korytarzu. Za każdym razem idący mijał drzwi od pralni. Gdy już prawie zwątpił, jego ucho złowiło kolejne dźwięki. Ktoś się skradał. Rewolwer w ręce agenta był odbezpieczony od dawna. Tak na wszelki wypadek, żeby nie zdradzić swojej kryjówki trzaskiem odwodzonego bezpiecznika. Klucz cicho wsunął się w dziurkę. A potem zachrobotał zamek. Mężczyzna, który wszedł, ubrany był w skórzaną kurtkę. Na głowę założył papachę. Wilkowski wykorzystał dogodny moment i trzasnął nieznajomego kolbą rewolweru w tył głowy. Uderzenie było na tyle silne, że powaliłoby bez trudu nawet goryla, lecz czapka zamortyzowała cios. Przybysz opadł tylko ciężko na jedno kolano, a potem poderwał się i niespodziewanie machnął kułakiem jak cepem. Celował w serce Tomasza, ale ten w ostatniej chwili uskoczył. Kolejnego sierpowego jednak nie zdołał uniknąć. Pięść trafiła go między oczy i zwałił się na ziemię. Rewolwer zgubił już wcześniej. Jeszcze trzy kopniaki w zebra... a potem stracił przytomność.



Doszedł do siebie, gdy ktoś nim potrząsnął. Akimow. Ciec stał obok.

– Co się stało? – zapytał przyjaciel.

– Przyszedł – powiedział Tomasz. – Zaskoczył mnie.

– Ciebie? – zdziwił się Josif.

Wilkowski obmacał swoje ciało. Było bardzo obolałe, ale wyglądało na to, że nie poniósł poważniejszego uszczerbku na zdrowiu. Koszulę znaczyło kilka plam płynu surowiczego. Pęcherze popękały, dobrze, że krew nie przesiąkła przez bluzę.

– Jak ci poszło? – zapytał.



– Uciekł.

– Trudno. Kim jest ten, który na mnie napadł? – zapytał ciecia.

– Musi pan Iwanow. Tu mieszka. Godzinę temu poszedł na miasto z jakimś pakunkiem. Bardzo mu się śpieszyło.

Wilkowski zaczął myśleć nieco szybciej. Obmacał się po kieszeniach. Rewolweru nie było, za to dwa tysiące rubli tkwiło na miejscu. Portfel wraz z kartką umieścił w kieszeni płaszcza, a płaszcz zniknął wraz z terrorystą.

– Dobrze. Chcielibyśmy rzucić okiem na mieszkanie tego Iwanowa. Proszę nam udostępnić lokum podejrzanego – ponownie zwrócił się do ciecia.

Ciec zmrużył oczy.

– Tak bez nakazu...

Wilkowski wręczył mu zielony, trzyrublowy banknot. Wargi ciecia wygięły się w uśmiechu.

– No to zaprowadzę.

Niebawem stanęli na najwyższej kondygnacji. Drzwi wyglądały zupełnie zwyczajnie, ale Tomasz stał już tego dnia przed zupełnie zwyczajnymi drzwiami, za którymi czekał go widok fabryki dynamitu.

– Mieszka sam? – zapytał.

– Musi co tak.

Akimow wyjął wytrychy i zaczął dłubać w zamku. Nagle przerwał i palnął się z całej siły w czoło.

– Co się stało? – zaniepokoił się jego kumpel.

– Jestem idiotą – jęknął.

– Osa ci siadła?

– Jaka tam osa. Sawinkow.

– Co Sawinkow?

– Nie mogliśmy otworzyć drzwi jego pokoju i wyważyliśmy je. A on przecież... Okno było zamknięte.

– Mów po ludzku.

– Susłow mnie zabije.

– Mów.

– Jak szliśmy brać Sawinkowa, drzwi były zamknięte od środka na klucz. I klucz tkwił w zamku. A okno było zamknięte. Tam był duży wygaszony kominek. Musiał poleżeć w górę przewodem!

– Ja też skrewiłem. Otwórz te drzwi. Potem będziesz się martwił.

Mieszkanie urządzone było dość ascetycznie. Stół, krzesło, łóżko z pasiastym materacem. Pod łóżkiem poniewierała się brudna koszula i pudełko pasty do butów.

– Chyba się wyprowadził – zauważył Wilkowski.

Akimow podszedł do żeliwnego piecyka i otworzył z rozmachem drzwiczki. W środku nie znalazł niczego interesującego, tylko garść popiołu.

– Nie możemy podjąć tu żadnego dalszego tropu – zdenerwował się Tomasz.

Jego towarzysz pochylił się i wygarnął spod łóżka koszulę oraz pudełko. Oglądał je przez chwilę.

– Coś jest?

– Nic. Pasta jest fabryczna, niemiecka.

– Hmm. Można by sprawdzić, kto ją sprowadza, w jakich sklepach jest dostępna.

– Tu na dole, za rogiem – odezwał się cieć, stając w drzwiach.

Zapomnieli o nim. Akimow popatrzył w zadumie na pastę, a potem na zniszczone półbuty dozorczy.

– Może panu się przyda. – Podał mu pudełko. – Gdyby ten gość wrócił, to trzeba zameldować.

– Tak jest, panie naczelniku.

Wyszli na ulicę. Wilkowski wyłowił z kieszeni zegarek.

– Późno się zrobiło – powiedział. – Co dalej?

– Chyba trzeba odwiedzić redakcję.

– Czy jeszcze kogokolwiek tam zastaniemy?

– Myślę, że jeśli się pośpieszymy, to mamy duże szanse zdążyć.

– Dobra. Po drodze wpadnę do centrali. Trzeba zrobić więcej odbitek Sawinkowa. Szkoda, że nie mamy żadnej fotografii Antonowa.

– Ciesz się, że choć zdjęcie Sawinkowa zdobyli. A i to tylko dzięki temu, że właściciel zakładu w Londynie jest naszym człowiekiem i zrobił potajemnie odbitkę. Trzeba będzie przysłać do tego ciecia rysownika. Portret będzie lepszy niż nic.



Nad Petersburgiem zapadał wieczór. Otwarto nocne lokale i restauracje. Część mieszkańców udała się na spoczynek. Inni dopiero teraz wstali. Pościg za nieuchwytnym Borysem Sawinkowem trwał. Jego fotografie odbito w tysiącu egzemplarzy i rozdano agentom oraz policjantom. Nim zegary wybiły szóstą, miasto pokryła gęsta sieć, w którą wcześniej czy później coś musiało wpaść. Wilkowski i Akimow ruszyli do redakcji. Mieściła się w sporym budynku przy Sadowej. Gdy stali już przed drzwiami, te nagle otworzyły się i wybiegł z nich mężczyzna w szarym, rozpiętym płaszczu. Pod płaszczem miał marynarkę. W półmroku błysnęła na chwilę dewizka z dwudziestoczerokaratowego złota. Spojrzenie nieznanego było pełne niechęci. Minęli go, wchodząc do sieni, gdzie znajdowała się także portiernia. Rosły szwajcar w średnim wieku

polerował kawałkiem lnianego płótna spory samowar.

– Kim był ten mężczyzna, który stąd przed chwilą wyszedł? – zapytał Wilkowski.

Portier obrzucił ich ciężkim spojrzeniem.

– To zależy, kto pyta – odparł ponuro.

Odznaki załśniły lekko. W odpowiedzi portier okazał taką samą.

– To profesor Michaił Michajłowicz Filipow – powiedział.

– Myślisz? – zapytał Akimow Wilkowskiego.

– Prawdopodobne. Nie ma pan jakiegoś zdjęcia profesora? – zagadnął portiera.

Ten bez słowa sięgnął w zanadrze i wyłowił jedną odbitkę wykonaną na cienkiej tekturce.

– Proszę.

– Można zatrzymać?

– Ależ oczywiście. Tyle że inwigilacją profesora zajmuje się agent Szurko.

– Na pewno nie wejdziemy mu w drogę. Gdzie znajdziemy redakcję „Przeglądu Naukowego”?

– Na piętrze i na lewo. Ale nikogo już o tej porze nie ma. Profesor był ostatni.

Akimow poskrobał się z frasunkiem po głowie.

– Niedobrze. Potrzebowalibyśmy jednego numeru tego pisma.

Portier zdjął czapkę i włożył ją na głowę Wilkowskiemu.

– Zastąp mnie przez chwilę, chłopcze.

W towarzystwie drugiego agenta wszedł na górę. Wpuścił Akimowa do środka. Stos nowiutkich numerów leżał zaraz koło drzwi.

– Wot i są. Siedemdziesiąt kopiejek – dodał, wskazując sporą puszkę stojącą na biurku.

Agent wrzucił należność i wyszukawszy odpowiedni numer, wyszedł na korytarz. Portier starannie zamknął drzwi. Pożegnali się na dole i wyszli z redakcji.



Tomasz obudził się późno. Z trudem zwałkł się z łóżka. Wrzody przez noc przyschły, ale czuł, że poprzedni dzień poważnie pogorszył jego stan. Zaklął pod nosem. Rozpuścił sproszkowaną aspirynę i pojechał prosto do biura. Wszedł w sam środek niezłego zamieszania.

– Minister przyjechał – szepnął mu w przelocie magazynier.

– Minister? – zdziwił się Wilkowski.

Skierował się w stronę gabinetu Susłowa, gdzie chwilowo stało także jego biurko. Koledzy po fachu odprowadzali go dziwnymi spojrzeniami.

– No, co się gapiacie? – zapytał zdenerwowany, po czym zapukał i otworzywszy drzwi, wszedł do środka.

W gabinecie Susłowa, pałac cygara, siedzieli wiceminister spraw wewnętrznych, szef korpusu żandarmów generał Kurłow oraz dyrektor departamentu policji Łopuchin. Obaj utkwili w nim spojrzenia pełne pogardy i niechęci. Pierwszy przemówił generał.

– Nareszcie ktoś się zjawia! – huknął. – Czekamy ponad dwadzieścia minut!

– Wybaczcie, zacznym służbę o dwunastej.

– Kiedy otrzymam informacje? – ryknął Łopuchin. – Co wy sobie wyobrażacie, że gdzie jesteście? W środku miasta wylatuje w powietrze kamienica, a wy ani be, ani me! A szczegółowy raport gdzie?

– Wybaczcie, ścigaliśmy Sawinkowa...

Generał skoczył na równe nogi. Wyrwał agentowi spod pachy gazetę i rzuciwszy na nią okiem, cisnął na podłogę.

– Skandal! – wrzasnął. – My wam płacimy za efekty, a nie za czytanie na służbie! Inteligent, psiakrew! Nie umiecie złapać jednego zawszonego terrorysty!

– Obrona przez nas taktyka przyniosła efekty. Nakryliśmy go w tamtym budynku.

– Milczeć! Przynosicie wstyd całej ochronie. Napiszecie raport! Szczegółowy raport! A potem możecie czuć się zwolnieni. Ty i ten cały Susłow. A co do tego idioty Akimowa, to jeszcze się zastanowimy.

Poderwali się jak na komendę i wyszli. Tomasz Wilkowski padł na kolana i objął głowę rękami. Czuł straszliwy zawrót głowy i fale mdłości. Z korytarza dobiegał głos jednego z urzędników:

– Ty! Wyglądasz całkiem inteligentnie. Nazwisko i stopień!

– Starszy agent Czyszkow.

– Przejmiesz sprawę Sawinkowa. Dorwać to bydlę jeszcze dziś. Zastrzelić. Pięćset rubli nagrody!

Wilkowski powoli usiadł. Oparty plecami o biurko, wyjął z kieszeni książeczkę. Przekartkował i zaczął czytać fragment dwudziestego ósmego rozdziału.

*Badania nad wywołaniem epidemii wymagały ogromnych pieniędzy. Borys Sawinkow nie był w stanie zgromadzić takiej kwoty samodzielnie. Dlatego też nawiązał współpracę z Antonowem-Owsiejenką, najlepszym wówczas specjalistą od materiałów wybuchowych. Do spotkania doszło na jednym z mostów na Newie. Tam też Sawinkow wręczył Antonowowi pięćdziesiąt funtów trotylu, wyprodukowanego przez późniejszego komisarza ludowego Bezrodnego.*

– Na którym moście? – zapytał nieobecnych autorów.

Ogarniała go senność. Wstał i ruszył przed siebie. Bezrodny nie żyje. Trotyl przepadł. Ale to nie wystarczy. Sawinkow z pewnością zdobędzie go z innego źródła. Powlókł się do swego mieszkania. Musiał odpocząć...



Wilkowski obudził się, gdy ktoś delikatnie nim potrząsnął. Otworzył sklezione oczy. Susłow. Znad kołnierzyka wystawał mu biały bandaż. Skaleczony policzek w szpitalu zajodynowano i lekko przypudrowano krochmalem. Wyglądało na to, że agent czuje się lepiej.

– Był minister – szepnął.

– Wiem – odpowiedział jego przełożony. – Powinniśmy się czuć zwolnieni. Ale nie ma naszego bezpośredniego przełożonego, więc kto nam dymisję wypisze?

– Co to znaczy?

– Och, mamy jedyną unikalną szansę, aby mimo wszystko zostać przy tej robocie. Wiesz, co mam na myśli?

– Nie.

– Akimow opowiedział mi o portfelu i kartce. Sam zresztą miał pecha.

– Co się stało?

– Wpadł ministrowi pod nogi. Siedzi w areszcie. Jemu też możemy pomóc.

– W jaki sposób?

– Dziś wieczorem Sawinkow i Antonow spotkają się koło jednego z mostów na Newie. A my ich złapiemy albo zastrzelimy.

– Sami?

– Niestety, tak. Czyszkow odmówił pomocy, choć o wszystkim go poinformowałem. Teraz to on prowadzi sprawę.

– Może niedobrze się stało.

– Musiałem mu powiedzieć. Złapanie tego drania jest ważniejsze niż nasza kariera. Ale za to mamy odmienne poglądy na to, przy którym moście się spotkają.

– A nie byłoby najprościej obsadzić wszystkie?

– Sugerowałem mu to. Jednak to niezbyt rozgarnięty człowiek, do tego egoista. Nie uznaje pracy w grupie. Wszystko dla zwycięzcy. Dla jednego zwycięzcy, i to tylko pod warunkiem, że to będzie on.



Tłum przewalał się po bulwarach. Od Newy ciągnęło chłodem. Dwaj agenci siedzieli w kawiarence przy stoliku pod markizą i wodzili wzrokiem po dostępnym im kawałku ulicy. Z pozoru nic się nie działo. Nadjechała dorożka i zaparkowała koło mostu. Z dorożki wysiadł agent Czyszkow.

– Cholera – zaklął Susłow. – Szlag mnie zaraz trafi. Szkoda, że nie ogłosił swojego przybycia w gazetach.

Koło nabrzeża pojawiło się kilku kloszardów. Wyglądali niezbyt naturalnie.

– Jednak potrafi pracować w zespole – zauważył Wilkowski.

Nikifor tylko prychnął w odpowiedzi.

Stopniowo ilość snujących się bez celu ludzi o wyglądzie tajniaków zwiększyła się. I wtedy przyszedł Sawinkow. Miał na sobie nowy płaszcz, a pod pachą dzierzył niedużą paczkę.

– Sądziś, że to bomba? – zapytał Tomasz.

– Kto wie? Ciekawe, czy nasz drogi przyjaciel ma to na uwadze.

Terrorysta stanął sobie koło latarni i zaczął spokojnie czytać gazetę. Minęła już umówiona pora. Tłumy stopniały i tylko coraz więcej nienaturalnie wyglądających mężczyzn zapełniało ulicę. Terrorysta nie zwracał na to uwagi.

– Albo oślepl, albo nadmiar wybuchów zaszkodził mu na głowę, albo zbyt zależy mu na spotkaniu, aby się przejmować drobiazgami – powiedział Nikifor.

– Albo knuje coś naprawdę wrednego.

– Dwunastu funkcjonariuszy po cywilnemu to drobiazgi?

– Myślę, że jest ich więcej.

W tym momencie nadjechała dorożka. Pojawiła się na skraju ich pola widzenia. Od umówionej godziny spotkania minęło już piętnaście minut. W tej właśnie chwili Czyszkow, widocznie znudzony oczekiwaniem, wydobył z bramy pięciu umundurowanych policjantów i ruszył ostrym krokiem w stronę Sawinkowa.

– Cholera, on chce go teraz aresztować? – zdziwił się Wilkowski.

Snujący się dotąd beczynnie tajni agenci zacieśnili szeregi, otaczając Sawinkowa półokręgiem. Przyparli go do nabrzeża. Sawinkow z niedbałym wdziękiem odrzucił gazetę. Nadjeżdżająca dorożka ustawiła się bokiem. Terrorysta uśmiechnął się i przeskoczył przez barierkę. Zapewne wpadł w odmęty rzeki, ale wszystko zagłuszyła głośna palba. Drzwiczki dorożki otworzyły się z trzaskiem i wyjrzała z nich lufa karabinu maszynowego. Susłow skoczył na Wilkowskiego i ściągnął go na ziemię, sam padając. Ten, który siedział w dorożce, pruł z karabinu jak wariat. Część pocisków poleciała w głąb ulicy. Część uderzyła w mur i szyby wystawowe. A potem dorożka ruszyła naprzód. Zakręciła na most. Karabin odezwał się znowu. Wilkowski uświadomił sobie jak przez mgłę, że jego szef stoi w rozkroku i z dwu pistoletów strzela do śmiercionośnego powozu. Terrorysta znikł. Teraz także ci agenci, którzy przeżyli masakrę, zaczęli strzelać. Susłow dotknął ramienia swojego pomocnika. Wilkowski syknął z bólu. Przez kilka dni będzie miał w tym miejscu paskudne siniaki albo nawet powstaną kolejne owrzodzenia.

- Lepiej, żeby nas przy tym nie było – powiedział Nikifor.
- Powinniśmy spisać protokół.
- Nie. Lepiej, żebyśmy stąd zniknęli. Jeśli Czyszkow przeżył, to zwali całą winę na nas. Nie możemy się przyznać do obecności tutaj. W końcu dziś rano zostaliśmy wydaleny ze służby.
- Chyba podoba mi się takie rozwiązanie.

Udali się do parku, koło którego przywiązana była od wczorajszego ranka łódka z niebieskim paskiem. Z krzaków dobiegał śpiew. Na gołej ziemi, z butelką w objęciach, leżał poznany wczoraj pijaczek. Troszkę oprzytomniał, widząc byłego agenta.

– Ja już mówiłem waszemu przyjacielowi, że ten ze zdjęcia i ten z dewizką to ten sam – wyjaśnił.

Susłow wręczył mu dziesięć kopiejek i wrócił do łódki.

- Kogo miał sprawdzić Akimow? – zapytał. – Pijaczek mówi, że to ten sam.
- Profesora Michaiła Michajłowicza Filipowa.



Dwaj byli agenci siedzieli w łódce kołyszącej się na Newie. Mieli wspaniałą widok na Twierdzę Petropawłowską, kryjącą w swoim wnętrzu ciężkie więzienie. Fale łagodnie kołysały korkowym spławikiem. Na wędkę nic się nie chciało złapać.

– I to po pięciu latach wiernej służby – powiedział w zadumie Nikifor Susłow, gasząc niedopałek cygara o burtę.

– A ja właściwie nawet nie zdążyłem zacząć – dorzucił ponuro Tomasz Wilkowski.

– Wybacz, to wszystko moja wina.

– Nie, szefie. Dużo się od was nauczyłem. Z pewnością nie popełniliśmy błędu.

– Popełniliśmy. Musiałem chyba oszaleć, żeby zostawić skutego anarchistę razem z jego bombami i wyłazić na dach. Wystarczyło obstawić kamienicę i wykurzyć Sawinkowa, przeczesując budynek. Zresztą ty dałeś się zaskoczyć Antonowowi, a Akimow nie zauważył klucza od środka i pozwolił drapnąć terroryście.

– Żaden z nas nie jest bez winy.

– Żaden.

Podrapał się po szwie na ręce. Wilkowski czytał po raz dziesiąty z rzędu artykuł, który był przyczyną całego zamieszania. Ranek był ciepły, prawdziwie wiosenny. Susłow zawinął rękawy aż za łokcie. Wilkowski tylko rozpiął mankiety.

Udaje, że czyta, pomyślał jego szef. Zna to na wyrywki, a w dodatku wie

jeszcze coś.

– Rzuć to – poradził mu Susłow. – Przecież i tak nic z tego nie rozumiemy.

– Może jak przeczytam jedenasty raz...

– Gdy przeczytasz jedenasty raz, po prostu nauczysz się tego na pamięć.

Przedstaw mi treść własnymi słowami.

– Z grubsza chodzi o to, że bakcyle różnych chorób da się hodować w słoikach z galareta.

– I to z jakiegoś powodu zainteresowało naszego przyjaciela zakochanego w dynamicie... Ciekawe dlaczego? Biologią dotąd chyba się nie interesował. A w zasadzie po co te hodowle?

– Można wyprodukować słoje zarazków, a potem wpuścić do środka kilka kropli leku i zobaczyć – zabije je czy nie.

– Coś ty powiedział?

– Że lek zabije albo nie... – Wilkowski udał roztargnienie.

Podpuszcza mnie, sukinsyn, pomyślał Nikifor. Tylko dlaczego?

– A gdyby to na przykład była cholera... A potem gdyby ktoś zawartość takiego słoiczka gdzieś wylał albo wysypał... – Susłow myślał na głos.

– Wybuchłaby epidemia – uzupełnił Polak. – Wielka epidemia. Albo i nie – wycofał się. – W każdym razie ja bym na jego miejscu wyprodukował takich słoików kilkaset. Oczywiście, trzeba zdobyć trochę bakterii cholery lub innego zjadliwego świństwa. Ponoć w Mandżurii właśnie odnotowano kilka przypadków dżumy.

Wilkowski ponownie wbił wzrok w artykuł. Wędką drgnęła, a potem znowu znieruchomiała. Na rzece pojawiła się nieduża kanonierka.

– Swoją drogą, to życie nie jest takie złe – powiedział w zadumie Susłow. – Ile ci zostało pieniędzy?

– Prawie sto rubli. Nie licząc dwu tysięcy zdobycznych. Zapomniałem zgłosić.

– Tak. Na trzy miesiące ci wystarczy. Ja mam dwieście, to potem ci pożyczę. Zdobyczne powinniśmy właściwie oddać, ale tak nierozsądne decyzje trzeba dobrze przemyśleć. Teraz problem najważniejszy. Jak sądzisz, czy ten wariat spróbuje wywołać epidemię?

– To wysoce prawdopodobne.

– Musimy pokrzyżować mu plany.

– Jesteśmy cywilami. Nasze możliwości nie są duże – zaproponował Tomasz, a jego były zwierzchnik znowu poczuł, że jest podpuszczany.

– W ochronie nie przyjmą nas z powrotem. Do policji nie wezmą. W armii potrzebują ludzi zdyscyplinowanych, a my jesteśmy niepokornymi indywidualistami.



– Mamy łódkę... Tyle że do obserwacji niezbyt się przyda.

– Nie zapominaj, że nie jest nasza. Jeszcze nas policja wodna dorwie, choć po prawdzie nieboszczyk nie będzie się o nią upominał, ale pewnie są jacyś spadkobiercy.

– Może wstąpimy do straży bankowej? Tam pewnie jest teraz redukcja etatów...

Nikifor przypomniał sobie wypadki sprzed dwu dni i uśmiechnął się. W nocy, gdy na najwyższym szczeblu podejmowano decyzję o wyrzuceniu ich z ochrony, Sawinkow ze swoimi towarzyszami obrabiali bank. Wyszadzili ścianę między kanałem ściekowym a umieszczonym w piwnicy skarbcem. Policja miotała się na górze, nie mogąc sforsować zamków, gdy złoczyńcy spokojnie wnosili worki z banknotami. Pół miliona rubli.

– A może zgłosimy się do socjalistów? – Wilkowski poskrobał się po nosie. – Mają teraz sporo pieniędzy, sypniemy im wszystkich naszych współpracowników. Na hodowli bakcyli się wprawdzie nie znamy...

– Niegłupi pomysł, tyle tylko, że niezbyt etyczny.

Tomasz poparzył na kanonierkę, która szła w ich stronę pełną parą.

– A może wywiad wojskowy?

– Hmm... Może i niegłupia idea. Zwłaszcza jak się zna chiński lub japoński. Tam się zaczyna kotłować. Zresztą w najgorszym razie zostaniemy tragarzami. Podobno żadna praca nie hańbi, choć osobiście nie mam ochoty zostawać katem albo czyścicielem kanalizacji. Z pewnością bylibyśmy znakomitymi kryminalistami. Znamy wszelkie metody śledcze, potrafilibyśmy się ukryć przed prawem.

Kanonierka zwolniła i zaczęła zataczać koło.

– Chyba trzeba będzie pomyśleć o marynarce – stwierdził Wilkowski.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Popatrz, zaraz nas capną. Wyraźnie szykują się do abordażu.

Susłow odwrócił się gwałtownie. Łódka zatańczyła na falach.

– To nie te czasy – powiedział. – Za Mikołaja Pierwszego robili brankę do floty, ale teraz żyjemy w dwudziestym wieku.

– To czego od nas chcą? Mamy im posłużyć za żywe cele, a oni wypróbują pokładową artylerię?

– A cholera wie.

– Aha. To mnie uspokoiłeś. A dlaczego do nas płyną? – zapytał zjadliwie Tomasz.

– Ta łódka z niebieskim pasem jest bardzo charakterystyczna. Może tamten zaszlachtowany dziadek sprzedawał im wódkę?

– Swoją drogą, to daleko się zapuścili.

– Płaski statek, mógłby przejść pod mostami. Chyba – odparł Susłow, wpatrując się w manewry kanonierki.

Przy burcie pojawił się człowiek z kilkoma chorągiewkami i nadał nimi jakiś sygnał.

– Czego on chce? – zaciekawił się Nikifor.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Sprawy marynarki zazwyczaj uchodziły mojej uwadze.

Człowiek na kanonierce, widząc, że nie rozumieją komunikatu, wychylił się przez burtę.

– Podpłyńcie! – krzyknął.

– *Paszoł won!* – poradził mu Susłow i położył się w łódce, udając, że zapada w drzemkę.

Na pokład okrętu wyszedł jakiś człowiek w paradnym mundurze.

– Czy to aby rozsądne? – zaniepokoił się Wilkowski.

– Przecież nie użyją artylerii.

W tym momencie na lewo od łódki wystrzeliła fontanna wody, a w sekundę później do ich uszu doleciał huk. Susłow poderwał się energicznie. Wykonawszy w stronę okrętu kilka obraźliwych gestów, porwał za wiosło i zaczął nim intensywnie wymachiwać w wodzie. Łódka jednak nie posuwała się do przodu ani trochę. Wilkowski obserwował swojego pryncypała przez chwilę i doszedł do wniosku, że były agent tylko udaje przerażenie. Zastanawiał się, czy ma go naśladować, ale nim zdążył cokolwiek zrobić, kanonierka ich dogoniła. W chwilę później kilka par silnych marynarskich dłoni wywindowało ich na pokład. Człowiek w paradnym mundurze marynarki wojennej, który podczas taranowania stał na dziobie, zszedł teraz na pokład i popatrzył na nich uważnie.

Wilkowski rozpoznał go. Zresztą Susłow także natychmiast zorientował się, kogo ma przed sobą. Był tylko jeden człowiek wystarczająco szalony, aby uganiać się kanonierką po Newie za dwoma agentami wyrzuconymi z ochrony. I tylko jeden człowiek na tyle odważny, by strzelać z dział w samym środku miasta. Kuzyn cara, wielki książę Aleksander Michajłowicz. Ręce, które przytrzymały agentów, opadły i obaj mogli bez przeszkód złożyć ukłon. Wilkowski wpatrzył się w twarz księcia. Aleksander był uderzająco podobny do swojego koronowanego kuzyna. Susłow także przyglądał się postaci kapitana, jednak wzrok skoncentrował nie na twarzy, lecz na trzymanym w dłoni lekko wymiętym numerze „Przeglądu Naukowego”.



Oczy wielkiego księcia Aleksandra były ciemne jak noc i migotały w nich dziwne ogniki. Z całej jego twarzy Wilkowski najlepiej zapamiętał właśnie te oczy. Na stole stały karafki i kieliszki. Podano również pieczywo, rondel z

parówkami w pikantnym sosie, jesiotra w galarecie oraz wędzonego węgorza. Do tego mnóstwo przystawek. Obok śpiewał samowar. Wyposażenie w sam raz, aby spędzić miły piknik na pokładzie wojennego okrętu. Posilali się w milczeniu. Za każdym z byłych agentów stał służący. Wreszcie książę otarł usta serwetką i przemówił:

– Zastanawiacie się z pewnością, w jakim celu się tu znaleźliście.

– Zapewne Wasza Wysokość, wzorem swojego pradziada, osobiście nadzoruje brankę do floty – wyraził swoje zdanie Wilkowski.

– Jeśli wyżywienie nadal będzie tak wspaniałe, to jesteśmy gotowi się zaciągnąć i nie będziemy stawiać oporu – dodał Susłow.

Książę uśmiechnął się.

– Obawiam się, że jeszcze nie udało nam się wyszkolić odpowiedniej liczby kucharzy – odparł z humorem. – Czytał pan artykuł profesora Filipowa? – zapytał Wilkowskiego.

– Czytałem.

– I jakie wnioski wyciągnął pan z tej lektury?

– Przykro mi, ale braki w wykształceniu uniemożliwiają mi dotarcie do sedna zagadnienia, o którym tenże artykuł traktuje. Zrozumiałem tylko tyle, że jeśli profesor i poszukiwany terrorysta dogadają się, mogą wywołać epidemię, jakiej świat nie widział.



Ubrany po cywilnemu człowiek wszedł bez pukania do gabinetu Łopuchina. Był potężnie zbudowany, wysoki, lecz nie gruby. Miał w sobie coś, co sprawiało, że przypominał dobrodusznego niedźwiedzia z rosyjskiej bajki.

Dyrektor departamentu policji wciągnął w płuca haust powietrza. W głowie mu się nie mieściło, że ktoś mógł ośmielić się wdrzeć do tego sanktuarium władzy. Gość ruszył spokojnie w stronę biurka.

– Ktoś ty jest?! – ryknął dyrektor. – Won mi stąd!

Przybysz popatrzył na niego.

W tym momencie wszechwładny urzędnik stracił całą pewność siebie. Nieznajomy zignorował wybuch wściekłości dygnitarza i położył na biurku jakiś papier.

– Zechce się pan zapoznać z tym pismem – powiedział spokojnie – a następnie pokwitować, że treść jego jest panu znana.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał dyrektor, nieco się już opanowawszy.

Na twarzy gościa po raz pierwszy odmalowało się jakieś uczucie. O zgrozo, było to rozbawienie.

– Kurier carski Zajcew – przedstawił się. – Zechce się pan zapoznać z treścią

przedstawionego dokumentu i pokwitować, że jest panu znana – powtórzył.

Kurier carski! Dyrektor wziął papier w dłoń.

*Przywrócić w trybie natychmiastowym agentów Sustowa i Wilkowskiego do czynnej służby. Od chwili obecnej podlegają bezpośrednio rozkazom mojego kuzyna, Jego Wysokości Wielkiego Księcia Aleksandra Michajłowicza Romanowa. Ochrona oraz policja mają obowiązek na każde ich żądanie udzielić wszelkiej możliwej pomocy w dochodzeniu. Utrudnianie śledztwa traktowane będzie jak zdrada najżywotniejszych interesów państwowych i karane bez litości.*

*Mikołaj II Imperator*

Kurier podsunął Łopuchinowi papier. Mężczyzna machinalnie złożył podpis.

– Fakt zwolnienia ich ze służby w samym środku delikatnego śledztwa, które to zwolnienie pociągnęło za sobą krach całej akcji i śmierć kilku oficerów policji, nie zostanie puszczony w niepamięć – mówił nadal niezwykle spokojnie. – Nagana z wpisaniem do akt zostanie dostarczona w ciągu tygodnia. Car, choć bardzo wzburzyły go zaszłe wypadki, na razie postanowił nie degradować pana.

– Tak jest... – głos dyrektora załamał się.

– Szef korpusu żandarmów, generał Kurlów, został w trybie dyscyplinarnym zdjęty ze stanowiska i przeniesiony na Daleki Wschód. Mam nadzieję, że nic już nie muszę wyjaśniać?

– Nic...

Gość wyszedł bez pożegnania, zabierając ze sobą pokwitowanie. Łopuchin, wysunawszy szufladę biurka, wyjął z niej rewolwer. Popatrzył na leżący przed nim dokument i włożył lufę do ust. Po chwili jednak zrezygnował z samobójczych zamiarów. Ktoś musiał wydać rozkazy. Z ciężkim westchnieniem sięgnął po telefon.



Profesor Filipow wszedł do kantoru firmy „Ransson i syn”, zajmującej się dostarczaniem produktów przemysłu chemicznego dla potrzeb instytutów naukowych i laboratoriów. Właściciel, siedzący za biurkiem, na jego widok podniósł głowę.

– Dzień dobry, profesorze.

– Dzień dobry.

– Zapewne chce pan dowiedzieć się o losy przesyłki? Drezyna jest w drodze. Wszystko przebiega zgodnie z planem marszruty. Wedle naszych informacji pojutrze powinna dotrzeć do miasta.

– Martwi mnie, jak pchły znoszą tak długą podróż. Do moich doświadczeń muszą za wszelką cenę być żywe...

– Jeśli pan sobie życzy, natychmiast wyślemy depezę. Nasi ludzie dokonają

kontroli ich stanu.



Susłow i Wilkowski siedzieli na skwerku po drugiej stronie ulicy, obserwując w milczeniu kantor firmy.

– Ciekawe, czego może od nich chcieć? – zastanawiał się Nikifor. – Pewnie chodzi o coś związanego z jego pracą. Albo z naszą sprawą.

– Albo z jednym i z drugim. Co robimy?

– Nie mają telefonu. Nie zadzwonią stąd. Musimy czekać i mieć nadzieję, że sprawa się jakoś wyklaruje.

– Bardziej martwi mnie sprawa Sawinkowa i Antonowa – stwierdził Tomasz. – Ta para stanowi najlepszą mieszkankę wybuchową, jaka chodziła po ulicach naszego uroczego miasta.

– Sądzę, że po pierwsze, obaj są już daleko, a po drugie, rozdzielili się zaraz po tamtym skoku na bank.

– Co może łączyć profesora z takimi ludźmi?

Susłow zamyślił się.

– Władza. Przekonania polityczne. Nienawiść do tego, co widzą dookoła. Po zamordowaniu cara zamachowcy zostali powieszani, lecz nie odkryto wszystkich ich kontaktów. Nie pozwolono wówczas na stosowanie tortur. Załatwilibyśmy całą tę hołotę.

– A może oni trzymają Filipowa w garści? Może mają dowody obciążające go w tej sprawie?

– To niewykluczone, ale mało prawdopodobne. On po prostu lubi knuć i spiskować.

– Wychodzi.

– Dobrze. Idź za nim, a ja tu popilnuję. Jeśli zamówienie jest poważne, to niebawem syn właściciela pójdzie na pocztę wysłać depezę lub weźmie dorożkę i pojedzie do składów przy dworcu.

Wilkowski, zachowując ostrożność, ruszył za profesorem. Kluczyli długo, wreszcie uczony wszedł do sporej, odrapanej kamienicy. Tomasz siadł na ławce kawałek dalej i wyciągnął z kieszeni książeczkę. Odnalazł w niej adres. Tu, na czwartym piętrze, Filipow miał niewielkie laboratorium.

Susłow tkwił przed kantorem. Za pomocą malutkiej szpiegowskiej lornetki przyjrzał się wnętrzu. Ransson siedział przy biurku i wypełniał jakiś papier. Potem zawołał z zaplecza swojego syna. Wręczył mu kartkę. W ciemnym kantorze na chwilę zabłysła przekazywana z rąk do rąk złota dziesięciorublówka. Schowawszy lornetkę, Susłow wstał niespiesznie z ławki. Syn dostawcy, pogwizdując wesoło, udał się w stronę niedalekiej stacji telegrafu. Agent jak cień podążył za nim. Nie było kolejki. Poślaniec nadał depezę, zapłacił i opuścił

urząd. Nikifor odprowadził go wzrokiem. Chłopiec wracał prosto do firmy. Agent spokojnie wszedł do stacji. Siedzący za ladą telegrafista podniósł wzrok. Gdy Susłow błysnął odznaką, telegrafista podał mu odbitkę ostatniej depechy. Dwaj państwowi urzędnicy rozumieli się bez słów.

*Zdjąć pokrywę. Przez wizjer oszacować stan przesyłki numer 3919. Czy owady nadal są ruchliwe?*

*Ransson*

– Czy życzy pan sobie kopię odpowiedzi? – zapytał telegrafista.

– Tak. Proszę ją przesłać na adres tego cyркулу. – Podał mu kartkę z numerem. – Rozliczymy wedle taryfy plus premia.

– Oczywiście.

Susłow pożegnał się i wyszedł. Nie miał pojęcia, gdzie może przebywać Wilkowski. Zajrzał do redakcji „Przeglądu Naukowego”, ale profesor tam nie przyszedł. Tomasz nie sterczał także przed domem Filipowa. Nikifor postanowił udać się do centrali. Wcześniej czy później jego współpracownik zadzwoni lub przyjdzie. Gdy wszedł do swojego gabinetu, poczuł się, jakby wrócił do domu. Usiadł wygodnie w fotelu, zapalił cygaro i zatopił się w lekturze „Przeglądu”. Nic a nic nie mógł zrozumieć z artykułu, który stał się przyczyną tych wszystkich kłopotów.

Dwie godziny później przybiegł posłaniec ze stacji telegrafu. Załoga drezyny przesłała odpowiedź:

*Ruchliwość owadów w normie.*

*Staniemy na bocznicę G28 juro o 11.15 wieczorem.*

*Silberstein*

Agent zatarł dłonie i uśmiechnął się.

– Mamy ich! – powiedział w przestrzeń.

★

– Nie dostaniemy nakazu konfiskaty ładunku? – zdumiał się Wilkowski. Jego twarz poszarzała. – Dlaczego?

– Podobno brak podstaw – wyjaśnił Nikifor znużonym głosem. – Musimy się skontaktować z naszym pryncypałem. Dzwoniłem już do pałacu, książę przebywa na pokładzie kanonierki zacumowanej pośrodku zatoki. Można się do niego dostać wpław albo łódką.

Ruszyli na nabrzeże. Niebawem wypatrzyli starego rybaka, który zwijał sieć. Wilkowski podszedł do niego.

– Wybacz pan – zagadnął. – Potrzebujemy kogoś z łódką celem dostania się na środek zatoki.

Staruszek zamyślił się.

– W taką pogodę może niespodziewanie zerwać się burza. W które miejsce

zatoki trzeba wam się dostać?

- Na pokład kanonierki księcia Aleksandra.
- W zasadzie czemu by nie?
- A ile by to kosztowało?
- Musi co dwadzieścia rubli. Za jednego.
- Rozbój w biały dzień – wykrztusił agent.

Starzec uśmiechnął się. Błysnął złotym zębem, co wyglądało trochę nienaturalnie, bo nie miał żadnych innych.

Susłow podszedł i popatrzył starcowi w oczy.

– Jefim Urwanko zwany Dziadkiem? – upewnił się. – Szmugiel jedwabiu?

Oczy zabłyśły.

– Agent Susłow. Jak to miło. Nu, pomyślę o ekstra dopłacie. Razem pięćdziesiąt rubli.

– Jefim, ty sobie sam grób kopiesz.

– Jestem najlepszy. Pamięta pan, co było dwa lata temu? Nie dogonili mnie parowym kutrem pościgowym!

– Miałeś dobry wiatr.

– Bóg sprzyja przemytnikom. Zatrzymałem się aż w Szwecji.

– Teraz wróciłeś?

– Musiałem spłacić współników, gdy wyszli wreszcie z więzienia. Na „Andromedę”? Tam i z powrotem sto dwadzieścia rubli.

– Zaraz. Przed chwilą miało być pięćdziesiąt za przejazd w jedną stronę.

– No tak, za długo się zastanawiacie, to cena rośnie. A z powrotem ciężiej. Zresztą mam już swoje lata.

Susłow westchnął ciężko.

– Chodźmy stąd – powiedział.

– Dobra, zawiozę was za dziesiątaka – powiedział nieoczekiwanie dziadek.

– Zdzierstwo – zaoponował Wilkowski.

– A widzicie tu kogoś innego? Nie chcecie, to poszukajcie sobie przewoźnika. Jeszcze żeby trzeźwy był i za burtę was nie wypchnął. Znają was tu, Susłow, znają. Znają, ale nie kochają – zarechotał.

Pięć minut później siedzieli już w jego cuchnącej zgniłą rybą łódce. Jefim postawił brudny żagiel, zszyty z jakichś koszmarnych szmat. Łajba, choć brudna i pokraczna, złapała wiatr i pomknęła szybko po spienionych falach.

Kajuta wielkiego księcia była cudowną oazą spokoju pośród ciemności i wzburzonych fal zatoki. Gdy zdali sprawę, usiedli, szcękając zębami o brzegi szklanek wypełnionych herbatą z rumem. Arystokrata przechadzał się wolno, zastanawiając się nad ich relacją.

– Trzeba pomyśleć – powiedział wreszcie. – Mowa była o bakcylach w

słoikach, a tymczasem przechwycona depesza dotyczy jakichś owadów. Jeśli skonfiskujemy niewłaściwy transport, możecie mieć nieprzyjemności.

– To optymalny sposób przeszmugłowania bakcyli – odezwał się Tomasz. – Jeśli dobrze zgadłem, ten ładunek to zakażone pchły.

– Słucham? – Księżę spojrzał na niego bystro. – Skąd, do diabła? W jaki sposób?

– Wiemy, że zagadkowa dreżyna jedzie z bardzo daleka. Jest w drodze prawdopodobnie od chwili, gdy Sawinkow spotkał się z profesorem.

– Proszę mówić dalej.

– Dwanaście dni szybką spalinową dreżyną to, jak mi się wydaje, wystarczający czas, by transsyberyjską dojechać do Mandżurii. A w Mandżurii wybuchła właśnie epidemia dżumy...

Rzucił na stół wycinek z gazety.

– Wielki Boże! – szepnął księżę.



Po peronie hulał lodowaty wiatr. Ciemno było choć oko wykol, tylko zza budynku dworca towarowego padało trochę światła. Latarnie gazowe były zgaszone. Po peronie przechadzali się nerwowo Ransson i profesor Filipow.

Trzej agenci ochrony oraz doradca naukowy księcia siedzieli za przyzmą podkładów i obserwowali. Z wagonu wygramolił się chłopak o rozspanych oczach. Dreżyna się spóźniała.

– Wkraczamy? – szeptem zapytał Wilkowski.

Wyglądał szczególnie źle, trzęsła nim gorączka, a twarz przypominała kolorem brzuch śniętej ryby.

– Czekamy. To już nie potrwa długo – uspokoił go Nikifor.

Kilka minut później na stację wtoczyła się spalinowa dreżyna. Zatrzymała się ze zgrzytem hamulców. Dwaj kolejarze przyczajeni w cieniu szopy wyskoczyli i zręcznie założyli na tor blokady. Susłow, wychodząc zza podkładów, dmuchnął w policyjny gwizdek.

– Profesor Michaił Filipow? – zwrócił się do zaskoczonego uczonego.

– Tak, a o co chodzi?

– Wasz ładunek zostaje skonfiskowany.

– To bezprawie!

– Milczeć.

Spojrzał na dreżynę. Z przodu na platformie umieszczono pakę na ładunek. Obok stali dwaj mężczyźni w szynelach.

– Won od przesyłki! – warknął Susłow.

– No, no, liczcie się ze sło... – Trzask repetowanych karabinów sprawił, że konwojentowi głos uwiązł w gardle.



Obejrzał się. Dwudziestu marynarzy z kanonierki księcia stało wzdłuż torowiska.

– Wyjmijcie pistolety, powoli, tak żebym je widział – polecił Nikifor kurierom. – Dobra. Połóżcie je na ziemi. A teraz wynosić się!

Wypełnili jego polecenie. Agent wskoczył na platformę. Odstrzeliwszy kłódkę, wydobył ze skrzyni duże pudło owinięte w kilka warstw gazy i opieczętowane. Zniósł je ostrożnie na peron. Ransson, maszynista i obaj konwojenci stali w pewnej odległości.

Wilkowski wyciągnął z kieszeni woreczek z jakimś proszkiem. Posypał nim obficie gazę. W jego dłoni błysnęła benzynowa zapalniczka. Płomień był oślepiająco biały, jak od magnezji. Od pakunku wionęło straszliwym żarem. Polak cofnął się kilka kroków.

– Zapłacicie mi za to! – syknął Filipow.

– *Paszol w czortu* – rzucił mu agent. – A wam radzimy rozsądniej dobierać klientów! – huknął na Ranssona.

Stacja opustoszała. Zagadkowy pakunek spłonął, pozostawiając po sobie jedynie kałużę ciekłego metalu. Wilkowski wszedł do dorożki. Z trudem łapał powietrze. Susłow zajął miejsce obok niego.

– Jedźmy do mnie – zaproponował.

Praktykant ze znużeniem kiwnął głową. Grzebał nieporadnie po kieszeni.

– Tego szukasz? – Szef podał mu książeczkę.

– Więc wiesz.

– Przeczytałem tylko tytuł. Mam nadzieję, że reszty dowiem się od ciebie.

Tomasz zakaszłał.

– Urodziłem się w dwa tysiące trzydziestym czwartym roku – szepnął. – Wiem, co mówię, to nie jest maligna. Byłem historykiem... Dyrektorem katedry historii cywilizacji rosyjskiej na Uniwersytecie Słowiańskim imienia Mikołaja Drugiego w Berlinie.

– Gdzie!?

– Posłuchaj, resztę przeczytasz w tym. – Puknął palcem w okładkę. – Zajmowałem się waszą epoką. Zaginioną Atlantydą... Uratowaliśmy właśnie ten piękny kraj.

– Ratować? Przed czym?

– Im się udało. Epidemia... Wybuchła nagle, Petersburg został odcięty kordonem sanitarnym. W mieście doszło do rozruchów, spłonęły teatry, biblioteki, muzea... Zginęli najwybitniejsi uczeni, pisarze, poeci, teolodzy, malarze, arystokraci. Przeżyło około trzech procent mieszkańców. Ruiny miasta zrównano z ziemią pociskami zapalającymi, by zażegnać groźbę rozszerzenia się epidemii. Zarazę zatrzymano, ale potwornym kosztem.

– Więc w czym problem?

– Spalono cenne archiwalia, biblioteki. Rosja nigdy nie otrząsnęła się po tej katastrofie. Na kilka dekad podupadła sztuka. No i ofiary... Na zarazę zmarło kilkaset tysięcy ludzi, drugie tyle zginęło w czasie kwarantanny. Sama elita waszego narodu. Możesz to sobie wyobrazić? Przyjeżdżałem tu co roku na wykopaliska... Widziałem te kilometry kwadratowe wypalonych gruzowisk, zarośniętych chaszczami i lasem. Poznawałem to piękne miasto, tak nikczemnie wymazane z kart naszej cywilizacji. Wykopywaliśmy resztki. Niedopalone grzbiety książek, porcelanowe główki lalek, okucia z mebli, koszulki ikon. I podjąłem decyzję. Zmienię bieg dziejów, uratuję was. Za cenę własnego życia.

– Co ci jest?

– Umieram. Skok w przeszłość demoluje każdy żywy organizm. Zostało mi już tylko kilka dni... Ale udało się. Nie będzie wielkiej zarazy.

– Sądzisz, że było warto? Nie zobaczysz nawet efektów...

– Tak. Każda wersja historii będzie lepsza niż to, co się stało...



Od strony zatoki dobiegło głośnie buczenie. Atomowy lodołamacz „Czerwona Gwiazda” przedzierał się przez zatory kry na szlaku wodnym. Wyrwany z krainy wspomnień Susłow dokończył flaszkę. Z kieszeni wyjął zniszczoną książeczkę. Miał nieprawdopodobne szczęście, że udało mu się ukryć ją tuż przed aresztowaniem... Na końcu za okładkę wsunięto mały, sztywny kawałek plastiku. Kalendarzyk na rok 2065. Car Paweł III uśmiechał się z holograficznego zdjęcia.

– Ech, ty frajerze. – Rozbił butelkę o głaz, jakby to był nagrobek pechowego podróżnika w czasie. – I po co ci to było? Po kiego grzyba żeś się wtrącał?

# Szantaż



**B**udynek Centralnego Archiwum Wojskowego stał ciemny i cichy. Rzęsisty jesienny deszcz wybijał werble na dachu, spływał po szybach, szemrał w rynnach. Drzewa w parku szumiały, targane ostrymi podmuchami wiatru. Tylko w małym okienku służbówki widać było żółte światełko słabej żarówki.

Strażnik pilnujący gmachu dawno przekroczył osiemdziesiątkę, jednak nie wybierał się jeszcze na emeryturę. Co tu dużo mówić, lubił tę pracę. Zapewniała mu poczucie, że ciągle jest potrzebny. Po prawdzie nie miał szczególnie dużo roboty.

*Corpus* zabezpieczono kilkoma niezależnymi systemami alarmowymi. Kilkanaście kamer termowizyjnych omiatało czujnym spojrzeniem wszystkie przejścia. Żadna mysz, żaden szczur nie miał szans przemknąć się niepostrzeżenie. Złodzieje nie interesowali się papierzyskami. Ostatnią próbę włamania odnotowano ponad dziesięć lat temu.

Stary Igor nie ufał jednak nowoczesnej technice. Co godzina brał z szafki pistolet gazowy, przypinał do pasa krótki policyjny pałasz i w towarzystwie psa ruszał na obchód pomieszczeń. Już zbierał się do wyjścia, kiedy usłyszał sygnał wiadomości radiowych.

*– Jest trzecia dwadzieścia. Podajemy skrót najważniejszych wydarzeń – powiedziała spikerka. – Oddziały rozjemcze Ligi Narodów odnotowały dziś po północy dwa incydenty na tymczasowej linii demarkacyjnej. Przez rzekę Zbrucz na stronę polską przedarł się niewielki oddział ukraińskiej partyzantki. Żołnierze jednostek pokojowych powstrzymali Rosjan przed kontynuacją pościgu na naszym terytorium. W okolicach Wilna spadł pocisk raketowy, wystrzelony prawdopodobnie z okolic Połocka. Dowódca stacjonującego tam oddziału Czwartej Gwardyjskiej Dywizji Raketowej imienia Aleksandra II wyraził głębokie ubolewanie. Winni odpalenia rakiety staną przed międzynarodowym sądem wojennym. Poza tymi incydentami zawieszenie broni jest ściśle przestrzegane.*

– Gównu warte to zawieszenie broni – burknął Igor. – Do Rusków wystarczy się na chwilę plecami odwrócić i zaraz na kark wsiądną. Nie mam racji? – zwrócił się do psa.

Azor podniósł łeb i szczechnął potakująco.

– *Sytuacja około miliona uchodźców, rozlokowanych w centralnych i zachodnich województwach Rzeczypospolitej, jest dość trudna. Nie wszędzie udało się zapewnić dzieciom należącym do mniejszości naukę w językach ojczystych. Kuleje dystrybucja gazet i literatury. Zwłaszcza trudna jest sytuacja narodowości litewskiej.*

– Sranie w banie – strażnik ponownie zwrócił się do owczarka. – Parę miesięcy mogą się przemęczyć, przecież i tak wszystkie gadają po polsku. Jak tylko odbijemy Litwę i Ukrainę, boćwy i chachły będą mogli wracać do siebie...

Pies szczechnął krótko, jakby ostrzegawczo.

– No pewnie, że odbijemy – warknął staruszek i siorbnął herbaty. – I lepiej, futrzaku, żebyś nie miał żadnych wątpliwości! – Pogroził psu zwiniętą smyczą. – Żebyś był tak z dziesięć lat młodszy, sam bym poszedł na front.

– *Jak wynika z danych wywiadowczych, liczba żołnierzy amerykańskich stacjonujących na Wyspach Brytyjskich wzrosła ostatnio do około pół miliona. Liga Narodów zażądała wyjaśnień.*

– Zastrane jankesy coś kombinują. Może jeszcze i nóż w plecy nam wsadzą. I pomyśleć, że jeszcze dwa miesiące temu chcieliśmy obszczymurkom znieść wizy. – Igor z rozgoryczeniem splunął fusami do kubła na śmieci. – A ta cała Liga to też banda zawszonych judaszy. Miał rację generał Rozwadowski, wszyscy oni powinni skończyć na latarniach jeszcze w czterdziestym roku. Tak, piesku, trza było pluć na wszystkie konwencje i wprowadzić nasze wojska do Szwajcarii.

– *Rząd Rzeczypospolitej dla przeciwdziałania rosnącej inflacji wprowadza do obiegu nowe monety dwudziestozłotowe bite z irydu. Ministerstwo Finansów planuje w ciągu dwu miesięcy całkowicie wycofać z obrotu pieniądze papierowe. W związku z obniżką cen platyny rozważa się zwiększenie masy dziesięciozłotówek o piętnaście procent. Monety wcześniejszych emisji wymieniane będą we wszystkich oddziałach banków...*

– Pieprzenie. – Wzruszył ramionami. – Zamiast pogonić kota tym międzynarodowym spekulantom, my się bawimy.

Pies szczechnął.

– A co sobie myślisz? Jak obezjajcy z RPA rzucają za dużo kruszców na rynek, to należy zbombardować ich kopalnie atomówkami i tyle. Przez swoją pazerność osłabiają naszą walutę, na której potędze wisi gospodarka trzydziestu krajów tej planety.

– *Wiadomości ze świata kultury. Amerykańska kongregacja duchownych protestanckich wystosowała protest przeciw dalszemu rozpowszechnianiu na terenie USA książki Jakuba Ćwieka „Kod Artura Grottgera”. Zarzucają jej liczne przekłamania historyczne oraz agresywne propagowanie ideologii katolickiego fundamentalizmu. Mimo tych protestów sprzedany nakład sięgnął piętnastu milionów egzemplarzy. W ciągu*

*ostatniego roku na katolicyzm przeszło kolejne siedemnaście milionów obywateli USA. Liczba konwersji na prawosławie jest nieco niższa...*

– Ha, jak się ich pastorom zachciało figlować z nieletnimi chłopaczkami, to są skutki. Ano, pora się ruszyć. – Igor przeciągnął się, aż mu stawy zaskrzypiały.

Przeżuł do końca kanapkę i wyszedł z dyżurki. Maszerował spokojnym, niespiesznym krokiem. Długie, wąskie korytarze nie kryły przed nim żadnych tajemnic. Znał cały ten labirynt na pamięć. W ciągu niespełna kwadransa skontrolował parter i wszedł na piętro. Mijał dziesiątki drzwi pracowni naukowych, czytelnicy, sal audiowizualnych...

Wszędzie panował spokój i niczym niezmacona cisza. Diody kontrolek nad wejściami płonęły uspokajającym zielonym blaskiem. Nigdzie nie pękła rura, nigdzie nie pojawił się ogień, nigdzie nie naruszono systemu bezpieczeństwa.

Jednak strażnika dręczyło dziwne, nieokreślone przeczucie. Dotarł niemal na koniec korytarza C2, gdy pies, do tej pory spokojnie idący przy nodze, zastrzygł uszami.

– Azor, co jest? – Igor spojrzał na owczarka z uwagą. – Coś nie tak?

Pies podszedł do drzwi magazynu i wystawił zwierzynę.

Strażnik spojrzał na diody. Paliły się na zielono. Pies przekrzywił łeb i wysunął jedną łapę.

– Pracujący komputer walizkowy? – zdziwił się jego pan, odczytawszy przekaz.

Azor przysiadł i położył ogon płasko. Jeden człowiek. Stary przywykł bezgranicznie ufać zwierzęciu. Wyjął rewolwer z kabury i odbezpieczył. Przeciągnął kartę magnetyczną przez zamek i z rozmachem kopnął drzwi. Nagły rozbłysk światła poraził jego nawiąkłe do półmroku oczy.

– Bierz! – rzucił odruchowo.

Pies skoczył do przodu jak wystrzelony z katapulty. Siedzący nad jakimiś dokumentami włamywacz zareagował błyskawicznie. Jednym susem wskoczył na sąsiedni stolik.

– Straż przemysłowa! – krzyknął Igor, pociągając za spust. Pierwszy nabój zawsze zakładał hukowy. – To był strzał ostrzegawczy!

Nieznajomy był szybki. Stary zdążył zobaczyć ruch nogi tamtego, ręki z bronią, ciągle uniesionej, już nie zdołał opuścić. Kopnięty z rozmachem komputer, koziołkując w powietrzu, uderzył go w łokieć. Sekundę później w ramię Igora trafił ciężki, okuty tom encyklopedii Trzaski, Everta i Michalskiego. Strażnik upuścił rewolwer. Azor zrzucił włamywacza na ziemię. Ten przekoziółkował, odbił się od dywanu jak piłka. Owczarek skoczył mu do gardła, ale nieznajomy jednym celnym ciosem odrzucił psa w kąt, między regały. W ślad za nim cisnął fiolkę z bezbarwnym płynem.

– Bierz! – krzyknął ponownie stary.

Nie szukał zgubionej spluwy, tylko gładkim ruchem wyrwał pałasz z pochwy u boku. Pies nie wykonał rozkazu, z dziwnym wyrazem pyska obwąchiwał stłuczoną probówkę.

– Poddaj się! – ryknął strażnik do włamywacza.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– Niechże pan da spokój – powiedział. – Nie mam ochoty robić panu krzywdy.

– Ty łobuzie! Ty do mnie!? Ty łajzo! Mnie grozisz? Nie z takimi sobie radziłem.

– Jak pan sobie życzy.

Igor odbił się z miejsca i runął na niego. Głownia pałasza ze świstem przecięła powietrze. Uderzył podstępnie, nisko, celując w uda. Przeciwnik skoczył w górę, podciągając kolana pod brodę. Klinga zazgrzytała na stalowej nodze stolika. Młody cofnął się między półki.

– Ja cię tu zaraz... gnido... wypatroszę! – Staremu brakowało już trochę oddechu.

Czuł wstyd, że tak się zasapał.

– Tam do kata... Niechże pan odłoży tę kosę, zanim komuś stanie się krzywda – obcy nie tracił humoru.

W wąskim przejściu między regałami nie sposób było wziąć odpowiedniego zamachu. Igor spróbował dwukrotnie pchnięcia, ale młody, cały czas cofając się, unikał stali.

– Poddaj się! Krócej będziesz siedział! Za stawianie oporu dołożą ci minimum dwa lata!

– A jak mnie pan nie złapiesz, w ogóle nie będę siedział – odgryzł się włamywacz, schodząc z linii kolejnego morderczego sztychu. – Niechże pan zaprzestanie tego jałowego wysiłku, nie chcę mieć pana na sumieniu. Aczkolwiek doceniam pański kunszt szermierczy.

– Ty bezczelny smarkaczu! – wycharczał Igor.

Ponownie zaczynało brakować mu tchu. Kolejny cios włamywacz odbił krzesłem. Pałasz na chwilę uwiązał w twardej dębinie. Nieznajomy wykorzystał te kilka sekund. Uciekł w kąt pomieszczenia.

Igor, rycząc jak rozjuszony byk, rzucił się za nim, ale już było za późno. Intruz wspiął się błyskawicznie po drabince sznurowej ku dziurze wyciętej w żelbetowym stropie.

– Czekaaj, draniu!

– A niby na co? – Roześmiał się drwiąco. – Niechże pan nie włazi za mną, nogę skrócić można, a i zlecieć... Ja już i tak ucieknę.

– Gównu! Zaraz cię dorwę! Ruski miesiąc popamiętasz!

Strażnik, sapiąc z wysiłku, wdrapał się na strych. Klapa w dachu była otwarta. Mężczyzna uciekł. Igor wygramolił się na stromą, śliską od deszczu powierzchnię.

– Uff... – odetchnął z ulgą.

Dwaj komandosi właśnie zakładali kajdanki włamywaczowi. Przynajmniej raz zdążyli na czas.

– Wszystko pod kontrolą. – Niższy funkcjonariusz zasalutował staremu. – Trochę się szarpał, ale już chyba będzie grzeczny.



– Przybył generał Kowalski, panie prezydencie – zameldował sekretarz.

– Prosić.

Wojskowy wszedł i dziarsko trzasnął obcasami.

– Panie generale, proszę spocząć. – Dygnitarz wskazał gościowi fotel. – Chciał się pan ze mną spotkać.

– Tak jest! Zna pan sytuację, panie prezydencie. Rubież obronna nad Zbruczem to kompletna prowizorka. Ewentualne walki uliczne we Lwowie i próba związania tam dużych sił wroga to mrzonka. Zatrzymamy część ich armii może na tydzień, a i to pod warunkiem ewakuacji cywilów, zaminowania wszystkich budynków i zamienienia miasta w jedną gigantyczną pułapkę.

– Tydzień. Co potem?

– Rosjanie rzucą na froncie południowym wszystko, czym dysponują... RU Przemysł nie wytrzyma zmasowanego ataku. RU Hrebenne przetrwa najwyżej trzy dni. A jest i front północny. RU Białystok... Zawieszenie broni kończy się w czwartek. Jeśli uderzą od razu, najdalej za dwa tygodnie będą pod Warszawą. Ostatnią prowizoryczną linią obrony będzie Wisła. Ostatnim refugium – Poznań, Wrocław lub Szczecin. O ile oczywiście szkopy i amerykańce nie uderzą od tyłu. Potem będzie można już tylko wywiesić białą flagę. Likwidacja naszej państwowości to kwestia może dwudziestu dni. Jeśli mamy coś zrobić, to teraz... Niestety, jednostka W-4...

– Tak, została zlikwidowana. – Prezydent aż się zapienił. – Wyobrażacie sobie, co by powiedziała Liga Narodów, gdyby się wydało, że kazał pan przygotować proszek z przetrwalnikami pałeczek wąglika...

– E, nie takie rzeczy uchodziły nam płazem. Co z bronią atomową? Dostaną ją wreszcie? – Spojrzał na prezydenta z nadzieją.

– Dysponujemy trzydziestoma dwoma głowicami atomowymi. Wczoraj nasi fizycy ocenili ich przydatność bojową. Co najmniej osiemdziesiąt procent powinno wybuchnąć – dygnitarz ważył każde słowo. – Gwarancji nie ma, od sześćdziesięciu z górą lat nie odpaliliśmy ani jednej.

– Proponuję zatem samobójczy rajd stu helikopterów szturmowych chronionych przez myśliwce oraz atak atomowy na Sankt Petersburg, Moskwę i Smoleńsk – odezwał się generał. – Jeśli już przegraliśmy, to przynajmniej niech nas przez kolejne dwieście lat zapamiętają.

– To miasta, tam jest ludność cywilna!

– No cóż, na wojnie cywile czasem też giną. – Generał spojrział na niego jakby zdziwiony.

Prezydent zadumał się głęboko.

– Pomysł ten ma jeszcze jedną poważną wadę – powiedział. – Na nasz atak tą bronią oni odpowiedzą tak samo. Wedle danych wywiadu mogą dysponować już ponad setką głowic.

– Wobec takiego postawienia sprawy nie będę więcej zajmował czasu. Pozwolę sobie dodać, że w zaistniałej sytuacji tylko cud może nas uratować.

– Otrzyma pan zezwolenie użycia bomb, w razie gdyby zagrożona została linia obrony na Bugu, ale wyłącznie przeciw celom militarnym – powiedział prezydent polubownie. – Na razie proszę spróbować środkami konwencjonalnymi.

Generał skrzywił się tylko, jakby zjadł cytrynę.

– Zrobię, co się da – mruknął. – Ale rezerwy już się kończą.

– Powiedział pan, że tylko cud może nas uratować. Czy miał pan na myśli coś konkretnego? – zapytał ostrożnie dygnitarz.

– Nie, ale pracuję nad tym. – Kowalski położył dłoń na klawiszu. – Może coś ciekawego się wyklaruje. Mam pewien niekonwencjonalny pomysł racjonalizatorski...

– O Boże, znowu!?

Co za tępy trep, pomyślał prezydent, gdy za gościem zamknęły się drzwi. Kto go zrobił szefem sztabu?

Co za głupi cywilny dupek, pomyślał generał, schodząc po schodach. Kto takiego kretyna wybrał na prezydenta?



Budynek archiwum przypominał mrowisko, w które wdepnął dzik. Żandarmeria najwyraźniej stawała na uszach, byle tylko zmazać plamę na swoim honorze. Technicy sprawdzali każdy pyłek.

Generał Kowalski wszedł do pomieszczenia, w którym urządzono zaimprovizowane centrum dowodzenia.

– Witam – odezwał się cicho.

Na jego widok mężczyzna w czarnym garniturze oderwał się od przeglądania jakichś notatek.

– Kapitan Izaak Buch, kontrwywiad wojskowy, pion śledczy.



- Referujcie, proszę, kapitanie.
- Zapraszam, zaraz wszystko pokażę.

Weszli do czytelnicy, która była widownią nocnej walki.

– A zatem: włamywacz za pomocą plecakowego napędu odrzutowego wylądował na dachu. Pogoda mu sprzyjała. Ulewa była na tyle silna, że czujniki podczerwieni go nie wykryły. Prawdopodobnie miał też ze sobą odpowiedni kombinezon, dodatkowo maskujący temperaturę ciała.

– Rozumiem.

Weszli między półki.

– Zneutralizował system alarmowy przy kłapie. Drogą radiową włamał się do sieci komputerowej budynku i rozpracował zabezpieczenia. Nie wiemy jakim cudem, do tej pory nikomu się to nie udało.

– Komputer kwantowy?

– Wysoce prawdopodobne. Przedostał się na strych i odnalazł odpowiednie miejsce, wyciął otwór. W tym miejscu. – Wskazał dziurę ziejącą w powale.

– Czego użył?

– Trudno ocenić. Laboratoria Komendy Głównej dopiero pracują nad analizą próbek. Wygląda na nóż ultradźwiękowy, problem w tym, że nie słyszałem jeszcze o urządzeniach emitujących moc wystarczającą do przecięcia czterdziestocentymetrowego żelbetowego stropu. – Wskazał idealnie gładkie krawędzie.

Generał oglądał je przez chwilę w skupieniu.

– Cięte w trzech ratach – powiedział wreszcie. – Musiał chyba w trakcie pracy wymieniać ogniwa paliwowe.

– Takie jest i nasze zdanie. Następnie spuścił się na dół przy użyciu drabinki linowej. Rozpracował także drzwi do przyległego magazynu. Prawdopodobnie spędził kilka godzin, czytając rozmaite materiały. Przeczytane odkładał na stolik.

– Kulturny, psia jego mać...

– Przez ten czas systemy budynku nie odnotowały jego obecności.

– Czyli musiał nie tylko znać rozkład pomieszczeń, ale i położenie czujników. A niezależne kamery? Powinny pracować bez przerwy!

– Owszem, ale nagrała się jakaś sieczka. Na niektórych klatkach widać sylwetkę. A to wystarczy, żeby go skazać.

– Czy strażnik doznał jakichś obrażeń?

– Lekkie stłuczenie ręki po uderzeniu komputerem. Był w furii, trzeba było podać środki uspokajające. Włamywacz w każdym razie odpierał atak staruszka, unikając jak tylko się dało kontaktu fizycznego.

Generał przekartkował wydruk trzymany w ręce.

- Czy wiadomo, co stało się psu?
- Tak. Ten typek stłukł fiolkę z płynem. Substancja zdążyła mocno zwietrzeć, ale pobraliśmy próbkę. To zawiesina zawierająca około siedemdziesięciu pięciu procent psich feromonów wabiących. Wystarczyło, żeby zwierzę doprowadzić niemal do orgazmu tylko drogą wziewną. Trzeba było trzech ludzi, żeby go wywlec, zapierał się łapami, czepiał zębami regału.
- Cholera – zaklął Kowalski.
- Szczerze powiedziawszy, nie zetknąłem się do tej pory z podobnym przypadkiem, ale sądząc po pańskiej minie...
- Owszem. Takich substancji używano w Mongolii podczas powstania przeciw Ruskim. Co z jego komputerem?
- A, tak. Laboratorium jeszcze nad nim pracuje. Niezwykle wymyślna maszynka. Chłopaki zgodnie twierdzą, że nie tylko nie widzieli do tej pory takiego cuda, ale nawet o nim nie słyszeli. Zabezpieczeń nie udało się złamać.
- Czy wiadomo, czego szukał?
- Tak. To znaczy z grubsza. Archiwiści analizują, czego dotyczyły interesujące go dokumenty. Przeglądał akta związane z Wojskową Akademią Techniczną i Politechniką Lwowską. Jak się wydaje, szczególnie interesowały go prace z lat trzydziestych. Badania nad antygravitacją...



– To w pewien sposób potwierdza moje przypuszczenia – mruknął generał.

– Czy udało się zidentyfikować więźnia? – dla odmiany zapytał kapitan. –  
Może znając jego tożsamość...

– Milczy jak grób, ale rozpoznano go. To Rolf Aisin-Gioro Ungern von Sternberg. Najmłodszy syn rosyjskiego namiestnika. Ten sam, który zbudował dla Mongołów bombę atomową w jurcie krytej wojłokiem... Proszę informować mnie na bieżąco o przebiegu śledztwa.



Kazamaty dawnego carskiego fortu przekształcono na cele. Generał Kowalski maszerował obok strażnika, mijając kolejne kraty. Więźniowie odprowadzali go wzrokiem.

– Jest spokojny – wyjaśnił pracownik penitencjarny. – Ale proszę uważać. Dziwne rzeczy mogą mu strzelić do głowy.

– Służyłem w korpusie ekspedycyjnym – prychnął generał. – Zresztą będzie przecież skutki.

Strażnik nie odpowiedział. Zatrzymali się przed kratą odcinającą mały fragment korytarza. Szare, grube drzwi prowadziły do izolowanego akustycznie pomieszczenia. Szpieg już siedział na krześle, pilnowany przez człowieka z pistoletem maszynowym. Na widok gościa uśmiechnął się pod nosem, a potem wstał i złożył głęboki ukłon.

Nie przyszło mu to łatwo, bowiem na nogach miał ciężkie kajdany z archaiczną kulą. Nadgarstki również skuto. Cienki stalowy łańcuszek łączył je z obręczami na dole. Strażnik przyniósł krzesło dla generała, a potem obaj pracownicy odeszli.

– Chciałeś się ze mną widzieć, Rolf – odezwał się Kowalski. – Czym zatem mogę służyć?

– Nie chcę trafić w łapy Rosjan... Mają wobec mnie wyjątkowo krwiożercze zamiary.

– Daruj, wojny jeszcze nie przegraliśmy.

– Pan wie, generale, z Rosją nie można wygrać. Zwłaszcza teraz, gdy niechcący uzbroiliśmy ją w broń atomową. Wasze nieustanne knowania w Japonii, Malezji i Korei w końcu wyszły carowi bokiem. Ale nie o tym chciałem rozmawiać.

– Coś podobnego? – zakpił Kowalski.

– Układ chcę zaproponować.

– Słucham.

– Wiem, jak można wygrać tę wojnę. Wypuście mnie i pomożecie w zorganizowaniu kolejnego powstania w Chinach, a ja w zamian dam wam broń, którą upokorzycie cara.

Patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Rolf spuścił wzrok.

– Mam w to uwierzyć? Niby na jakiej podstawie? – parsknął Kowalski.

– To ja rozbiłem atom. Jestem geniuszem – rzekł więzień chępliwie.

Kowalski wstał z fotela i przeszedł kilka kroków.

– Opowiedz, jak tego dokonałeś. Twierdzisz, że jesteś geniuszem, chcę ocenić, czy mówisz prawdę.

– To już w zasadzie żadną tajemnicą nie jest – mruknął. – Popełniliśmy tragiczny błąd. Powstanie przeciw Rosji wybuchło za wcześnie... I nasza bomba.

Byłem przeciwny tej próbie na pustyni, ale dziadek się uparł. Przez naszą głupotę Ruscy dowiedzieli się, jak to zrobić. Dziś stoją tam, na Wschodzie, i dysponują najgroźniejszą bronią, jaką stworzył człowiek. Przeze mnie.

– A więc jak na to wpadłeś? – Generał niecierpliwym machnięciem dłoni zbył wypowiedź jeńca.

– Byłem członkiem trzyosobowego zespołu, który ją stworzył – pochwalił się Rolf. – A właściwie odtworzył. Znalazłem trop w starych gazetach. Tych z 1939 roku. Kiedy jeszcze sądzono, że rad nie nadaje się do konstruowania broni. Nazwano to radową gorączką. Ktoś skupował ten pierwiastek, gdzie tylko się dało, nie bacząc na rosnące koszty. Ceny oszalały. Pogrzebałem trochę. Firmy-krzaki, podstawieni ludzie, nieistniejące instytucje z egzotycznych krajów. Płacono walutą, srebrem, złotem, nawet platyną. A przy tym kruszce oferowano często w postaci wyrobów jubilerskich bardzo wysokiej klasy. Kilka zidentyfikowałem. To były dary polskiego społeczeństwa na Fundusz Obrony Narodowej. Potem wystarczyło wyliczyć, ile radu mogliście kupić. Wiedziałem, że wystarczyło go na co najmniej dwie bomby. Tak poznałem maksymalną masę krytyczną. Potem wystarczyło zgromadzić surowiec i trochę poeksperymentować. Znaliśmy z grubsza skutki, wiedzieliśmy, czego można się spodziewać. Dlatego wybraliśmy formację Negmet, okolicę pustynną i zupełnie bezludną.

– Mówisz o eksplozji w rejonie pustyni Gobi?

– Tak. Wybuchu dokonaliśmy o ósmej rano – wyjaśnił. – Bombę odpaliliśmy w głębokiej dolinie. Baliśmy się skażeń, więc wybraliśmy miejsce suche i bezodpływowe. Wnętrze doliny planowaliśmy pokryć cienką warstwą betonu, aby uniknąć potem wywiewania izotopów... Stanowisko obserwacyjne ulokowaliśmy za grzbietem.

– I jak to wyglądało? – zaciekał się Kowalski.

– Potwornie silny rozbłysk. Fala uderzeniowa, były wstrząsy sejsmiczne, zeszły lawiny. Granit bardzo się rozgrzał... O dziewiątej do doliny wjechał zdalnie sterowany pojazd i zaczął mierzyć skażenie. Analizowaliśmy w tym czasie dane z czujników. O pierwszej dowiedzieliśmy się z radia, że Rosjanie dokonali desantu na Urgę i internowali mego ojca oraz dziadka. Stryj został w tym czasie aresztowany w Pekinie. A po nas już lecieli... Skopiowaliśmy dane i rozdzieliliśmy się.

– To wystarczyło? – generał wrócił do wcześniejszego wątku. – Kilka informacji ze starych gazet i eksperymenty z masą krytyczną?

– Mieliście wiele szczęścia, że nikt nie wpadł na to wcześniej. Tajemnica jest jak benzyna, wszystko brudzi, wszystko przesiąka, rozmiękcza z czasem wszelkie zabezpieczenia... Ale czemu mówimy o drobiazgach, gdy ważne sprawy czekają?

– Sprawdzam cię – burknął generał. – Obiecujesz mi jakąś broń, więc chcę wysondować, czy rozumiesz, o czym gadasz. I właśnie stwierdziłem, że nie rozumiesz!

– Doprawdy?

– Wybuszek dziecko sobie zmajstrowało, co? Ty sobie, ptaszyno droga, wyobrażasz, że uwierzę w takie bajeczki o konstruowaniu bombki w jurcie?! – wrzasnął.

– Och, w mojej wypowiedzi pozwoliłem sobie zrobić pewne uproszczenia, żeby pan w ogóle zrozumiał, o czym mówię – palnął bezczelnie Rolf.

Generał ryknął, ale po chwili się uspokoił.

– Zagram w otwarte karty. Wiemy, że tym razem szukałeś antygravitacji – zmienił temat.

Na twarzy więźnia odmalował się niepokój.

– No, nie tylko tego szukałem. – Wzruszył ramionami. – Ale antygravitacja, owszem, też mnie interesuje. A zwłaszcza wasza tajna broń. Grawitoloty. Nie użyliście ich jeszcze. Czasu już nie macie zbyt wiele. Skończy się zawieszenie broni i Rosjanie rozgniotą was na miazgę. Ja proponuję rozwiązanie doraźne.

– Zatem opowiedz teraz o swoim pomysłe na wygranie wojny. – Generał rozsiadł się wygodnie i spojrzał więźniowi prosto w oczy.

– Rozkaż pan, by dostarczono mój komputer.

– Hmm...

– Mam tam film, który chciałbym panu pokazać.

– Mongolski film?

– Brazylijski...

– Ech...

– A zaraz po jego projekcji zacznę gadać z sensem. – Błysnął zębami w uśmiechu.

– Pal cię diabli.

Wyjął z kieszeni telefon i wystukał numer laboratorium. Komputer Rolfa dostarczono cztery minuty później.

– No i – generał uruchomił urządzenie – jakie są kody?

Więzień wzniosł oczy ku sufitowi.

– Daruj pan, w ten sposób w ogóle nie będziemy rozmawiali.

– Doprawdy?

– Dobrze, proszę, niech pan pisze.

Wyrzucił z siebie długą sekwencję cyfr. Generał wstukał je, a potem, słuchając wskazówek więźnia, odnalazł film wgrany na twardy dysk. Program tłumaczący podawał na bieżąco znaczenie słów.

Najpierw pojawił się czerwony napis po portugalsku: „Ścisłe tajne”. Kilka

linijek tekstu ostrzegało o odpowiedzialności za oglądanie. Piętnaście lat kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Czyli, mówiąc po ludzku, zalesianie dawnych pól uprawnych dżunglą dla ratowania biosfery planety.

– Wygląda na to, że będziemy musieli omijać Brazylię w czasie wakacyjnych eskapad – mruknął Kowalski. – No to oglądamy.

Pojawiła się czołówka. Obraz był niewyraźny, pochodził z kamery przemysłowej umieszczonej pod sufitem jakiegoś hangaru. Grupa techników w kombinezonach demontowała jakiś pojazd.

Kowalski z wrażenia otworzył usta. Brazylijczycy rozbierali na części polski grawitolot.

– To niemożliwe – szepnął. – Skąd ci obezjajcy...

– To już pan powinieneś wiedzieć. – Rolf wzruszył ramionami.

Film pierwotnie musiał być dużo dłuższy, widać było miejsca cięć. Demontaż maszyny z pewnością trwał wiele godzin, może nawet kilka dni. Wreszcie z pojazdu pozostała tylko dolna rama. Na niej opierała się solidna stalowa skrzynia. Z boku na skoblu wisiało kilka starych kłódek.

Jeden z techników przepiłował je szlifierką. Odsunięto rygle. Ktoś podniósł wieko. Wszyscy obecni w hangarze przewrócili się w jednej chwili. Generał domyślił się natychmiast, że padli martwi. W następnym ułamku sekundy ciała zamieniły się w dziwne bryły czerwonego mięsa. Gaz? Mikrofałe? Generał cofnął kawałek i popatrzył ponownie.

Nie. Zginęli natychmiast i wszyscy. Promieniowanie? To już lepsze wyjaśnienie. Tylko co z ciałami? Taśmę znowu pocięto i sklejonono. Teraz widział hangar, resztki pojazdu i zwłoki z innej perspektywy. Obraz lekko drżał. Kowalski mógł się tylko domyślać, że kamerę umieszczono na jakimś zdalnie sterowanym pojeździe. Może użyto czegoś w rodzaju policyjnego robota do rozbrajania bomb?

Urządzenie sfilmowało dokładnie jedno z ciał leżących na drodze. Nie było widać żadnych szczegółów świadczących, że kiedyś był to człowiek. Dopiero po chwili zrozumiał. To, co wydzieliło się z generatora antygravitacji, wywróciło wszystkich techników na nice. Żołądek podszedł generałowi do gardła. Wreszcie kamera zbliżyła się do feralnej skrzynki. Automat użył wysięgnika, by obiektyw mógł zajrzeć do środka. Kowalski zrobił stopklatkę i długo w milczeniu wpatrywał się w obraz.

Wewnątrz skrzyni leżało tylko kilka granitowych otoczków.

– Reszta nie jest już taka ciekawa – wyjaśnił więzień. – Jak udało się ustalić, to dziwne promieniowanie wydziela się tylko przez około dwanaście minut po otwarciu generatora.

Generał nie przerwał jednak oglądania. Brazylijczycy najwyraźniej zbadali

kamienie najlepiej jak potrafili. Kolejne sekwencje filmu pokazywały testy, cięcie kamulców na płytki, prześwietlenia, reakcje odczynników chemicznych. Potem sekcje zwłok ludzi, którzy zginęli w chwili otwarcia skrzyni. To, co się wydzieliło, zdemolowało ich organizmy w sposób iście potworny. Serca wyrócone na drugą stronę, białka, które z prawoskrętnych stały się lewoskrętne, krew pozbawiona hemoglobiny, bo żelazo wytrąciło się w żyłach w postaci metalicznej.

– Co to, do diabła, jest... – szeptał, patrząc na kolejne testy i ich wyniki.

– To chyba pan raczej powinien wiedzieć. Tamci na filmie robią tylko fachowe analizy. – Więzień wzruszył ramionami. – Zdobyłem ten materiał z ogromnym trudem. Nie wiem, skąd wzięli waszą maszynę, ale...

– To „Chrobry” – wyjaśnił Kowalski. – W latach sześćdziesiątych nasza armia pomagała Indonezji walczyć z Anglikami. Był to okres wielkiej ekspansji, w ciągu kilku lat przeszło trzydzieści dawnych kolonii ogłosiło niepodległość. Nasi urzędnicy pomagali budować tam administrację i zręby nowoczesnego kapitalizmu, wojsko pilnowało, by korona nie zorganizowała akcji odwetowej. Zależało nam na maksymalnej demonstracji siły, więc pchaliśmy tam masę sprzętu. Na przykład wyrzutnie z makietami rakiet, które rzekomo miały zasięg międzykontynentalny...

– Rozumiem. I grawitolot...

– Nadawał się idealnie. Nikt inny czegoś podobnego nie posiadał. Niestety, pojazd był akurat w drodze z jednej wyspy na drugą, gdy nastąpił podwodny wstrząs wulkaniczny. Fala tsunami spustoszyła wtedy setki kilometrów linii brzegowej. Pojazdu nie udało się odnaleźć. Przypuszczano, że układ antygravitacyjny uległ uszkodzeniu i że wrak spoczął gdzieś na dnie, przykryty warstwą mułu... Poszukiwania trwały wiele tygodni, zanim ich zaprzestano.

– A tymczasem położyli na nim łapę Brazylijczycy... – uzupełnił Rolf. – Paskudny naród. Zwróć pan uwagę, że w chwili gdy ich fachowcy rozbierali tę maszynę, reszta wyplakiwała oczy, oglądając wasz serial „Izabela”, wiesz pan, generale, ten, gdzie śliczna niewinna dziewczuszka, chłopka pańszczyźniana, jest gnębiona przez złego dziedzica Leona...

– Oglądałem – uciał Kowalski. – Dobra, cwaniaczku. Do rzeczy.

– Grawitolot... Sercem tej maszyny są dwie proste cewki. Byłeś pan kiedyś wewnątrz kabiny?

– Nie.

– Sterowanie urządzeniem też jest niezwykle łatwe. Sprowadza się do manewrowania jednym drążkiem sterowym. Pchamy do przodu – maszyna leci do przodu. Pchamy w lewo – skręca w lewo. Pchamy w prawo – skręca w prawo.



- Ciągniemy do siebie i leci w tył? – parsknął Kowalski.
- Tak. Jak pan zgadł? – zakpił Rolf. – To zresztą nieważne.
- Nieważne?
- Dużo ciekawsze jest to, co było w skrzyni.
- Kamienie?

Więzień westchnął.

– Zwykły granit. To otoczaki przywleczone ze Skandynawii przez lodowiec. W okolicach Lwowa znajduje się takie na polach. Kamienie to tylko nośnik jakiejś formy energii. Ktoś je naładował, wsadził w metalowe pudło, a potem hermetycznie je zamknął.

– I to wszystko?

– Tak. Uzyskał w ten sposób perpetuum mobile. Wszystkie te maszyny latają od przeszło siedemdziesięciu lat bez konieczności uzupełniania paliwa. Zresztą nawet jakby zaszła potrzeba, nie ma odpowiedniej dziurki, którą można by włączyć do środka... Działają zawsze tak samo. Nie męczą się, nie zużywają. Ich przydatność bojowa jest żadna.

– Skąd wiesz? – Generał wytrzeszczył oczy.

– Jak to się przedstawia w Polsce? Sekretne żądło waszych sił zbrojnych, cudowna broń i tak dalej, i tak dalej. Nikt inny tego nie ma. Wszyscy by chcieli, bo faktycznie jest to niezwykle urządzenie. Tylko że... Jaka jest maksymalna prędkość grawitolotu? Piętnaście kilometrów na godzinę?

– Wiesz...

– W każdym razie mają szybkość spacerującej krowy. Nie przeczę, są w stanie pokonać każdą przeszkodę terenową, rzekę, bagno, jezioro, tylko że ciężki poduszkowiec bojowy też to potrafi, w dodatku dziesięciokrotnie szybciej. Problem kolejny. Udźwig.

– To znaczy?

– Pół tony.

– Wiesz i o tym?

– Zachwycająco wygląda ten ich pancierz. Dmuchane aluminium pomalowane, by udawało stal. Grawitolot można uziemić, waląc do niego ze zwykłego pistoletu. To znaczy trzeba przedziurawić blachę tak, żeby trafić w człowieka, który nim steruje. I jeszcze jedno: dlaczego zawsze suną otoczone ze wszystkich stron przez ciężkie czołgi Łab-98? Czyżby były tak wrażliwe na boczne podmuchy wiatru?

Generał zachował wzniosłe milczenie.

– A ile ich macie? Szesnaście. Było dwadzieścia. Jeden wpadł w ręce Brazylijczyków. Trzy popsuliście sami, usiłując, podobnie jak oni, odgadnąć zasadę działania. Nie umiecie zbudować nowych. Technologia przepadła jeszcze

w latach trzydziestych.

– Tego szukałeś w polskich archiwach? – zapytał wreszcie generał. – Tylko po cholere, skoro wiesz, że to urządzenia słabe i bezużyteczne...

– Bo, jak już wspomniałem, jestem jednym z największych żyjących obecnie geniuszy.

– Na razie w tym, co mówisz, nie ma nic, co usprawiedliwiłoby te przechwałki.

– Pomogę wam kopnąć cara Fiodora Nikitycza w zad, i to tak mocno, by do końca jego życia Rosja nie wstała z kolan. Wasze szanse w wojnie z Rosją obecnie wynoszą może jeden procent. Wiem, jak odwrócić te proporcje.

– Człowieku, idź do psychiatry! – warknął Kowalski, ignorując fakt, że skuty więzień raczej nie miał takiej możliwości. – Powiesz wreszcie coś sensownego czy tylko marnujesz mój czas?

Rolf uśmiechnął się.

– Zostało wam szesnaście grawitolotów.

– Przecież wiesz, smarkaczu, że są gównie ważne! Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja! – syknął generał. – A nawet lepiej, bo ja nawet nie znałem masy pojazdu... Obiecywałeś mi broń zdolną poskromić Ruskich, a tymczasem...

– Tego można użyć jako broni. – Jeniec nie tracił opanowania. – Generale, jako człowiek inteligentny, chyba sam pan zrozumie, jak można wykorzystać grawitoloty.

W jego głosie dźwięczała absolutna pewność siebie.

– Sekundę. – Wojskowy powstrzymał go gestem. – Zaraz... Na polu bitwy są do dupy, zatem chodzi o efekt, który pokazałeś mi na filmie? Zgadłem? Są śmiertelnie niebezpieczne, gdy ktoś otworzy tę cholerną skrzynkę z kamieniami!

– W dodatku mamy dwa pewniki. – Więzień spojrzał mu prosto w oczy. – Wydzielająca się fala nie jest na razie znana nauce. Jej moc wystarcza, by zniszczyć wszelkie życie w promieniu dwóch kilometrów, i to naprawdę widowiskowo. W dodatku nie da się jej ekranować. A teraz proszę pomyśleć, jak można to w odpowiednio spektakularny sposób wykorzystać.

– Kuźwa!!! – Generał walnął ręką w oparcie krzesła, aż sklejka popękała. – Ty smarku, faktycznie jesteś pieprzonym geniuszem! Jakie jest duże jezioro w pobliżu Sankt Petersburga? Ładoga? Ugotujemy im kilka kilometrów sześciennych ryb. Ale jeśli widzieli ten film... – zasępił się nagle.

– A jakie to ma znaczenie? – odparł jeniec z uśmiechem. – Nawet jeśli ich szpiedzy przewąchają, że to tylko otwarta skrzynka napędowa, nic się nie zmieni. Nadal dysponujecie bronią o straszliwej sile rażenia. Co więcej, nie wiedzą, ile tego macie. A nawet jeżeli wiedzą, to i tak można ich solidnie postraszyć. Tak więc wypełniłem moje zobowiązanie, generale. Wskazałem wam drogę,

dostarczyłem broni, uratowałem wasz kraj. W zamian oczekuję ułaskawienia i pomocy.

– Że ja nie mam takich żołnierzy! A może wstąpisz na służbę Rzeczypospolitej? – Kowalski spojrział na niego z nagłym błyskiem w oku. – Dostaniesz od razu rangę pułkownika.

– Wolę być waszym sojusznikiem, zwłaszcza w chwili, gdy ponownie poderwę mój lud do walki.

– Oto moja ręka, chłopcze.



Car włączył ekran wideofonu. Pstryknął przełącznikiem. Gęba generała Kowalskiego wypełniła pół ściany.

– Panie generale – odezwał się Fiodor Nikitycz – zgodnie z pana prośbą...

– Witam, panowie. – Kowalski, co zaskakujące, był tym razem wyjątkowo grzeczny, nawet zasalutował. – Ośmielam się niepokoić was, ale mam pewną propozycję... Być może wyda się wam na pierwszy rzut oka szokująca, ale proszę ją dobrze rozważyć.

– Słuchamy – powiedział władca.

– W dniu wczorajszym dokonaliśmy na waszym terytorium udanej próby naszej najnowszej broni. Nazwaliśmy ją „Głowica Delta”. Mam na myśli zjawiska, które zaobserwowaliście na jeziorze Ładoga.

Car nerwowo przełknął ślinę.

– Z pewnością posiadacie już wyniki sekcji ryb i innych zwierczaków, które się tam wyróciły na drugą stronę.

Fiodor Nikitycz niechętnie kiwnął głową.

– Cztery identyczne bomby nasi szpiedzy zakopali w Moskwie. Kolejnych osiem rozmieszczono na terenie innych miast.

Sztabowcy nagle pobledli.

– Korci mnie, żeby powtórzyć to, co zrobili nasi przodkowie pierwszego września 1939 roku i posłać was wszystkich do diabła, ale mimo wszystko ja też jestem człowiekiem i mam jakieś tam ślady sumienia, a rzeź tych piętnastu czy osiemnastu milionów moskiewskich cywilów, którzy zginęliby razem z wami, nieszczególnie mi się uśmiecha. Już i tak Liga Narodów zarzuca mi popełnianie zbrodni wojennych i inne takie duperełki.

– Czego pan oczekuje? – wykrztusił car.

– Natychmiastowej bezwarunkowej kapitulacji rosyjskich sił zbrojnych. Wasi żołnierze złożą broń i sprzęt, a następnie pieszo wycofają się poza granice naszego terytorium. Gwarantujemy im bezpieczną ewakuację i nie będziemy ściagać. Oficerowie mają prawo zabrać szable oraz sztandary pułków. Specjalna międzynarodowa komisja oceni koszty odbudowy wszystkich naszych obiektów

na terenach przez was okupowanych i tę kwotę będziecie łaskawi uiścić. Może być w surowcach, bo, zdaje się, przekroczy wartość waszych rezerw kruszcu oraz walut. Po drugie, w imieniu naszego przyjaciela Rolfa Aisin-Gioro Ungern von Sternberga żądam przyznania niepodległości Chinom, Mongolii, Korei, a także innym krajom, które należą mu się z racji pochodzenia. Nie pamiętam dokładnie wszystkich, listę doślę zaraz. Proponujemy trzy tygodnie na ewakuację garnizonów i przekazanie administracji cywilnej wyznaczonym przez niego urzędnikom.

– A jeśli odmówimy? – zapytał generał Potiomkin.

– Za godzinę trzeba będzie przygotować trumny dla milionów trupów, a jeszcze gorsze warunki kapitulacji postawimy waszym następcom. Panowie, daję wam kwadrans na naradę. Potem chcę poznać jednoznaczną odpowiedź. – Kowalski kliknął przełącznikiem.

Gdy po upływie piętnastu minut nawiązał połączenie, w sali posiedzeń zaszły pewne zmiany. Przy stole brakowało czterech członków sztabu. Sądząc po krwawych rozbryzgach na ścianie, strzelał car. Zwłoki już wyniesiono, tylko plamy na dywanie znaczyły miejsca, gdzie padli.

– Panowie, jaka jest wasza odpowiedź? – zapytał Kowalski.

Uwagi zebranych nie uszła drobna, ale znacząca zmiana. Przed generałem na blacie biurka spoczywało niewielkie pudełko zaopatrzone w przycisk ogniście czerwonego koloru.

– Były drobne rozbieżności, ale uzyskaliśmy już jednomyślność. – Fiodor Nikitycz wyglądał na przygnębionego. – Dla ratowania ludności cywilnej zmuszeni jesteśmy ugiąć się pod tym obrzydliwym szantażem i przyjąć wasze warunki. Akt bezwarunkowej kapitulacji zostanie sporządzony i dostarczony do waszej ambasady w ciągu godziny.

– Dziękuję.

– Pozwolę sobie jeszcze dodać, że liczę, iż nadejdzie chwila, gdy przyjdzie wam słono zapłacić za to bezprecedensowe pogwałcenie wszelkich norm prawa międzynarodowego, dobrego smaku i honoru... – warknął car.

Generał wyszczerzył poźółkłe zębiska w uśmiechu, ale powstrzymał się od komentarzy. Skinął tylko uprzejmie głową na pożegnanie i wyłączył komunikator.

– Skocz do pasmanterii za rogiem – zwrócił się do sekretarki – i kup mi taką maszynkę do robienia dziurek w tkaninie, bo mi pewnie Order Orła Białego za tę operację dadzą... Jeżeli nie będzie dziurkacza, bierz nożyczki. I szampana kup, jakiś dobry rocznik. Tylko żeby był ucziwy, z sandomierskich winnic, a nie jakaś francuska podróbka. Muszę się napić z moim przyjacielem Rolfem...

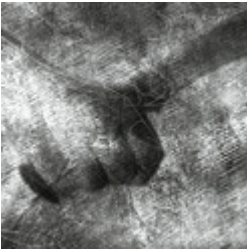
*Epilog*

*Dziś o godzinie 10.30 czasu warszawskiego Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej wydał oświadczenie, w którym surowo potępił brudne metody prowadzenia wojny stosowane przez szefa sztabu generała Jakuba Kowalskiego. Bezprecedensowe groźby rzezi ludności cywilnej wywołały powszechne oburzenie wśród uczestników obu stron konfliktu. W Warszawie i Krakowie odbywają się właśnie spontaniczne marsze solidarności z narodem rosyjskim.*

*Sam generał Kowalski został zdegradowany i karnie wydalony z szeregów Wojska Polskiego, a następnie aresztowany i osadzony w więzieniu, gdzie oczekiwał będzie na proces przed międzynarodowym sądem Ligi Narodów. Parlament RP na specjalnym posiedzeniu uznał szantaż zastosowany wobec Rosjan za niegodny honoru polskiego żołnierza. Specjalna delegacja międzyresortowa udaje się właśnie rządowym samolotem do Moskwy prosić cara o wybaczenie incydentu, wycofanie aktu bezwarunkowej kapitulacji imperium oraz o natychmiastowe podjęcie przerwanych rankiem działań wojennych.*

*(pap)*

# Czytając w ziemi



Zza pasma wydm zimny wiatr niósł zapach morza. Szerokie opony dobrze spisywały się na wąskiej piaszczystej ścieżce. Marek Etter, miarowo dociskając pedały roweru, wjechał na kolejne wzniesienie. Zatrzymał się, sapiąc. Otarł łysinę chusteczką i rozejrzał się wokół. Deszcze wypłukały w piachu dwumetrowej szerokości wąwóz. Cel wycieczki był oczywiście po tamtej stronie.

– Totenberg – mruknął.

Tak nazywało się to wzgórze na starej niemieckiej mapie, którą nabył kiedyś w antykwariacie. Na nowych nie miało żadnego opisu. W przedwojennym leksykonie miejsc nawiedzonych odnotowano nazwę wraz z krótką informacją, że teren ten uważa się powszechnie za przeklęty. Od kilku miesięcy przyjeżdżał tu w każdej wolnej chwili.

U skłonu wydm rozciągała się spora równina – miała mniej więcej cztery kilometry długości i co najmniej kilometr szerokości. Po lewej stronie zielony pas, wyraźnie odcinający się od burego, spalonego słońcem ugoru, wyznaczał koryto Zgniłej Rzeczki. Po prawej majaczyły kryte papą i eternitem dachy popegeerowskiej wsi, przez którą przejechał kilkadziesiąt minut temu.

Przybysz porzucił swój wehikuł i przebył wąwóz, by po kilku minutach marszu dotrzeć na szczyt. Wyciągnął zza krzaka kratkę z miedzianych prętów i położył ją na piasku, a następnie przykrył kawałkiem szarego płótna wyjętym z torby. Usiadł na materiale. Pod język wsunął znaczek nasączony LSD. W dłoni ujął dwie jadeitowe kule. Zamknął oczy.

*Złe miejsce. Musisz odejść* – gdzieś narodziło się ostrzeżenie. Nie był pewien, czy pochodzi z jego głowy, czy z zewnątrz... Wiedział, że lepiej byłoby nie ryzykować. Umarli rzadko kiedy się myślą. O ile to oni przemówili, a nie jego rozgorączkowana, zatruta narkotykiem wyobraźnia.

Pożądał informacji, rzucił w myślach.

*Zagłada, zagłada...* – rozległo się dookoła. *Zagłada, zagłada...* – coś szeptało tuż przy uchu.

Nagle kontakt urwał się, jakby widma umknęły spłoszone. Etter zerwał się na równe nogi i wypuścił z rąk kule. Piasek wokół zadrżał, ale metalowa siatka

ochroniła poszukiwacza przed uderzeniem mocy. Jedna z kul leżących na ziemi pękła z cichym trzaskiem.

Sapiąc, pokonał wyrwę, wskoczył na rower i pomknął w stronę wsi. Każdą komórką ciała czuł, że coś rozpoczęło pościg. Był zachwycony, że wreszcie prowokował duchy do działania, i jednocześnie przerażony osiągniętym efektem. Nieoczekiwanie odniósł wrażenie, że niewidzialny wróg już go dopada. Bał się odwrócić. Coś siedziało na bagażniku roweru. Za chwilę... Zahamował gwałtownie i zakręcił w lewo. Spod nawianego przez dziesiątki lat piasku wystawały szczyty kamiennych nagrobków. Stary poniemiecki cmentarzyk ewangelicki. Opuszczony, wielokrotnie sprofanowany, ale ciągle zachowujący pierwotną moc sacrum. Domorosły szaman porzucił rower i skoczył przez murek.

Uderzył się boleśnie kolanem o kant płyty nagrobnej, lecz poczuł ulgę. Był bezpieczny. Skulił się, drżący, pomiędzy grobami. Pasma mocy wirowały przed oczyma w postaci oceanu zielonych fal. Narkotyki pomagały widzieć więcej, nie pozwalały jednak ocenić, czy wizja jest realna, czy nie... Ale i tak był zadowolony. Wyczuwał ich. Wcześniej wiele razy próbował różnych technik i nigdy mu się nie udawało...



Do każdego instytutu archeologii od czasu do czasu przychodzą paczki. Zazwyczaj zawierają publikacje zaprzyjaźnionych placówek badawczych. Bywa jednak i tak, że na biurku pracownika naukowego ląduje przesyłka grubszego kalibru.

Naród nasz po latach uświadamiania zrozumiał z grubsza potrzebę istnienia archeologii i stara się, by nauka ta kwitła. Tak więc kartonowe pudełka kryją w sobie stosy zardzewiałego żelastwa, skorupy dziewiętnastowiecznych doniczek, kamienie, które znalazcy wydały się podejrzane. Część tych „zabytków” jest brudna, świeżo wydobyta z ziemi, inne wręcz przeciwnie, wyszorowane na wysoki połysk.

Ludziska myślą nagminnie archeologów z paleontologami, więc na biurkach lądują „kości dinozaurów”, czyli najczęściej krowie gnaty, oraz kamienie z odciskami muszli. Od czasu do czasu trafiają się znaleziska jeszcze ciekawsze – jeden z uczonych, otworzywszy przesyłkę, stwierdził, że zawiera dwa pociski od moździerza. Wezwani saperzy określili ich stan na niemal idealny i zachodzili w głowę, jakim cudem nie wybuchły, obijając się w trakcie transportu...

Mniej więcej raz na dziesięć paczek zawartość ma faktycznie coś wspólnego z archeologią. Czasem jest to garść średniowiecznych skorup, czasem cały garnek, niekiedy krzemienne narzędzia... Tyle tylko, że średniowiecznych skorup jest pełno dookoła każdej wsi istniejącej dłużej niż pięćset lat. Ludzie w

dawnych czasach nie znali jeszcze gminnych wysypisk śmieci i wszelkie swoje odpadki wywozili wraz z obornikiem na pola.

Tylko w jednej na kilkadziesiąt przesyłek trafi się coś naprawdę ciekawego...

Paczka była niewielka. Profesor Maciej Kowalski zważył ją w dłoniach. Ciężka... Wyjął z kieszeni nożyk introligatorski i zabrał się do rozpruwania. Pod grubą warstwą szarego papieru pakowego ukazało się nieduże pudełko po jakiejś margarynie.

– Zawsze podziwiałem idiotów, którzy jadają takie rakotwórcze paskudztwa... – mruknął uczonej sam do siebie.

Plastikowe opakowanie oczywiście nie było umyte, toteż już po chwili całe dłonie miał pokryte warstwą tłuszczu. Wreszcie oderwał wieczko. Sądząc z jasnych zacieków, nadawca przykleił je sporą ilością kleju. Wewnątrz znajdował się wilgotny nadmorski piasek. To akurat specjalnie profesora nie zdziwiło. Nadawcy lubią swoje skarby zabezpieczać na czas podróży. Otrzymywał przedmioty zawinięte w siano, stare szmaty, sznur do snopowiązałki, przesypane pierzem, trocinami, granulatem paszowym... Piasek nie był tu niczym nadzwyczajnym. Profesor ostrożnie przesywał zawartość paczki do plastikowej kuwety. W jasnym pyłe mignęło coś matowoczarne. Palce uczonego przeryły piach i wydobyły nieduży odłamek czarnej skorupy.

– Aha – mruknął.

Obrócił ją w dłoniach. Czarna grafitowana powierzchnia, do brzuśca garncarz dokleił waleczek gliny. Przez niewielką dziurkę przewleczone było zaśniedziałe kółeczko z brązu. Coś jak kolczyk tkwiący w małżowinie. Bo też i było to ucho. Ucho doklejone do fragmentu urny twarzowej kultury pomorskiej. Kowalski odszukał na papierze adres nadawcy.

Wyszedł na korytarz i zapukał do drzwi sąsiedniego gabinetu. Na pokrywającej je płycie pilśniowej lśniła nowością mosiężna tabliczka: *mgr Paweł Ryłski*.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Gabinet wyglądał dokładnie tak, jak w filmach ukazują się pracownie szalonych dziewiętnastowiecznych naukowców. Na biurku piętrzyły się kuwety, w nich tkwiły skorupy rozmaitych naczyń. Wilgotny piach utrzymywał w odpowiedniej pozycji klejone fragmenty. Półki masywnego regału wyłożono pożółkłymi gazetami, na których spoczywały ludzkie kości, a obok podręcznik medycyny sądowej, pozakładany tu i ówdzie wycofanymi z obiegu banknotami. Drugi regał zastawiony był książkami. Stół kreślarski ginął pod nierówną pryzmą planów wykopów oraz teczek z dokumentacją, a na szczycie stosu stał koszyczek wypełniony krzemiennymi narzędziami.

Młody, ciemnowłosy właściciel gabinetu pracował zapamiętale – walił w



natchnieniu w klawisze komputera.

– Panie kolego. – Profesor chrząknął znacząco.

Paweł odwrócił się zaskoczony.

– Witam, czym mogę służyć? – Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, ale oczy pozostały czujne.

– To przyszło dziś pocztą. – Uczony wręczył mu skorupę.

Magister powoli obrócił ją w dłoniach.

– Ucho urny twarzowej kultury pomorskiej albo bardzo zręczna imitacja – mruknął.

Wyjął z kieszeni sprężynowiec i poskrobał ostrożnie krawędź zabytku.

– Nie, to autentyk – odpowiedział sam sobie. – Piękny odłamek, ale gdzie jest reszta?

– Przyszło pocztą. Znalazł to nauczyciel ze wsi Zgniła Woda, gdzieś w województwie zachodniopomorskim.

– Cmentarzysko tej kultury z okresu największego rozkwitu... – zamyślił się magister. – Kto wie, może nawet kilkadziesiąt grobów... Ostatnie rozkopano...

– Będzie ze dwadzieścia lat temu. A gdyby udało się zlokalizować ich osadę – kusił profesor – byłaby sensacja na grubszą skalę. Dlatego weźmiesz doktora Olszakowskiego i pojedziecie na rekonesans. Znajdziecie nauczyciela, niech pokaże miejsce, rozpatrzcie się w terenie...

– Jasne, tylko gdzie jest ta cała Zgniła Woda? – Paweł sięgnął dłonią i wy dobył z regału opasy atlas Polski.

Kartkował przez chwilę indeks, a potem otworzył na odpowiedniej stronie.

– Jest – mruknął z zadowoleniem. – Gmina Lewkowo... Kiepska skala – westchnął. – Trzeba będzie sztabówkę...

Wybiegł z gabinetu, podzwaniając kluczami od archiwum. Wrócił po kilku minutach. Zestawił kuwety ze skorupami na podłogę i rzucił arkusz mapy na biurko.

– Od zachodu szosa do wsi Lewkowo, gdzie mieści się siedziba gminy. Do Zgniłej Wody jest jeszcze kilka kilometrów drogi gruntowej. Wioska to tylko kilka gospodarstw... A co to za dziwne podłużne budynki?

– Sądzę, że to baraki pegeeru – mruknął profesor.

– Racja, jest nawet zaznaczone. Od południa las i bagna, od północy morze, od zachodu rzeka, wzdłuż niej bagna... Rany, miejsce prawie odcięte od świata!

– Nie takie znowu odcięte, na pewno mają linię telefoniczną. Zresztą w dobie telefonów komórkowych nie ma to aż takiego znaczenia.

– Sprawdzę jeszcze arkusze Archeologicznego Zdjęcia Polski – mruknął magister.

– Rzuć też okiem, jak to wyglądało przed wojną. Mamy chyba niemieckie

mapy?

– Tak, ale nie dla całego obszaru.

Ponownie zniknął. Wrócił z pożółkłym nieco arkuszem.

– Jest! – powiedział, rozkładając go na stole. – Dawniej ta wieś nazywała się Totenberg.

– Martwa Góra albo Góra Śmierci – westchnął profesor. – Niedobrze.

– Dlaczego?

– Ta nazwa nie powstała bez powodu. Myślę, że na wzgórzach znajdowano ludzkie kości. A to może oznaczać, że nasze cmentarzysko było rozgrzebywane przez tubylców. Z drugiej strony kultura pomorska stosowała przeważnie kremację... Możliwe zatem, że nazwa wzięła się od jakiegoś innego cmentarza – rozważał profesor. – Trzeba będzie zrobić kwerendę archiwaliów, warto by prześledzić dzieje okolicy i, co najważniejsze, sprawdzić, czy Niemcy nie kopali tam przed wojną.

– Zaraz się za to wezmę.

Jaka to przyjemność widzieć pracownika naukowego, któremu jeszcze się chce, pomyślał profesor, opuszczając gabinet.

Paweł grzebał w dokumentacji przez ładne kilka godzin. Nie natrafił na żadne ślady. Nawet pobliskie Lewkowo, którego prawa miejskie sięgały czternastego wieku, nigdy nie zainteresowało archeologów. Biała plama na mapach. Miejsce, gdzie można znaleźć dosłownie wszystko... Albo nic.



– Oto dobry dzień na dokonanie odkrycia naukowego, które wstrząśnie podwalinami archeologii! – oznajmił magister Rylski, patrząc, jak dziurawa szosa znika pod kołami samochodu.

– Tak pan sądzi, panie kolego? – Doktor Tomasz Olszakowski spojrzął znad okularów i przeczesał palcami skołtunioną brodę.

Od strony pobliskiego morza wiał ostry, zimny wiatr. Niebo zasnuwały ciężkie, ołowiane chmury.

– Jeśli to istotnie jest cmentarzysko, będziemy potrzebowali kilku studentów do roboty – mruknął młodszy z uczonych.

– Owszem.

Wjechali właśnie w las, gdy Rylski oderwał wzrok od szosy i gwizdnął cicho przez zęby.

– Niech pan spojrzy, doktorze!

Drzewa były niskie, niemiłosiernie powykręcane. Niektóre gałęzie rosły pionowo w górę, inne sterczały pod rozmaitymi kątami. Zwykle, wydawałoby się, sosny przyjmowały kształty jak z chorej wyobraźni nowoczesnego artysty. Magister zahamował i otworzył okno, by lepiej się przyjrzeć.

– Nie podoba mi się tu – mruknął.

– Dlaczego? – zainteresował się jego towarzysz.

– Cicho... za cicho...

Faktycznie, tylko wiatr świstał pomiędzy powykręcanymi drzewami.

– Sądzę, że można to wyjaśnić – mruknął starszy z podróżników. – Tu były kiedyś radzieckie poligony. Widocznie ta część lasu stanowiła cel dla artylerii. Pociski potrzaskały młode drzewka, te przeżyły, ale rosną chore i zdeformowane. Zwierzęta uciekły. Ptaki podobno pamiętają przez całe pokolenia obszary, w które nie należy się zapuszczać.

– Możliwe – mruknął Paweł. – Słyszałem, że na wybrzeżu Chile jest takie miejsce, gdzie w dziewiętnastym wieku była stacja łowców fok. Kilka kilometrów dalej na plaży wylegają się ich setki, a w okolicach dawnych polowań nie można odnaleźć ani jednej. Ale mimo wszystko tu jest dziwnie...

Zamknął okno i zapalił silnik. Samochód ruszył naprzód.

– Coś mi się zdaje, że i w drogę parę razy trafili – zażartował doktor, gdy mijali szczególnie rozległą dziurę w asfalcie. – Trzeba będzie uważać. Jeśli tu był poligon, mogą się poniewierać niewypały. A studenci, sam pan wie, panie kolego, jacy są. Znajdą, to zaczną rozkręcać i może być nieszczęście.

Wyjechali z lasu, przed nimi rozciągały się wydmy porośnięte lichą trawką i gdzieniegdzie krzewami. W powietrzu unosił się dziwny, trudny do określenia smród.

– Przeterminowane nawozy azotowe czy ki diabeł? – zastanawiał się doktor. – Zwykle szambo tak nie śmierdzi.

– Może gnijące na brzegu morza wodorosty? – podsunął kierujący autem. – Plaża niedaleko, zaraz za tymi wydmami.

Na poboczach, w krzakach, bieleły plastikiem dzikie wysypiska śmieci. Pola dawnego pegeeru zarastał już młody brzeźniak. Drzewka usiłowały czerpać soki z jałowej gleby. Nadmorskie wiatry przyginały je do ziemi.

Rylski dodał lekko gazu, podświadomie chcąc wydostać się jak najszybciej z ponurej okolicy, jednak już po chwili znowu musiał zwolnić. Ta droga zdecydowanie nie nadawała się do szybkiej jazdy. Przed samą wsią nawierzchnia nieoczekiwanie się poprawiła. Dziury zasypano tłuczoną cegłą i ubito. Na nieprawdopodobnie starej zielonej tablicy widniała nazwa osady. Korozja żrąca metal odsadzała lakier, całą powierzchnię pokrywały rdzawe purchle, lecz ciągle widać było napis *Zgniła Woda*.

– Wygląda na to, że dotarliśmy – powiedział doktor Olszakowski. – Trzeba odnaleźć tego nauczyciela.

– Zbigniewa Minca – przypomniał magister.

Wjechał pomiędzy opłotki. Dwa rzędy baraków wzniesiono tu zapewne

jeszcze w okresie rozkwitu pegeeru. Betonowe ściany upstrzyły rozbryzgi błota. Pokrzywione, przepalone ceglane kominy sterczały z dachów pokrytych dziurawą papą. Największe otwory zasłonięto starymi workami po nawozach sztucznych, przygniecionymi w rogach kawałkami cegieł. Nieprawdopodobnie brudne szyby i wykoślawione, rozłazące się, odrapane drzwi strzegły życia ludzi zamieszkujących te nory.

Przed domami, sądząc po resztkach ścieżek z płyt chodnikowych, znajdowały się w przeszłości niewielkie ogródki. Obecnie ciemne błocko podchodziło aż do drzwi. Nigdzie nie było widać tabliczek z numerami domów.

– Co za chlew – mruknął magister. – Rozumiem, że nędza, ale mogli te dziury w ścianach zaklajstrować choćby gliną... Ponuro tu jakoś.

– Bo i dzień taki ponury...

Pośrodku wsi, na niedużym placu, sterczał mocno pochylony budynek z płyty pilśniowej. Sądząc po grubych kratkach zabezpieczających brudne okna, był to sklep. Na betonowych schodkach siedziało kilku tubylców. We czterech rozpijali flaszkę taniego wina. Magister zatrzymał samochód i wysiedli. Pomiędzy barakami snuła się woń fermentującego szamba. Jeden z domów udekorowano krzywo przytwierdzoną, zardzewiałą tablicą, która informowała, że tu mieści się *Szkoła Podstawowa w Lewkowie, filia w Zgnitej Wodzie*.

– Cywilizacja – parsknął magister, ale doktor nie podchwycił żartu.

Odprawdzani uważnymi spojrzeniami autochtonów, po popękanych schodkach weszli do sklepu. Umeblowanie w pełni korespondowało z wyglądem zewnętrznym lokalu. Ładę obito szarą od brudu ceratą, na zakurzonych półkach z płyty wiórowej gdzieniegdzie stały torby z mąką i makaronem oraz jakieś słoiki z przetworami. Najbardziej eksponowane miejsce zajmowało kilkadziesiąt flaszek wina marki Ogier. Za ladą na krześle siedziała rozlazła, zapasiona baba w nieokreślonym wieku.

– Wy czego? – zapytała konkretnie.

– Szukamy Minca – odparł równie konkretnie Olszakowski.

– A, nauczyciela – burknęła, szczerząc popsute zęby. – A, to pewnie w szkole jest...

– Panowie do mnie? – rozległo się z tyłu.

Odwrócili się jak na komendę. W drzwiach stał jeden z tubylców, którzy przed chwilą na schodach znęcali się nad butelką.

– Miło mi niezmiernie, zapewne panowie archeolodzy?

Przedstawili się i wymienili uścisk dłoni. Nauczyciel miał ciężką, kostropatą, murarską łapę. Zalatywało od niego wonią taniego wina.

– Zainteresował nas ten kawałek skorupy – wyjaśnił doktor. – Chcieliśmy obejrzeć miejsce, w którym został znaleziony.

– Cztery flaszki – nauczyciel spokojnie wymienił cenę.

Spojrzelili po sobie zaskoczeni.

– Tyle to będzie kosztowało – wyjaśnił Minc. – Za wszystko w tym kraju trzeba płacić.

– Cztery flaszki czego? – zapytał ostrożnie Ryłski.

– A tego, o, ogiera – wskazał półkę.

– Piętnaście złotych – wyjaśniła sprzedawczyni.

– Piętnaście złotych za takie gówno? – zdumiał się Olszakowski.

– Za cztery butelki z kaucją – uściśliła. – To co, podawać czy nie podawać? Mnie za gadanie nie płacą!

Magister odliczył żadaną kwotę. Nauczyciel umieścił dwa mózgotrzepy w kieszeniach marynarki, a dwa wziął w dłonie.

– A szkło niepotrzebne? – zatroszczyła się sprzedawczyni, wskazując plastikowe kubeczki.

– E, jeszcze mamy – uspokoił ją.

Wyszedł przed sklep. Kumple na jego widok ożywili się wyraźnie.

– Chłopaki, załatwiłem wam dwa „soki” od naszych nowych sponsorów-naukowców! – oznajmił gromko nauczyciel.

Kucnął, opierając się o ścianę, i wyciągnął przed siebie trzęsące się ręce z flaszkami. Wypuścił obie jednocześnie. Puk, puk – uderzyły o betonowe schodki. Magister ze zdumieniem spostrzegł, że od precyzyjnego uderzenia odpadły denka. Nauczyciel złapał butelki za szyjki i jednym zręcznym ruchem odwrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Denka zostały na stopniu, a on trzymał dwa jakby kielichy pełne złocistego napoju. Rozlał przy tym zaledwie kilka kropli. Podał wino kumplom i wstał.

– No to w drogę – powiedział do zaskoczonych archeologów.

– Niezła sztuczka – mruknął Ryłski, gdy sadowili się w samochodzie.

– A tak, z nudów człowiek tak do wprawy dochodzi – wyjaśnił Minc. – A ta skorupa, znaczy się, ciekawa?

– Tak nam się wydaje, ale musimy zobaczyć miejsce, żeby się upewnić.

– Ech, przydałyby się w okolicy wykopaliska – westchnął nauczyciel – bo tu, kurde, wszyscy na bezrobociu, kuroniówka już się skończyła, a do łopaty przecież przyuczeni od małego.

Zaraz za wsią rozciągała się piaszczysta równina porośnięta lichą trawą. Szosa zamieniła się w żuźłówkę, a potem w piaszczystą ścieżkę. Paweł po namyśle zatrzymał samochód.

– Co się stało? – zapytał Minc.

– Nie pojedę po tym, przecież zagrzebię się po osie w piasku.

Wysiedli. Magister wyjął z bagażnika saperkę, doktor zabrał torbę z lekkim

sprzętem. Ruszyli na piechotę ścieżką przez wydmy.

– Co tak śmierdzi? – zapytał nauczyciela.

Każdy podmuch wiatru przynosił kolejne fale dziwnej woni.

– A, to? Szambo za wydumą wylewamy. Musi skisło...

Równina zarośnięta lichą trawą ciągnęła się po horyzont. Góra Śmierci okazała się po prostu sporą wydumą, najwyższą w tej okolicy. Maszerowali ścieżką. Gdzieniegdzie z piasku sterczało po kilka, kilkanaście kłosów zboża.

– To były pola waszego pegeeru? – zapytał Paweł, byle tylko przerwać nieznośne milczenie.

Nauczyciel rozejrzał się wokoło z frasunkiem.

– Coś tak jakby – powiedział – kazali siać, ale i tak nie rośło. A teraz już, cholera, nawet obsiewać nie każą. Kiedyś robota była i pieniądze szły, dziś bezrobocie degraduje miejscowych – dodał naukowo. – Niby i tak wcześniej dochodów z tego nie było, bo tu nawet kombajnem nie było jak wjechać, ale ludzie czuli, że robią coś pożytecznego. Teraz – machnął ręką – parszywe czasy...

Wreszcie stanęli nad niezbyt głębokim wąwozem przecinającym równinę.

– O, tu, patykami zaznaczyłem. – Minc wskazał trzy gałązki ułożone w trójkąt.

Zeskoczyli na dno. Rylski spojrzał uważnie na ściany rowu. Mniej więcej dwadzieścia centymetrów nad dnem ciągnęła się ciemna warstewka gruba na kilkanaście milimetrów.

– Poziom humusu pierwotnego – mruknął.

– Co to? – zaciekawiał się nauczyciel.

– Kiedyś tu był poziom ziemi, rosła trawa i odkładała się próchnica – wyjaśnił niecierpliwie doktor. – Potem, prawdopodobnie na skutek potężnego spływu z którejś wydmy, ta powierzchnia została przykryta metrową przeszło warstwą piasku.

Podszedł do ułożonego z patyków znaku. Skrobnął podłoże saperką. Piasek, piasek... Warstwa pierwotna była tu wyżej.

Poskrobał się po głowie.

– Myślałem, że w warstwę humusu był wkopany grób – powiedział w zadumie – ale nie ma tu żadnych śladów. Widocznie to ucho woda przyniosła z góry.

– To może chodźmy poszukać? – zaproponował magister.

– Taki właśnie miałem zamiar.

Poszli wzdłuż wąwozu. Cały czas towarzyszyła im cienka ciemna warstewka nad samym dnem.

– Jak pan sądzi, czy to była jednorazowa katastrofa, czy raczej piasek był

nanoszony stopniowo? – zapytał Minc doktora.

– Nie wiem. Nie wyobrażam sobie jednorazowego obsuwu, który pokryłby piachem tak duży obszar... To raczej były całe lata nawiewania. Może trawy na wydmach uległy wypaleniu, warstwa ziemi zerodowała i zaczął swobodnie przemieszczać się z wiatrem?

– Albo od jakiejś powodzi zostało – dodał nauczyciel.

Wyjął z kieszeni jedną z flaszek, a następnie, wyrwawszy korek zębami, pociągnął kilka łyków. Przeszli jeszcze dwadzieścia metrów. Teren wzniósł się, jar miał teraz około dwóch i pół metra głębokości. Patrzyli z niepokojem na piaskowe ściany, ale najwidoczniej trzymały się mocno. Warstwa humusu powoli wspinała się w górę; była teraz półtora metra nad dnem rowu. Nieoczekiwanie z boku pojawiła się nieregularna ciemna plama.

– Znaleźliśmy – mruknął Paweł.

– To? – w głosie nauczyciela zabrzmiało rozczarowanie.

– Ktoś wykopał sporą dziurę w ówczesnej powierzchni ziemi – wyjaśniał Olszakowski, doczyszczając płamę saperką – wstawił do środka urnę i zasypał dziurę glebą zgarnianą wokoło. Dlatego jest trochę innego koloru niż ten piach.

Wydobył niewielki ułamek czarnej skorupy. Przeszedł jeszcze kilka kroków i wypatrzył kolejną ciemną plamę – tu brzusec urny wystawał ze ściany. Widać też było kawałek płytki z lichego, kruszącego się wapienia. Najwidoczniej ten grób miał kamienną obudowę po bokach.

– Metr ziemi do zdjęcia od góry – mruknął, patrząc na profil. – Sporo tu tego.

Zidentyfikował jeszcze dwa wykopy widoczne w skarpie. Na dnie wąwozu poniewierały się odłamki czarnych skorup.

– To co to było? – zapytał nauczyciel. – Cmentarz tych jaskiniowców?

– Tak, ale to już nie byli jaskiniowcy. – Rylski uśmiechnął się z wyższością. – Mieli gdzieś tu wioskę, a na pagórku założyli cmentarz. Ciekawe znalezisko.

– To jak będzie z nagrodą? – Oczy tubylca lekko zabłyśły.

– Wyślemy wniosek do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Trochę to potrwa, ale sądzę, że przyjdzie jakiś niewielki przekaz. Może nawet kilka stówek. Ważne, żeby nikt tu nie grzebał do czasu, jak wrócimy ze sprzętem.

– A tylko spróbują – mruknął Minc. – Zresztą nikt jeszcze nie wie, że to znalazłem.

– I bardzo dobrze. Trzeba będzie przeprowadzić szczegółowe badania... Wracajmy.

Niebo zasnuły fioletowe, ciężkie chmury, lada moment mógł lunąć deszcz. Nauczyciela podwieźli pod sklep. Gdy pozbyli się już pasażera, Paweł odetchnął

z ulgą i ruszył wyboistą drogą w stronę cywilizacji.

– Uff, paskudna okolica – powiedział do towarzysza.

– I ludzie nieciekawi – dodał doktor. – Ale cóż począć? Czasem w śmietniku trzeba pogrzebać, żeby znaleźć perły.

Magister dodał gazu. Byle dalej od tego posępnego miejsca.

Wreszcie pojawiły się domy Lewkowa. Odrapane, walące się rudery po wizycie w Zgniłej Wodzie wydawały się ostoją normalności. Była tu nawet poczta i przystanek pekaesu. Doktor sprawdził telefon komórkowy, jednak aparat nadal nie łapał pola. Dopiero dwa kilometry dalej nieoczekiwanie odnalazł sieć.

– Trzeba się zastanowić, gdzie zamieszkamy podczas wykopalisk – powiedział Olszakowski, gdy wyjechali wreszcie na dobrą drogę. – Ten pegeer wydaje mi się potwornie syfiasty.

– Łatwo sobie wyobrazić wnętrze tych baraków – mruknął magister. – Ściany wykończone płytą gipsowo-kartonową, przeżarte wieloletnim, ba, wielopokoleniowym brudem, zacieki od dziurawego sufitu, grzyby ścienne...

– Zapewne nawet tych rakotwórczych odmian – uzupełnił doktor.

– W dodatku nie sędzę, żeby mieli jakieś wolne pomieszczenia. Tych baraków jest tylko kilka, a, jak pan widział, kręciła się tam cała masa ludzi. Sędzę, że trzeba będzie podejść do sprawy tradycyjnie. Wdziałem taką trawiastą łączkę kawałek na zachód od stanowiska. Ziemia powinna utrzymać śledzie. A na strychu instytutu powinny być stare wojskowe namioty.

– Tak chyba trzeba zrobić – westchnął doktor. – Ekspedycja jak w dziewiętnastym wieku.

– Prądu nie będzie – mruknął Paweł. – Można by pociągnąć ze wsi kabel, ale nie mamy dwukilometrowego drutu... A kupić, po te siedemdziesiąt groszy za metr razy dwa tysiące...

– Sporo – powiedział jego towarzysz. – Zresztą nie wiem, czy we wsi jest prąd.

– Jak to?

– W sklepie brak lodówki, nie było też oświetlenia, choć dzień dość ponury.

– Przecież kołchoz, przepraszam, pegeer musiał mieć elektryczność! Elektryfikacja plus władza rad i reszta tych sloganów.

– Cztery kilometry do Lewkowa, niby niedaleko... Mogli mieć w pegeerze własny generator, na przykład na ropę, a teraz nie ma po prostu paliwa. Włączają go może na kilka godzin dziennie. Zresztą nie widziałem ani słupów trakcyjnych, ani anten na dachach.

– Szkoła musi mieć prąd. I w sklepie stał telewizor.

– Może i racja, zimą byłoby zbyt ciemno. – Doktor zamyślił się. – W



instytucie mamy jakiś agregat. Stary jak świat, ale trzeba sprawdzić, czy jeszcze działa...



Poranek we wsi. Wałące się domy, błoto, tubylcy na schodkach przed sklepikiem sączą pierwszą tego dnia flaszkę najtańszego wina. W powietrzu wisi mgła. Wszystko wokół jest szare, ponure i beznadziejne. Jedynym akcentem kolorystycznym, który nie pasuje do otoczenia, jest czerwona półciężarówka instytutu.

Rylski wszedł do sklepu.

– Gdzie mieszka nauczyciel? – zapytał sprzedawczynię. Spojrzała na niego spoде łba.

– A, w szkole go znajdziecie – burknęła. – Lekcje teraz ma.

Podjechali pod barak ozdobiony czerwoną tabliczką.

– Niech pan jedzie na miejsce, doktorze – zwrócił się do Olszakowskiego. – My dołączymy później.

Magister ruszył po schodkach do szkoły. Pchnął lepkie od brudu drzwi z dykty. Za nimi ciągnął się cuchnący moczem, ciemny korytarz. Mężczyzna zapukał do drzwi opatrzonych tabliczką z napisem „Klasy I-IV”.

– Wejść! – rozległo się warknięcie.

Otworzył drzwi i wkroczył do sali. W ławkach siedziało dziesięcioro dzieci w różnym wieku. Spojrzały na niego bezmyślnie. W powietrzu unosił się smród niemytych ciał, niepranych skarpetek i upiornej stęchlizny. Aż mu się zakręciło w głowie.

Nauczyciel przerwał swoje przemówienie.

– Ach, to pan – uśmiechnął się do archeologa. – To jak, będzie ekspedycja?

– Właśnie przywieźliśmy sprzęt. Do kogo należy tamto pole za rowem?

– A, pegeerowskie, możecie sobie kopać do woli. Syndyk sprzedał, co się dało, i już z pięć lat się nie pokazuje. A sołtysem wsi jestem ja i macie ode mnie pozwolenie. Będziecie potrzebowali robotników?

– Tak, ludzi z łopatami i z pięć par taczek...

– Da się załatwić. Koniec lekcji! – huknął na uczniów. – Zmiatać do domów i powiedzcie starym, że za piętnaście minut przed biurem będzie zebranie w sprawie pracy!

Smarkateria pozbierała zeszyty oraz nieliczne wystrzępione podręczniki, a potem tłumnie rzuciła się do drzwi.

– Coś te dzieciaki mizerne – zauważył Rylski, gdy Minc zamykał drzwi klasy.

– Bo to po pijanemu poczęte.

Przeszli przez wieś. Za barakami wznosił się budynek mieszczący zapewne

w czasach świetności osady biuro pegeeru. Obecnie konstrukcja przechyliła się na jedną stronę, a okna zarosły pajęczynami. Nauczyciel wyłowił z kieszeni klucz i pokonując zardzewiały zamek, wpuścił magistra do środka. Pomieszczenia nie używano od wielu miesięcy. Było duszno i cuchnęło myszami.

– Są i narzędzia – mruknął Minc, otwierając kopniakiem kolejne drzwi. Na podłodze komórki piętrzył się stos rzuconych byle jak łopat i szpadli. Stalowe elementy pokryła delikatna kaszka korozji.

Pod ścianą stało kilka zardzewiałych taczek.

Obejrzeni pobieżnie zdezelowany sprzęt, a potem wyszli na spotkanie z siłą roboczą. Przed barakiem stało już ze dwudziestu chłopów. Patrzyli na archeologa i sołtysa. Niektórzy drapali się po zmierzwionych kudłach lub nieogolonych mordach.

– Ilu potrzeba? – zapytał rzeczowo Minc.

– Nie więcej niż dziesięciu.

– W szeregu zbiórka! – huknął.

Ustawili się niechętnie. Nauczyciel wyjął z kieszeni elektroniczny alkomat.

– Pijani dwa kroki w tył – polecił. – Wstawieni też.

Szereg cofnął się posłusznie o dwa kroki.

– Trzeba było przyjechać przed otwarciem sklepu – pouczył Minc magistra.

– O tej porze już późno... Trudno, bierzemy, co jest. Dziesięciu do roboty przy łopatach wystąp! – polecił. – Cztery złote za godzinę, dwanaście godzin dziennie, bez opierdalania się.

Część odwróciła się na pięcie i odeszła. Zostało jedenastu.

– I żadnego chlania w miejscu pracy – uściślił nauczyciel.

Trzej kolejni robocze zrezygnowali. Zostało ośmiu.

– Oto pańska ekipa. – Nauczyciel skinął głową Ryłskiemu. – Taczki w dłoń, łopaty na taczki i na Trupią Górę! – huknął.

– Eee, na Trupią Górę? – mruknął któryś.

– Coś ci się, Malinowski, nie podoba?

– No, to, jak by powiedzieć, złe miejsce. Zresztą sam wiesz...

– Złe nie złe, robota jest do wykonania. A jak który nie ma ochoty machać łopata, to niech spierdała w podskokach.

Wszyscy widać chcieli zarobić, bo nikt się nie ruszył.



Zazwyczaj laikom wydaje się, że praca archeologa jest łatwa i przyjemna. Siedzi się z pędzelkiem i odkurza tkwiące w ziemi skorupki. Owszem, archeolodzy zajmują się także odkurzaniem znalezisk, ale stanowi ono nie więcej niż pięć procent ogólnego czasu pracy. Niewiele zmieniło się od

dziewiętnastego wieku. Nadal podstawowym narzędziem badawczym jest łopata. Zazwyczaj warstwy interesujące dla uczonych znajdują się pod powierzchnią ziemi. Czasem metr, czasem mniej... Nadmiar gleby należy usunąć. Można to zrobić na przykład spychaczem, każdorazowo zdzierając około trzydziestu centymetrów nadkładu. Jednak gdy zbliżymy się do warstw cennych dla nauki, spychacz wraca do bazy. Teraz głównym argumentem badawczym stają się łopata i taczka do transportu zbędnej gleby.

To najgorszy możliwy moment. Należy zerwać złogi geologiczne, uważając przy tym, by nie naruszyć specjalnie warstw kulturowych. Nadmiar ziemi należy wywieźć na hałdę. Każda taczka, jeśli się ją solidnie naładuje, to czterdzieści do pięćdziesięciu kilogramów. Bywają dni, że takich porcji wywozi się nawet pięćdziesiąt. Metr sześcienny ziemi waży półtorej tony...

Z reguły pierwsze praktyki wykopaliskowe studenci odbywają między drugim a trzecim rokiem studiów. Chodzi o to, by nie zniechęcać ich przedwcześnie. Po całym dniu wypełnionym na przemian machaniem łopatą i przerzucaniem hałd zdarzają się chwile załamania. Pewien odsetek studentów przekonuje się, że archeologia nie jest jednak celem ich życia.

Po zerwaniu nadkładu i szczęśliwym wywiezieniu go poza obszar wykopu zaczyna się kolejny etap zabawy. Powierzchnię należy wyrównać gracą, sfotografować, zdjąć siatkę punktów niwelacji, narysować plan na papierze milimetrowym...

Potem można kopać dalej. Prowadząc łopatę na płask, zdejmuje się warstwę ziemi grubą na pięć do dziesięciu centymetrów. I znowu doczyszczanie, niwelacja, fotografia, plan. W trakcie kopania oczywiście należy uważać na każde, najdrobniejsze nawet gówienko. Kawałki kości, paciorki, skorupki – to wszystko trafia do plastikowych torebek. Zdejmowane warstwy należy opisywać w specjalnych formularzach, woreczki ze znaleziskami oznacza się numerami warstw. Każdy ruch łopatą rodzi masę biurokratycznej roboty.

Na koniec ziemię z eksplorowanego obszaru należy przesiać przez sito o drobnych oczkach, celem pozyskania wszystkich tych drobnych artefaktów, które przeoczono przy kopaniu. Zbadanie wykopu o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych na głębokość jednego metra może zająć miesiąc. Jeśli natrafi się na fundamenty, groby, wysypiska śmieci et cetera, czas pracy wydłuża się nawet trzykrotnie.

Doktor Olszakowski stał na szczycie wzgórza. Poniżej grupa byłych pegeerowców pracowała ciężko, usuwając nadkład. Oczyszczali kawałek o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia metrów. Cztery ary powierzchni. Ziemię wozili taczkami po kładce z desek i zsypywali ją do wąwozu, z dala od pochówków.

– Wydajność minimalna – powiedział stojący opodal Paweł. – Mam nadzieję, że studenci pojawią się dziś wieczorem i od jutra będzie można ich zmienić.

– No cóż, odwykli od pracy – westchnął doktor. – Kiepsko się odżywiają, bardzo dużo piją i są efekty... Przypomina mi to takie opowiadanie o ufoludkach, którzy przylecieli nałapać na Ziemi niewolników do pracy w kopalniach, złapali pijacka i zrobili próby wytrzymałościowe, po czym odlecieli, sądząc, że Ziemianie do niczego się nie nadają.

Paweł parsknął śmiechem. Przeszedł kilka kroków i kopnął wystający z ziemi kawałek drutu. Po chwili wyciągnął z piasku miedzianą kratę, mierzącą mniej więcej siedemdziesiąt na siedemdziesiąt centymetrów.

– A cóż to jest takiego? – zdumiał się. – Tak czy siak, współczesny śmieć...

– Przypuszczam, że to taki ekran, jakiego używają radiesteci – odparł Tomasz po namyśle. – Wsuwają to pod łóżka, żeby oddzielić się od żył wodnych.

– Czego to ludzie nie wymyślą – mruknął jego towarzysz, odrzucając siatkę. – Chodźmy zobaczyć, co też tam ukopali.

Zszedł niżej. Na sporej części powierzchni robotnicy odsłoniли ciemniejszą warstwę pierwotnego humusu. Przeszedł się.

– Dobrze kopimy, nie? – zagadnął go Minc. – Ja tu ich pilnuję!

– Bardzo dobrze – pochwalił archeolog.

W kilku miejscach warstwa pierwotna tworzyła nieduże pagórki o średnicy około półtora metra. Czy mogły to być nasypy grobowe, coś na kształt niewielkich kurhaników, które zapadły się i zostały rozmyte przez deszcze, jeszcze zanim lotne piaski pochłonięły starożytne cmentarzysko? Co kryły wewnątrz? W kilku miejscach spod ciemnej ziemi wystawały kamienie. Przypadek, czy może obudowy grobów? Trzeba będzie sprawdzić. Jeśli okaże się, że każdy taki pagórek kryje pochówek z urną twarzową, będzie to jedno z najbogatszych cmentarzysk tej kultury, jakie kiedykolwiek odkryto.

– Czy myślimy o tym samym? – zagadnął Olszakowski. – Ponad dwadzieścia grobów na już odsłoniętym obszarze. A to oznaczać może...

– Ośrodek kultu, i to ważny – mruknął Rylski. – Świątynia oraz miejsce grzebalne. Albo osada. Duża osada, ludna, zamieszкана przez co najmniej kilkanaście, może kilkadziesiąt rodzin. Osada, jakiej nie rozkopano od stu, może stu pięćdziesięciu lat... Sława, granty badawcze, ciekawa praca...

– Oraz wzbogacenie wiedzy o tym ludzie – dodał poważnie doktor. – Do tej pory nie znaleziono ich miejsc kultu. Tu było wzgórze. Zazwyczaj cmentarze zakładali na południowych stokach, ale ten jest od strony północnej.

– Od południa niedaleko jest bagno. A to oznacza, że wieś była tu, między Trupią Górą a tamtymi wydymami. – Machnął ręką. – Może bliżej rzeki? Tak czy

inaczej, to tylko cztery, może pięć kilometrów kwadratowych do przebadania. Studenci przywiozą świdry. Znajdziemy tę wiochę. Zrobimy odwierty w siatce co dziesięć metrów...

– Czyli sto na hektar, dziesięć tysięcy na kilometr kwadratowy – ostudził go starszy kolega. – Myślę, że raczej trzeba ściągnąć radar geologiczny i poszukać anomalii, dopiero potem wiercić. Gdzieś tu była niemiecka wioska, a nie widać po niej nawet śladu. Warstwa piachu nawianego z wydmy musi być więc dość gruba.

– Wioska tutaj? – zdziwił się Ryłski. – Sądziłem, że tam, gdzie pegeer.

– Nie, sprawdziłem na przedwojennej mapie. Prawdopodobnie pod tantym zagajnikiem – wskazał brzeźniak – bo jeśli tu były pola pegeeru, to wyorywaliby kawałki cegły... No ale to już nie nasza sprawa – zreflektował się. – Szukamy czego innego. O, publiczność – zauważył nagle.

Na wydmy kilkaset metrów od nich siedział jakiś ubrany na ciemno człowiek.



Literatura i filmy utrwaliły w naszych oczach archaiczny obraz ekspedycji archeologicznych. Jałowa pustynia, na niej stoją namioty, w kociołku zawieszonym nad ogniskiem warzy się strawa. Rzeczywistość z reguły jest inna. Archeolodzy wynajmują sobie kwatery w pobliskich wsiach, na teren wykopalisk dochodzą piechotą. W krajach bardziej egzotycznych niekiedy używa się jeszcze namiotów, częściej jednak ekspedycja posiada bazę w pobliskim miasteczku lub wznosi, siłami miejscowych, prowizoryczne baraczkę. Jeśli badania prowadzone są w miastach, uczeni oraz studenci odbywający praktyki gnieźdzą się w akademikach, pensjonatach lub najtańszych hotelach.

Wykopaliska w Zgniłej Wodzie miały wyglądać jak te klasyczne, z pionierskich lat archeologii. Na niedużej łączce, oddalonej o nie więcej niż sto metrów od terenu wykopalisk, wyrosły dwa duże brezentowe wojskowe namioty. W pierwszym rozstawiono składane stoły, krzesła i stalowe skrzynki z różnym wyposażeniem. W drugim, mniejszym, dwa składane łóżka dla kierownictwa. Obok pod daszkiem stanął stary jak świat agregat prądotwórczy i kanistry z ropą. Olszakowski odprowadził ciężarówkę do miasta, ale po sześciu godzinach przyjechał fiatem, holując malutką, tysiąclitrową cysternę z wodą. Z kilku kamieni ułożono prowizoryczne palenisko. Spory kawałek łąki czekał jeszcze na namioty, w których zamieszkają studenci odbywający praktyki...



Studenci nadciągnęli późnym popołudniem. Doktor widział ze swojego stanowiska na szczycie wydmy, jak maszerowali, a raczej wlekli się ścieżką. Było

ich troje. Dwie dziewczyny i jeden chłopak...

Wreszcie dotarli do obozu. Magister Ryłski najwyraźniej udzielił im wstępnych instrukcji, bowiem sprawnie rozstawili swoje namioty, zamykając czworobok obozu.

– Fachowców sobie ściągacie? – zagadnął nauczyciel.

– Właśnie – mruknął Tomasz.

– A co, my już nie wystarczymy? – spytał któryś z byłych pegeerowców.

– Są zadania, do których niezbędne jest kilkuletnie wyszkolenie – wyjaśnił spokojnie kierownik. – Wy macie problemy nawet z tym, żeby odróżnić piasek od ciemniejszej gleby...

Spojrzał na zegarek. Siedemnasta.

– Fajrant – oznajmił.

Zwalili łopaty na jeden stos i ustawili się w kolejkę. Wyplacał po trzydzieści pięć złotych. Na szczęście miał drobne.

Robotnicy zwinęli się szybko, po chwili znikli po drugiej stronie jaru. Tomasz ruszył do obozowiska.

– Baczość, obiboki! – huknął magister, widząc przyjaciela. – W szeregu zbiórka!

Zbrali się niechętnie, tworząc trzyosobowy szereg.

– Nazywam się Tomasz Olszakowski – powiedział doktor spokojnie. – Na wstępie zaznaczę, że bardzo nie lubię studentów i właśnie dlatego jestem kierownikiem tych wykopalisk. Rozkopujemy tu stanowisko wręcz bezcenne z naukowego punktu widzenia, więc wymagał będę ogromnej dokładności i ślepego posłuszeństwa w wykonywaniu moich poleceń. A tak właściwie to pewnie się jakoś nazywacie?

Przedstawili się, ale od razu pozapominał ich imiona. Rozsiedli się na składanych krzeselkach. On też zajął miejsce.

– A zatem po kolei – ciągnął. – Na tym wzgórzu, które nawiasem mówiąc, nosi uroczne miano Trupiej Góry, znajduje się cmentarzysko kultury pomorskiej...

Twarze praktykantów nie wyrażały nic poza uprzejmym zaciekawieniem.

– Chyba słyszeliście o kulturze pomorskiej, profesor Hensel nazywa ją wejherowsko-krotoszyńską...

Nadal brak reakcji, ale zauważył, że są przestraszeni.

– Do licha, musieliście się o tym uczyć na pierwszym roku! – huknął.

– Ale my... – jęknęła jedna z dziewcząt i zaraz umilkła speszona.

– Jesteście przecież studentami!

– Tak, ale z egiptologii w Poznaniu – wyjaśniła druga.

– O żeż... – powstrzymał cisnące się na usta przekleństwo.

Zerwał się z krzesła i przeszedł kilka kroków po piachu.

– Byliście kiedyś na wykopaliskach? – rzucił pytanie przez ramię.

Trzy głowy pokręciły przecząco.

– To jest sabotaż – powiedział w przestrzeń.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałem – dodał Rylski. – Zamawiamy dwudziestu studentów, dostajemy tylko trójkę, w tym jednego z antropologii.

– To ja. – Jasnowłosa kiwnął dumnie głową.

– Ktoś nam pozazdrościł odkrycia – wydedukował Olszakowski. – I co tu dalej robić? Chyba jedynym wyjściem jest zasypanie wszystkiego, zabetonowanie, żeby miejscowi nie dłubali, i powrót za rok z większą ekipą.

– Poradzą sobie – mruknął magister.

– Wątpię...

– Czy to aż takie trudne? – zagadnęła ta z warkoczem. – My się szybko uczyliśmy...

Podjął decyzję.

– Dobrze – powiedział z ciężkim westchnieniem – angażujemy was... na okres próbny. A od jutra do roboty. Zobaczymy, jak sobie dacie radę.

– Czy mógłby pan tak króciutko opowiedzieć o tej kulturze, którą będziemy badać? – zapytała nieśmiało druga.

Doktor tytanicznym wysiłkiem umysłu spróbował sobie przypomnieć jej imię. Chyba Iwona.

– Dobrze. Faktycznie przyda wam się trochę informacji... Wyobraźcie sobie, że jesteśmy na tych terenach w siódmym wieku przed naszą erą. Dopiero co przetoczyły się tędy watahy Scytów, które zniszczyły kulturę łużycką, znaną wam zapewne doskonale z Biskupina. Zgliszczą grodów dopalają się, a tu, na Pomorzu, pojawia się nowa grupa zwana kulturą pomorską. Jej przedstawiciele pozostawili po sobie bardzo niewiele. Bada się głównie cmentarzyska. Wiemy, że palili swoich zmarłych, podobnie jak „łużycanie”, był to zresztą powszechny wówczas sposób pochówków. Popioły zbierali w urny kształtem zbliżone do butelek po koniaku, tylko oczywiście znacznie większe i z zaokrąglonym dnem...

Studenci roześmiali się.

– Urny były grafitowane, tak że ich powierzchnia jest idealnie czarna. – Wyjął z kieszeni kawałek i zaprezentował. – W górnej ich części ryli kreski układające się w rysy twarzy, stąd też nazwa „urny twarzowe”. Niewiele wiemy o życiu ludzi z kultury pomorskiej. Znaleziono ślady tylko kilku osad. Dlatego też mamy wielką nadzieję, że gdzieś w tej dolinie, między Trupią Górą a wydmami, odnajdziemy kolejną. Okres istnienia ich cywilizacji musiał być w miarę spokojny, gdyż znalezione dotąd osiedla nie były obwarowane. Brak też śladów pożarów, znanych choćby z łużyckiego Biskupina. Czuli jakichś bogów,

na ściankach urn wryty i napszczono białą farbą tak zwane ryty narracyjne, coś w rodzaju komiksów pokazujących sceny z życia, a może nawet wierzenia. Najczęściej są to obrazki przedstawiające dachy domów lub drzewa, wozy, na których jadą wyniosłe postaci, przypuszczalnie wodzowie lub posągi bogów. Wokoło galopują konno na oklep inni ludzie. Może odrodzeni zmarli, a może uczestnicy wypraw wojennych?

– Bardzo ostrożne interpretacje – mruknął przyszyły antropolog.

Olszakowski usiłował sobie przypomnieć, jak student ma na imię. Ach tak, Oleg.

– Owszem, ale gdybyś żył, powiedzmy, za tysiąc lat, co byłbyś w stanie wydedukować z zamazanego zdjęcia warszawskiej ulicy, nie mając w dodatku żadnych źródeł pisanych do historii naszego okresu?

– Warto wspomnieć o jeszcze jednej teorii – podpowiedział Ryłski. – Mówi się o tym, że kultura pomorska mogła mieć związki z Etruskami. Profesor Hensel, z tego, co słyszałem, jest tego prawie pewien. Widzicie, Etruskowie także używali urn twarzowych, i to z grubsza w podobnym okresie.

– Zapuscili się tu bursztynowym szlakiem? – zapytała ta druga. Chyba miała na imię Magda. – A potem jakaś grupa osiedliła się na Pomorzu, aby skupować bursztyn?

– Teoretycznie można by coś takiego przypuszczać. Tyle tylko, że w tym czasie szlak przez nasze ziemie nie był jeszcze przetarty. Etruskowie, owszem, znali bursztyn, przywozili go jednak z terenów dzisiejszych Niemiec. Poza tym ich urny twarzowe są innego kształtu i używało ich tylko jedno etruskie plemię. Tak więc nie wiemy, czy kultura pomorska to ślad obcej penetracji, czy też nie.

– Jak można by to sprawdzić? – zaciekała się Iwona.

– Tylko w jeden sposób – powiedział poważnie Olszakowski. – Jeśli podczas badań cmentarzysk lub osad odnajdziemy jakieś towary, które Etruskowie przywieźli tu na wymianę... Sami widzicie, jak wielka szansa stoi przed nami.



Wczesnie rano doktor pognął gromadkę na szczyt wzgórza. Poinstruował, jak należy doczyszczać powierzchnię, wyjaśnił metody rysowania planów wykopu, a potem zostawił studentów przy pracy. Sam ze świdrem na ramieniu ruszył szukać osady. Paweł Ryłski dla odmiany siedział w obozowisku i oglądał zdjęcia lotnicze okolicy.

– Panie magistrze! – U wejścia do namiotu stała Magda.

– Tak? – Paweł oderwał się od kserokopii.

– Mamy problem... Grób numer cztery...

Z westchnieniem wstał od pracy i podążył na stanowisko. Obie dziewczyny zgodnie z zaleceniem przecięły wkop grobowy na pół i wybrały ziemię, by



odrysować profil. Zrobiły to bardzo ładnie, jama była półkolistą, profil idealnie równy. Jego długość wynosiła nieco ponad metr, głębokość jamy sześćdziesiąt centymetrów. Głębsza nie była potrzebna. Pochylił się nad dziurą i spojrzął z boku. Zасыpisko grobu było jednolicie szare.

– Brakuje pochówku – powiedziała Iwona. – Nie ma urny.

– Przesiałyście ziemię? – w zasadzie niepotrzebnie zapytał. Pracowały tak dokładnie, że z pewnością o tym nie zapomniały.

Magda wskazała sito leżące na taczkach. Było puste. Na siatce o trzymilimetrowych oczkach pozostały tylko maleńkie kamyczki. Rozgarnął je palcami.

– Ani śladu przepalonych kości – stwierdził – ale w takim piasku mogły się rozłożyć prawie bez śladu.

Podłubał w profilu szpachelką, nigdzie nie widać było jasnej smugi mogącej być śladem wapnia.

– Pewnie pochówek symboliczny – zawyrokował. – Bo gdyby wsypali tu resztki stosu pogrzebowego, powinny być kawałki węgla drzewnych...

– U mnie to samo – zameldował Oleg znad sąsiedniego wykopu.

– No trudno. Odrysujcie profile i przesiejcie ziemię – polecił. – Nie zapomnijcie o fotografiach.

Wdrapał się na szczyt wzgórza. Stąd mógł ogarnąć wzrokiem całe cmentarzysko. Tabliczki z numerami, oznaczające poszczególne groby, układały się wyraźnie w dwa kręgi. Mniejszy, który właśnie był rozkopywany, i większy, zachodzący nań częściowo. Jego skraj pochłoniął wąwóz wypłukany przez deszczówkę. Część zachodnia kryła się jeszcze pod warstwą nawianego piasku. Widać było tylko fragment obwodu.

– Trzeba będzie dokładnie sprawdzić środek mniejszego kręgu – odezwał się doktor Olszakowski.

Paweł nawet nie zauważył, kiedy kierownik stanął za jego plecami.

– I odsłonić w całości ten większy – uzupełnił. – Jeśli zachowali kształt z grubsza kolisty, to pochówki wysunięte najdalej na południe mamy gdzieś pod nogami...

– A środek nadal przykryty jest piaskiem. Zastanawia mnie co innego. Jeśli się spojrzy uważniej, widać pas ziemi nietkniętej przez naszych przodków. Coś jakby droga przecinająca mniejszy krąg i zahaczająca o większy. Trakt prowadzący ze wzgórza w dolinę.

– W stronę wioski?

– Właśnie. Gdzieś tam jest ta cholerna wieś. Musimy ją odnaleźć.

– Jeśli wyznaczyli drogę idealnie prosto, to mamy jakieś szanse. Ale co, jeśli u stóp wzgórza zakrecała? Nie była w żaden sposób utwardzona, nie znajdziemy

jej nigdy... – westchnął magister.

– Warto kontynuować wiercenia i zobaczymy, czy gdzieś nie znajdziemy cienkiej warstewki sadzy. Skoro tu, na cmentarzysku, nie natrafiliśmy dotąd na żadne ślady stosów pogrzebowych, może palono zmarłych w pobliżu wsi?

– Albo w połowie drogi – odparł sarkastycznie Rylski. – Trochę za daleko idąca hipoteza. Ale wiercenia trzeba będzie zrobić. Może uśmiechnie się do nas szczęście.

– Wieś potrzebowała wody – zastanawiał się nadal doktor. – Rzeczka jest w tej chwili dość daleko, ale może pierwotnie jej koryto przebiegało bliżej? Do diaska, ta osada gdzieś tu jest, na tych pięciu kilometrach kwadratowych piachu! A praktykantom nieźle idzie.

Zszedł w dolinę i znowu zaczął bawić się świdrem. Paweł pomagał studentom. Czas mijał powoli. Trzynasta, szesnasta, siedemnasta, przerwa na podwieczorek, osiemnasta... Skończyli o dwudziestej. Dwanaście godzin pracy. Dwanaście przebadanych grobów, czterdzieści osiem rysunków, sześć rolek fotografii...



– To beznadziejne – powiedział Rylski, leżąc na łóżku.

Przeglądał zdjęcia lotnicze terenu wykopalisk. Akumulatorowa lampa dawała jasne, mocne światło.

– Znajdziemy wieś – uspokoił go doktor. – I chyba nawet wymyśliłem w jaki sposób.

Magister spojrzał na niego uważnie.

– Trzeba zrobić wiercenia, powiedzmy, w siatce co pięćdziesiąt metrów. Zobaczymy grubość pokładu tej ciemnej warstwy. Koło wsi powinna być grubsza. Żeby się upewnić, zrobimy jeszcze jedną próbę. Przeanalizujemy próbki na obecność pyłków roślin. Wszędzie pewnie będzie od cholery sosny, ale liczę na to, że trafimy też na zboże. Wyznaczymy z grubsza obszar, na którym znajdowały się pola uprawne tych sukinsynów. A wsi poszukamy w samym środeczku. Przecież musieli rozglądać się naokoło. Nie postawiliby domów na skraju lasu...

– W sumie nie wiemy nawet, czy żyli w czasach spokojnych, czy niespokojnych – westchnął Paweł. – Ile ich osad zbadano? Trzy?

– Nasza będzie czwarta.

– Siatka co pięćdziesiąt metrów, czyli na kilometr kwadratowy czterysta punktów. Dwadzieścia dni pracy.

– Owszem. Ale możemy oddelegować do tego studentów. Mamy taśmy, trzeba będzie tylko zaznaczyć kołkami miejsca...

– Jest to jakiś pomysł... Ale wyniki będą bardzo niepewne.

– Przy odrobinie szczęścia odnajdziemy osadę. Poza tym przywiozłem ramowy wykrywacz metali. To wprawdzie jeszcze nie epoka żelaza, lecz nie da się wykluczyć, że trafimy na jakiś zapomniany kociołek albo kubek z brązu.

– Na równinie grubość warstwy piasku wynosi co najmniej pół metra, a w niektórych miejscach pewnie więcej.

– Owszem. Ale ramowym sięgniesz efektywnie na metr, może półtora w głąb... Zajmiemy się tym jutro.

– Zgoda.

Pół godziny później obaj uczeni spali. W ciemnościach słychać było brzdąkanie gitary i chrzęst zgniatanych puszek po piwie. Studenci na swój sposób odreagowywali zmęczenie po całym dniu ciężkiej pracy.



Ramowy wykrywacz metali najczęściej posiada kwadratową cewkę w kształcie ramy o wymiarach metr na metr. Do cewki kablem podczepia się ważącą kilka kilogramów metalową skrzynkę z aparaturą pomiarową. W starszych modelach skrzynka potrafi być naprawdę ciężka... Maksymalny zasięg tego typu urządzeń wynosi około dwóch metrów, jednak aby wykryć przedmiot spoczywający tak głęboko, musi mieć on wielkość samochodu osobowego.

Oleg szedł z wykrywaczem. Omiatał cewką ziemię, badając na raz pas szerokości około dwóch metrów. Magister Ryłski, dzierżąc w jednej dłoni saperkę, a w drugiej sito skrzynkowe, podążał za nim. Co jakiś czas urządzenie wydawało pisk. Gleba kryła w sobie różności: kawałki drutu, zęby bron, puszki po piwie i konserwach, sreberka z papierosów.

– Ależ tu zaśmiecili – mruknął Oleg, zmieniając ścierpniętą rękę. Aż dziwne, że mieszkańcy Zgniłej Wody nie zajmują się poszukiwaniem złomu.

Nieoczekiwanie urządzenie zabuczało mocniej.

– Coś dużego – stwierdził. – Podłużne... Dwa, może dwa i pół metra długości... Radziecka rakietka typu katusza, skoro poligon niedaleko – zażartował.

– Nie śmieć się, to nie jest takie znowu nieprawdopodobne – odparł magister. – Pokaż, gdzie ma środek, lepiej nie trafić na zapalnik.

– Poważnie myśli pan...

– Poważnie. Cholera wie co tu wyrabiali.

Po kilkunastu sztychach saperką ziemia odsłoniła swoją tajemnicę. Kawał grubej stalowej liny...

– Wyznaczanie położenia osady kultury pomorskiej to jak szukanie igły w stogu siana – westchnął student.

– Owszem, ale pożytek ze znalezienia będzie większy. – Magister klepnął go w ramię, zmuszając do podjęcia wędrówki.

Przeszli jeszcze kilkanaście metrów, gdy wykrywacz nieoczekiwanie zabuczał.

– I co tu mamy? – Paweł wbił saperkę w ziemię.

– To również jest duże, podłużnego kształtu, jakieś dwa metry długości i z półtora szerokości...

Pod cienką warstwą ziemi pojawił się jasny piach, jednak nie był on jednolity. Szare pasma układały się w zarys sporego dołu.

– Cholera... – Archeolog poskrobał się po głowie. – Skocz, ściągnij resztę. Z grackami, nie zapomnijcie o niwelatorze. Coś mamy, założymy tu nieduży wykop...

Wyjął z kieszeni GPS i zaznaczył znalezisko na mapie.

Przybiegł Olszakowski z drewnianymi palikami.

– Dwa na dwa – polecił Rylski.

– Coś ciekawego?

– Cholera wie, sygnał, jakby tu zakopano cały stos kociołków z brązu.

Zjawiły się zadyszane dziewczyny z łopatami i grackami.

– Doczyście i narysujemy – polecił.

Oczyściły. Potem jedna pobiegła do niwelatora, a druga zmierzyła wysokość miejsca.

– Wykop grobowy? – zastanawiał się doktor.

– Musieliby go pochować w miedzianym kotle.

Niwelacja i rysunek...

– Zdejmijcie warstwę plantem, dziesięć centymetrów – polecił studentom.

– Gdzie sypać ziemię?

– Tu, na bok. – Wskazał ręką.

Nieoczekiwanie spod warstwy gleby błysnęła czerwienią korozja. Czubek czegoś okrągłego. Pochylił się ze szpachelką w dłoni i obkopał starannie znalezisko dookoła. Obok jedna z dziewcząt odsłoniła długie pasmo sklejjącej piasek rdzy.

– Cholera – westchnął wreszcie magister.

Teraz widać było, że to, co odsłania, to hełm o charakterystycznym kształcie. Doktor wgryzł się w piach.

– Lufa – zameldował.

Przestali się spieszyć. Kości palców mimo upływu lat nadal zaciśnięte na spuście... Czaszka nieco kruszyła się w dłoniach.



– Niemiec – stwierdził Oleg, obracając w palcach blaszkę identyfikacyjną.

– Musiał siedzieć tu w dole i zasypał go wybuch pocisku. – Doktor spojrział na niedaleki lej, ciągle jeszcze widoczny w trawie. – No cóż, nie będziemy się nad okupantem rozczulać. – Metodycznie wkładał kości do tekturowego pudełka. – Dam znać Czerwonemu Krzyżowi, pewnie żyje jakaś jego rodzina, niech go sobie zabierają.

Przegrzebali piasek, odnajdując jeszcze podeszwy butów, kości nóg oraz futerał z resztkami okularów. Mundur ani dokumenty się nie zachowały.

– W zasadzie to nie był okupantem – stwierdził Oleg, gdy doktor zakładał

pokrywę na pudło. – Przed wojną to były tereny niemieckie...

– No to poległ, broniąc ojczyzny. – Olszakowski wzruszył ramionami. – Wstawcie do magazynu – polecił.

Zbadał jeszcze wykrywaczem metali dno jamy i wygrzebał odznakę NSDAP.

– Często się znajduje takie rzeczy? – zapytała Magda.

Zauważył, że trochę pobladła.

– Czasami – odparł niechętnie. – Nie przejmuj się, w tym zawodzie po pewnym czasie można się przyzwyczaić.

Do wieczora nie znaleźli nic ciekawego. Tymczasem dziewczyny z doktorem przekopały jeszcze osiem grobów, kończąc tym samym mniejszy okrąg. Kilka pudełek wypełniono skorupami.



Lekkie potrząsanie wyrwało Pawła z głębokiego snu.

– Co się stało? – zapytał sennie, uchylając powieki.

W namiocie było ciemno.

– Ktoś nam wlaź w szkodę – wyjaśnił doktor.

– W szkodę? Cholera.

Ubrał się pospiesznie i chwycił pistolet gazowy. Wyszli przed namiot. Była trzecia nad ranem. Niebo jeszcze wieczorem zasnuły chmury, ciemno było że oko wykol. Na szczycie wzgórza coś dziwnie połyskiwało.

Doktor podał mu lornetkę.

– Lampa naftowa i jeszcze coś – ocenił. – Zaraz na skraju naszego cmentarzyska...

– Jakież kłopoty? – zapytał w ciemności Oleg.

Widocznie też się obudził.

– Masz jakąś broń? – zapytał Rylski.

– Maczetę.

– Ktoś nam ryje na cmentarzysku. Zajdziemy go z trzech stron.

– Jasne! – Olszakowski klepnął się po dłoni kijem bejsbolowym.

Ruszyli pospiesznie dobrze znaną drogą. Lampa na szczycie wydmy trwała nieruchomo. Rozdzielili się i podeszli od trzech stron.

– A co tu się, do cholery, dzieje?! – huknął Olszakowski, zapalając halogenowy reflektor.

Na kracie z miedzianych prętów nakrytej szmatką siedział łysy, półnagi mężczyzna z brodą. Mógł sobie liczyć około pięćdziesiątki. W rogach kraty płonęły cmentarne znicze, lampa stała opodal. Siedzący w zaciśniętych dłoniach trzymał dwa ostrosłupy z żółtego, lekko prześwitującego kamienia. Usłyszawszy wrzask archeologa, otworzył oczy.

– Przerwał mi pan kontakt z duchami – powiedział z naganą w głosie.

– Ja z tobą zaraz, świrze, ustanowię kontakt! – Doktor zamierzył się kijem. – Gadaj, coś ty za jeden?

– Marek Etter, bioenergoterapeuta, a przy okazji medium – wyjaśnił z godnością siedzący.

– Proszę odejść z naszego terenu – warknął doktor.

– To wolny kraj – odgryzł się brodac. – Mam prawo tu przebywać. Zresztą w tym miejscu nie kopiecie jeszcze nic...

– Cała ta góra jest terenem wykopalisk – powiedział spokojnie Ryłski. – Podpisaliśmy umowę z wójtem.

Etter opuścił dłonie i schował kamienie do skórzanej sakwy przy pasie.

– Usiłuję uspokoić duchy tych, których groby bezcześnie – rzekł z wyższością.

– Ekstra – warknął Olszakowski. – Nie lubię świrów. A zwłaszcza nie lubię nawiedzonych świrów. Tak naprawdę to nikogo nie lubię. A już po prostu nie cierpię, jak mi idioci włożą do wykopów!

– Rusz mnie tylko, a odpowiesz za prześladowania religijne – odparł mężczyzna, uśmiechając się łagodnie. – I tak popsuliście obrzęd, który usiłowałem odprawić od czterech godzin.

– Medycyna alternatywna dla inteligentnych inaczej! – parsknął Tomasz. – A siedz sobie tutaj goły na wietrze i zdechnij na zapalenie ektoplazmy! – warknął i odszedł w ciemność.

Ryłski i Oleg stali, przestępując z nogi na nogę, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Kolega wasz ma wyraźne problemy z czakrą serca – odezwał się Etter. – Niezwykle ciemna aura, pełna zakłóceń. Może mógłbym mu pomóc poprzez spalenie kadzidła i odmówienie mantry? Musiałby tylko wyrazić zgodę na zabieg.

Magister wzruszył ramionami.

– Chodźmy – powiedział do studenta.

– Zostawimy go tu?

– A w czym on nam przeszkadza? – Machnął dłonią. – Niech siedzi choćby do usranej śmierci...

Dwadzieścia minut później, zagrzebany w ciepłym śpiworze, ponownie zapadł w sen.



– Tak swoją drogą – Ryłski myślał na głos, goląc się przed zawieszonym w namiocie lusterkiem – to można by wykorzystać naszego nowego znajomego.

– Jakiego znajomego? – zdziwił się Olszakowski.

– Tego wariata, który w nocy siedział na wydmie. Skoro on taki szaman, to niech nam pokaże, gdzie była wioska.

Doktor zatrzymał się w pół kroku.

– Żarty! – parsknął. – Taki hochsztapler... Strata czasu.

– Może tak, a może nie. Profesor Jerzy Gąssowski używał jasnowidzów podczas wykopalisk.

– Taaa... Ale profesor Gąssowski cieszy się odpowiednim autorytetem i drobne dziwactwa w niczym mu nie zaszkodziły. Nas, panie kolego, towarzystwo naukowe za taki numer starłoby na miazgę.

– Nie, jeśli odnajdziemy wioskę. W takim przypadku zastosują zasadę „cel uświęca środki”.

Olszakowski westchnął.

– Wiesz co? Zdumiewa mnie twoja naiwność. Jeśli znajdziemy osadę, skupi się na nas niechęć całego środowiska. Jest mnóstwo zawistnych, którzy zrobią wszystko, aby nas zdyskredytować i odsunąć od tych badań. Oskarżą mnie o rozkład moralny, ciebie o alkoholizm, będą rozpuszczać wszelkie możliwe plotki, co tylko przyjdzie im do głowy... A ty byś chciał oddać w ich ręce narzędzie, dzięki któremu mogliby potwierdzić zarzut wysługiwania się hochsztaplerami?

– Nie wierzy pan w możliwości jasnowidzenia?

– Nie, i póki żaden z jasnowidzów nie wygra w totolotka, nie uwierzę.

– Może wygrywają... – westchnął Ryłski. – Ostatecznie ktoś mniej więcej raz na tydzień trafia szóstkę... A jeśli to właśnie jasnowidze? W gazetach coraz to ogłaszają się nowi. Widać ci poprzedni wygrali i już nie muszą tak zarabiać na życie.

Doktor mruknął pod nosem jakiś komentarz, zrobił to jednak na tyle cicho, że magister mógł tylko domyślać się jego treści. Wyszli przed namiot. Na szczycie Trupiej Góry było pusto. Nocny gość widocznie jeszcze przed świtem ulotnił się z miejsca, w którym odprawiał swoje tajemnicze obrzędy.

O ósmej rano studenci stawili się do pracy. Przekopanie i zadokumentowanie ostatnich czterech grobów, z których jeden znowu okazał się pusty, zajęło im nie więcej niż dwie godziny.

Ryłski zarządził przerwę śniadaniową, a sam dokładnie obejrzał plany.

– Musimy się zabrać za szczyt – powiedział do Tomasza, który siedząc na krześle, ostrzył pilnikiem krawędź szpadla. Miał przy tym minę, jakby chciał tym narzędziem poderżnąć komuś gardło.

– Trzeba będzie ściągnąć metr albo i półtora piachu – zauważył. – Wzywamy nauczyciela i robotników?

– A mamy jakieś inne wyjście? – Magister wzruszył ramionami. – Skoczę do wsi...

Olszakowski postanowił obejrzeć z bliska wierzchołek wydmy. Wdrapał się



na górę. Kopnął w zadumie butem w podłóżę.

– A wy coście się tak rozsiedli? – huknął na studentów. – Przerwa śniadaniowa skończyła się półtorej minuty temu.

– To co mamy robić? – zapytał Oleg.

Tomasz poskrobał się po głowie. Chwilowo nie było tu dla nich nic do roboty.

– W sumie to nic – mruknął. – Rozkazuję odpoczywać!

Gdy wydał polecenie, od razu poczuł się lepiej. Niebawem nadciągnął nauczyciel z pracownikami niewykwalifikowanymi. Przyszedł też magister.

– Szczyt pagórka plantem – polecił doktor. – Zdjąć dziesięć centymetrów i do rowu.

Ułożyli ścieżki z desek, po chwili pierwsze taczki piachu runęły do dziury.

– Macie od wczoraj coś ciekawego? – zagadnął Minc.

Kierownik wzruszył ramionami.

– Nic. Czy tu w okolicy grasuje na stałe jakiś wariat? W nocy nam się przyplątał.

– Taki, co siada na drutach ze świeczkami w rękach? – upewnił się nauczyciel. – Znamy go, a jakże... A co, przeszkadzał wam?

– Nie, tylko sobie tu medytował – odrzekł doktor.

– A, on często tu się kręci. Na tej górcie siada, a to znów na wydmach po drugiej stronie. Chyba go tu coś ciągnie. Jakby trzeba było gnaty mu przetrącić, to za stówaka da się zrobić...

Tomasz uśmiechnął się do swoich myśli.

– Pomyślę – mruknął.

Łopaty o coś zgrzytnęły.

– Stop! – polecił Ryłski, wyminął szereg robotników i przyjrzał się oczyszczonemu już kawałkowi. – Doktorze!

Olszakowski szybko znalazł się przy nim. Pod cienką warstwą lichej trawy i próchnicy rysował się kwadrat z cegieł.

Oleg szybko omiótł go szczotką. Cegły otaczały otwór o boku mniej więcej dwudziestu pięciu centymetrów. Wewnątrz widać było jeszcze ślady spróchniałego drewna.

– Ciekawe – stwierdził kierownik. – Czyścić dalej, ale ostrożnie.

– Pewnie w tym miejscu kiedyś stał krzyż, a to taka podmurówka, żeby lepiej się trzymał w piachu – zauważył student.

– Nie da się wykluczyć.

Robotnicy zerwali drugą dziesięciocentymetrową warstwę. Na zachód od tajemniczej podmurówki zarysowała się istna plątanina ciemniejszych plam.

– Dobra, jesteście na dzisiaj wolni. – Ryłski wyciągnął z kieszeni zegarek.

Kopali niecałą godzinę.

– Kurde – odezwał się jeden z nich. – A nie dałoby się dłużej porobić? Może jeszcze coś wam zrównać?

– Na razie nie trzeba – uciał ostro. – Po dychu na łba. – Odliczył banknoty.

Zaszemrali z uznaniem i ruszyli do wsi. Stąd, ze szczytu wzgórza, widać było, że skierowali się prosto do sklepu.

– Trzy flaszki na twarz – mruknął doktor z naganą. – Jutro będą do niczego.

– Liczę się z tym – powiedział Paweł – ale sędzę, że to zajmie nam więcej czasu. Co może pan powiedzieć o ceglach?

– Gotycka palcówka. Dobrze spojone wapnem... Sędząc po zaokrągleniu, szczyt tego sześcianu wystawał ponad powierzchnię ziemi przez co najmniej kilkadziesiąt lat. Biorąc pod uwagę, jak płytko był przykryty, zaryzykuję stwierdzenie, że prawie przez cały czas był narażony na wpływy atmosferyczne. Wapno jest trzech różnych odcieni, co jakiś czas ktoś to konserwował, uzupełniając fugi...

– A więc krzyż na wzgórzu, a wokoło chyba cmentarz... Średniowieczny?

– Nie wiem, możliwe.

– Co robimy teraz? – zapytała Magda.

– Sędzę, że trzeba się bliżej przyjrzeć tamtym plamom – powiedział Rylski. – Najpierw jednak założycie siatkę i narysujemy sobie to dokładnie.

Jęknęli zgodnie, ale widząc minę magistra, posłusznie zabrali się do wbijania kołków i naciągania sznurka. Sporządzenie planu zajęło im dwie godziny. Zrobili jeszcze niwelację i byli gotowi do dalszej pracy.

– Zdejmujcie grackami – polecił.

Pierwsze kości tkwiły tuż pod powierzchnią.

– Nie podoba mi się to – mruknął Tomasz, patrząc na wyłaniające się spod ziemi żebra i czaszkę.

– Dlaczego? – zapytała Iwona.

– Zwłoki leżą bardzo płytko – wyjaśnił. – Zobaczcie, na jakiej wysokości jest ten ceglany kominek. Można powiedzieć, że nieboszczyka nie zakopano, a jedynie przyprószono ziemią...

Ukląkł ze szpachelką i zaczął ostrożnie odsłaniać szkielet.

– U la la... – odezwał się po chwili.

– Coś ciekawego? – zainteresował się Rylski.

– Tak. Dla naszego antropologa. – Poszukał wzrokiem Olega. – Co o tym powiesz? – Wskazał jedną z rąk nieboszczyka.

– Pęknięta kość promieniowa... Złamanie zastawne? – upewnił się student.

– Owszem.

– Co to znaczy? – zapytała Magda.

– To bardzo proste. Temu komuś strzaskano rękę w walce – wyjaśnił Oleg.  
– Przeciwnik chciał go uderzyć pałą albo inną bronią, ten próbował sparować cios przedramieniem, uderzenie było jednak na tyle silne, że kość nie wytrzymała.

– Do tego złamane dwa żebra – uzupełnił archeolog. – Zajmij się nogami.

Student przykląkł i zaczął odgarniać ziemię, która przykrywała dolne partie szkieletu.

– Brakuje stóp – zameldował. – Piszczele są przecięte, brak dolnych stawów...

– Jedna stopa jest tu. – Doktor pokazał kości, które zaczęły się zarysowywać koło ramienia zmarłego.

Odmiótł starannie czaszkę i teraz szukał jej połączenia z resztą szkieletu.

– Ciężko uszkodzony obojczyk, a do tego wszystkiego gość został uduszony – zakończył ponuro.

– Skąd to wiadomo? – zdziwiła się Iwona.

– Zobacz sama. To kość gnykowa. Jeśli ktoś dusi człowieka, to właśnie ona najczęściej pęka... Potrzebuję ochotnika do sporządzenia rysunku.

Rylski przesiał ziemię wybraną pomiędzy żeber. Po sprzączce od pasa zachował się tylko rdzawy ślad na miednicy, ale na sicie zostały trzy rogowe guziki od koszuli.

– Gdzieś między piętnastym a dwudziestym wiekiem – mruknął, chowając je do torebki i opisując. – Zróbmy teraz fotografię pamiątkową i pakujemy pierwszą ofiarę do pudełka.

Karton pomieścił wszystkie kości. Zabrali się do kolejnego grobu. Ten nieboszczyk także został pogrzebany bardzo płytko i przed śmiercią został uduszony. Trzeci podobnie, z tym że dodatkowo miał złamane obie ręce oraz kości goleni.

– Jakiś rozbójnik tu grasował czy co? – zdziwiła się Magda.

– Nie rozbójnik – westchnął Olszakowski. – Tak okaleczało średniowieczne prawo. Tu stała szubienica. – Wskazał ceglaną platformę. – A tych, na których wykonano wyrok, po prostu zakopywano wokoło. Złamania zastawne powstały zapewne dlatego, że niektórzy skazańcy stawiali opór. Obcięta stóp, łamanie członków... Nasi przodkowie cenili takie rozrywki.

– Widać wieś była pełna kryminalistów – stwierdził Oleg, patrząc na liczne ciemniejsze plamy. – Grobów a grobów...

– Sądzę raczej, że tu wykonywano wyroki na mieszczanach z Lewkowa – wyjaśnił Rylski. – To tylko kilka kilometrów, a miejsca egzekucji najczęściej były oddalone od miejscowości. Poza tym kryminalistów wcale nie było tak wielu. Naliczyłem siedemnaście jam, nie we wszystkich muszą być pochówki.

Szubienica w tym miejscu mogła stać nawet...

– Nawet trzy stulecia – dopowiedział Tomasz. – To by dawało mniej więcej jeden wyrok śmierci na dwadzieścia lat. Chyba przejadę się jutro do Lewkowa i zobaczę, co mają w gminnym archiwum. Jeśli zachowały się stare księgi sądowe, to niewykluczone, że na podstawie obdukcji zwłok i rodzajów zadanych im obrażeń uda nam się zidentyfikować niektórych spośród tych ptaszków.

Do wieczora rozkopali i zadokumentowali cztery groby.

Cztery kartony kości dołączyły w magazynie do piątego – kryjącego szkielet Niemca...



Po całym dniu wykopalisk, gdy mięśnie tężeją od wielogodzinnego machania łopatą, wieczór zazwyczaj przynosi ulgę... Zazwyczaj. Olszakowski wsiadł w fiata i pojechał w świat. Rylski odczekał, aż studenci wypłuskają się w rzece i zjedzą spóźniony obiad, a potem brutalnie poderwał ich do roboty.

– Spać trzeba było w nocy – oznajmił stanowczo. – Odpoczynek ogłupia.

– Co mamy robić? – Oleg, leżący na karimacie przed swoim namiotem, leniwie otworzył oczy.

– Trzeba narysować skorupki, pomierzyć, posklejać, sfotografować...

Jęknęli, ale zebrali się w namiocie magazynowym. Na stołach kreślarskich spoczywały już równo przycięte arkusze brystolu oraz świeżo zatemperowane ołówki.

Magister w drugim kącie urządził przenośne atelier fotograficzne. Ustawił arkusz papieru jako tło. Doświetlił całość kilkoma reflektorkami. Po kolei uwieczniał urny. Błyskał flesz.

– Zdjęcia do książki będą? – zainteresowała się Magda.

– Nie, to tylko fotografia dokumentacyjna – wyjaśnił. – Zdjęcia do publikacji robią wyłącznie fachowcy.

Mijały godziny. Siedemnaście urn... Dziewczyny skończyły rysować. Pokazał im, jak unieruchomić klejone skorupy za pomocą wilgotnego piasku w kuwecie.

Zerwał się wiatr. Oleg wyszedł przed namiot i węszył dłuższą chwilę.

– Chyba idzie deszcz – zawyrokował.

Paweł wyjrzał na zewnątrz.

– Też tak mi się wydaje – mruknął. – Pójdę na wzgórze, nakryję wykopy. A wy tu dokończcie i jesteście na dzisiaj wolni.

Wyszukał cztery arkusze grubej folii, takiej, jakiej używają malarze do zabezpieczenia podłóg oraz mebli. Zabrał też skrzynkę czterocalowych gwoździ. Powędrował na szczyt. Starannie rozłożył pierwszy arkusz i przyszpilił jego krawędź do podłoża.

– Może pomogę? – rozległ się głos.

Podniósł wzrok. Na szczycie, tuż obok podstawy szubienicy, stał Marek Etter.

– Dziękuję, poradzę sobie – powiedział Rylski. – Znowu jakieś wywoływanie duchów? Burza chyba idzie.

– Owszem, ale nauczyłem się nie zwracać uwagi na pogodę – rzekł bioenergoterapeuta. – Pański przyjaciel, zdaje się, gdzieś pojechał?

– Owszem.

– Jak zauważyłem zeszłej nocy, pan nie ma nic przeciwko mojej obecności?

– Jest mi to obojętne. Oczywiście dopóki nie dewastuje pan stanowiska archeologicznego. – Wzruszył ramionami.

Ukląkł i rozwinął kolejny arkusz. Wiatr się wzmagał.

– Nie powinniście tu kopać – przestrzegł Marek. – To złe miejsce.

– Złe miejsce – powtórzył archeolog. – A dlaczego niby ma być złe?

– Tu w ziemi drzemie jakaś potężna siła. Uwięziona i głodna. Może duch, może demon...

– Dlaczego nie wylazła?

– Sądzę, że została zapieczętowana.

– Czyli wygrzebiemy urnę, otworzymy, a wtedy demon spełni nasze trzy życzenia? Albo pourywa nam głowy?

– Hmm. W urnie? Nie sądzą.

Pawłowi znudziło się słuchanie świra. Przyszpilił ostatni arkusz i popatrzył zadowolony na swoje dzieło.

– Szykownie – ocenił. – Jak w angielskim podręczniku. Lepiej, żeby pan tu nie siedział podczas burzy, to najwyższy możliwy punkt w okolicy. Jeszcze jakiś piorun pana trafi – przestrzegł.

– Pierścień Atlantydów ochroni mnie przed mocą żywiołów – wyjaśnił Etter, kładąc na ziemi swoją miedzianą kratkę.

Magister pożegnał się, a potem wrócił do obozowiska. Gdy wchodził do namiotu, w brezent uderzyły pierwsze krople deszczu. Zjadł dwie kanapki, a potem wyjrzał na zewnątrz. Zauważył, że w namiocie magazynowym ciągle widać było światło.

– Zapomnieli zgasić – wydedukował.

Przebiegł, kuląc się w deszczu. Z ulgą schował się pod brezent. Studenci siedzieli przy stole, na którym kopciły dwie świece. Ich płomienie odbijały się w butelce taniego wina owocowego „Ogier”.

– Przyszedł nasz nadzorca! – ucieszył się Oleg. – Karniaka dla wicekierownika!

Zaraz też nalał do szklanki złocistego płynu z flaszki. Paweł usiadł ciężko na

krześle.

– Co wy tu pijecie? – mruknął, oglądając butelkę. – Jakąś pryte za trzy złote pięćdziesiąt!

Przełknął łyk ogiera. Wino miało nieokreślony, syntetyczny, owocowy posmak. Do tego jakby z głębi przebijała ciężka woń spirytusu zbożowego... Kopało faktycznie jak koń.

Opróżnił szklankę trzema łykami, a potem zza pudła z teodolitem wyjął flaszkę bimbru kupionego od nauczyciela.

– Też nie macie się czym truć – prychnął, stawiając ją na stole. – To przynajmniej produkt ekologiczny.

Spróbowali, zakąsili kiszonymi ogórkami, po które pobiegł do swojego namiotu student. Wypili na drugą nogę.

– U, mocne – westchnęła Iwona.

– Z buraków chyba nastawione – ocenił Ryłski.

Na zewnątrz słychać było dalekie grzmoty, od czasu do czasu rozbłysk błyskawicy prześwietlał na moment gruby brezent. Deszcz bił o ściany.

– *I Boh trojcu lubit* – zażartował magister po rosyjsku, nalewając trzecią kolejkę.

We flaszcze pozostało kilka kropli na dnie. Strząsnął je na ziemię.

– To dla nich – powiedział.

– Dla kogo? – nie zrozumiał Oleg.

Magister wskazał stojące w kącie pudła, do których pozbierali kości oraz rząd skrzynek z urnami.

Magda wzdrygnęła się.

– To oni są tutaj?

– No przecież nie trzymamy szkieletów pod własnymi łózkami – zażartował.

– Choć i tak bywało – przypomniał sobie dawniejsze wykopaliska.

– My w zasadzie pijemy jak na cmentarzu – powiedziała drżącym głosem. – Tu jest...

– Więcej żywych niż martwych – mruknął. – Siedemnaście urn, co najmniej po jednym nieboszczyku w środku. Jako bonus hitlerowiec i paru kryminalistów.

– Jak to co najmniej po jednym? – zdziwiła się druga.

– No cóż, w takich urnach można znaleźć resztki spalonych kości nawet siedmiu osób – wyjaśnił. – Genetycy to ustalili. Najczęściej są ze sobą spokrewnieni. Nie wiemy jednak, dlaczego tak jest. Może po śmierci głowy rodu zabijano część jego dzieci, a może po prostu z grzebaniem członków rodziny czekano, aż nazbiera się odpowiednia ilość ciał, i palono wtedy jeden duży stos pogrzebowy. Tak było oszczędniej...

Wyciągnął drugą flaszkę. Oleg podsunął swoją szklanę, lecz dziewczęta najwyraźniej straciły ochotę do picia.

– Nie bójcie się – uspokajał Paweł. – Nic nam nie zrobią. Umarli nie gryzą... Zazwyczaj – zachichotał.

Chyba nie uwierzyły. Dopili z Olegiem drugą butelkę.

Wreszcie studenci poszli spać. Ryłski obszedł dookoła namioty, sprawdzając, czy śledzie dobrze trzymają się gruntu. Wicher stawał się coraz bardziej porywisty. Po bimbrze odrobinę płątały mu się nogi. Burza sunęła na południe, pioruny waliły w coś za lasem raz po raz.

– Pewnie jakieś poligonowe instalacje je przyciągają – mruknął.

Nieoczekiwanie niebo rozdarła oślepiająco jasna błyskawica. Huk prawie zbił magistra z nóg. Dłuższą chwilę dzwoniło mu w uszach, a przed oczyma latały kolorowe plamy. Piorun uderzył w szczyt Trupiej Góry.

Potrząsnął głową i już miał schronić się w namiocie, gdy nagle przypomniał sobie o pomyłonym bioenergoterapeucie. Jeśli pozostał tam na wierzchołku...

– O żeż... – warknął.

Chłostany deszczem i wiatrem biegł w ciemności rozświetlanej tylko rozbłyskami burzy. Przedzierał się przez gąszcz wzburzonych wichrem zarośli. Gałęzie drapały twarz, szarpały odzież, jakby nie chciały puścić go dalej. Wyrwał się jednak i popędził ścieżką prosto na wzgórze.

Na szczycie zapalił latarkę. Widok, który zobaczył, w pierwszej chwili potwierdził jego najgorsze przypuszczenia. Etter leżał na ziemi zwinięty w pól. Archeolog podbiegł do niego. Światło latarki padło na wytrzeszczone oko. Źrenica drgnęła, a powieka opadła. A więc żył.

– Co z tobą?

Marek potrząsnął głową i spróbował się podnieść.

– Ale rąbnięto – jęknął. – Prawie mnie ogłuszyło. Chciało ukatrupić, ale... Pierścień Atlantydwów chroni...

Wstał chwiejnie. Archeolog zatoczył latarką krąg. Światło wydobyło z ciemności spalony, powykręcany na wszystkie strony wrak roweru.

– Niedaleko walnęło – stwierdził. – Dwanaście, może piętnaście metrów. Trochę bliżej i nie rozmawialibyśmy teraz...

Bioenergoterapeuta ponownie potrząsnął głową.

– Chce się wyrwać na wolność – powiedział. – Dlatego uderzyło w to miejsce. Chciał, żeby piorun przebił piasek i uwolnił go.

– Tak, oczywiście – Paweł przypomniał sobie, że wariatom należy potakiwać.

– Ale dziękuję za troskę. – Etter zdawał się odzyskiwać siły. – Dziś już chyba na nic... Pojadę... pójdę do domu...

Ryłski w pierwszym odruchu chciał go odprowadzić, ale szybko zrozumiał,

że dziwak nie życzy sobie jego towarzystwa. Do lekarza też pewnie nie pójdzie, będzie się leczył ziółkami albo innymi bioprawdami. Choćby własnymi.

Etter popatrzył jeszcze przez chwilę na resztki roweru, a następnie odwrócił się i odszedł w mrok. Burza dogasała.



Robotnicy ze wsi wgrzyźli się łopatami w centralną część Trupiej Góry.

– Prawie połowa miesiąca – mruknął doktor Olszakowski, patrząc na powierzchnię stanowiska. – Niewiele zrobiliśmy...

– Jak to niewiele? – obruszyła się Magda. – Rozkopaliśmy większość grobów i wszystkie te średniowieczne spod szubienicy...

Wzruszył ramionami.

– No, faktycznie – mruknął. – Ale tu nie było dużo roboty. A tymczasem powinniśmy jeszcze zlokalizować osadę. Gdzieś tu jest...

– Niekoniecznie – westchnął Rylski. – Mogła być trzy kilometry w tamtą stronę. – Pokazał dłonią wydmy, zza których słychać było odległy huk morza. – Nie wiemy, ile ładu zniknęło w ciągu ostatnich dwu tysięcy lat. To brzeg klifowy, jak w Trzęsaczu. Nasza wioska mogła dawno pójść na rybki.

– Co to jest Trzęsacz? – zapytała Iwona.

Olszakowski wzniosł oczy ku niebu.

– To taka wieś nad Bałtykiem – wyjaśnił cierpliwie. – Na przełomie XIV i XV wieku zbudowano tam ceglany kościół, w środku wsi, dwa kilometry od brzegu morza... W ciągu pięciuset lat woda zabrała cały ten kawał ładu. Pod koniec XIX wieku stał już na krawędzi skarpy. Nie było wówczas jeszcze środków technicznych, które pozwoliłyby go zabezpieczyć. Pewnej nocy 1901 roku po silnym sztormie część budynku runęła do morza. Dziś już tylko fragment jednej ze ścian stoi na szczycie klifu. Zresztą żeby nie szukać daleko, kościół w Helu, na końcu mierzei, też częściowo runął podmyty przez morze.

– A, ten dawny protestancki, gdzie teraz jest muzeum – mruknął Oleg. – Byłem tam kilka lat temu.

Robotnicy sprawnie pracowali i niebawem odsłonili dawną powierzchnię wzgórza.

– No i sprawdziło się nasze przypuszczenie... – mruknął Rylski.

Ślady dawnych grobów układały się w okrąg, zalegały ponad metr poniżej poziomu średniowiecznego cmentarza otaczającego szubienicę. Nieco z boku zarysowała się nieregularna plama czarnego piachu. Obaj archeolodzy pochylili się nad nią.

– Na północ stąd było miejsce budowy stosów pogrzebowych – powiedział magister do studentów. – Może jakieś piętnaście metrów.

– Odsłaniajcie w tamtą stronę. – Doktor wskazał robotnikom kierunek.



– Skąd pan to wie? – Minc spojrział na niego zdziwiony.

– Ciemniejsze zabarwienie spowodowała spadająca z dymu sadza. Wiatry, tak jak dzisiaj, wiały przeważnie od strony morza.

Studenci założyli siatkę, przedłużając po prostu tę służącą im do badania wcześniej odsłoniętych grobów. Zdjęli niwelacje.

Olszakowski stanął pośrodku kręgu i poskrobał gracką ziemię.

– Mamy tu przebarwienie – zwrócił się do magistra. – Proszę popatrzeć...

– Dziura przeszło dwa na dwa metry – mruknął Paweł.

– Szybko wykopali i zasypali, a potem ubili na równo – wysunął przypuszczenie Tomasz. – Naruszyli jednak strukturę ziemi i na tym kawałku nastąpiło silniejsze bielcowanie.

– Czyli starali się zamaskować to, co tu zakopali? – zainteresował się Oleg.

– Być może – powiedział doktor pogodnie. – Zobaczymy, jak tu pokopiemy. Życzyłbym sobie, aby tak właśnie było.

Wyjął ze skrzynki szprychę rowerową i spokojnie wbił ją w glebę.

– Oho, coś twardego – stwierdził.

Dźgnął obok. Drut zagłębił się jakieś dwadzieścia centymetrów i ponownie natrafił na przeszkodę.

Studenci do wieczora przekopali z pomocą obu uczonych jeszcze osiem grobów. W czterech były urny twarzowe, w jednym nieduże pudełko z wypalanej gliny – bardzo rzadko spotykana urna domkowa. Ponadto przy przesiewaniu ziemi znaleziono brązowy kolczyk lub zausznicę.

Robotnicy odsłanili miejsce, gdzie kiedyś płonęły stosy pogrzebowe, nie było w nim jednak nic ciekawego. Platforma z niedużych, przepalonych otoczków i cienka warstwa smoły wytapiającej się z sosnowych szczap... Archeolodzy narysowali platformę, zrobili zdjęcia, a następnie zasypali ją z powrotem ziemią.

★

– Udany dzień – mruknął po kolacji Ryłski.

Ustawił świeże urny na stole i fotografował je po kolei.

– Ja też uważam, że nieźle poszło. – Doktor był w dobrym humorze. – I jakoś się ten świr siadający na siatce nie pojawiał.

– Pewnie dochodzi do siebie po tym uderzeniu pioruna – stwierdził magister.

– Będzie miał nauczkę na przyszłość, żeby się tu nie kręcić – warknął Tomasz.

– Chyba trochę pan przesadza, jest przecież zupełnie nieszkodliwy.

– Może i tak, ale nie lubię takich nawiedzeńców. Czemu siedzi tutaj, a nie na tym zasypanym poniemieckim cmentarzu?

– Bo tam nie kopie my – odparł Ryłski. – Tamtych duchów nie musi uspokajać. Swoją drogą, słyszałem, że na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego ktoś pisze pracę na temat zachowania kościelnych procedur ekshumacyjnych przy pracach archeologicznych...

– Hy, hy, hy – zarechotał doktor. – Może jeszcze mamy zabierać na wykopaliska kapelana? Przecież to wszystko poganie! – Splunął przez drzwi namiotu w stronę wzgórza. – Chodźmy spać, króliki nam się w głowach lęgną.

Wyszli przed namiot. Studenci siedzieli przy ognisku.

– Oto i nasze kierownictwo – ucieszył się Oleg. – Napijecie się, panowie, bimbrow z prostymi studentami?

– A coś ty się tak w mleku wścieklej krowy rozsmakował? – zdziwił się Paweł.

– To tutaj niewiele droższe od wina, a sam pan mówił, że te tanie jabłoci szkodzą – wyjaśnił chłopak. – Zresztą my sobie kulturalnie robimy drinki. – Pokazał dwulitrową colę.

Olszakowski nalał do blaszanego kubka bimbrow z pięciolitrowej plastikowej butli, wychylił jednym haustem, nalał sobie raz jeszcze i znowu wypił bez mrugnięcia okiem.

– Niezłe – mruknął.

Samogon zagryzali pieczoną kielbasą. Tomasz zauważył, że na szczycie wzgórza rozbłysło światło lampy naftowej. Etter znowu coś odprawiał.

– Wypiję jeszcze kubek, to może ten palant wreszcie przestanie mi przeszkadzać – powiedział z nadzieją doktor i wysuszył trzecią kolejkę.

Brało go w oczach. Był już zdrowo pijany.

– Jutro nasz wielki dzień – powiedział z patosem. – Dobierzemy się tym sukinsynom pomorskim do skóry, odnajdziemy to, co próbowali przed nami ukrywać! – Zarechotał wesoło.

Usiłował zjeść kawałek kielbasy, ale omal nie wydłubał sobie oka patykiem.

– A co będziemy robili przez resztę miesiąca? – zaciekawił się Oleg. – Mamy odwalić dwadzieścia dni praktyk.

– Poszukacie wioski – wyjaśnił Tomasz. – I znajdziecie ją, choćbyście mieli sami wykopać tu system rowów sondażowych długości stu kilometrów! Pokażę wam, jak się robi wielkie odkrycia!

– Chyba już wystarczy, doktorze – łagodnie zwrócił mu uwagę Paweł.

Zwierzchnik wstał chwiejnie i poszedł do namiotu.



Zaczęli o ósmej rano. Było chłodno, po niebie sunęły ciemne chmury, jednak w powietrzu nie było czuć tej dziwnej ociążałości, która zwiastuje deszcz. Olszakowskiego zostawili w spokoju, żeby odespał nocne pijaństwo.

Plama leżąca w środku kręgu grobów po oczyszczeniu grackami ukazała się w całej okazałości. Była niemal idealnie kwadratowa, miała dwa na dwa metry. Dwadzieścia centymetrów poniżej powierzchni ziemi natrafili na warstwę gliny udeptanej z niedużymi kamieniami. To o nie wyginała się szprycha, którą poprzedniego dnia doktor badał znalezisko. Na glinie jeszcze teraz odznaczały się krwistoczerwone plamy.

– W tych miejscach palono ogniska – wyjaśniał Ryłski studentom, wykonując fotografie dokumentacyjne. – Deszcze wypluwały częściowo węgiel, ale pozostały takie placki gliniastej ziemi wypalanej na cegłę. Zresztą w Egipcie znajdowano podobne ślady. Z tego, co pamiętam ze sprawozdania profesora Myśliwca z badań grobowca Meref-nebefa w Sakkarze, tam też były takie w miejscach, gdzie palono kadzidło na ofiarę.

– Co z tym robimy? – zapytał Oleg.

– Niestety, rozbieramy – polecił. – Tylko najpierw rysunek. – Powstrzymał ich niszczycielskie zapędy.

– A ja sądzę, że to nie jest ślad ogni ofiarnych, tylko rytualnego oczyszczenia ziemi – odezwał się ktoś za nimi.

Marek Etter siedział na podstawie szubienicy i obserwował ich przez lekko przyciemnione okulary. Zajęci pracą nie zauważyli, jak się zjawił... W obu dłoniach trzymał kamienie przycięte w ostrosłupy. Amulety podzwaniały mu na szyi.

Zignorowali go i wrócili do swoich zajęć. Poniżej glinianej polepy pojawiła się warstwa żółtego piasku. Wyglądała na nienaruszoną przez człowieka, lecz Ryłski nie dał się zwieść. Zdjęli ją plantem, dziesięć centymetrów. Potem jeszcze raz. Dopiero po trzecim plantowaniu pojawiły się węgle drzewne. Układały się w wielką spiralę.

– A to ci dopiero – mruknął magister, fotografując znalezisko.

– To krętodróg – powiedział Etter. – Ktoś dołożył starań, aby pogrzebany pod spodem nie znalazł drogi do świata żywych. Spirala zawsze kieruje go z powrotem w głąb ziemi.

– A skąd te wiadomości? – zagadnął zjadliwie Paweł.

– Identyczne znaki wyryto na megalitach we Francji...

– Nie ten okres historyczny – parsknął archeolog. – A co do wirujących linii wyrytych na menhirach i dolmenach, przychyliam się do tezy profesora Wiercińskiego, że był to zapis wizji powstających przy spożyciu ziół zawierających substancje pokrewne LSD. Wówczas często pojawiają się takie wiry.

Etter wyjął z kieszeni wahadełko. Wyciągnął rękę ze sznureczkiem. Masywny mosiężny stożek zaczął wirować w kierunku przeciwnym do ruchu

wskazówek zegara.

– Nie kopcie głębiej – powiedział spokojnie. – Tu w ziemi ukrywa się destrukcyjna siła. Nie zdajecie sobie sprawy, czym ryzykujecie.

Zadokumentowali warstwę, zniwelowali. Pobrali materiał do próby C<sup>14</sup>. Znowu zeszli plantem. I jeszcze raz. Dopiero gdy byli już przeszło metr poniżej powierzchni ziemi, na dnie wykopu pojawiła się z grubsza prostokątna kamienna płyta, ozdobiona rysunkiem kilku spirali. Długość jej boku wynosiła nieco ponad metr.

– Dwadzieścia minut przerwy – zarządził magister.

Wyleźli z wykopu. Oleg przyniósł butlę coli, której w końcu nie wypili wieczorem. Nalał dziewczynom do kubków. Etter, nie pytając o pozwolenie, zszedł na dno i „obwąchał” płytę wahadełkiem. Mruczał przy tym coś sam do siebie.

– I jak, dużo złota pod spodem? – zażartował Rylski.

Bioenergoterapeuta wygramolił się z wnętrza jamy. Był lekko pobladły. Archeolog zauważył jego rozszerzone źrenice i uśmiechnął się do swoich myśli.

– Coś wam opowiem – westchnął intruz. – W 1941 roku radzieccy archeolodzy postanowili zbadać ciało Timura, spoczywające w mauzoleum Gur Emir w Samarkandzie. Grób wpuszczony jest w podłogę i przygnieciony płytą z marmuru o wadze przeszło dwustu czterdziestu pudów, czyli na nasze prawie cztery tony. W grobowcu na ścianie znajdował się napis informujący, że w grobie uwięziony został demon straszliwej wojny i że ten, kto płytę podniesie, uwolni go. Jednak Rosjanie się zaparli. Zaczepili płytę linami i podnieśli dźwigiem. Zeszło im aż do późnej nocy. Wreszcie o trzeciej nad ranem zdołali tego dokonać...

– I co było w środku? – zacięła się Magda.

– Trumna nakryta zetłalym całunem – mruknął Oleg. – Obecny przy badaniach profesor Gierasimow, autor metody odtwarzania rysów zmarłych na podstawie czaszek, zabrał głowę wodza i zrobił potem rekonstrukcję.

– A demon – Magda popatrzyła na bioenergoterapeutę – nie wymordował archeologów?

– Dwie godziny później hitlerowcy bombardowali Kijów – rzekł Etter. – Faszyści doszli prawie do Uralu. Zginęły dziesiątki milionów ludzi. Są groby, których nie należy otwierać!

– Jasne, a wrzesień 1939 roku to był kawałek innej wojny? Ciekawe, czy pod tą płytą siedzi coś takiego samego – mruknął sarkastycznie magister. – Gotowi? Podnosimy razem.

Zeskoczyli na dno.

– Ja was ostrzegam – powiedział Marek. – Tego nie wolno ruszać. Oni zadali

sobie dużo trudu, aby stworzyć odpowiednie zabezpieczenia.

– Bo i w tamtych czasach grasowały hieny cmentarne – wyjaśnił Rylski. – Stąd maskowanie, ciężki kamień i tak dalej. Gotowi? – Trzy głowy skinęły zgodnie. – No to razem!

Unieśli płytę i ostrożnie odłożyli ją na bok. Obudowa z dobrze dopasowanych kamieni była do połowy wysokości wypełniona drobniutkim, miałkim piaskiem, który najwidoczniej przez całe tysiąclecia osypywał się do środka. Stały w niej trzy urny twarzowe, pokryte pięknymi rytami narracyjnymi. W kącie leżała szczeka świni, jednak rozsypała się, gdy Oleg jej dotknął. Pozostały tylko popękane zęby i garść białego pyłu kostnego.

– Cholera – zaklął przyszyły antropolog.

– Aparat – polecił magister.

Dziewczyny wyszły z wykopu. Jakiś cień przesłonił słońce. Wariat z wahadełkiem... Rylski miał ochotę powiedzieć coś złośliwego, ale powstrzymał się. Etter przesunął teraz dla odmiany kryształową kulką ponad dnem grobu.

– Uciekło – powiedział. – Nie wyczuwam już żadnych wibracji.

Wahadełko w jego dłoni wisiało jak martwe.

– No i dobrze. Nic nas nie pogryzie – odparł radośnie archeolog.

Oleg podał mu aparat. Szybko zrobił kilkanaście fotografii z różnych ujęć, potem wyszedł na brzeg wykopu i strzelił jeszcze kilka zdjęć.

Bioenergoterapeuta odwrócił się bez słowa i powędrował w stronę wsi.

– A ładnie to tak bez kierownika groby otwierać? – usłyszeli nad sobą zgryźliwy głos Olszakowskiego.

Widocznie już się obudził.

– O, wstał pan? – zdziwił się Oleg.

– Otruliście mnie tym bimbrem, ale już mi lepiej – warknął szef. – No, ale okazało się, że umiecie dużo wypić, a to w naszym zawodzie bardzo ważne.

Stał dłuższą chwilę nad krawędzią wykopu, patrząc w opróżnianą powoli jamę grobu. Narysowali co trzeba i zadokumentowali. Rozebrali obudowę, sprawdzili jeszcze boczne ściany. Urny oraz płytę zanieśli do magazynu. Umyli się starannie po ciężkiej pracy. Dziewczęta zakrzętały się przy obiedzie.

– Trzeba będzie wezwać robotników, aby zasypali wykopy – powiedział zadowolony Rylski, klepiąc się po pełnym brzuchu. – Ile mamy urn?

– Dwadzieścia trzy, to więcej, niż ma w swoich zbiorach muzeum w Gdańsku! – stwierdził z zadowoleniem Olszakowski. – I jeszcze ta domkowa. W Polsce mamy tylko trzy podobne.

Oleg spojrzał na zachód.

– Niemieckich bombowców nie widać – zażartował. – Trzeba by jakoś to uczcić. Ostatecznie odwaliliśmy w tym tygodniu ogromną robotę. Skończyliśmy

już cmentarzysko?

– Tak – potwierdził kierownik.

– No to może skoczmy do sklepu...

– Po wino – wpadł mu w słowo doktor. – Byle nie to o nazwie „Ogier”. Do tego kupcie kiełbasy, zrobimy sobie znowu ognisko. Trzeba też uzupełnić zapas konserw i chleba. Dziś poświęćmy.

– Sam nie dam rady wszystkiego przydźwigać – mruknął Oleg.

– Pójdę z tobą – zaofiarował się magister.

Ruszyli ścieżką do wsi.



– W sumie to żal mi tego pomyleńca – powiedział student – naprawdę się przejął.

– Zdarzają się tacy. Tu i tak mamy święty spokój. Jeśli będziesz kopał w mieście, zawsze przylezie tłumek lokalnych ekspertów, którzy zechcą się podzielić wiedzą. Na przykład będą radzili, żeby kopać dalej, bo tam są zagrzebane przez hitlerowców brylanty. Czasem przyjdą jacyś nawiedzeńcy z różdżkami i wahadełkami, tacy jak Etter. Jasnowidze, obiecujący wskazać miejsca sensacyjnych odkryć, szarlatani, naciągacze, postrzeleni nauczyciele historii proszący o jakąś możliwie starą skorupę do kolekcji dydaktycznej, dziennikarze pisemek dla świrów... Od kiedy jestem archeologiem, bez przerwy spotykam takich maniaków. Też przywykniesz. A ten, trzeba przyznać, był przynajmniej oryginalny... Straszyc archeologów trzecią wojną światową... – zachichotał Paweł.

– To prawda z tym Timurem? To znaczy czytałem, że jego grób otwarto w 1941 roku, ale daty się zgadzają?

– Owszem, zbieżność była zaskakująca. Ale zdarzają się takie przypadki.

Na schodkach przed sklepem było zupełnie pusto, za to wewnątrz kłębił się zbity, milczący tłum, wszyscy wgapiali się w telewizor, który, o dziwo, działał.

– Poprosimy... – zwrócił się Ryłski do sprzedawczyni.

– Zamknij mordę!!! – huknął na niego nauczyciel.

Ktoś podkreślił dźwięk.

– ...z Nowego Jorku i Londynu dochodzą sprzeczne wiadomości. Mamy niepotwierdzoną informację o podobnej eksplozji w Paryżu... Nadal nie wiadomo, czy użyto broni konwencjonalnej, czy też może... – głos komentatora załamał się...

# Położ



Samiło Niemirycz obudził się jak zwykle na ciężkim kacu. Potoczył wkoło przekrwionym spojrzeniem. Znajdował się w szopie. Drewniane belki przeżarte przez korniki i gruba warstwa słomy na klepisku wskazywały na to jednoznacznie. Pod głową miał własne siodło. Donośne chrapanie dobiegające z lewej strony i pogwizdywanie z prawej świadczyły, że Mulat Jersillo i chiński karzeł Ptaszek jeszcze śpią. Watażka zamrugał oczyma, aby przepędzić choć trochę paskudne zielone cienie.

– Pańko – wychrypiał.

Pacholik wyrósł jak spod ziemi. Nauczony doświadczeniem kilkuletniej służby, przygotował już cebrzyk z wodą.

– Słucham, panie? – zapytał pro forma.

– Serwatki... Albo daj, co jest...

Przyssał się do wiadra i wychłęptał pospiesznie jedną trzecią. Suchość w gardle ustąpiła. Teraz dopiero poczuł upiorny ból rozsadzający czaszkę. Wierny sługa spiesznie podał mu metalową manierkę pełną najlepszej lwowskiej horyłki. Samiło pociągnął solidny łyk klina.

Zawroty głowy ustąpiły, świat wydał się weselszy. Jednak tajemnica związana z wypadkami poprzedniego dnia nie chciała się jakoś rozwiązać. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, była pijatyka w jednej z kijowskich knajp. Ślepy bandurzysta śpiewający jakąś pieśń... Potem gdzieś pojechali konno, chyba na kolejną popijawę, ale dokąd?

– Wyimaguj sobie, mój drogi Pańko, zem całkiem przepomniał nazwę wsi, która schronienia nam udzieliła – wołał nie zdradzać przed sługą tak poważnych luk w pamięci.

– Karwosiek – wyjaśnił sługa. – Popiliście się, panie, z kompanami i umyśliliście sobie na Położa zapolować i jego skarby złupić.

– Aha! – Samiło zwłókł się z barłogu i chwiejnie stanął na nogi.

Wyrwał szablę, nie wiedzieć czemu wbitą w ścianę, i troskliwie umieścił ją w pochwie.

– Obudź tych parszywych opojów, zaraz wrócę – oznajmił. – I śniadanie szykuj!

– Pora, by śniadać, dawno minęła – odparł rezolutnie chłopak.

Samiłło wyszedł przed szopę i tu czekał go nielichy szok. Wioska wznosiła się na wysokim brzegu jakiejś szerokiej rzeki. Po drugiej stronie ciągnął się pas wapiennych skał.

– Dniepr? – Ze zdumienia przetarł oczy.

Widać ziele do fajki, otrzymane od stryja alchemika, zdrowo mu we łbie zamieszało... Stopniowo przypomniawszy sobie wszystko. Przyjechali do Kijowa na zlecenie Żyda Salomona, by ściągnąć dług z jego wspólnika Izaaka. Operacja nie bardzo im się udała, bo Izaak poszczuł ich psami, a słudzy jego z samopałami zaraz na ratunek przybiegli. Umknąwszy pogoni, kompani poszli wypić. Skoro obudził się w tej szopie, a Pańko twierdzi, że mają złupić skarby jakiegoś Położa, to możliwości są dwie. Albo ktoś ich wynajął, albo usłyszeli o jakimś bogaczu i ruszyli, by go oskubać.

Wysikał się i wrócił do towarzyszy. Obaj pojeni obficie horyłką dochodzili do siebie.

– Wyimaginujcie sobie, przyjaciele najdrożsi, że kompletnie nie mogę sobie przypomnieć, o czym śpiewał ten ślepy dziadyga... – zaczął ostrożnie.

Przeczuwał, że tu właśnie może kryć się tajemnica ich wyprawy.

– Zaśpiewał nam dumkę o tym, jak to Kozacy z wężem Położem walczyli – wyjaśnił Pańko, usłużnie dolewając wina do kubków. – Gad ten żyje ponoć w tych stronach, wśród skał na wschodnim brzegu Dniepru. Lat ma tysiąc, długości dziesięć kroków sobie liczy, często atakuje kupców płynących rzeką lub wozaków. Zrabowane im złoto gromadzi w swej jaskini.

– Nie imają się go strzały ani kule – uzupełnił Ptaszek.

– Aha – zafrasował się Niemirycz.

– Wtedy wpadliście, panie, na pomysł, by gada ubić i jego skarbów nieco uszczknąć – dodał Jersillo.

Samiłło złapał się za głowę. A tатko ostrzegwał, że niebezpiecznie pić aż tyle. Choć kto wie, może jest w tym jakieś ziarno prawdy? Kozacy śpiewają o różnych rzeczach. Nie pamiętał pieśni, ale skoro za nią podążył, trop musiał być naprawdę obiecujący.

– Jakże ubić gadzinę, skoro się jej strzały ani kule nie imają? – zapytał ochryple.

– Jest miejsce jedno delikatniejsze, pod gardłem ma łuskę białego koloru. Toż ślepy i o tym śpiewał. Radził uciekać w stronę słońca. Blask stwora oszałamia tak, że łeb unosi, wtedy trza trafić raz a dobrze – wyjaśnił Mulat.

– Pamiętam już – zełgał. – Bzdura to oczywista, bajanie i kozacki zabobon. Wąż, jak to wąż, żywotny jest wielce, ale stal gada zawsze pokona.

– Kował już pewnie zamówienie wykonał – dodał Pańko. – Trzy dukaty mu



dopłacić do zadatku trzeba.

– Trzy dukaty!?

Pamięć powoli wracała. Przyjechali do tej dziury wczoraj po południu. Odwiedzili monaster, gdzie mnicha ugadali, by broń poświęcił. Zaszli do kowala, który trzy kusze i bełty ze srebrnymi grotami obiecał przygotować, odwiedzili też karcznię, gdzie przysiadł się do nich chłopina, niejaki Stiepan, i przyrzekł za przewodnika podczas łowów służyć.



Samiłło wytoczył się z szopy. Ruszył między opłotki. Wiocha była całkiem spora. Kobiety nosiły się tu z pańska. Choć dzień był powszedni, na szyjach miały korale. Chałupy miast strzechą pokryte były dachówką. Kopuły cerkiewki lśniły czerwoną barwą polerowanej miedzi. Najbardziej jednak zdumiał go fakt, że wszystkie dzieciaki chodziły w butach.

– Ciekawe, skąd takie bogactwo? – zdziwił się warchoł. – Hmm, i jak go uszczknąć...

Od strony karczmy wyszło mu naprzeciw trzech miejscowych. Przodem kroczył mężczyzna w zielonym niemieckim płaszczu, z kordem u boku. Niemirycz przypomniał sobie, że to sołtys. Obok dreptał batuszka, a kawałek za nimi maszerował szeroki w barach, wysoki chłop w haftowanej soroczce. To myśliwy, którego najęli na przewodnika.

– Tak waszmości rano wypatrywalim... – zaczął sołtys.

– Zachorzałem – burknął Samiłło. – Ale już mi lepiej.

– Cieszy nas to niezmiernie. Jutro świtem ruszycie pewnie?

– Tak. Jutro. Ale tak jeszcze pogadać chciałem. Z tym Położem to pewne? Często go widujecie? – zapytał Niemirycz. – Tak próbowałem oszacować, ile może mieć tych skarbów...

– Bestia łośńskiego roku cztery krowy nam zeżarła, w tym już sześć. Ślady jego do rzeki prowadzą.

– Ślady? – zdziwił się watażka. – Wąż przecie nóg nie ma.

– Patrzajcie tam, na łąkę. – Sołtys wskazał łan trawy na brzegu rzeki. – Trzy dni nazad znów na naszą stronę się wyprawił i kozę porwał.

Kozak spojrzał, mrużąc oczy. W wysokiej trawie wygnieciony był wyraźny ślad, zupełnie jakby kto pięciogarncową beczkę horyłki przetoczył.

– Zaś co do skarbów, tośmy liczyć próbowali. Przed Godami łódź zatopił, co nią czumacy z Kijowa wracali. Mieli przy sobie złoto za dobre pięć łasztów soli. Wcześniej kupców z Wołoszczyzny zeżarł i dwóch posłów, których sułtan przysłał, obwieszeni byli złotem aż się w oczach mieniło... A tamtego lata jeszcze trzech Żydów, co szlachetnymi kamieniami handlują, dopadł, gdy popas na tamtym brzegu zrobili. Tak rachujem, że przez ostatnią dekadę z tysiąc dukatów

zebrał jak nic.

– A nie zapominajcie, panie, że od milenium tu żyje – dodał batuszka.

– I co, sami ubić go nie zdołaliście? – zdziwił się Niemiryecz.

– Próbowalim – wyjaśnił Stiepan. – Ja sam kilka razy zaszedłem go wśród skał i z kuszy doń szylłem, alem w łuskę na gardle nie trafił. Ledwom z życiem uszedł. Mój batko lat temu dwadzieścia próbował i na wieki tam ostał...

– Przejdźmy do konkretów – zaproponował sołtys. – Ubijecie, panie, gada i odszukacie jego jamę. Stiepan dziesiątą część skarbów weźmie. Drugą dziesiątą mnie oddacie, na rozwój wsi oraz zaopatrzenie wdów i sierot przeznaczym. Trzecią takąż w cerkwi złożycie. Reszta dla was.

– Toż siedem dziesiątych raptem dla mnie zostanie – zafrasował się Niemiryecz. – To nie za wiele.

– Kwota to poważna będzie, w tysiące dukatów idąca. – Sołtys spojrzał na niego z wyrzutem.

– No niby tak. – Samiłło miał minę, jakby skosztował limony. – Ale trzecią część oddać? Takie zdzierstwo to nie po chrześcijańsku.

I zadumał się głęboko.



Wstawał świt. Nad rzeką snuły się języki mgły. Trzej obwiesie stanęli na pomoście. Zbity tłum chłopów zaszemrał z podziwem. Karzeł Ptaszek na tę okazję odział się w chiński jedwabny kaftan. Samiłło przyoblekł karmazynowy kontusz. Jersillo wystąpił nago, tylko biodra przepasał lamparcią skórą. Wszyscy trzej nieśli kusze, ponadto Niemiryecz miał za pasem szablę, a Mulat dzierżył w dłoni maczugę z solidnego kawałka dębiny. Pańko przystanął skromnie z boku.

– Tak wspaniałych bohaterów wieś nasza od dawna nie widziała – powiedział sołtys. – Ubijcie gada i powracajcie zdrowo.

– Będą wam towarzyszyć nasze modlitwy. – Batuszka zamachał kadzielnicą, a potem pobłogosławił ich ikoną i podał krzyż do ucałowania.

– Pora ruszać na łowy. – Stiepan zajął miejsce w łódce.

Pierwsze wątpliwości naszły Niemirycza, gdy tylko dobili do drugiego brzegu. Kości krów, połamane beczki i wielkie bryły starego łąjna świadczyły, że bydłę od czasu do czasu tu popasa.

– Ruszajmy dalej, wielmożni panowie – zaproponował przewodnik. – Dzień wstaje, lepiej przed nocą gada wytropić i ubić, bo po ciemku jak kot widzi.

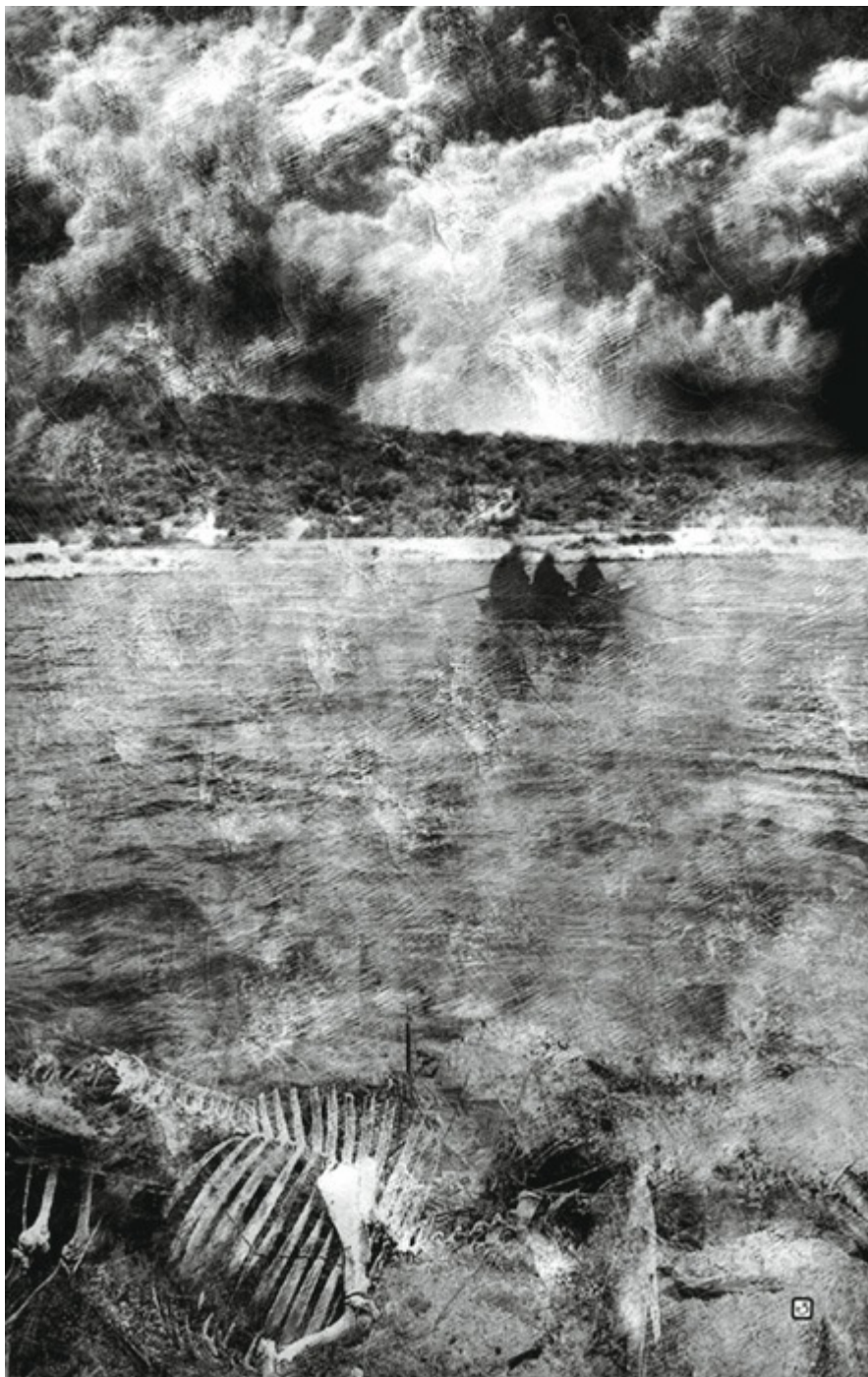
– Prowadź. – Samiłło westchnął ciężko.

Powędrowali dziką ścieżką wiodącą na wysoki brzeg. Stiepan kroczył ostrożnie, co chwila przystając i rozglądając się na boki. Bo i po prawdzie teren był trudny. Wapienne skały, gęsto pozarastane krzewami oraz zagajnikami brzózek, dawały bestii setki możliwości przyczajenia się i nieoczekiwanego

ataku.

Położ musiał grasować tu często. Co chwila natrafiali na rozwłózione kości krów i świń, a dwukrotnie także na szczątki ludzkie. Woń kału i padliny unosiła się nad okolicą niczym ciężka chmura.

Było już dobrze z południa, gdy Stiepan zarządził popas. Najpierw przepatrzył okolicę, czy nie widać śladów obecności gada, potem poprowadził łowców do małej kotlinki. Samiło rozwiązał worek z jedzeniem naszykowanym przez Pańkę, przewodnik, jak się okazało, miał bukłaczek horyłki. Wypili, zjedli, znowu wypili.



– Ech, nie nawykłym do takiej włóczęgi – westchnął watażka, oglądając pokryte odciskami stopy.

– Tedy spocznijcie sobie, a ja przejdę się po zagajnikach i obaczę, czy gdzieś świeżego tropu nie widać – zaproponował Stiepan.

– Z czystego serca twe słowa płyną – pochwalił go Ptaszek.

Chłopina podciągnął portki i ruszył wąwozem. Samiśło dolał sobie wódki. Dzień był ciepły, cisza i słoneczko rozleniwiwały.

– Najlepiej, gdyby ten miejscowy gada ubił – mruknął. – Potem my jego zaciukamy i przed wieczorem bogaci będziemy. Tylko wracać trza będzie inną drogą i konie na zmarnowanie we wsi ostaną.

– Koni szkoda – zauważył Ptaszek. – Zróbmy inaczej. Wy ze złotem popłyniecie w dół rzeki, a ja do wsi wrócę i powiem, że bydlę was pożarło. Konie zabiorę, spotkamy się kilka mil od wioski.

– Słusznie – pochwalił watażka.

Nieoczekiwanie dziki, nieludzki skowyt zmroził ich uszy.

– Wygląda na to, że nasz przewodnik znalazł Położa – stwierdził markotnie Ptaszek. – Albo raczej Położ jego znalazł.

– No i świetnie. – Samiśło zatarł dłonie. – Ruszajmy. Bestię ubijem, gdy go będzie zżerać! A może i zaśnie, jak się obje? Tak lepiej by było.

Mulat i Chińczyk popatrzyli na siebie niepewnie. Ale Niemiryecz z kuszą w dłoni już skradał się między skałami. Mamrocząc przekleństwa, ruszyli za swoim watażką.

Samiśło ostrożnie posuwał się ścieżką, gdy nieoczekiwanie stanął jak wryty. Za zakrętem drogę przegradzało mu łajno. I to jakie... Balas był grubości beczki i długi na co najmniej dziesięć kroków. Smród był upiorny. Z brązowej masy tu i ówdzie sterczały zakrwawione ludzkie kości i strzępki niebieskiej tkaniny. Tupot za plecami świadczył, że obaj obwiesie właśnie nadbiegli.

– Ło krucafuku! – Chińczyk z wrażenia zaklął po góralsku. – A cóż to jest takiego!?

– No, gówno. – Niemiryecz wzruszył drżącymi ramionami. – Łajna nie widzieliście?

– Ale... – zaczął niepewnie Jersillo. – Toż jak sobie wyobrażę rzyć, która to zrobiła, a potem zwierza tegoż resztę...

– Stiepan nie był ułomek – dodał poważnie Ptaszek. – Sześć stóp wzrostu, w barach szeroki, a widać Położowi na jeden kęs starczył.

– No tak – zafrasował się watażka.

– Tedy tak myślę – brnął Jersillo – może lepiej byłoby... Skoro gad go łyknął i nie zasnął po tym... To plany nasze burzy.

– Słusznie prawi – dodał Ptaszek. – Tu by trza całej armii. I armat kilka.

Bandurzysta śpiewał, że Położ na dziesięć kroków tylko długi, ale coś mi się widzi, że trochę źle jego rozmiary ślepiec ocenił.

– Przemysławszy dokładnie nasz problem, dochodzę, drodzy przyjaciele, do tychże samych wniosków. – Niemirycz z trudem stłumił szcęknięcie zębów. – Wrócimy tu oczywiście większą kompaniją w czasie bardziej stosownym – dodał pospiesznie, by zachować twarz.



Dniepr przebyli, wiosłując, jakby ich gonili wszyscy diabli. Ktoś musiał spostrzec tę rejteradę, bowiem gdy dobili do pomostu, czekała już cała wioska.

– A gdzie Stiepan? – Przez tłum wieśniaków przedarła się kobieta w jedwabnej chustce.

– Położ go zeżarł – wyjaśnił bezlitośnie Samiłło. – Tylko kości resztki, w gównie utyłane, znaleźliśmy.

Kobieta wybuchła płaczem.

– Co ja teraz zrobię nieboga! Sama z czwórką dzieci na tym świecie ostałam! – ryknęła. – A i procenta przecie miał od skarbu dostać!

– Sprawa to niezmiernie przykra. – Duchowny spojrział na trójkę obwiesiów. – Na waszej służbie legł, tedy i kobiecie kilka groszy dać powinniście. Dumam, że dziesięć dukatów będzie akurat.

– Ile?! – ryknął Samiłło. – Sam wlaźł gdzie nie trzeba, nie tylko nie doprowadził nas na miejsce, ale jeszcze własnej głupoty przyczyną bestii za żer posłużył. Grosza złamanego nie dam!

– Jakże to: nie? – Sołtys spojrział na niego zdziwiony.

Wokół rozległ się szmer. Watażka rozejrzał się nerwowo. Teraz dopiero zauważył, że chłopci widać przybiegli na ich spotkanie, odrywając się od zajęć gospodarskich. Jeden trzymał siekierkę, inni cepy i widły...

– Kupa ich, nie przedrzemy się – mruknął Ptaszek po łacinie.

– Może się jakoś dogadamy? – zaproponował trzeźwo Jersillo. – Dziesięć dukatów to kwota poważna wielce, zwłaszcza dla ludzi tak ubogich jak my...

Po długich targach stanęło na siedmiu.



– Pojechali? – Stiepan ostrożnie wyjrzał z szopy.

– Łap, twoja dola. – Sołtys rzucił mu dwa dukaty. – Dobrześ się spisał. Siedem czerwonych złotych za twoją skórę dali, dwa za kusze zapłacili, batuszka talara ofiary na cerkiew dostał, a i sporo grosza w karczmie przepili.

– Będzie co jeszcze dziś do roboty?

– Marko z kijowskiej rzeźni nowych kości krowich całą furę przywiózł. Trza na tamten brzeg przewieźć i po krzakach rozwlec, dwóch ludzi do pomocy

dostaniesz.

– Ludzkich by się przydało więcej – zauważył chłop. – To mocne wrażenie robi i szybciej amatorów do poszukiwań zniechęca. A lepiej jeszcze trupa kilkudniowego... – rozmarzył się.

– Może coś u papistów na cmentarzu wykopiem. I na jutro się szykuj, Mychajło donosił, że kolejny łowca niebawem do nas dotrze.

– Hy!



Niewidomy bandurzysta zsunął opaskę i przeczytał, co zapisano na pergaminie. Schował stosik dukatów do kieszeni.

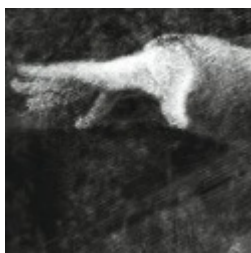
– Rymy to nietrudne – powiedział. – W dwie niedziele wszystkie dzieciaki z naszego cechu wyuczym i od Krakowa po Dzikie Pola w każdej karczmie będą waszą, panie, chwałę głosić. Jeny kłopot w tym, iż historia ta trochę nazbyt fantastyczną mi się zdaje.

– Co jest nie tak? – naburmuszył się Samiło.

– W to, żeście gada w boju szablą zasiekli, ludzie jeszcze uwierzą. Ale żeście wszystkie jego skarby ubogim chłopom rozdali...

– Dobrze, wykreśl ostatnią zwrotkę – westchnął warchoł.

# Bunt szewców



Nadchodzi wczesny jesienny zmierzch. Zapalam gałązkę bukszpanu. Kreślę okrąg wokół siebie, oczyszczając przestrzeń, w której będę pracował. Zataczam drugi, mniejszy, wypalający to, co rozprasza. Wreszcie trzeci, by oczyścić narzędzia. Palcem zanurzonym w winie rysuję trójkąt na swoim czole. Zamykam się dla świata, otwieram dla czynu. Czas przestaje istnieć. Rzeczywistość zewnętrzna traci z tą chwilą jakiegokolwiek znaczenie. Mogę odłożyć pracę, dopiero gdy para butów zostanie skończona. Tylko bezpośrednie zagrożenie życia daje mi prawo, by wstać z zydlu. Mój dziadek był prawdziwym twardym szewcem. Przerwał pracę, dopiero gdy roztrzaskano mu głowę.



Wizja pojawiła się tak jak zwykle gdzieś na pograniczu jawy i maligny, w chwili gdy człowiek sam nie wie, czy śpi, czy czuwa. Fresia, moje miasto. Tyle razy widziałem je w snach, tyle nocy spędziłem, błąkając się uliczkami wzdłuż zabitych deskami witryn sklepików i warsztatów, patrząc na pokryte liszczami niegdyś piękne domy. Czemu musiałem przeżywać to ponownie? Dlaczego nigdy nie zdarzyło mi się śnić o czasach, gdy jeszcze kwitło?

Wstawał świt, między kamieniczkami snuły się języki mokrej, szarej mgły. Biegłem wąskim zaułkiem w towarzystwie kilku czeladników. Pędziliśmy po kocich łbach, na złamanie karku, prosto w stronę zatoki. Nad dzielnicą portową unosiły się dymy.

Z daleka dobiegał tupot podkutych buciorów. Gonili nas? Tam w dole słyhać było huk pojedynczych wystrzałów. Wpadliśmy w bramę. Kolejny pasaż, tym razem biegnący trawersem zbrocza, prowadził na skwerek. Pod cokołem czekała druga, podobna grupka. Na nasz widok chwycili samopały oparte o postument.

Spojrzałem na pomnik. Piaskowcowa statua poszarzała, tu i ówdzie widać było na niej ślady uszkodzeń spowodowanych przez odłamki lub zabłąkane kule. Jednak twarz mężczyzny nawet pod warstwą brudu pozostała taka jak dawniej. Nieco dzika i drapieżna, o ostrych rysach i hardym spojrzeniu. Twarz

odkrywcy, podróżnika, kondotiera gotowego bez wahania poświęcić swoje życie...

Niewielką mosiężną tabliczkę pokrywały wykwity śniedzi. Napis był częściowo zatarty, ale nie musiałem czytać, by wiedzieć, czyją postać wykuto w kamieniu. Ake Gevein.

Pocisk uderzył w cholewę buta i wyłupawszy kawał, gwizdnął rykoszetem tuż koło mojego policzka... Ocknąłem się, krzycząc, zlany potem. Długo leżałem rozdygotany. Jaki dziś dzień? Sobota...



Giełda na warszawskim Kole to specyficzne miejsce. Handluje się tu antykami. A ściślej mówiąc, rupieciami, wśród których czasem trafiają się prawdziwe antyki. Dziewięćdziesiąt procent oferowanego towaru to zwykły szmelc wygrzebany na strychach czy w piwnicach. Jeśli ktoś potrzebuje wieszaka sprzed pięćdziesięciu lat, przedwojennej książki o okładce zjedzonej przez wilgoć czy zardzewiałej kotwicy – jest to dla niego idealne miejsce. Na kramach, kramikach i gazetach leżą lalki z pourywanymi głowami, tabliczki znamionowe przedwojennych silników, zardzewiałe hełmy, skorodowane karabiny wygrzebane z okopów, kafle piecowe, zarówno całe, jak i poobtłukiwane, oraz pogięte platerowane sztucce. Zaśniedziałe klamry wojskowych pasów sąsiadują z tandetnymi porcelanowymi figurkami.

Ale jeśli ktoś zapragnie parać się na przykład kowalstwem, to w kilka miesięcy jest w stanie skompletować sobie zestaw młotów, cęgów i szczypiec, a przy odrobinie szczęścia może i kowadło mu się trafi...

Z ogromnego stosu rozmaitego śmiecia podniosłem jeden przedmiot. Gładka bukowa rękojeść pociemniała. Jej powierzchnię wytrawił pot i wypolerowała szorstka skóra rzemieślnika. Narzędzie idealnie ułożyło się w mojej dłoni. Popatrzyłem na ostrze. Bardzo stary model. Szarą stal znaczyły gęsto czarne plamki typowe dla żelaza, które bardzo długo leżało nieużywane w szufladzie. Krawędź tnąca była w jednym miejscu minimalnie wyszczerbiona. Popełniłem błąd, sięgając od razu po upatrzony przedmiot. Najpierw trzeba było przejrzeć kilkanaście innych i powybrzydzać, by uspić czujność sprzedawcy. Co się stało, to się nie odstanie, ale można spróbować zmniejszyć szkody. Czyli udawać głupiego, bazarowe cwaniaczki z reguły się na to nabierają.

– Ile za to dłućko? – zapytałem.

– Dwie dychy – wychrypiał kaprawy typ pilnujący stoiska.

Mam zły akcent. Znam polski już biegle, ale ciągle można się zorientować, że nie jestem stąd. Z wyglądem też jest nie najlepiej. Moja rasa ma trochę większe oczy, odrobinę przyplaszczony nos, wydatne kości policzkowe. Nasza skóra jest barwy miodu, o ton lub dwa ciemniejsza niż u tubylców. Gdy ktoś



pyta, mówię, że pochodzę z Peru. Polacy lubią Indian.

Otaksowałem go długim spojrzeniem. Mrużył przekrwione oczy, pot pokrywał nabrzmiąłą, opuchniętą twarz. Dwudniowy zarost pokrył policzki twardą szczecina. Wczorajsze pijaństwo i dzisiejszy kac wypisane na gębie.

– Dam trzy złote. Na piwo starczy.

Odruchowo oblizal wyschnięte wargi. Wizja kufła pełnego chłodnego i pianistego eliksiru życia musiała wyrzucić na nim pewne wrażenie.

– Dawaj piątkę i jest twoje – burknął.

Podąłem mu monetę i ruszyłem dalej. Dopiero oddalwszy się na bezpieczną odległość, obejrzałem dokładniej mój łup. Dłutko? Dobrze sobie, wycinak do dziurek.

Na innym stoisku wypatrzyłem drewniane formy do butów. Rozmiar czterdzieści dwa? Takich mi brakowało.

– Ile za to? – zagadnałem.

– Trzydzieści. – Sprzedawca nawet nie podniósł wzroku. – To bukowe prawidła do butów.

– Zniszczone – zauważyłem, patrząc na dziesiątki dziurek po gwoździach.

– To ile dasz?

– Dychę.

– Toż jak za darmo – obraził się. – Normalnie po stówaku chodzą.

Owszem, dobre prawidła powinny kosztować dużo więcej, ale facet wiedział, że to, co sprzedaje, prawidłami nie jest... Tylko że ciemniak nie potrafił zidentyfikować przedmiotu.

– Piętnaście?

Z udawanym oburzeniem wznosił oczy ku niebu. Ale ja już wiedziałem, że się zgodzi.

Opuszczałem giełdę z miłym poczuciem dobrze wykorzystanego czasu i sensownego wydania pieniędzy. Udało mi się zdobyć jeszcze dwa szydła. Mają minimum sto lat. Kosztowały grosze... Dziś wieczorem przyjdzie czas pracy. Zapalę gałązkę bukszpanu, oczyszczę zakupione narzędzia ogniem i oliwą. Obudzą się po latach bezczynności. Sprawię, że znowu ożyją pod moimi palcami...



Piknik rycerski na Bródnie urządzono pośrodku parku. Szedłem szybkim krokiem, mijając kolorowe namioty, mężczyźni w błyszczących zbrojach, dziewczęta w średniowiecznych sukniach... Na wydzielonych liniami polach miłośnicy żywej historii okładali się z zapalem mieczami, gdzie indziej gapie za parę złotych walili z łuków do tarczy. Niektóre bractwa wystawiły kramiki, na których można było kupić elementy pancerza, drewniane kubki, krajki,

rzemienie czy wisiorki. Cóż, jakoś trzeba zarobić na swoje hobby... Nad stawem huknęła głucho replika bombardy.

Dwa i pół roku temu na podobną imprezę przyniosłem dwadzieścia par najprostszych skórzanych łapci. Sprzedałem wszystkie w ciągu godziny i zebrałem zamówienia na drugie tyle. Tamtego dnia zrozumiałem, że uda mi się przetrwać w tym świecie. Tamtego dnia zrozumiałem też, że mam powód, by wracać do mojego. Zobaczyłem kusze. Nasza cywilizacja była widocznie zbyt pokojowa. Przeskoczyliśmy ten etap, od łuków przeszliśmy od razu do samopalów. A przecież arbaleta to broń znakomita. Poręczna, o niezwykle prostej konstrukcji, niezawodna, szybkostrzelna i o fantastycznym zasięgu. Wielokrotnie lepsza niż łuk. Idealna, by po wyposażeniu bełtów w ładunki zapalające skutecznie razić sterowce, stanowiące główną siłę uderzeniową wojsk Republiki... Przydatna do naszych celów także dlatego, że stalowe łuczyska wykują bez problemu każdy wiejski kowal.

Stałem u wejścia do sporego namiotu. Wewnątrz siedziało kilku wojów, na oko nieco starszych ode mnie.

– Czym możemy służyć? – uśmiechnął się brodaty.

– Szukam Ulfa – wyjaśniłem.

– Proszę się rozgościć, będzie za pięć minut. – Wykonał zachęcający gest.

Usiadłem na skraju ławy. Rycerze wrócili do swoich „rycerskich” zajęć. Jeden studiował branżową gazetę, drugi sączył piwo z drewnianego kubka, trzeci stukał w klawisze laptopa. Brodaty nabijał jakąś straszliwą armatę.

– To replika króciicy z końca XVI wieku – wyjaśnił, widząc moje zainteresowanie. – Z zamkiem kołowym.

– Niezły kaliber – wyraziłem podziw.

– Sam toczyłem lufę – pochwalił się. – Chodź, gruchniemy sobie – zaproponował.

Staaliśmy przed namiotem. Wręczył mi broń. Ciężkie cholerstwo, ze trzy kilo jak obszył. Ciekawe, co by powiedział na wieść, że w naszym świecie nadal jest to podstawa uzbrojenia.

– Mogę? – Skierowałem lufę do góry.

– Jasne.

Pociągnąłem spust. Zaiskrzyło pięknie, ale strzał nie padł.

– Zamki kołowe są trochę zawodne – mruknął rycerz tonem usprawiedliwienia.

Wiem o tym. W zaułkach Fresii używaliśmy przeważnie broni skałkowej. Jest zdecydowanie mniej zawodna.

Podsypał więcej prochu na panewkę, naciągnął i podał mi ponownie.

– Spróbuj jeszcze raz – zachęcił.

Tym razem się udało. Rąbnęło, płonące resztki pakul na chwilę rozbłysły w powietrzu, głuchy huk przetoczył się nad parkiem. Mój przykład okazał się zaraźliwy, bowiem w ciągu następnej minuty w różnych miejscach gruchnęło jeszcze kilka samopałów.

– Jest i Ulf. – Wskazał mi przeciskającego się pomiędzy tłumem rycerza.

– To pan zamawiał ciżmy? – spytałem z uśmiechem.

– To ty podpisujesz się nickiem Szewc? Chwała Internetowi – mruknął.

– Przymierzy pan? – wolę szybko przechodzić do rzeczy, ograniczać kontakt do niezbędnego minimum.

Weszliśmy do namiotu. Wyjąłem z plecaka parę butów. Obejrzał je uważnie, a potem usiadł na ławie i ściągnąwszy swoje kamaszki, przymierzył.

– Nieźle. – Przeszedł kilka kroków. – Naprawdę dobre. Sam je zrobiłeś?

– I ze dwadzieścia innych par wydeptujących tu trawę...

– Hmmm, no tak – powiedział trochę bez sensu. – Tu jest należność. –

Odliczył umówioną sumę.

Patrzył na mnie dziwnie, jakby badawczo.

– Coś nie tak? – Poczulem ukłucie niepokoju.

– Nie potrafię cię zaklasyfikować – mruknął. – Jestem antropologiem – dodał tytułem wyjaśnienia. – Skąd pochodzisz?

Mam niemal stuprocentową pewność, że pytanie jest zupełnie szczere. Jednak instynkt zaszczutego zwierzęcia nakazuje mi zwiększyć ostrożność. Zresztą gdybym powiedział prawdę, nie uwierzyłby przecież...

– Z Peru, ale jeden z dziadków był Ormianinem.

Nie przekonałem go chyba. Nadal świdrował mnie spojrzeniem. Trzeba się jakoś inteligentnie ulotnić. Udałem, że poczułem wibracje, i wyciągnąłem z kieszeni telefon komórkowy. Przyłożyłem aparat do ucha.

– Halo? Tak, już załatwiłem, będę za trzy minuty.

Schowałem urządzenie do kieszeni.

– Pora na mnie. – Wstałem.

– Do zobaczenia. Gdybyś miał chwilę, wpadnij do nas, do instytutu. – Podał wizytówkę. – Chciałbym zrobić dokładne pomiary twojej czaszki.

– Spróbuję wygospodarować trochę czasu.

Zmyłem się. Maszerując przez pole turniejowe, kilkakrotnie obejrzałem się, sprawdzając, czy nikt za mną nie idzie. Była to chyba zbyt duża ostrożność, ale nigdy nic nie wiadomo. Ostatnio widziałem ich szpiega ponad cztery miesiące temu. Wiedzą, że tu jestem, więc mogą być pewien, że umrę, gdy tylko zdołają mnie odnaleźć.



Mała ni to piwniczka, ni to suterena na tyłach popadającej w ruinę

przedwojennej willi co dnia wita mnie znajomym zapachem: mieszaniną woni wosku, świeżej skóry, kleju i starego żelaza. Wślizgnąłem się do mojego królestwa. Laptop umieściłem na stoliku koło drzwi, uruchomiłem, zalogowałem się, sprawdziłem pocztę. Osiemdziesiąt procent klientów kontaktuje się ze mną bezpośrednio przez Sieć, na Allegro idą tylko te mniej udane egzemplarze. No i proszę, cztery kolejne zamówienia. Miło patrzeć, jak interes się rozkręca.

A jednak czuję niesmak. Trudno to wytłumaczyć komuś, kto całe życie obcował z wytworami techniki. Nauczyłem się używać komputera, rozmawiam przez telefon. Elektryczność czy silnik spalinowy nie budzą mojego zdziwienia, a jedynie odrazę. Żyjąc wśród ludzi, musiałem przyjąć pewne obowiązujące tu reguły. Ale nie rozumiem ich.

Ziemska cywilizacja dokonała dziwnego skreśtu, coś przetrąciło jej kręgosłup. Nie potrafili w porę zatrzymać postępu i teraz technika pożera świat. Nawet nie dostrzegają, jak bardzo zmieniła się ich mentalność... Nie umieją już żyć bez ułatwień. Zmiękli, zdegenerowali się, wyrodzili. Nie są w stanie cieszyć się codziennym trudem, wysiłkiem, bólem zmęczenia. Płaczą, że nie mają pracy, a jednocześnie od setek lat konstruuja coraz wymyślniejsze maszyny, by się od tej pracy uwolnić.

Wolne chwile zatruwają oglądaniem telewizji albo czytaniem. Nie mając własnych kłopotów, przejmują się zmyślnymi problemami innych. Pamiętam głęboki szok, który przeżyłem, gdy zorientowałem się, że historie wypełniające miliony ich książek są prawie bez wyjątku wysane z palca. Ale zarazem zrozumiałem, dlaczego nasi mędracy nazwali ten świat „Ziemią Kłamców”.

Gaszę światło. Moje oczy przywykły do ciepłego blasku świecy lub lampy oliwnej. Elektryczność jest zła do pracy. Za ostra, rozprasza. Rozświetla wszystkie zakamarki warsztatu. Wydobywa zbyt wiele szczegółów otoczenia, utrudnia skupienie. Wreszcie niweczy cudowną grę cieni na ścianach.

Zapalam gałązkę bukszpanu. Wyrównuję oddech, uspokajam bicie serca. Dotykam palcami powierzchni czerwonego wina, a potem skóry na czole. Jestem szewcem, jak mój ojciec, dziadek, pradziadek i inni przodkowie w długiej linii pokoleń. Pamięć mego rodu sięga siedmiu stuleci wstecz. Sto pięćdziesiąt *tefi* temu mój przodek Inge Marv przybył w towarzystwie Ake Geveina do doliny rzeki Id i założył warsztat na zboczu Góry Słonych Źródeł. Dziś jego krew płynie w żyłach wszystkich szewców miasta.

Rozwijam pakunek z narzędziami. Cztery noże do skór przywiozłem przed ośmiu laty, uciekając z mojego świata. Resztę kupiłem tu, w Warszawie. Metal zachowuje w sobie kształt tego, co ciął. Nim przystąpię do nowego zadania, trzeba tę pamięć zatrzeć. Unoszę nóż z brązu i przesuwam go nad płomieniem

świacy. Jestem gotów.



Najtrudniejsze są początki pobytu w obcym kraju. Mnie było podwójnie ciężko. Nie znałem języka, nie znałem miejscowych zwyczajów, nie miałem żadnego punktu zaczepienia. Brakowało mi odporności, banalna dla ludzi grypa prawie mnie zabiła. W dodatku przeszedłem Bramę wczesną wiosną, po lasach leżał jeszcze śnieg, nocowanie pod gołym niebem było trudne. Popełniłem dziesiątki błędów, z których każdy mógł kosztować mnie życie. Najpoważniejszym był wybór tego akurat świata...

Okazał się tak niepokojąco zbliżony do Rozetty. Nawet religia jest podobna, tylko zaszli dalej na swojej drodze ku czarnej mgłę. Ich Odkupiciel już przybył, lecz zamiast dobrowolnie poświęcić się i umrzeć za grzechy, został zamordowany. Tego, że żyją w czasie apokalipsy, a każdy dzień to próba charakterów, starają się nie dostrzegać. Tak wiele elementów przywodzi na myśl to, z czym walczyliśmy. Tu też na parterach domów widać dziesiątki zabitych deskami lub zamkniętych zardzewiałą kłódką wejść do sklepów i warsztatów. Ziemię na dobre zainfekowały wirusy filozofii oraz demokracji. Ten świat przypomina jako żywo krainę naszych wrogów.

Najgorsze rozczarowanie przeżyłem, gdy okazało się, że tutaj buty robi się w fabrykach, i przez wiele tygodni byłem przekonany, iż czeladnik szewca nie ma żadnych szans na pracę w zawodzie.

Krok po kroku poznawałem reguły rządzące tym dziwnym krajem. Człowiek bez dokumentów tu nie istnieje. Nawet jak się ma dokumenty, pełna legalizacja jest potwornie trudna. By jako tako funkcjonować, trzeba mieć nie tylko kąt do mieszkania, ale i adres zameldowania. Nie można nazywać się Amiwelechus Marv, bo to podejrzane. Do jesieni poznałem język na tyle, by móc udawać cudzoziemca...

Gdy człowiek przebywa gdzieś nielegalnie, a w dodatku ma powody przypuszczać, że grozi mu pościg, może zastosować dwie taktyki. Często zmieniać mieszkania i w ten sposób zacierać za sobą ślady albo siedzieć jak mysz pod miotłą w jednym miejscu, ograniczając do minimum liczbę kontaktów z tubylcami. W pierwszym przypadku zwiększa się liczbę znajomości, co grozi przypadkowym trafieniem na agenta wroga. W drugim można zostać namierzonym i powolutku rozpracowanym. Tak źle i tak niedobrze. Wybrałem sposób drugi. Na uniwersytecie znalazłem ogłoszenie o kwaterze dla studenta. Potem wystarczyło konsekwentnie takowego udawać.



Naciągnąłem lekko zwilżoną giemzę na formę. Przybiłem krawędź małymi

gwoździakami. Lewy but, teraz prawy... Trzeba dokupić skóry, tej najgrubszej, wołowej, na podeszwy. Dwoina też by się przydała. Praca skończona. To, co robiłem przed chwilą, to jedynie przygotowania do kolejnego dnia... Kawalkiem bibuły przecieram czoło. Potem zdmuchuję świecę. Czas znowu może ruszyć. Nie wiem, ile godzin spędziłem na zydlu, i nie ma to żadnego znaczenia. Teraźniejszość jest teraz, wtedy byłem poza nią. Sprawdzam telefon. Jedenaście razy próbowano się do mnie dodzwonić. Na zewnątrz jest jasno. Czy to już kolejny dzień?

Gdy robiłem sobie śniadanie, komórka zapiknęła ponownie. Spojrzałem na wyświetlacz. Marta. Odebrałem.

– Mogę wpaść? – zapytała.

– Jasne – odparłem i przerwałem połączenie.

Szkoda czasu na pogaduszki. Podawanie swojego adresu jest głupotą, ale z drugiej strony gdybym nie prowadził żadnego życia towarzyskiego, wyglądałoby to podejrzanie. Właścicielka willi, w której wynajmuję kwaterę, jest niekiedy paskudnie wścibska.

Zamówienie studentki jest gotowe, ale warto przetrzeć cholewki jeszcze raz szmatką, by dobrze nawoskowana kasztanowobrazowa skóra nabrała odpowiednio głębokiego połysku.

Marta pojawiła się równo dwadzieścia sekund po tym, jak skończyłem polerować.

– Witaj. Widzę, że jest – ucieszyła się.

– Przymierz – zażądałem.

Siadła na krześle i zsunąwszy adidas, naciągnęła trzewiki. Haczykiem dociągnęła dziurki.

– Nie cisną? – zaniepokoiłem się.

– Nie.

– Wskocz na stół – poleciłem.

– Mam się przedtem rozebrać? – Błysnęła zębami w uśmiechu. – Czy wystarczy, że zatańczę?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, jednym susem wskoczyła na blat i przez chwilę stepowała w rytm nieistniejącej muzyki.

– I jak teraz oceniasz?

– Jak na obstalunek zrobione – pochwaliła. – Hmm... W zasadzie to na obstalunek – zadumała się.

– Ze dwa sezony powinny wytrzymać.

Zeskoczyła z gracją.

– Jesteś świetnym szewcem – szepnęła i pocałowała mnie w policzek.

Co mi po pochwałach „rycerzy”. Uznanie z ust dziewczyny tańczącej w

zespole ludowym to dopiero konkret. Odliczyła szybko należność i podała mi zwitek banknotów. Schowałem je do kieszeni.

– Napijesz się herbaty?

– Z przyjemnością.

Rozsiadła się wygodnie i wyciągnawszy nogi, kontemplowała lśnienie czubków.

Nastawiłem czajnik.

– Znowu jesteś błądy i masz podkrążone oczy – zauważyła. – Bezsensowność cię męczy, czy może siedzisz do późna nad zamówieniami?

– I to, i to – rzekłem wymijająco. Nie mogę powiedzieć jej prawdy.

Zamiast herbaty niby to przez roztargnienie zaparzę yerba mate. Skoro udaję Indianina, trzeba grać konsekwentnie. Jeszcze ciastka upieczone wedle brazylijskiej receptury.

– Co to za miejsce?

Zagryzłem wargi, widząc, co obraca w dłoniach. Pocztówka. Musiałem przez roztargnienie zostawić ją na wierzchu. Do licha! Żeby tylko nie odwróciła. Za późno.

– O! – mruknęła, widząc krzaczki naszego alfabetu. – Co to za pismo?

– Nie mam pojęcia. Spodobał mi się ten obrazek i tyle. Chłopak, od którego ją kupiłem, mówił, że to z Etiopii.

– Aha. Ciekawe, jakie to miasto, wygląda bardzo sympatycznie.

Ma rację. Fresia, nawet zniszczona przez rządy Republiki, jest piękna. Zatoka morska wcina się głęboko w granitowy masyw, na brzegach fiordu i zboczach gór tarasowo leżą dzielnice. Najniżej umieszczono oczywiście portowe doki, nad nimi w połowie wysokości rozlokowały się wille rozmaitych notabli, a wyżej, tam gdzie mocno dokuczają wiatry, żyją rzemieślnicy. A właściwie żyli, w czasach gdy Fresia uznawała władzę króla Kassaora...

– W Etiopii nie ma morza – głos dziewczyny wyrwał mnie z zamyślenia.

Zagryzłem wargi.

– A jezioro Tana? – podsunąłem.

– Zabierzemy się za to naukowo – powiedziała wreszcie. – Naszkicujmy schematyczny plan miasta. – Na kartce z notatnika narysowała owal zatoki. – Na zdjęciu mamy wczesny poranek...

– Dlaczego tak sądzisz? – Z trudem opanowałem irytację połączoną z paniką.

– Bo na ulicach nie ma jeszcze nikogo, a cienie są długie. Gdzie wschodzi słońce? – Zastanowiła się. – Masz atlas geograficzny?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, wypatrzyła go na półce. Przekartkowała szybko.

– Roślinność jest tam jakby trochę egzotyczna... Coś jak na pocztówkach z

Ameryki Południowej – mruknęła. – Drzewa inne niż u nas, ale nie ma palm... Zatoka tej wielkości... Hmm... Może to ujście rzeki? Już wiem – Dżibuti!

– Gdzie to jest?

– Nad Morzem Czerwonym. Nie, odpada, tam przecież gadają po arabsku. Może Cejlon albo Birma? Oni mają takie fikuśne alfabety. Erytrea też chyba pasuje... Zresztą nieważne. – Odłożyła kartonik. – Co robisz jutro?

– Jestem zajęty – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Szkoda, myślałam, że dasz się wyciągnąć do kina.

– Może w kolejny weekend? – zaproponowałem.

– Yhym... – Zaczęła się zbierać.

Znamy się od ponad roku. Raz nałgałem jej, że jestem gejem, innym razem, że mam w Boliwii narzeczoną, ale, niestety, nie uwierzyła. Ciągłe robi sobie pewne nadzieje... Jest miła i sądzę, że nadawałaby się na towarzyszkę życia, ale zbyt wiele nas dzieli. Wyznajemy różne religie. Należymy do różnych gatunków. Jak wszystkie rasy humanoidalne, uprawiamy oczywiście seks, ale ma szczęście, że nie widziała mnie nago. Egzotyczne rysy twarzy to nie wszystko. Są i pewne inne różnice, nazwijmy to, anatomiczne.



Kusza to wspaniały wynalazek. Zgromadziłem kilka sztuk. W wolnych chwilach lubię sobie postrzelać w piwnicy lub w zagajnikach ukrytych między wałami kolejowymi. Ćwiczę i badam możliwości broni. Czuję, że za jej pomocą moglibyśmy całkowicie zmienić historię. Poprzednia epoka odejdzie w niebyt. Narodzi się nowa. Jednym celnym ciosem wytrącimy Republice z rąk najpotężniejszą broń i zmusimy jej żołdaków do powrotu za morze. Jednak aby wykorzystać zdobytą w tym świecie wiedzę, muszę najpierw wrócić tam, skąd pochodzę, na Rozettę. Przejście przez Bramę jest proste, można tego dokonać w pojedynkę. Ale tylko w jedną stronę. Aby wrócić, rytuał musi odprawić siedmiu przedstawicieli naszego ludu. Po dwu latach wzajemnych poszukiwań zdołaliśmy ustalić, że w tym świecie jest nas sześcioro. Żyjemy nadzieją.

Wyjmuję z torby laptop. Spośród wszelkich tutejszych urządzeń elektronika napawa mnie szczególną niechęcią. Czuję, że ziemską cywilizacja właśnie tym wynalazkiem ostatecznie podpisała na siebie wyrok śmierci i otworzyła śluzy, przez które wypłynie jad zagłady. Już wcześniej nietrwałość wyrobów sprawiała, że żyli pośród gór śmieci. Internet pozwolił wprowadzić ten śmietnik bezpośrednio do domów, serc i umysłów. Klawisze parzą mnie w palce, jakby posmarowane zostały trupim sadłem. Skalaliśmy się, gdyż żyjąc tutaj, korzystamy z niego...

Adresy w zakładce prowadzą mnie do największych targów odpadków tego świata. Wchodzę na Allegro. Przeglądam je po kolei. Wpisuję *Etiopia*.



Trzydzieści dziewięć. Monety, znaczki pocztowe, książki, amulety... Pudło. Godłem naszego państwa jest *birru* – zwierzę podobne do lwa, trzymające sztandar. Można je na pierwszy rzut oka wziąć za symbol tego afrykańskiego cesarstwa. Liczę po cichu, że ktoś z naszych przyciśnięty nędzą sprzeda jakiś przedmiot. Jak do tej pory nadzieja ta spaliła na panewce. Wpisuję w wyszukiwarce słowo *Wenecja*. Sto siedemdziesiąt siedem przedmiotów. Lew świętego Marka wygląda inaczej, ale ludzie nie grzeszą bystrością. Niczego nie znajduję. Pora sprawdzić broń białą. Przeglądam wystawione szable, miecze i katany bez większego entuzjazmu. I nagle... Jest! Wpatruję się łapczywie w zdjęcie przedmiotu opisanego jako *fantastycznie wielki majcher dla rycerza*.

Otwieram stronę z aukcją, powiększam obrazek. Nie ma mowy o pomyłce. To *tippla* – broń osobista używana przez oficerów naszego królestwa. Z ludzkiego arsenału najbardziej przypomina ją indonezyjski klewang, ale sprzedawca najwyraźniej o tym nie wie. Klikam w link, aby zobaczyć inne przedmioty użytkownika. Włosy stają mi dęba. Na drugiej aukcji: *talar gruziński(?)*, *kopia*. Ta moneta to *afla*, rozmiarami przypomina talar... A zatem to nie przypadek. Sprzedawca zetknął się w jakiś sposób z przedstawicielem mojego ludu.

Sprawdzam jego poprzednie aukcje. Koła od wozu, maglownica, zdezelowany kołowrotek, stare żelazko na węgiel drzewny... Nic ciekawego, po prostu trochę szmelcu, jaki na wsiach poniewiera się po szopach, a który mieszczenie lubią wieszać na ścianach. Sprzedający wszedł w posiadanie naszych przedmiotów niedawno. Oba są w opcji „kup teraz”. Prowokacja? Kto wie. Aukcja została wystawiona ledwie kilka godzin temu. Jeśli to nie jest pułapka, trzeba działać natychmiast.

Z opisu wynika, że mieszka w Wólce Ostrowskiej. Gdzie to jest? Nie tak daleko, sto dwadzieścia kilometrów na północ od Warszawy. Dokonuję zakupu i wysyłam mejla z propozycją osobistego spotkania celem odebrania wylicytowanych przedmiotów. Teraz wystarczy obmyślić strategię i cierpliwie czekać na odpowiedź.



Od zatoki powiał wiatr. Słońce lekko zaróżowiło zasnute dymami niebo, niebawem wzejdzie. Połamana podłoga zaskrzypiała mi pod nogami. Ostrożnie przesunąłem doniczkę z uschniętymi kwiatami stojącą na parapecie. Nabiłem oba samopały. W zasięgu ręki położyłem łuk z poroża świętego *wawako*. Oni zawsze chodzą trójkami.

Odległe kroki podkutych buciorów... I oto są. Trzej potężnie zbudowani mężczyźni o tępych gębach. Idą zaułkiem, czujnie, strzelając oczyma na boki. Jeden dźwiga na plecach worek. Widać udała się bydlakom rewizja w Dolnym

Mieście. Ale do swoich kwater już łupu nie doniosą...

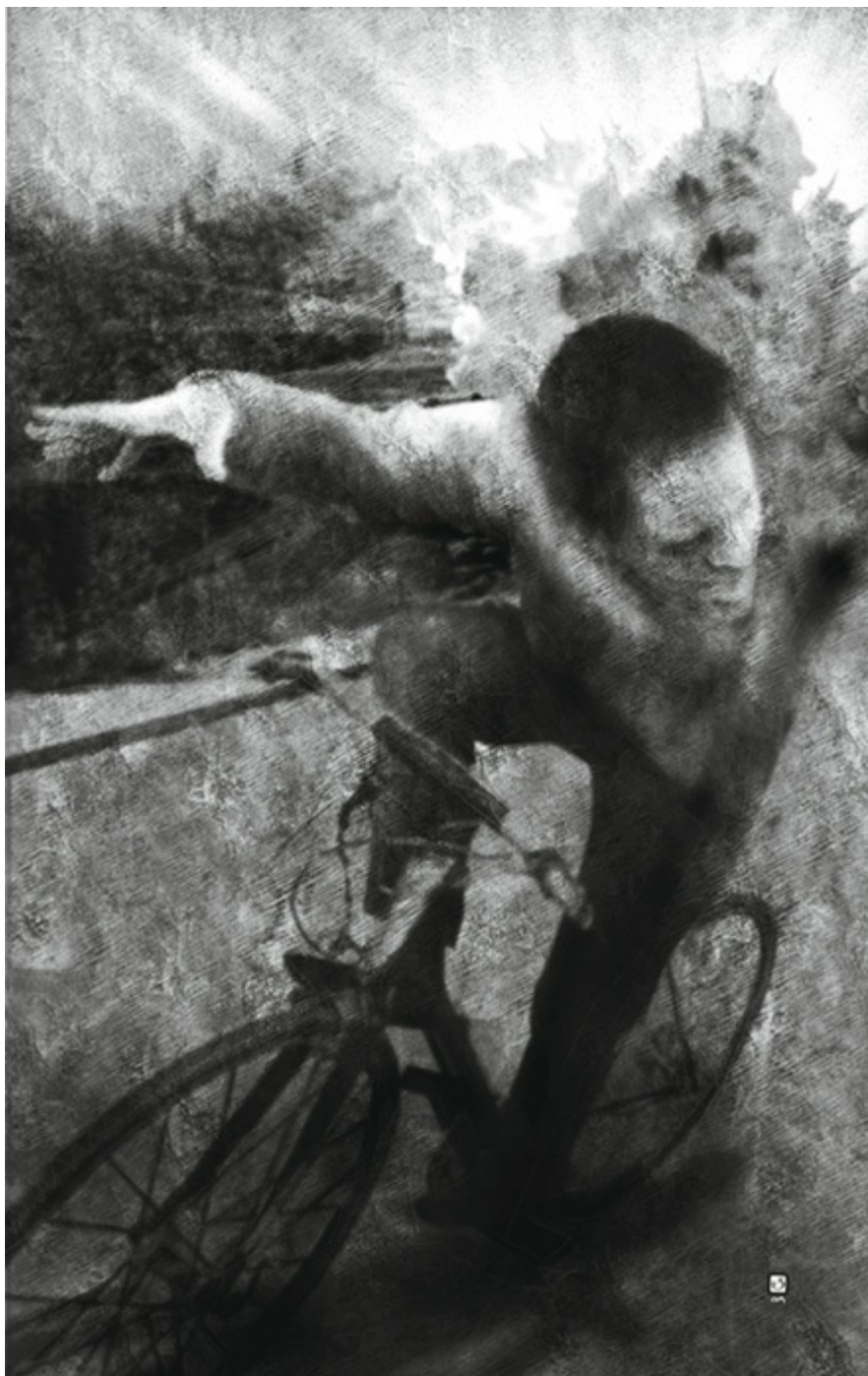
Mógłbym ich przepuścić i strzelać w plecy, lecz wojna, którą toczyliśmy, to nie tylko eliminowanie wrogów, to także próba honoru. A prawdziwe złoto sprawdza się w ogniu.

Kula waży kilkadziesiąt gramów. Czarny proch nadaje jej naprawdę potężną siłę. Trafiony żołnierz runął ciężko na plecy. Jego towarzysze, zamiast paść na ziemię i poszukać kryjówki, rozglądali się, szukając miejsca, z którego padł strzał. Kiepsko u was z wyszkoleniem, chłopaki. Syknął proch na panewce. Celowałem w pierś, ale kolejny żołdak dostał między oczy. Trzeci mnie zauważył, automatycznym ruchem uniósł pistolet.

Dwanaście, może piętnaście metrów odległości. Zdąży strzelić. Nim sięgnę po łuk, jego broń wypluje kule z obu luf. To już koniec.

Błysk szabli. Głowa toczy się po ulicy, z przeciętej szyi strzela gejzer krwi. Chłopak, może czternastoletni, ubrany w za dużą dla niego bluzę czeladnika, salutuje mi, z niedbałym wdziękiem unosząc zakrwawioną klingę swojej broni. Wschodzące słońce wyłociło ją na chwilę... Jesteśmy ludźmi króla. Naszą siłą jest niewiara w możliwość przetrwania Republiki. Naszą siłą jest wierność tradycji sięgającej tysiące pokoleń wstecz. Naszą siłą jest świadomość, że oni próbowali podbić nas nieskończoną ilość razy. Naszą siłą są zapisy w kronikach. Władza republikańska na ziemiach Królestwa zawsze wcześniej czy później kończyła się w ogniu rojalistycznego powstania.

A jednak coś uległo zmianie. Po tamtej stronie morza musiało dojść do straszliwej katastrofy. Nigdy nie dokonywali na taką skalę eksterminacji ludności cywilnej. Do tej pory chodziło im wyłącznie o zdobycie łupów. Zajmowali wybrzeże, w najgorszym razie wdzierali się na równiny. Nigdy dotąd nie zmusili króla do ucieczki na pustynię za górami. Najazdy nigdy dotąd nie przekształciły się w wojnę totalną. Nigdy wcześniej nie próbowali zmienić naszego światopoglądu na republikański. Nigdy nie byli też na tyle zdesperowani, by w walce sięgnąć po urządzenia techniczne podpatrzone tu, na Ziemi Kłamców.



Do tej pory mieszczan do powstania wiedli zawsze arystokraci. Tym razem wymordowano ich do nogi i rzemieślnicy musieli radzić sobie z wrogiem sami.



Ocknąłem się tuż przed piątą rano. Wyciągnąłem rower z komórki. Dociskając równo pedały, przemknąłem przez miasto, aż zatrzymałem się przy budce transformatorowej na obrzeżach Woli. Trzy lata temu, gdy trafiłem do Warszawy, stała opuszczona, strasząc pustymi framugami. Odpowiednie drzwi znalazłem na śmietniku, pociągnięte ciemnoniebieską farbą dobrze udają

metalowe. Pomalowałem na biało sparszywiały tynk. Wreszcie zawiesiłem w odpowiednim miejscu tabliczkę odczepioną ze słupa wysokiego napięcia. Kamuflaż jest prawie idealny. W każdym razie przez trzy lata nikt się nie włamał.

Przez dłuższą chwilę obserwowałem budkę i jej otoczenie. Cisza i spokój... Oczywiście, gdzieś na drzewie może wisieć mała kamera wycelowana w wejście. Wewnątrz mogli umieścić alarm, jednak liczyłem, że nikt nie natrafił na to miejsce.

Otworzyłem patentowany zamek. Kawalątek wierzbowego listka tkwił między skrzydłem a ościeżnicą dokładnie w miejscu, gdzie go umieściłem. Zaczepiłem linkę o klamkę i cofnąwszy się dobre piętnaście metrów, pociągnąłem. Jeśli zdołali mnie namierzyć, drzwi będą zaminowane. To najprostszy sposób eliminacji. Sznurek spełnił swoje zadanie. Skrzydło uchyliło się ze zgrzytem dawno nieoliwionych zawiasów. Nic się nie stało. Można wejść.

Z dawnego wyposażenia została tylko jedna szafa, pierwotnie kryjąca jakieś elektryczne urządzenia. Sześć śrub mocuje jej tylną ściankę. Staram się nie trzymać w domu niczego, co w razie rewizji mogłoby zdradzić moje pochodzenie. Skrytka wykuta w ścianie była głęboka na jedną cegłę, akurat w sam raz na moje potrzeby.

Zauważyłem to w ostatniej chwili. Nacięcie na łebku jednej ze śrub znajdowało się w innej pozycji, niż je zostawiłem. Odbezpieczyłem rewolwer i wyszedłem na zewnątrz, trzymając broń lufą do ziemi. Pusto. Zatrzasnąłem drzwi, przekręciłem klucz. Wskoczyłem na rower i popedałowałem alejką. Dwadzieścia metrów, trzydzieści... Fala uderzeniowa rąbnęła mnie z tej odległości miękko, niczym wielka poducha. Przekoziółkowałem przez kierownicę, kątem oka spostrzegłem, jak mknąca w powietrzu bryła betonu ścina drewno rosnące przy alejce.

Leżę. Nasza medycyna uczy, że po urazie należy przez chwilę zachować bezruch, by zbadać ciało umysłem, analizując docierający do mózgu ból. Natychmiastowe próby poderwania się z ziemi, obmacywanie kończyn i temu podobne nerwowe ruchy przynoszą poważne szkody psychiczne i opóźniają powrót do zdrowia.

Przymykam oczy, szepczę modlitwę. Dotykam czoła w geście przywołania pamięci przodków. Żyję. Tylko się potłukłem. Wchodząc, musiałem przerwać obwód. Mina założona była tak, by eksplodować w chwili, gdy będę się męczył ze śrubami. Rower, o dziwo, też jest cały. Wskakuję na siodło. Trzeba się oddalić, zanim huk eksplozji ściągnie na miejsce ciekawskich oraz tubylcze służby.

Rzucam okiem na wyświetlacz telefonu. Marta próbowała się do mnie dodzwonić. Żal mi jej. Nie mogła gorzej ulokować uczuć. Rozettę i Ziemię

dzieli połowa wszechświata...



Obchodzenie naszych świąt to skomplikowany problem. W świecie, do którego trafiliśmy, wszystko jest inne. Doba trwa ponad cztery *czori* krócej. Planeta obiega swoją gwiazdę w zawrotnym tempie, podczas kiedy u nas rok trwa ponad tysiąc ziemskich dni, a kalendarz dawno uniezależnił się od czegoś tak trywialnego jak pory roku. To wymusza kolejne skomplikowane obliczenia.

Kluczę, sprawdzam, czy nikt mnie nie śledzi. Przemykam dziwną pokrętną trasą przez cuchnące uryną bramy, przecinam podwórka dziewiętnastowiecznych czynszówek. Rower zostawiam na dziedzińcu uniwersytetu. Dalej pieszo. Zbliżam się ostrożnie do wyznaczonego punktu.

Jeśli wszystko dobrze wyliczyliśmy, dziś o jedenastej czterdzieści siedem ziemskiego czasu przypada chwila, gdy w Fresii wschodzące słońce wyznacza Dzień Odejścia Stad. Straciłem strój obrzędowy, ale w kwaterze głównej powinien być jeden zapasowy.

Przy ulicy w umówionym miejscu stał fiacik. Miał podniesioną maskę, zapalone światła awaryjne, a kawałek za nim stał trójkąt ostrzegawczy. Usadowiłem się na tylnym siedzeniu, Timker i Agrejmis wskoczyli z przodu. Trzeba wyłączyć komórkę i wyjąć z niej baterię. Telefon może być na podsłuchu...

Gdzieś za Wilanowem zjechaliśmy w lewo, w stronę Wisły. Dłuższą chwilę kluczyliśmy po polnych drogach pomiędzy zagajnikami, aż wreszcie zatrzymaliśmy się koło zapuszczonego gospodarstwa, przylegającego prawie do wału przeciwpowodziowego. Drzwi domu otworzyły się gościnnie, nim zdążyliśmy zapukać. Asper jak zwykle nie dał się zaskoczyć. Przepuszcza nas w progu. To jedyny arystokrata w naszym gronie. Wyższy o głowę, o szlachetnie asymetrycznych rysach twarzy i sinozielonych oczach, pod koszulą grają mu węzły mięśni. Urodzony i wychowany na wojownika.

Wchodzimy do salonu, którego ściany wyłożono kamieniem. Na kominku płonie ogień. Wokół okrągłego stolika umieszczono kilka różnych krzeseł. Śpiewa para w samowarze, na koronkowej serwecie stoi patera z kromkami i miska z oliwą do maczania chleba. Obie kapłanki przebrały się już w obrzędowe haftowane tuniki. Kończą zaplatać długie czarne włosy w pięć warkoczy.

Staję przed ścianą. Gdy ja ratowałem życie, uciekając z jednym zawiniątkiem w garści, Ana i Tali postarały się, by zabrać na tułaczkę wszystko, co niezbędne... Portret króla Kassaora spogląda ze ściany. Oblicze jak wykute w kamieniu, policzek przecięty dwiema bliznami zdobytymi przed laty w morderczej potyczce na równinie Aht. Krótka, kędzierzawa broda i włosy przyprószone są przedwczesną siwizną. Obok wisi haftowane na *amili* godło królestwa i wycięty

w kamieniu symbol gotowości w oczekiwaniu...

Stoję przed nim z kornie pochyloną głową. Unoszę dłonie, by wykonać znak przyjęcia. Przez chwilę czuję się jak na Rozetcie, jak w ojczyźnie, jakbym nigdy nie opuścił rodzinnej Fresii.



Pamiętam tamten dzień przed trzema ziemskimi laty, jakby to było wczoraj. Nadchodził świt. Za pół *chori* miałem zdać wartę. W zaułkach panował spokój. Żołnierze siedzieli w koszarach, *guerille* zapadły w swoich kryjówkach. Nieliczni mieszkańcy, którzy pozostali w mieście, z pewnością jeszcze spali. Było na tyle jasno, że nawet z tej odległości widziałem, jak stryczki na szubienicach w Forcie Krakena kołyszają się w leniwych podmuchach wiatru. Nie wiem, co sprawiło, że oderwałem wzrok od portu, by spojrzeć przez lunetę na morze. Rząd ciemnych plamek zdawał się wisieć tuż nad horyzontem. Sterowce. Dwadzieścia, może trzydzieści sztuk. Pędzone lekkim wiatrem, wykorzystując maksymalnie połowę mocy silników, szły w szyku bojowym, kierując się prosto na Fresię... A zatem przegraliśmy. Powstanie po dwudziestu dniach i opanowaniu większej części Górnego Miasta właśnie upadło. Dalszy opór jest niemożliwy. Trzy tysiące żołnierzy gwardii republikańskiej wykurzy nas jak szczury z nor.

Obudziłem podkomendnych. Zrozumieli od razu. W milczeniu patrzyli, jak rozwiążę opaskę zdobiącą moje czoło. Poprowadziłem ich ku kłęsce. Oficer królewskiej armii w takim przypadku miał tylko dwa honorowe wyjścia. Samobójstwo lub poddanie się próbie przejścia przez Bramę. Nie byłem mianowanym przez króla oficerem, lecz przyjąwszy na siebie godność dowódcy oddziału, przypieczętowałem własny los. Odpowiedzialność jest częścią wolności. Moi towarzysze odejdą na wschód, odszukają w wioskach krewnych, rozpląną się w morzu uchodźców. Będą żyć w strachu przed zdemaskowaniem, ale wśród swoich. Ja muszę odejść do innego świata i spędzić tam określony czas pokuty. Jeśli przeżyję tę próbę, zostanę uznany za oczyszczony z win. To trudna próba. Jak dotąd wrócił może jeden na stu...



Budzę się ze wspomnień. Nikomu nie mówiłem o tym, co znalazłem w Internecie. Nie chcę budzić złudnych nadziei. Rozczarowanie byłoby zbyt bolesne. Do wsi pojadę z Asperem. Póki nie uda się sprawdzić śladu, lepiej przyjmować, że jest nas sześcioro i na razie nie ma nadziei na powrót. Teoretycznie Ana lub Tali mogłyby urodzić dzieci, potem wystarczy poczekać kilkanaście lat, aż potomstwo dorośnie na tyle, by wtajemniczyć je w rytuał Bramy. Niestety, pomysł ten napotyka na jedną poważną przeszkodę. Obie były kapłankami bogini Seletu. Złożyły śluby czystości. Gdy ukończyły dwadzieścia

lat, ich posługa się skończyła. W naszym świecie w święto Koniunkcji uroczyście spalono by ich kontrakty. Niestety, utknęły tutaj, a śluby może zdjąć tylko kapłan wyższego stopnia.

Składamy pokłony tylko w cztery strony świata. Strona piąta jest przeklęta – droga przez morze prowadzi do Republiki... Mamy problem z wyznaczeniem kierunków, w tym świecie brak gwiazdozbiorów, które pomogłyby je określić. Tubylcy posługują się dziwacznymi osiami współrzędnych, jakby nie byli w stanie pojąć, że idealnym odwzorowaniem kartograficznym jest pentagonalne... Widziałem ich mapy. Są bez sensu. W jaki sposób w siatkę mającą tylko cztery boki wrysować znak przyjsia czy sylwetkę człowieka!?

Na pięciu tyczkach wbitych w trawnik za domem powiewają wstęgi. W tym dniu na tarasie głównej świątyni Fresii wznoszono pięć słupów, a pięć kapłanek rzucało w powietrze jesienne kwiaty. Zrywający się wiatr wyznaczał kierunek wędrówki stad trawożernych *gyff*. Jeśli powiał w stronę Suchych Gór, wiedzieliśmy, że zwierzęta idą na szybką śmierć. Wśród skał i słonych jezior nie znajdowały dość wody i pożywienia, by przetrwać. Wysokie granie sprawiały, że nie mogąc przebyć pasma podczas pierwszych mrozów, ginęły w dolinach, znacząc stoki tysiącami bielejących kości. Gdy nadchodziły śniegi, myśliwi przywozili na targi całe pęki skór padlinożerców. Szyliśmy z nich ciepłe delie i narzuty, pomagające znieść nocne chłody. Jeżeli wiatr powiał w kierunku morza, pędziliśmy zwierzęta na mielizny i zabijaliśmy, aż wody zatoki barwiły się czerwienią krwi. Węgorze takiej zimy były tłuste i nieruchawe, a my, spożywając je, tyliśmy, aż gruba na dwa palce warstwa sadła sprawiała, iż nie czuliśmy powiewów lodowatego wichru. Gdy wiatr powiał ku równinom, stada odchodziły. Wtedy czekała nas chłodna i głodna zima. *Gyff* pożerane były przez drapieżniki dalekich krain, a to nie dawało nam żadnych korzyści...

Kończymy rytuał serią tańców figuralnych, odzwierciedlających odmienności losu. Potem, leżąc, stykamy się palcami szeroko rozstawionych stóp. Symbolizujemy larwy trawożerców oczekujące wiosny w głębinach ziemi...



Zaraz za domem Aspera wznosi się stary wał przeciwpowodziowy. Przeszliśmy ledwo widoczną ścieżką i znaleźliśmy się po drugiej stronie.

Szyny pochodzące z kolejki wąskotorowej biegły przez zagajnik olszyn i kończyły się w wodach starorzecza. Na platformie spoczywał statek. W pierwszej chwili wydać się mógł wielki jak arka Sadura, ale ma nie więcej niż piętnaście metrów długości. Burty znaczyły kostropate linie spawów i nitowań. Część blach pociągnięto już błękitnym lakierem. W innych miejscach ciągle świeciła goła stal.

Koło Gdańska w trzciniowisku nad Wisłą leżał przez wiele lat wrak kutra

patrolowego. Drewniane poszycie oczywiście *behet* wzięli, to znaczy deski jeszcze się trzymały, ale palcem można było dziury wiercić. Pojechaliśmy tam, porznęliśmy piłami, zdemontowaliśmy metalowy szkielet i przewieźliśmy na raty tutaj. A potem, cóż, kupiliśmy kilkadziesiąt arkuszy stalowej blachy, spawarkę i zabraliśmy się do pracy. Za kilka tygodni kadłub będzie gotów. Wtedy sprzedamy to człowiekowi, któremu marzą się dalekie podróże. Jeśli uwzględnimy koszty własne, przebiecie będzie co najmniej pięciokrotne. Będzie z czego żyć przez długie miesiące. Im dłużej tu przebywam, tym bardziej przekonuję się, że w tym świecie pieniądze leżą na ulicy...

Patrząc na statek, czując ogarniającą mnie niechęć. Jest tak bardzo obcy. Tutejszy. Choć w znacznej części odbudowany naszymi rękami, stanowi nieodrodny wytwór ludzkiej techniki. Skalaliśmy dłonie i serca, używając spawarek, pistoletów natryskowych, nitownic. Czujemy, jak dzień po dniu na naszych duszach pozostaje coraz grubszy osad. Technika kusi, uwodzi, demoralizuje...

Statek z metalu. Będąc nad morzem, widziałem tankowce, drobnicowce, masowce. Pomysł, żeby budować okręty z żelaza, wydaje mi się kuriozalny. Zwłaszcza w kraju, którego trzydzieści procent powierzchni pokrywają lasy. Równie dziwne ludzie mają pomysły na napędzanie tych kolosów. Trzymają pod kluczem osiemdziesiąt tysięcy kryminalistów, drugie tyle chodzi po ulicach. Mimo to władzom nie przyjdzie do głowy zagonić bandziorów na galery i przykuć do wiosel.



Byliśmy niemal w Wólce Ostrowskiej, gdy przyszedł SMS od Marty. Ma mnie dosyć. Żal zmieszał się z ulgą. Lubię tę dziewczynę, ale dzieli nas niemal wszystko. Pochodzenie, biologia, sposób myślenia, cele, które stawiamy sobie w życiu, przeznaczenie...

Wysiedliśmy z pekaesu. Spojrzałem na zegarek. Za półtorej godziny mamy powrotny. Wiatę przystanku ustawiono na pagórku. Wieś rozłożyła się wzdłuż szosy odchodzącej w lewo od głównej drogi. Kilkanaście chałup, pochylone płoty, stada kur, przekrzywione stoliki, na których rankami stawia się kanki z ciepłym jeszcze mlekiem, żeby wóz z mleczarni mógł je pozabierać... Prawie jak u nas na prowincji. Tylko zwierzęta i roślinność trochę inne.

Jest i nasz człowiek.

Sprzedawca miał może piętnaście lat. Widząc, że przyjechałem z obstawą, trochę jakby się spłoszył. Przywitałem się, wyciągnąłem portfel. To go uspokoiło.

– Tak to wygląda. – Z dumą rozwinął gazetę.

Wystarczył nam jeden rzut oka.



– Zgadza się, to *tippala* – mruknął Asper w *dash*.

– W porządku towar? – Chłopak, słysząc słowa w obcym języku, znowu się zaniepokoił.

– Tak – uspokoiłem go. – A moneta?

Wyłowił z kieszeni *afle*. Okazała się lekko wytarta, opatrzona datą sprzed dwudziestu *teffi*.

– Może i fals, ale dwie dychy wart, co nie? – zagadnął przymilnie.

– Fals ewidentny, ale może i wart. – Odliczyłem trzy setki za broń i jeszcze dwadzieścia złotych za pieniądz.

Biedny frajer. *Afle* bite są z irydu. Iryd tu, na Ziemi Kłamców, jest pięciokrotnie droższy od złota... Teraz pora pogadać na poważnie. Wyjąłem z kieszeni dwustuzłotowy banknot. Piękny, nowiutki, szeleszczący, prosto z banku. Żółtobrazowy nadruk, hologram, żaden rożek nie jest zagięty...

– Yyyy. – Chłopiec popatrzył na paperek z dziwnym błyskiem w oku. – Czy jest coś, co mogę dla was jeszcze zrobić?

Dzieciak nie ma pojęcia, że jeden z wariantów zakładał tortury. Tylko po co brać go na męki, skoro tak ochoczo gotów jest współpracować? Dobrze to rozegrałem. W tej zapadłej wsi z pewnością nieczęsto trafiają się takie nominały.

– Mój kolega też jest Gruzinem. Zaciekawilo go, skąd te dwa przedmioty mogły się tu wziąć.

Kłamstwa w tym świecie przychodzą jakby naturalnie. Brzydzą się sobą, ale przecież nie mogę powiedzieć prawdy. Chłopiec zamyślił się na chwilę. Czyli słusznie podejrzewaliśmy, że źródło pochodzenia tych dwu drobiazgów nie jest do końca czyste...

– Zapewniamy pełną dyskrecję. Jesteśmy po prostu ciekawi... – nacisnąłem delikatnie.

– Znalazłem w takiej opuszczonej chałupie – wyjaśnił. – Niedaleko stąd.

– Pokaż. – Wręczyłem mu paperek.

Dom leżał za wsią, na stoku wzgórza. Od razu zorientowałem się, że jest od dawna opuszczony. Zatrzymałem się na chwilę przed rozchwierutaną bramą. U celu jakby na moment odeszła mnie odwaga.

Pułapka? Nigdy nie można tego do końca wykluczyć, ale czuję, że nie ma żadnego ryzyka. Nie tym razem. Uchyłona furka opadła, wrosła w ziemię. Namacałem w torbie pistolet.

– Kto tu dawniej mieszkał? – zapytałem.

– Takie dwie dziewczyny, jedna starsza, a druga tak ze dwanaście lat. Jakieś dwa lata temu wzięły i znikły. Zresztą nielegalnie tu siedziały – wyjaśnił. – Ale miłe takie, robotne, ludzie je chętnie wynajmowali do pracy w polu.

Wejście do domu umieszczono od podwórza. Wysoka trawa, popękana

podmurówka... Dawno nikogo tu nie było. Zapukałem na wszelki wypadek do drzwi. Odpowiedziała głucha cisza. Bezwiednie sięgnąłem dłonią i namacałem klucz leżący na framudze.

Przekręciłem go w zamku i pchnąłem drzwi. Chłopak i Asper zostali na zewnątrz. W sieni powitał mnie kwaśny zapach stęchlizny. Wkroczyłem do kuchni, w której królował stary piec. Pod oknem stał stół pokryty ceratą, w kącie poniewierało się kilka garnków. W węglarce spoczywały pożółkłe gazety sprzed dwóch lat. Pchnąłem obłazące z farby drzwi do pokoju. Na ubogie umeblowanie składały się odrapana szafa i szerokie drewniane łóżko z resztkami pościeli. Na ścianie pozostał jaśniejszy ślad po krzyżu albo symbolu przyjscia. Ktoś go odczepił i zabrał. Żadnych dokumentów, żadnych zdjęć, książek. Poczulem rozczarowanie.

Za kuchnią znajdowała się mała spizarka. Skrupulatnie obejrzałem puste półki, a potem zauważyłem jeszcze dziurę prowadzącą na strych. Drabiny nie było. Skoczyłem, złapałem się krawędzi, podciągnąłem, jednak nie zdołałem się wywindować. Wyszedłem na podwórze. Z daleka wiatr niósł zapach świeżo zaoranej ziemi i wypalanych ściernisk. Chyba zanosilo się na deszcz. Zajrzałem do kurnika, potem do obory. Wszędzie pusto... Czyli trzeba sobie poradzić w inny sposób. Podstawiłem pod dziurę spróchniały stół. Na nim umieściłem rozeschnięte krzesło. Stabilność piramidy oceniłem jako zadowalającą. Udało mi się dostać na górę. Strych był ciemny, nieco światła padało przez okienko na końcu. Na szczęście w kieszeni miałem latarkę. Zabrałem się do sprawdzania zawartości kartonów. Tektura po latach spędzonych na wilgotnym strychu rozłaziła się w palcach. Wyciągałem kolejne rzeczy. Jakies stare ubrania, słoiki z przetworami, klatka na kanarka... Nic interesującego.

– *Vyhet* – zakląłem.

Ale chłopiec nie kłamał. Tuż przy kłapie leżał pleciony sznurek, pendent od *tippli*. Dzieciak musiał przegapić go po ciemku.

Wyszedłem przed chatę. Asper, stojąc na warcie, oglądał w zadumie zakupioną broń. Rękojeść wykonano z ciemnobrązowego drewna drzewa wisielców, łączonego ze srebrzonym brązem. Pochwa, pokryta kompletnie sparciałą skórą *wawako*, okuta została na końcu trzewikiem. Opasywały ją dwie zaśniedziałe ryfki z brązu. Wysunął powoli głównię. Wychodziła z pewnym oporem, oleje stęzały i przywarła do drewnianej wyściółki. Wzór jaśniejszych i ciemniejszych rombów nie pozostawiał wątpliwości. Broń wykuto z brązu berylowego. Obrócił szablę na drugą stronę i omal nie krzyknąłem. Wzdłuż krawędzi wygrawerowano, a raczej wytrawiono napis w naszym języku. *Dafii w dniach buntu szewców*. Zamykam oczy, pozwalam, by wspomnienia wzięły górę...



Sterowiec nadlatywał znad portu. Wyglądał jak ogromny wieloryb, który wbrew prawom fizyki wzniósł się w przestworza. Wielki szary balon, wypełniony tysiącami *avi* dziesięciościennych wodoru, poniżej gondola z trzema pokładami bojowymi. Po bokach dwa silniki na sprężone powietrze, z tyłu ster. Patrzyliśmy na maszynę wroga z bezsilną wściekłością. Kule z samopalów czy strzały tylko z największym trudem byłyby w stanie przebić powłokę. Wewnątrz znajdowało się jeszcze osiem mniejszych balonów. Dopiero kilkaset bezpośrednich trafień gwarantowało ubytek gazu, który skłoniłby załogę do odwrotu.

Gondola pokryta skórą *initero* przypominała wielkie włochate bydlę pasożytujące na cielsku lewiatana. Gdy dochodziło do walki, załoga, mogąca liczyć nawet setkę uzbrojonych mężczyzn, strzelała przez wąskie rozcięcia. Gruba warstwa futra dobrze zabezpieczała ich przed naszymi kulami i strzałami...

Balon trafił na ciepły prąd powietrzny, za chwilę znajdziemy się w zasięgu ognia. Moi towarzysze spokojnie szukali sobie osłon. Zasypimy drani gradem strzał, może kilku uda się trafić. Liczyłem, że zdołamy pociskami hakownic uszkodzić któryś z silników, zanim maszyna wzniesie się wyżej. Jeśli nas minie, załoga z pewnością zbombarduje te pozycje, a wtedy zginiemy...

Nagły tupot przerwał moje rozmyślenia. Oddział Dafii, operujący najczęściej w wyższych partiach miasta, przybył nam na pomoc. Dziewczyna wyciągnęła z plecaka grube stalowe sprężyny, odcięte z jakiegoś tapczanu.

– Dziś damy im popalić – mruknęła. – Wiązać!

Dwaj chłopcy z jej oddziału błyskawicznie przymotali rzemieniami końce stalowych spirali do pni uschłych drzewek.

– Proca? – zdziwiłem się.

– Bojowa wyrzutnia ładunków zapalających – sprostowała z godnością.

Jej towarzysze przygotowali kilka dziwnych pakunków. Naciągnęła potężne sprężyny. Umieściła jeden w uchwycie, ktoś podbiegł z pochodnią w dłoni i przypalił lont. Musieli ćwiczyć to wiele razy, byli idealnie zgrani. Zewnętrzna powłoka sterowców jest niepalna. Próbowaliśmy wielokrotnie atakować je przy użyciu strzał owiniętych w pakuły. Bez skutku. Poza tym zawsze trzymali się w bezpiecznej dla siebie odległości...

Pierwszy pocisk, ciągnąc za sobą smugę dymu, pomknął w przepaść.

– W celu! – krzyknęła dziewczynka, może ośmioletnia, stojąca przy barierce.  
– Pięć stopni w lewo!

Nawet nie zauważyłem, kiedy przygotowali drugi strzał. Podbiegłem do krawędzi. Ładunek uderzył w powłokę. Ekspłodował, dziurawiąc ją odłamkami i siejąc wokół płonące pakuły nasączone oliwą. Przez chwilę byłem prawie

pewien, że to na nic, ale w tym momencie spostrzegłem, jak tkanina pęka, wyrzucając z wnętrza obłok płonącego gazu. Któryś z odłamków musiał przebić wewnętrzny balonet.

– Drugi! Dwadzieścia stopni w prawo! – zawołała mała. – Dużo niżej!

Rzeczywiście, od strony cytadeli pędził w naszą stronę kolejny sterowiec. Łopaty wirników pracowały na najwyższych obrotach, nawet bez lunety dostrzegałem sterczące z gondoli lufy. Ładunek pomknął w przestrzeń, ale tym razem nie trafił.

– Za blisko.

– Robię, co mogę! – Dafia naciągnęła mocniej sprężyny.

– W celu!

Pierwsza jednostka szybko zamieniała się w kłęb ognia. Załoga usiłowała posadzić śmiertelnie ranną maszynę na ziemi, jednak uderzyli o dachy wypalonych budynków dolnej dzielnicy z taką siłą, że zadziały zapalniki co najmniej kilku bomb. Drugi sterowiec, widząc los poprzednika, natychmiast zawrócił. Patrzyłem na trawiący go ogień, zastanawiając się, czy zdołają w porę osiąść na ziemi. Nie zdołali, wśród płomieni błysnął na chwilę bambusowy szkielet wewnętrzny i kręgosłup balonu trzasnął jak wykałaczka. Dafia stanęła koło mnie i przez chwilę napawała się swoim zwycięstwem.

Taką właśnie ją zapamiętałem. Wystarczy, że przymknę oczy, i zaraz pojawia się ten obraz. Brzydka dziewczyna o krótkich, ciemnych i nieregularnie ostrzyżonych włosach, ubrana w spłowiałą płócienną koszulę z naszywką czeladniczki introligatora, patrząca bez zmruczenia oczu na śmierć dwu setek żołnierzy wroga ginących właśnie z jej ręki...



Stoję na spróchniałym progu chaty. Asper milczy, chyba myśli o tym samym co ja. Dafia i jej młodsza siostra mieszkały w tej wiosce dwa lata temu. Coś je spłoszyło, coś sprawiło, że musiały uciekać. Ale są tutaj, w tym świecie. Wystarczy je odnaleźć i będziemy wolni.

– Jak sądzisz, zostawiły trop? – pytam.

– Jeśli wiedziały, dokąd się udają... Ty znałeś je lepiej. Masz pomysł, gdzie szukać wskazówki?

Kiwam głową. Koło przystanku stoi statua jakiegoś ludzkiego świętego, wykuta w piaskowcu. Wokoło ułożono krąg z niedużych kamieni. W czasie buntu pomnik Ake Geveina stanowił skrzynkę kontaktową. Nasza kultura lubi operować analogiami, które ludziom nie przyszłyby do głowy.

Wśród szarych granitowych otoczków leżących wokół świątka spoczywał jeden szaroczarny, bazaltowy. Podniosłem go i schowałem do kieszeni. Dopiero w autokarze odwróciłem na drugą stronę. Tak jak sądziłem, diamentowym

rysikiem wyskrobano tu napis w naszym alfabecie:

*Światło łagodnie wędruje po żebrach niebosktonu.*

Nie jest to dokładna wskazówka, lecz powinna wystarczyć. Przy odrobinie szczęścia odnajdziemy dziewczęta. Będzie nas ośmioro, w tym siedmioro w wieku pozwalającym otworzyć Bramę.



Siedzę na ławce przed starym budynkiem Biblioteki Uniwersyteckiej. Udaję studenta. Mam torbę z papierami, z kieszeni zwisa mi słuchawka odtwarza mp3. Dla zwiększenia realizmu powinienem postawić koło stopy butelkę z piwem. Problem w tym, że aby kamuflaż był doskonały, musiałbym opróżnić ją do połowy. Niestety, zajzajer sprzedawany tu jako piwo nie przechodzi mi przez gardło, a gdybym wylał to świństwo w krzaki, zapewne wypaliłoby roślinność.

Przestrzeń publiczna tu, na Ziemi Kłamców, jest znacznie szersza niż w moim świecie. Do masy budynków można się dostać ot tak, z ulicy. Biblioteki, urzędy, biurowce, muzea, galerie... Wtopiony w tłum petentów, klientów lub studentów przemycam się po Warszawie całkowicie niezauważony.

Wejść można prawie wszędzie. Wystarczy przyodziać trochę droższy garnitur i zaopatrzyć się w elegancką aktówkę, by bez przeszkód spenetrować cały teren uniwersytetu. Przy całej swej podejrzliwości ci ludzie zdumiewająco łatwo ulegają pozorom. Jeśli pojawia się ochroniarz, wystarczy na pytania odpowiadać w obcym języku, w wypowiedź wpleść nazwisko któregoś z wykładowców, wtedy zaszufadkuje nas jako zagranicznego gościa i bez trudu przepuści, nie sprawdzając, dokąd tak naprawdę idziemy. A gdyby sprawdził? Cudzoziemcowi wolno błędzić.

Raz tylko z ogromną atencją doprowadzono mnie do profesora, którego wymieniłem. Przedstawiłem się grzecznie moim prawdziwym imieniem i nazwiskiem rodzimym, Amiwelechus Marv, co już wprawiło rozmówcę w ogromne zakłopotanie. Potem spędziłem miły kwadrans, pijąc podaną herbatę i zakąszając wafelkiem. Między łykami wygłaszałem długie tyrady w *dash*, a profesor, grzebiąc w pamięci, daremnie usiłował znaleźć jakiś język, w którym moglibyśmy się dogadać. Wreszcie pożegnałem się szalenie uprzejmie i wyszedłem. Nikomu oczywiście nie przyszło do głowy, by wezwać policję czy choćby sprawdzić moje dokumenty.

Przymykam oczy. Przypominam sobie słowa Dafii wydrapane na znalezionym kamieniu.

*Światło łagodnie wędruje po żebrach niebosktonu.*

To prawdopodobnie zapis którejs z teorii fizycznych opracowanych przez tutejszych uczonych. Może chodzi o fałdy czasoprzestrzeni? Tylko do czego odnosi się ta wskazówka? Założyłem, że miała na myśli Wydział Fizyki

Uniwersytetu Warszawskiego, lecz chyba się pomyliłem. Tu jej nie ma. Więc co? Politechnika? A może trzeba się przenieść przed obserwatorium astronomiczne?

Rozważania przerywają mi czyjeś kroki. Asper. Wygląda na zmęczonego, może nawet przestraszonego.

– Co się stało? – pytam.

– Timker nie żyje – odpowiada lakonicznie.

Nieważne, jak do tego doszło. Mamy wszyscy niewąskie problemy. Trzeba związać posterunek obserwacyjny. Przyczaimy się, przeczekamy sztorm i zobaczymy, co dalej.



Boję się. Dygoczę ze strachu. Pobyt na Ziemi Kłamców skaził moje serce przesadną ostrożnością... Siedzę w warsztacie, poleruję ostrze *tippli* kawałkiem skórki i czuję, jak lęk chwyta kleszczami za gardło. Czego się boję? Że teraz kolej na mnie? Czy może że nie zdołam odnaleźć Dafii, nim siepacze trafią na jej trop?

Nasz przyjaciel zginął w wypadku samochodowym. Rozpędzona ciężarówka, za którą jechał swoim fiacikiem, nagle przyhamowała. Gdy uderzył w jej tył, część ładunku runęła. Kilka ton granitowych otoczków przeznaczonych do budowy skalniaków pogrzebało niepozorny samochód osobowy. Timker nie miał szans. A my oprócz żałoby po towarzyszu mamy kłopoty. Nieziemskie.

Po pierwsze, nie bardzo chce nam się wierzyć, że to zwykły wypadek. Siepacze Republiki wiedzą, że tu siedzimy. Z pewnością to oni przygotowali zamach. Po drugie, nie mamy najmniejszych szans wykraść ciała. Prokurator z pewnością zarządził co najmniej obdukcję zwłok. Dobrze podszywamy się pod zwykłych ludzi. Różnice nie są duże. Możemy udawać Indian, Polinezyjczyków czy inne egzotyczne ludy. Najlepiej oczywiście podszywać się pod przedstawicieli ras, z którymi Polacy mają jak najmniej styczności. Chodzimy po ulicach, nie budząc szczególnego zaciekawienia.

Jednak oględziny narządów płciowych i pomiary antropometryczne spowodują u patologów szok. A kiedy zrobią tomografię lub sekcję, będą mieli nad czym myśleć przez kolejne pół wieku. Nasi przodkowie wyewoluowali z organizmów zbliżonych do ziemskich owadów. Jak wszystkie rasy rozumne kosmosu, jesteśmy humanoidami, lecz wewnątrz ciał pozostało wiele śladów minionych stadiów ewolucji...

Najgorsze jest to, że tubylcze służby specjalne zdobędą jednoznaczny dowód nie tylko na istnienie życia poza Ziemią, ale i na obecność kosmitów w samym sercu Warszawy. W telewizji emitowano tu niedawno głupi serial o agentach FBI i ufoludkach. Idę o zakład, że polski wywiad wymyśli sobie jeszcze bardziej

bdurze teorie. A potem oczywiście staną na uszach, aby nas złapać.

Do tej pory zagrożeniem byli operujący na Ziemi Kłamców agenci Republiki. Jediną realną przeszkodą – trudność w nawiązaniu kontaktu z innymi uchodźcami. Teraz pojawił się nowy wróg i po raz pierwszy musimy uwzględnić czas. Zaczyna się wyścig. Albo znajdziemy Dafię i jej siostrę, albo wcześniej Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrzznego znajdzie nas. Bez dziewczyn nie otworzymy Bramy.

Rozglądam się po warsztacie i nagle dociera do mnie, że to koniec. Nie mogę tu zostać. Zbyt długo przebywałem w jednym miejscu... Pora zmienić lokum. Pakuję się pospiesznie. Noże, przecinaki, rozmaite ostrza do cięcia skór. Większość zgromadziłem na miejscowych targach staroci lub kupiłem przez Sieć. Te, które okazały się nieprzydatne, zostaną. Te, które dobrze służyły dawnym polskim szewcom, a potem mnie, zabieram. Tu nikt już nie doceni ich wartości, w moim świecie, po drugiej stronie jądra galaktyki, czeka je nowe, długie życie...

Kleje? Gdziekolwiek zatrzymam się na dłużej, będę w stanie ukręcić nowe. Podobnie farby. Ziemski wosk pakuję. Jest cudowny, lepszy od naszego, twardszy i pachnący. Daje ładny połysk. Skóry? Nawet te, które sam wyprawilem, nie dorównują jakością naszym. Nie będą mi już potrzebne. Prawidła? Zbędne. Formy? Zbędne. Małe szewskie kopyto waży ze trzy kilogramy, ale zabiorę je. W naszym świecie trudno o żelazne kowadła... Pieniądze w metalowej puszcze. Trzy lekkie kusze i kolekcja beltów.

Wreszcie jestem gotów. Upchnąłem cały dobytek w jednej walizce. Ale i tak czuję, że się zdemoralizowałem, przywiązałem do rzeczy materialnych, przesiąknęłem duchem nadmiernego wygodnictwa. Używam zbyt wielu zbędnych narzędzi. Prawdziwy szewc powinien zmieścić swój majątek i przybory w jednym węzełku. Pradziad ze strony matki, gdy fale wyrzuciły go na brzeg opodal Fresii, miał tylko głowę na karku, trzy noże, złamane szydło oraz osełkę. W ciągu dziesięciu lat pracą własnych rąk dorobił się warsztatu.

Jest jeszcze coś, czego tu chyba nie zostawię. Otwieram skrytkę w podłodze i wrzucam do plecaka dziesięć par butów. To moja rezerwa na czarną godzinę. Skoro nadeszła... Zabieram świecę, ale zapalki zostawiam na stole. Do diabła z nimi, niedługo zapomnę, jak się używa krzesiwa!

Czwarta rano. Należałoby się pożegnać z właścicielką mojej pracowni... Ale staruszka pewnie jeszcze śpi. Zostawiam na progu jej mieszkania parę butów przygotowanych specjalnie na tę właśnie okazję. Do lewego dorzucam jeszcze garść papierków – czynsz za kolejny miesiąc. Kobieta ucieszy się z tego bardziej niż z listu pożegnalnego.

Zatrząskuję drzwi i ruszam przed siebie spokojnym, pewnym krokiem. Nie

oglądam się. Niezależnie od wszystkiego nie wrócę tu już nigdy. Żal mi tylko jednego. Nadal wystarczy, że przymknę oczy, i widzę, jak Marta tańczy dla mnie na stole.



Dobry szewc powinien siedzieć w warsztacie i robić buty. Ale czasem i szewc musi wziąć sobie kilka dni wolnego. Mam trochę oszczędności, lecz oszczędności są po to, by leżały w skrytce. Mam *aflę* bitą z irydu. Sam metal wart jest parę tysiączków, jednak żadnym sposobem nie zdołam jej przetopić, a zanieść do banku lub kantoru monetę nieistniejącego kraju nie byłoby bezpiecznie.

Co mam jeszcze? Buty. Szewcy Ziemi Kłamców, a raczej ich mizerne niedobitki, dorównują nam kunsztem. Jest jednak maleńkie poletko, gdzie odrobinę ich wyprzedzam. Istnieje specyficzny rodzaj obuwia, z którego wykonaniem radzą sobie kiepsko. Dla nich to majstersztyk, legenda. Wszyscy słyszeli, mało kto widział, a prawie nikt nie umie zrobić.

Jak się robi buty? Łatwizna. Potrzebny drewniany model stopy. Potrzebna skóra. Naciąga się ją i modeluje na wzorniku, potem wystarczy pozszywać ukształtowane kawałki. To umie każdy. Trzy, cztery lata wytężonej nauki i sztukę tę opanować może najgłupszy terminator. Czy da się inaczej? Owszem.

Buty z jednego kawałka skóry. Należy zdobyć naprawdę wysokiej jakości surowiec, a także przygotować odpowiedni model stopy. Następnie naciągnąć i ukształtować cały wierzch za jednym zamachem. Koszmarna robota. Moczenie, przypalanie, raz pociągniesz odrobinę za mocno i cały wyrób nadaje się wyłącznie do wyrzucenia. Wreszcie, gdy cały wierzch jest gotów, rozcina się go, by można było włożyć stopę, a od spodu przyszywa podeszwę. W takich właśnie półbutach chodził tutejszy najwyższy kapłan, zwany papieżem. Nie mam dostępu do watykańskich dostawców, lecz w plecaku dźwigam dziesięć par butów godnych królów i cesarzy. Przyszła pora, by je spieniężyć.

Szedłem zadumany. Odnalazłem upatrzony już w zeszłym roku warsztat. Ulica jak ulica. No, niezupełnie. Dla tubylców to miejsce szczególne. Tu kilkadziesiąt lat temu ich doraźnie uzbrojeni przodkowie zalegli w wykopanych pośpiesznie rowach. Następnie blisko trzy tygodnie odpierali próby wdarcia się do miasta podejmowane przez nowoczesną armię pancerną.

Ludzie z Ziemi Kłamców imponują mi swoją straceńczą często odwagą i jednocześnie gorszą kompletnym brakiem szacunku dla poświęceń. Gdyby podobnie szaleńcza i krwawa bitwa rozegrała się na ulicach Fresii, każda płyta chodnikowa byłaby ozdobiona złotą gwiazdą z imieniem obrońcy. A tu? Jeden kiczowaty pomnik...

Stary, tandetny szyld oblażący z farby. Ziemia Kłamców. Tu nawet afisze są



elementem wielkiego, piętrowego łgarstwa. Poznałem jego mechanizmy, a patrząc niejako z boku, nie dałem się nabrać na plewy, którymi miejscowi spryciarze karmią swych braci. Kiepski szyld, odrapane drzwi, lada z nieheblowanych dech, kilka par butów na półce. Ktoś mógłby uznać, że to mizerny, zdychający od lat interesik. Szewc nie oszuka szewca. Jeśli firma prosperuje, musi płacić czynsz nie mniejszy niż leżący po sąsiedzku ekskluzywny sklep z alkoholami. Właściciel musi odprowadzać podatki. Kamuflaż. To miejsce znają wtajemniczeni, którzy zamawiają buty, płacąc za jedną parę kwoty niewyobrażalne dla okolicznych mieszkańców. Zwłaszcza dla tych, którzy w bramach popijają obrzydliwe napoje na siarce, a których workowate, niekształtne odzienie budzi moją odrazę.

Pchnąłem drzwi i wkroczyłem na obce terytorium. Stary majster siedzący za ladą na mój widok skrzywił się niemiłosiernie.

– Witam nieuczciwą konkurencję – burknął.

Szewc zawsze pozna szewca. Nawet takiego, który przybył z bardzo daleka... Zidentyfikował mnie. Zatem słusznie sądziłem, że to bardzo dobry fachowiec. Tacy znają się nawzajem i wiedzą co w trawie piszczy. Moja obecność w mieście uszła uwagi policji, ABW, Urzędu Skarbowego, służb imigracyjnych, wywiadów, mafii. Ale starzy majstrzy szybko się zorientowali, że na ich terenie pojawił się nowy gracz. Najwidoczniej nawet rysopis zdołali jakoś ustalić. W sumie to miłe z ich strony, że nie wytropili mnie i nie pobili. A może zwyczajnie nie zdążyli jeszcze tego zrobić? E, chyba nie. Szewstwo jest przecież ścieżką ku doskonałości ciała i ducha.

– Dzień dobry – ukloniłem się grzecznie.

– Jednym dobry, innym może ostatni – warknął.

Polacy teatr mają we krwi. Widać było, że ucieszył się, mogąc spotkać mnie osobiście, ale jakby dla zasady gra rozzłoszczonego, zgryźliwego majstra. No to bierzemy byka za rogi.

– Dlaczego zaraz nieuczciwą? – obraziłem się.

– Indianiec z Peru łązi po mieście i sprzedaje buty, nie mając papierów cechowych. W dodatku sprzedaje je po cenach, które dla nas są zabójcze.

– No to mnie pan zidentyfikował. – Uśmiechnąłem się grzecznie.

– Wybieraj: kocówa czy szczucie psem?

Aha. Czyli słusznie sądziłem, że obyczajnie warszawskich szewców nie przewidują zabijania konkurencji.

– Porozmawiajmy – zaproponowałem.

– A niby o czym? Do czasu, gdy pojawiłeś się w mieście, to nawet lubiłem Indian, Winnetou i tak dalej... Przez takich jak ty człowiek staje się rasistą!

– Bardzo mi przykro – zakpiłem i naraz uświadomiłem sobie, że nawet moja

kpina była łągarstwem...

– Dobra – warknął. – Nie przyszedłeś do mnie, by zamówić buty, nie przyszedłeś też pokajać się za podgryzanie fundamentów naszego bytu. To jakie licho cię tu przyniosło?

– Pomyślałem, że przydałby się panu podwykonawca.

Nabrał powietrza.

– Won, partaczu! – ryknął.

Niezrażony położyłem przed nim na ladzie jeden z przyniesionych butów. Złapał go, by we mnie cisnąć. Musiał poczuć to pod palcami. Gładką powierzchnię bez jednego szwu. Zamarł i zbliżył but do oczu. Nie uwierzył. Poprawił okulary.

– Ty gnoju – wycedził. – Ty mendo. Ty przybłędo zawszony. Ty czerwonoskóry dzikusie granatem od lamy oderwany. Nawet to potrafisz?

Wyglądał, jakby piorun w niego strzelił. Ale zauważyłem zmianę. Poczul respekt. Wzruszyłem ramionami.

– A czy to trudne? – Puściłem oko. – Skóra, klocek drewna i naciągamy.

– Dół z wapnem na takich jak ty, a na wszelki wypadek osikowym kołkiem przybić – warknął.

Oglądał starannie obuwie, a ja wykladałem kolejne egzemplarze. Każdy następny but wywoływał nowe, piętrowe wiązanki wyzwisk. Taka u nich ponoć tradycja, że szewcy klną. Przeczytałem o tym w książkach. Zwłaszcza chętnie robią to po przepiciu, w poniedziałki rano. Ten wprawdzie na skacowanego nie wyglądał, ale dzień tygodnia i pora się zgadzały. Przywykłem szanować obce tradycje.

– A niech mnie – westchnął wreszcie. – Daleko zajdziesz, chłopcze, jak ci nikt w łeb nie da... I niby co, chcesz dla mnie pracować?

– Chcę to sprzedać. – Gestem wskazałem dziesięć par stojących w karnym rzędzie.

– Kulą ołowianą by ci zapłacić i bosego do trumny złożyć... Sprzedać, powiadasz? Hurtem niby?

– Tak.

– Słuchaj, Indianiec, a jak właściwie masz na imię?

– Amiwelechus.

– Oż kurde – sapnął. – Nie było nic prostszego? Ja jestem Zygmunt. No więc sprzedać chcesz. Żeś to z pół roku robił i teraz na jeden raz. To głupota. Jak sądzisz, ile takich butów potrzeba w tym mieście rocznie?

– Towar specyficzny, tylko dla koneserów. Jednocześnie to obuwie niezwykle trwałe. Wytrzymuje całe lata. Dwadzieścia do pięćdziesięciu par – zawyrokowałem.

– Nieżle cię w tych Andach wyszkolili w matematyce – pochwalił. – Misjonarze zapewne?

– Nie, chodziłem do zwykłej szkoły. Mniej więcej trzy lata – nie widzę powodu, by kłamać.

– Jak na trzy lata podstawówki to cholernie bystry jesteś. Czytać pewnie też umiesz. A na ekonomii trochę się znasz? Wiesz, co to jest psucie rynku?

– Wiem, ale potrzebuję pieniędzy. – Wzruszyłem ramionami. – Powiedzmy, że zbieram gotówkę na bilet do domu.

– Nie podoba ci się w Polsce? – zdziwił się.

– Nie – odparłem zupełnie szczerze. – Poza tym u mnie jest ładniej i ludzie jakby miłsi.

– Tia... – Wskazał mi krzesło. – Powiem tak... – Obrócił but w dłoniach, jakby nie mogąc się nim nacieszyć. – Po kiego grzyba ci jakieś skały i lamy? Co tam osiągniesz? Dla kogo będziesz obuwie robił? A zakładając, że twoi pobratymcy potrzebują butów, to czym ci zapłacą? Serem i liśćmi koki? Toż tam bieda aż piszczy, rewolucje i w ogóle dziadostwo. Zostań tutaj. W Warszawie. Wezmę cię na współnika.

– Nie mogę.

– Nielegalnie tu siedzisz? Furda. Załatwimy ci obywatelstwo ot tak! – Pstryknął palcami. – No, co się tak gapisz? Wiesz, kto u nas oficerki zamawia? Notable, członkowie rządu, prokuratorzy, posłowie, sama wierchuszka. Nie u mnie, to u moich kumpli. Pełna pula. Potrzebny dyrektor generalny funduszu od emerytur, mamy numer telefonu. Potrzebny szef bezpieczniaków, mamy wizytówkę. Za takie buty te kopane ministrowie takie ci wystawią papiery naturalizacyjne, że będziesz bardziej legalny niż rządząca ekipa. Cechem też się nie przejmuj, dam rekomendację i przyjmą cię od ręki.

Pokręciłem przecząco głową. Tylko tego mi brakowało, spotkania z szefem agencji, która przetrząsa zapewne Warszawę w poszukiwaniu „obcej agentury na Ziemi”.

– Nie jestem zainteresowany.

– A jak uważasz, pies ci buźkę lizał – znowu się rozeźlił. – To ile byś chciał za te buty?

– Tysiąc złotych za parę.

– Idiota? – Wytrzeszczył oczy. – Przecież to warte co najmniej pięć razy tyle, i to w hurcie.

– Ale but się robi do nogi, a tu trzeba nogę dopasować. Poza tym tyle zapłaci pan gotówką od ręki. A jak już wspomniałem, niebawem pora mi ruszać w drogę.

– Nie masz tam w Peru żony i dzieci? Prezentów byś im chociaż trochę

kupił...

– Jeszcze nie mam.

– Kurde, to byłby wyzysk... A takie wyzyskiwanie Indian to rasizm chyba.

– Kolonializm może – zakpiłem. – Jakoś wytrzymam. – Puściłem do niego oko. – My, Indianie, jesteśmy odporni i z godnością znosimy takie poniżenia. Płać pan i już mnie nie ma.

– Zróbmy inaczej. Nie będę przez ciebie, gnoju, robił sobie wrzodów na sumieniu. Dziesięć tysięcy gotówką od ręki. I drugie tyle ze sprzedaży odłożę dla ciebie do skarbonki. Jeśli kiedyś znowu pojawisz się w naszym kraju, to sobie odbierzesz. Jakby cię tam w Andach czy Kordylierach bieda przyduśiła, piszesz do mnie i wysyłam kasę.

– Zgoda.

– A jakby ci się w górach nudziło pleść z łyka łapcie, to pakuj się w samolot i śmigaj do Warsiafki. Drzwi są otwarte. Taki fachowiec jak ty znajdzie tu robotę od ręki, bez konieczności krycia się za tym całym Internetem...

– Dziękuję.

Jeśli kiedykolwiek zdołam się wyrwać z tego przekłętego świata, to moja noga więcej tu nie postanie. A gdybym kiedyś musiał tu wrócić, raczej podetnę sobie żyły. I po co mi ich forsa? Co niby mógłbym kupić, by zabrać ze sobą? Elektroniczne bawidelka? Książki pełne napuszonych łgarstw? Instrumenty dostosowane do zupełnie innych skal? Nawet złoto w Fresii jest dziesięciokrotnie tańsze. Te pieniądze pozwolą naszej grupie przetrwać jeszcze z pół roku. Jeśli odnajdziemy Dafię i jej siostrę, odejdziemy stąd. Jeśli nie odnajdziemy, wyłapią nas i wykończą... W obu przypadkach pieniądze staną się zbędne.



Polska to dziwny kraj. Z jednej strony każdy spłachetek ziemi w mieście wart jest nieprawdopodobnych pieniędzy, z drugiej w samej stolicy mają dziesiątki hektarów nieużytków. Mieszkania kosztują tyle, że trudno przez całe życie na to uzbierać, a jednocześnie nie trzeba długo szukać, by natrafić na opuszczone budynki, które bez większego problemu można wyremontować i mieszkać w nich latami. Pies z kulawą nogą się nie zainteresuje.

Przygotowałem kilka kryjówek. Ta podoba mi się najbardziej. Port Praski. Mało kto wie nawet, że jest coś takiego. Wykopane przed wiekiem kanały, osypujące się ceglane nabrzeża, zardzewiałe, na wpół zatopione barki, całe *thromi* kubiczne starych, opuszczonych magazynów o pozapadanych dachach. Nieliczne pomieszczenia wykorzystują jakieś spółki i hurtownie, ale większość stoi pusta i zamknięta od dziesięcioleci.

Zająłem sobie odpowiedni magazyn. Kiedyś trzymano tu sodę w beczkach.

Z tamtych czasów wewnątrz pozostała przeżarta korozją waga, sprawna jeszcze instalacja elektryczna oraz mała pakamerka, w której podliczano transakcje. Została też archaiczna lampa na gaz świetlny. Wygląda na nadal sprawną, lecz brak mi monety ćwierćkopiejkowej, by to sprawdzić. Zresztą wolę świece. Przeszło dwa lata temu zabrałem się do urządzania twierdzy. Naznosiłem cegiel rozbiórkowych, przytargałem kilka worków cementu, w kanale była woda... W ciągu dwu miesięcy pracy przygotowałem sobie kryjówkę tak, by była nie do ugryzienia. Zainstalowałem pułapki. Zamaskowałem. Refugium. Nawet jak mnie tu wykryją, to łatwo nie wykurzą. Zawiesiłem hamak, zgromadziłem zapas pożywienia w puszkach... Przez dwa ziemskie lata nie była mi potrzebna. Aż do teraz.

Ubrałem się w garnitur, płaszcz przerzuciłem przez ramię. Idę sobie spokojnym krokiem. W ręce niosę elegancką walizkę. Oczywiście teren dawnego portu jest pilnowany. Na Ziemi Kłamców pilnuje się prawie wszystkiego, ale od dawna nauczyłem się, że prawie niczego nie pilnuje się dokładnie. Postawili posterunek przy wejściu. Monitoringu nie ma. Gdy szykowałem kryjówkę, w błękitnym drelichu, pchając taczki, paradowałem pod samym nosem ochrony. Teraz nie mam ochoty na taki kamuflaż. Podchodzę do bramy i stoję. Robię odpowiednio zniecierpliwioną minę...

Ochroniarz, widząc, że przyszła jakaś szych, wyłazi ze swojej budki. Ostentacyjnie patrzę na zegarek, potem przenoszę wzrok na ciecia.

– Poproszę klucze od magazynów przy nabrzeżu północnym – rzucam polecenie.

– Yyy... Ale tamto... Pozamykane i...

– Panie! – przerywam. – Nie mam całego dnia!

– Klucze zgubione.

– Co znaczy: zgubione!? – Najważniejsze to nie wściekać się, chłodne zdziwienie działa czasem bardziej porażająco niż wrzask.

Robię minę pełną skrajnego niedowierzania, jakby to, co powiedział, kompletnie nie mieściło mi się w głowie. Jakby wyartykułował bzdurę tak horrendalną, że nikt przy zdrowych zmysłach nie byłby w stanie w nią uwierzyć.

– To jak niby mam ocenić stan budynków? – Teraz pora na odrobinę złości i rozczarowania.

– Yyy... nie wiem, panie, eee... inspektorze, ja tu już piętnasty rok pracuję, a dotąd nikt...

– Kto personalnie odpowiada za brak kluczy? – cedzę. – Dlaczego do tej pory nie wymieniono zamków?

– Nooo... ja i mój zmiennik tylko tu pracujemy, nie?

– No to od jutra trzeba sobie będzie poszukać innej roboty. Jaki jest numer

do waszego bezpośredniego zwierzchnika? – Wyciągam z kieszeni telefon.

– Jezu, co pan! – naprawdę się przestraszył. – Zaraz łapkę przyniosę, piłę do kłódek mam, wszystko, co tylko trzeba, otworzę!

– Zabytkowe drzwi chce pan łomem otwierać!? Za niszczenie cennego zabytku są paragrafy! Poza tym czy pan w ogóle wie, co to za miejsce? Co tu się działo w osiemnastym roku? Co tu w wojnę hitlerowcy wyrabiali? Ile te drzwi widziały? Ilu tu ubecją ludzi zamęczyła? To miejsce uświęcone krwią najlepszych polskich patriotów, a pan chce ot tak zamki wyłamywać!?

Blefuję. Ale tubylcy bardzo słabo znają historię. Wystarczy rzucić dwie, trzy charakterystyczne daty i z miejsca dośpiewują sobie resztę.

– No to... jak... – wybąkał bezradnie.

No to druga część planu.

– Więc nie ma kluczy – wzdycham ciężko. – Hmm... To i owo wstępnie dałoby się chyba pomierzyć bez otwierania...

– Uff...

– Kluczy niech pan poszuka! – rozkazuję. – Zacznę od północy, ale do pozostałych magazynów też potrzeba. Powiedzmy w dwa albo trzy tygodnie zrobię plan ogólny, pomiary i analizy elewacji, potem nie ma rady, muszę mieć dostęp do wnętrza budynków.

– Coś się wykombinuje...

Ciec unieszkodliwiony. Będzie szukał kluczy. Kto wie, może nawet znajdzie. A ja przez trzy tygodnie mogę się kręcić po terenie, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Dla zachowania pozorów muszę pokazać się kilka razy z jakimiś instrumentami pomiarowymi i rysownicą. Przypnę do niej plany odbite na ksero... Ludzie najczęściej widzą to, co chcą widzieć.

Maszeruję nabrzeżem, zakręcam i znikam w swojej kryjówce. Gładko poszło, ale czuję głębokie obrzydzenie do samego siebie. Znowu musiałem łągać.



Na portalach aukcyjnych szukałem zazwyczaj starych szewskich narzędzi oraz niektórych rzadkich surowców. Wszystkie farby do skór i impregnaty robiłem sam. To nic, że buty po najdalej dwu dekadach trzeba wyrzucić. Kolor, który potrafię uzyskać, przetrwa milenium. Eksperymentowałem też trochę. Raz kupiłem kilka kilogramów naturalnego kauczuku i badałem jego właściwości. Nie znaliśmy tego. Ciekawe, czy w moim świecie uda się wyszukać podobne żywice roślinne...

Przy okazji przeglądałem też inne aukcje. Kupiłem trochę rzeczy, które planujemy zabrać do domu. Magnez, trotyl, pół kilometra lontu, a nawet małą hitlerowską bombę zapalającą „wykopek ze strychu w dobrym stanie”. Wyroby rzemieślnicze też mieli tu niczego sobie. Najlepsze wzory przerysowałem do

kajetu. Teraz, siedząc w swej kryjówce, odpalam laptop po raz ostatni. Już nie szyję butów. Nie muszę ich sprzedawać. Nie będę już niczego kupował. Z masochistyczną radością sunę kursorem w gąszczu ofert. Czuję dziką radość płynącą z faktu, że robię to po raz ostatni. Za chwilę rozładuje się bateria, a wtedy utopię znienawidzone urządzenie w Wiśle. Każda minuta utwierdza mnie w przekonaniu, że to słuszna decyzja. Patrzą... Ludzie wystawiają zadziwiające śmieci... I nagle... stop! Czuję podniecenie, takie samo jak kilka tygodni temu, gdy trafiłem na *tipplę* Dafii. Zamykam oczy. Trzeba wyciszyć wszelkie emocje. Otwieram stronę aukcji:

*Zadziwiające kuriozum. Myszy w jajkach, stary preparat biologiczny, rewelacyjna ozdoba do twojego pokoju.*

Poniżej zdjęcie dużego słoja laboratoryjnego. W płynie konserwującym widać gniazdo myszy, kulę utkaną z porostów i traw, wypełnioną kilkunastoma pęcherzami, wewnątrz których widać młode zwierzątka, prawie gotowe do wyklucia.

Oglądam kolejne zbliżenia. Nie mam żadnych wątpliwości. Ten przedmiot pochodzi z mojego świata. Świadczy o tym zarówno kształt słoja, jak i grubość ścianek, nie odlanych, lecz wydmuchanych przez zdolnego rzemieślnika, i kilka pojedynczych liter naszego alfabetu widniejących jeszcze na pofałdowanej od wilgoci etykietce.

A, i zapomniałem o najważniejszym. Ziemskie myszy nie wykluwają się z jajek.

A jak inne aukcje tego sprzedawcy? Same śmieci. Kafle i drzwiczki z pieca, stare skoble, pocztówki, używany telefon, żelazko na węgiel, jakieś łuski. Szwarc, mydło i powidło, jak mawiają mieszkańcy tej planety. Wszystko opisane nieporadnym językiem nastolatka. Dzieciak najwyraźniej penetruje strychy opuszczonych budynków lub grzebie po śmietnikach. Gdzie mógł znaleźć gniazdo?

Tak czy inaczej, przedmiot ten wart jest zbadania. W końcu to jakiś ślad pobytu naszych... Oglądam zdjęcia słoja raz jeszcze. Szkło jest lekko porysowane, nabrało też tęczowej patyny. Ten przedmiot ma swoje lata. Intryguje. Czego można się dowiedzieć od sprzedawcy? Czy uda się podjąć trop?

Sprawdzam historię aukcji. Cena wywoławcza dwadzieścia złotych. Nikt jej jeszcze nie podbił. Mało kto w ogóle tu zajrzał. Najwyraźniej myszy w jajkach nikogo specjalnie nie zaintrygowały. No to licytujemy. Kiedy koniec? Za dwa dni.

Czuję żal. Jeszcze nie mogę utopić laptopa...



Moje nowe lokum ma niemal same zalety. Jedną z nich jest położenie. Z nabrzeża do mostu Świętokrzyskiego mam tylko kilka minut drogi przez chaszcze. Z mostu kolejne kilka minut dzieli mnie od budynku Biblioteki Uniwersyteckiej. Nie lubię ich książek. Większość z nich zawiera tak zwaną literaturę piękną, czyli już nawet nie kłamstwa, lecz horrendalne bzdury całkowicie wysane z palca. Publikacje zwane naukowymi to również mieszanina cynicznego łgarstwa, nieuctwa, niewiedzy i drobnych okruchów prawd oraz faktów... Ale albumy warto obejrzeć. Broń biała, ornamenty, meble... Cywilizacja Ziemi Kłamców mimo swojego skarlenia czasem potrafi mnie pozytywnie zaskoczyć. Przynajmniej tak długo, dopóki nie pamiętam, że nawet te fotografie to często komputerowe oszustwo...

Wędruję bez celu długimi korytarzami wśród regałów czytelni ogólnej. Fotokomórki zapalają kolejne lampy. Poza mną nikogo nie widać. Albo studenci jeszcze śpią, albo akurat dział varsavianów nikogo nie interesuje. Idę. Kilkadziesiąt tysięcy książek ustawionych ot tak, na wyciągnięcie ręki. O ile człowiek w ogóle ma ochotę sięgnąć. Ja jakoś nie mam, więc tylko patrzę i dumam.

Patrzę na kilometry półek zastawionych książkami o jednolitych, powielonych maszynowo grzbietach. Wszystkie wydrukowano w wielkich fabrykach. Ludzie, którzy je stworzyli, przyszli do roboty, przebrali się w kombinezony, potem stanęli przy stalowych potworach i przez osiem godzin, patrząc na monitory, wciskali guziki i suwali jakimiś wajchami. Nie rozumieją radości płynącej z ręcznego odlewania ołowianych czcionek, mieszania farb, szycia grzbietów zakrzywioną igłą. Nie znają przyjemnej gęstości klejów i faktury świeżo wyprawionej skóry. Co za jakaś chora mania, by każdą szlachetną sztukę zastępować zwykłym wciskaniem guzików. Ten pęd do mechanizacji już przecież wychodzi im bokiem, a oni ciągle automatyzują każdą dziedzinę życia, jak ćmy lecące w ogień!

Czeladniczki introligatora miały też obowiązek poznać podstawy sztuki drukarskiej. Przypomniałem sobie Dafię, jak stoi wśród towarzyszek przy kasztach, wydając z króbek odpowiednie czcionki i justunki... Pamiętam, jakby to było wczoraj. Stukot ołowianych detali i obrazków rzeźbionych na drewnianych klockach. Zapach farb drukarskich, introligatorskich klajstrów, świeżego papieru. Szczebiot dziewcząt, woń ich potu i mydła...

Stop. Zamieram w pół kroku. Wizja przysła, ale ja ciągle czuję ten zapach. Zapach mydła z naszego świata. Olej drzew *gukko*, przypominający ziemski cynamon. Do tego pył kory *taco*, zbliżony do ziemskiej ambry. Najtańszy wyrób naszych mydlarzy, popularny wśród terminatorów, czeladników i biedniejszych warstw społeczeństwa.



Czuję strach. Ktoś z naszych był w tym miejscu. Niedawno. Może pięć minut temu. Kto? Nikt z moich towarzyszy. Tego jestem pewien. Nie mamy już po prostu mydła. Ostatni kawałek podarowaliśmy Anie, gdy była chora, jakiś rok temu...

Jestem praktycznie bezbronny. *Tippla* została w plecaku oddanym do szatni. Mam tylko sztylet przywiązany do łydki i szewski kozik w kieszeni. Jeśli podkradną się do mnie w labiryncie regałów i strzelą w plecy... Jak na złość, o tej porze w czytelnicy jest pusto. Z drugiej strony, póki broń w dłoni, póty nie należy się poddawać. Albo oni mnie, albo ja ich... Węszę. Zmysł powonienia mam lepszy niż człowiek, ale nie na tyle, by tropić kogoś po śladach. Skąd nadciągnął zapach? Już go nie czuję... Jak cyrkuluje tu powietrze? Nie wiem. Miesza je wyjątkowo rozbudowany system wentylacji. Z dłonią na rękojeści ruszam przejściem.

Jest. Złapałem nitkę woni. Wciągam ostrożnie, smakuję. Tak. To mydło. Tym razem zapach jest mocniejszy. W prawo czy w lewo? Dobiega jakby z góry. Idę coraz wyraźniejszym tropem. I nagle wszystko pryska... Wszedłem do głównej sali. Tu hulają istne przeciągi. Niczego nie zwęszę. A może?

Po co ktoś tu przyszedł? By zejść na dół. Do wyjścia, czy może do katalogów? Zbiegam lekko po betonowych stopniach i ponownie chwytam trop. Na moment tracę oddech. To ona. Dafia. Stoi przy szufladkach, grzebiąc w fiszkach. Na jej piersi połyskuje samotna błękitna gwiazdka. Ludziom może się wydawać zwykłą broszką, lecz ja wiem, że to znak żałoby krótszej niż dwadzieścia dni. A zatem ktoś dopadł jej siostrę. Impas... Nadal jest nas zbyt mało, by otworzyć Bramę...

Patrzę na strop sali. Kratownica z zielonych rur, tafle szkła... Wszystko się zgadza ze wskazówką. Światło łagodnie wędruje po żebrach niebosłonu. Jak mogłem się nie domyślić...

Chrząkam cicho. Podnosi głowę... Nasze spojrzenia się spotykają. Tak jak wtedy, w zaułkach Fresii. Stoimy, tylko patrząc na siebie. Nie musimy nic mówić. Nie musimy się dotykać. Burza uczuć, która w nas buzuje, zastępuje wszelkie słowa i gesty.



Noc minęła spokojnie. Bałem się, że ktoś mógł nas zauważyć i śledzić, ale to tylko moja rozbuchana wyobraźnia. Broń na wszelki wypadek jest na podorędziu. Dafia krząta się za ścianą, przygotowując sobie pokój. Bateria laptopa jeszcze działa. Jeśli się wyczerpie, to trudno. Czuję, że to czas zamknięcia. Ostatnie tygodnie tutaj. Może trafię na trop podobnego nam uchodźcy. Wtedy będzie nas siedmioro. Może to pułapka, wtedy załatwią mnie jak Timkera. W obu przypadkach już nigdy w życiu nie skalam dłoni, używając

elektryczności.

Wygrałem aukcję. Ponieważ mój poprzedni adres w międzyczasie stał się nieaktualny, napisałem e-mail z propozycją osobistego odbioru wylicytowanego przedmiotu. No i jest odpowiedź... Spotkam się ze sprzedającym dziś o trzynastej w parku na skarpie koło muzeum geologicznego.

– Będę musiał wyjść – mówię.

Dziewczyna wychyla głowę zza framugi.

– Czy to niebezpieczne?

– Nie wiem...

Ekran laptopa zgasł. Koniec baterii. Wstaję, mijam towarzyszkę, wychodzę na nabrzeże przed magazynami i z rozmachem ciskam niepotrzebny już komputer w mętne wody kanału. Dość tych głupot. Szewcy mają zbyt wiele pracy, ważnej i pożytecznej, by tracić czas na zabawę maszynkami.

– Chcę iść z tobą – oświadcza Dafia, stając za moimi plecami.

– Mogę zginać – zastrzegam. – Jeśli to prowokacja...

– Więć zginiemy razem. – Wzrusza ramionami.



Życie szewca należy do jego cechu i rzemieślnik nie może nim rozporządzać zupełnie swobodnie. Jest szczególnie potrzebnym sługą społeczności. Oczywiście w szczególnych okolicznościach należy walczyć czy poświęcać się za innych. Chodzi tylko o to, by nie dać się zabić głupio i niepotrzebnie. Ostrożność jest cnotą, przesadna ostrożność grzechem i słabością.

Jestem ostrożny. Może nawet aż do przesady? Pożyczony od Aspera samochód zaparkowałem w kompletnie niedozwolonym miejscu. Założyłem na koło atrapę blokady, za wycieraczkę wsadziłem fałszywy mandat. Dzięki temu policja ani straż miejska nie przyczepią się, a ja mam pod ręką środek transportu.

Pusto, cicho, ani żywego ducha. Obszedłem dookoła miejsce, gdzie ma się odbyć wymiana. Żadnego śladu pułapki. Wysłałem Dafię do Muzeum Ziemi, aby rzuciła okiem na ekspozycję i sprawdziła, czy nikt nie kryje się w budynku. Wyglądało na to, że teren jest bezpieczny. Oczywiście wiedziałem, iż wrogowie mogą nadszednąć jakimś pojazdem albo nadejść, ale na razie nic na to nie wskazywało.

Zeszliśmy w dolinkę i przysiedliśmy na ławeczce.

– Ładnie tu – westchnęła.

Nasze drzewa wyglądają podobnie. Tracą liście, jesień barwi je wcześniej na złoto, czerwono i brązowo. Tylko gatunków mieliśmy w Fresii o połowę mniej.

Nadszedł nasz kontrahent. Niewysoki, w polarowej bluzie z kapturem... Przez ramię przerzucony miał plecak. Ściągnął kaptur jednym ruchem, odsłaniając republikańskie tatuaże policyjne pokrywające czoło. A jednak

pułapka.

– Amiwelechusie Marv, jesteś aresztowany – warknął w *dash*.

Jednym płynnym ruchem dobyłem *tipplę* z pochwy. Mężczyzna powinien umierać z bronią w dłoni.

– Nie wygłupiaj się. – Skrzywił wargi. – Powiedz, gdzie ukryli się pozostali, a darujemy wam życie.

Rozejrzałem się dyskretnie. Z kup liści podnosili się kolejni policjanci. Cwany plan... Otoczyli nas.

– Darujecie mi życie? – prychnąłem.

– Twojej towarzyszce też. Gwarantujemy wam uczciwy proces i prawa jeńców wojennych.

Ziemia Kłamców... Jad tej cywilizacji jest obezwładniająca. Nawet przedstawiciele Republiki dopiero tu nauczyli się stosować szantaż i brać zakładników, wcześniej, gdy chcieli się czegoś dowiedzieć, sięgali co najwyżej po zwykłe tortury.

– Nie kupicie nas – warknąłem, zataczając *tipplą* klasyczną szermierczą pięciopętlę.

Dafia rozpięła kołnierz, odsłaniając szyję. Uklękła, unosząc głowę. To stary zwyczaj, w sytuacji beznadziejnej mężczyzna ma obowiązek zabić kobietę, by uchronić ją przed pohańbieniem, a sam może potem z czystym sumieniem polec w walce.

– Po co macie ginąć? – zapytał przywódca bandy. – Poddajcie się, a pozwolimy wam żyć wśród nas. Posiedzicie w obozie, przejdziecie resocjalizację i jeśli złożycie przysięgę na wierność demokracji i Republice...

– Życ w Republice? W świecie, gdzie byle pasożyt-urzędnik ma równe prawa z szewcem? – parsknąłem. – Gdzie głos dwu leni zbijających bąki w biurze liczy się bardziej niż głos chłopa uczciwie uprawiającego swoje pole? Życ z piętnem zdrajcy? To już lepiej umrzeć.

– Wybieramy śmierć. Jest bardziej honorowym wyjściem niż wegetacja w świecie, w którym wszystko stoi na głowie – powiedziała Dafia.

Łowcy jak na komendę sięgnęli do kieszeni i wyjęli pistolety. Odbezpieczyli je jednocześnie.

– Obawiam się – wróg skrzywił się paskudnie – że nie możemy spełnić waszego życzenia. Jesteście nam potrzebni żywi. Dlatego najpierw poranimy was solidnie i weźmiemy żywcem, potem poddamy torturom, które...

Wciągnąłem głośno powietrze. Prawa Republiki, choć chore i zdegenerowane, choć sankcjonowały gwałty i egzekucje na jeńcach, jednak do tej pory zabraniały torturowania kobiet. Przemieściłem się powolutku, by uśmiercić moją towarzyszkę jednym błyskawicznym cięciem. Głośne

chrupnięcie gałęzi łamanej czymś butem przerwało tyradę siepacza.

Zza drzew wyszedł wysoki, zwalisty mężczyzna w kapeluszu. Zagryzłem wargi. My zginiemy, to przesądzone. Przypadkowe ofiary bolą bardziej niż świadomość własnej śmierci... Spojrzałem na nieznajomego olbrzyma. Lustrował scenę spokojnym wzrokiem. W pierwszej chwili wziąłem go za zwykłego człowieka, ale teraz... Pochylona sylwetka, lekko kanciasta głowa, głęboko osadzone oczy o wielkich brązowych tęczęwkach... Uszy miał ludzkie, lecz też dziwne. Trochę za duże i osadzone niezupełnie tam, gdzie powinny się znajdować.

I jeszcze jedno. Zwykły człowiek, urodzony i wychowany tutaj, na widok bandy oprychów z pistoletami natychmiast rzuciłby się do panicznej ucieczki.

– Jak honorowo – powiedział głuchym, gardłowym głosem. – Siedmiu uzbrojonych na dwójkę dzieciaków.

– Spierdalaj – warknął przywódca.

– To polecenie w drastyczny sposób koliduje z moimi zamiarami. – Obcy uśmiechnął się, odsłaniając krowie zęby. – Ponadto nie przywykłem do rozmów na takim poziomie – dodał w *dash*.

A zatem moje pierwsze podejrzenia potwierdziły się. To nie jest człowiek, a w każdym razie nie gatunku *homo sapiens*. Choć zna język Rozetty, nie pochodzi też z mojego świata. A zatem...

Olbrzym sięgnął za pazuchę, wyciągając dwa dziwaczne noże, wykute z brązu.

– Rzućcie broń! – polecił.

– Rozwalić go!

Siedem luf poderwało się do góry. Za późno. Skoczył naprzód z mocą rozpędzonej maszyny parowej. Jednym susem wpadł między nich. Huknęło kilka strzałów. Rzucili się jak sfora psów i zaraz padli niczym pokos zboża, martwi lub dogorywający. Zatrzymał się równie nagle, jak skoczył. Stał tuż przy nas. Nie oglądał się, nie musiał. Wiedział, że atak był skuteczny. Rozpoznałem sierpowate ostrza w jego dłoniach. Na Ziemi Kłamców od trzech tysiącleci nie używa się podobnej broni.

Ale już ją widziałem, dawno temu, jeszcze przed egzaminami czeladniczymi, gdy dziadek zabrał mnie na królewski dwór, bym uprawiał się w zdejmowaniu wzorów stóp...

– Pani. – Zagadkowy wybawca skłonił się przed Dafią. – Panie. – Ukłonił się mnie, salutując dwiema zakrwawionymi klingami. – Jesteście wolni.

– Dziękujemy za pomoc. – Moja towarzyszka splotła palce w znak przyjęcia.

Jeden z policjantów Republiki, choć prawie wypatroszony, jeszcze się ruszał. Podszedłem i dobiłem go ciosem *tippli* w kark. Poczulem spojrzenie

nieoczekiwanego sprzymierzeńca.

– No i tyle z mojego wtapiania się w tłum – obcy odezwał się ponownie w naszym języku.

To Byk. Przedstawiciel rasy, z którą nawiązaliśmy kiedyś sporadyczne kontakty. Ich przodkowie byli zwierzętami podobnymi do ziemskich krów. Z czasem, jak wszystkie istoty rozumne, wyewoluowali do postaci humanoidów. Przez długi czas gatunkiem dominującym w ich świecie były drapieżniki. Stąd przedstawiciele krowiego ludu posiadają nieprawdopodobny refleks. Myślą też kilkakrotnie szybciej niż ludzie czy my. Ich prawdziwą siłą jest matematyka. Atakując, musiał przeanalizować wzorzec ruchu wrogów. Biegając, zadawał błyskawiczne ciosy w miejsca, gdzie wykonane w pamięci obliczenia wykazywały największe prawdopodobieństwo obecności celów. Ta sama zdolność pozwoliła mu uniknąć kul, a przynajmniej najbardziej prawdopodobnych trajektorii strzałów. Osiem do zera. Osiem śmierci za trzy życia. To też musiał sobie skalkulować. Oczywiście, gdyby nie było szans na zwycięstwo, też by zaatakował. Tysiące lat bodzenia się rogami wyrobiło w nich wyjątkową zadziorność.

– Co tu robicie? – zainteresował się życzliwie. – Jesteśmy w innym ramieniu galaktyki niż wasz dom.

Krowoludy myślą inaczej. Dla nas liczy się droga wiodąca do celu. Oni, podobnie jak Ziemianie, operują współrzędnymi. Długość, szerokość, wysokość, odległość.

– Przegraliśmy powstanie – wyjaśniłem. – Honor nakazywał przejście przez Bramę i odbycie czasu próby w innym świecie.

Byki, jak wszystkie istoty rozumne, wiedzą, czym jest honor. Nie poddają się. Zawsze walczą do upadłego.

– Republika podbiła wasze Królestwo trzydzieści dwa *anta* temu. – Zmarszczył czoło zdziwiony. – Czy czas wygnania nie skończył się już dawno?

– Skończył się. Utknęliśmy, gdyż jest nas tu za mało i nie możemy otworzyć Bramy.

– Ach tak, macie inną technikę skoków przez wszechświat. – Pokiwał swoją wielką głową.

Spojrzałem na trupy walające się wokół. Polskie służby otrzymały oto kolejną zagadkę nie do rozwiązania. Strzały słyhać daleko. Personel muzeum może już dzwonić po ziemską policję. Lada chwila ktoś się zjawi... Byk najwidoczniej pomyślał o tym samym.

– Proponuję się oddalić – rzekł swoim potężnym głosem. – Rozmowę dokończymy w bezpiecznym miejscu.

– Mamy samochód – zaofiarowałem się.

Kilka minut później pędziliśmy już na północ Wisłostradą. Nasz nieoczekiwany sojusznik zdjął kapelusz, odstaniając szczytkowe rogi, i wachlował się nim.

Krowoludy nie mają swego domu. Od trzech ziemskich stuleci wędrują, odwiedzając różne światy. Na dworze króla Kassaora przebywało ich kilku. No cóż, matematyka w połączeniu z fizyką bywa czasem szkodliwa. Ziemianie też odkryli niebezpieczne moce, ale wykpiłi się tanim kosztem. Dwie eksplozje nuklearne podziały jak dzban zimnej wody. Sprawily, że przez kolejne sześćdziesiąt lat ludzkość nie sięgnęła w walce po broń atomową. Dalsze próbne eksplozje utwierdziły ich w przekonaniu, że lepiej nie przekraczać granic, nie wchodzić na szlak wiodący do samozagłady.

Byki po prostu były ambitniejsze. Gdy już coś wymyśliły, musiały sprawdzić poprawność wzorów i obliczeń. Nie bardzo wiadomo, jakie doświadczenie wymknęło im się spod kontroli. Ocaleli tylko ci, których akurat nie było w tym momencie w domu. Eksplozję ich układu planetarnego zauważyły wszystkie cywilizacje w promieniu trzydziestu lat świetlnych. Niedobitki ruszyły systemem szlaków wiodących przez wszechświat. Nie wiedziałem tylko, że dotarli aż tutaj.

A może... – nagła myśl aż mnie poraziła. A gdyby tak ruszyć do domu ich drogą?



Zatrzymałem samochód przed tą samą budką ochroniarza. Wyskoczyłem zza kierownicy, z ukłonem otworzyłem drzwiczki. Dafia podobnie, obiegła auto i stanęła, usłużnie podając mu teczkę.

Byk wysiadł dostojnie z pojazdu.

– Pan pozwoli, prezesie. – Uniżonym gestem wskazałem nabrzeże dawnego portu.

Szedłem przodem, jakby torując drogę. Dafia drobila kroczyki obok. Różnymi się od ludzi. Mamy też zupełnie inne wzorce estetyczne. Wedle naszych standardów Dafia ma za mały nos, za duże oczy, za wąskie usta, zbyt owalną twarz, za grube brwi, zbyt duże piersi, za długie nogi i paskudnie gęste włosy. Do tego jest groteskowo szczupła. Brzydula w każdym calu. Za to wedle kanonów urody Ziemi Kłamców jest porażająco, obezwładniająco piękna i zgrabna.

Gdy teraz szła obok naszego gościa, szczebiocząc coś jak typowa sekretarka o mikrym ilorazie inteligencji, mogła idealnie udawać personel reprezentacyjno-seksualny dla kierownictwa najwyższej rangi. Ochroniarz wytoczył się z budki. Nie wiedział, kim są moi towarzysze, ale widząc, jak płaszczyć się przed domniemanym zwierzchnikiem, stanął na baczność i zasalutował. Dziesięć

minut później byliśmy na miejscu. Poprowadziłem wybawcę przez labirynt przejść i pułapek aż do serca kryjówki.

– Niezły schron – pochwalił.

Krzesełko zatrzeszczało pod ciężarem krowoluda. Znalazłem ciasteczka z otrębami, poczęstunek w sam raz dla istoty, która ciągle jeszcze opiera dietę niemal wyłącznie na produktach roślinnych. Pora porozmawiać. I to on zaczął...

– Utknęliście w tym świecie. Współczuję, to naprawdę paskudne miejsce. Podziwiam, że w ogóle zdołaliście przetrwać tyle w czasie wśród tych *nyhhes* – użył nazwy drapieżnych zwierząt ze swojej planety. – Myślę, że jestem w stanie wam pomóc. Czy wiecie, jak istoty mojej rasy podróżują pomiędzy światami? – zapytał.

– Jestem prostym szewcem – zastrzegłem. – Słyszałem tylko o triadach...

– W wielowymiarowym wszechświecie występują szczególne miejsca, triady, w których stykają się jednocześnie trzy punkty należące do trzech różnych światów. Tam możliwe jest przejście pomiędzy nimi. To coś jak wasza Brama, ale ona łączy tylko dwa światy.

– Bramę trzeba otworzyć – powiedziałem. – W kierunku na zewnątrz można to zrobić samodzielnie, ale...

– ...by powrócić, potrzeba siedmiorga – uzupełnił. – Wiem. Jest was zbyt mało. Może gdybym wziął jednego z waszych wrogów żywcem... – Zmrużył oczy, najwyraźniej przeliczając, czy byłoby to możliwe. – Ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, że jest taka potrzeba.

– Jak jest z triadami? – przerwała Dafia.

– Wystarczy jeden człowiek. To szansa dla was. Triada, którą przybyłem, prowadzi w innych kierunkach. Musicie znaleźć drugą lub trzecią, one pozwolą wam powędrować do domu.

– Jak je odszukać? – zapytała dziewczyna. – Są w tym mieście? Gdzie się znajdują?

– W każdej lokacji są trzy triady. Leżą zawsze niedaleko od siebie. Pokażę wam, gdzie znajduje się ta, którą przybyłem. Musicie odnaleźć dwie osie losu.

– Triady leżą trigonalnie – domyśliłem się. – Na wierzchołkach trójkąta równobocznego. Jeśli odnajdziemy drugą, bez trudu wyliczymy, gdzie jest trzecia.

– Jak na szewca z zacofanej planety na peryferiach wszechświata nieźle znasz geometrię – pochwalił.

– Bramę otwieramy, wchodząc w trans – moja towarzyszka podjęła wątek. – Jak jest z triadami?

– Podobnie. Trzeba usiąść w wycinku prowadzącym w interesujące nas miejsce i skoncentrować się. Ścieżka otwiera się tylko dla jednego naraz.

– Da się przenieść ładunek? – to dla odmiany interesuje mnie.

Nie mogę się doczekać tej cudownej chwili spełnienia, momentu, gdy podrzucę małą bombkę zapalającą na dach magazynu amunicji Fortu Krakena...

– Da się. – Krowocłowiek patrzy na mnie, znowu licząc w pamięci. – Sądę, że mniej więcej trzykrotną masę twojego ciała. Przejście jest neutralne, nie następują odkształcenia właściwości chemicznych ani fizycznych, nie ma uszkodzeń pamięci ani problemów fizjologicznych. Nie da się zabrać tylko niektórych pierwiastków rozszczepialnych.

– Jak się możemy zrewanżować za pomoc?

– Zrobisz mi buty. – Wyszczrzył w uśmiechu szerokie, bydlęce zęby. – I zabierzesz ze sobą jako gwarancję. Wcześniej czy później zahaczę o wasz świat. Wtedy mi je wręczysz.

Złożyłem palce w znak akceptacji.

– Jak odnaleźć taką oś losu? – zapytała Dafia. – I co to właściwie jest?

– Miejsca, gdzie stykają się światy, silnie oddziałują na samo prawdopodobieństwo zaistnienia zjawisk. Ich otoczenie jest tak bezpieczne, jak tylko jest to możliwe bez drastycznego naginania praw statystyki.

– Z tego, co słyszałem, triady są tworem sztucznym – zauważyłem. – Czy to wy...

– Tak nam się wydaje. – Skinął łbem. – Ale same szlaki przez wszechświat to nie nasze dzieło. Uczyniono je tysiące, może nawet miliony *anta* temu. Są dobrze wplecione w samą strukturę, ośnowę rzeczywistości. Co więcej, we wszystkich światach występują na powierzchni planety lub odrobinę wyżej. Zważywszy na ruchy tektoniczne i wypiętrzanie się gleby, można założyć, iż pochodzą z tej epoki geologicznej lub wykonano je, zawczasu przewidując, iż nadejdzie czas, gdy staną się łatwo dostępne wszystkim istotom rozumnym zamieszkującym naszą galaktykę. Być może niektóre wiodą nawet dalej.

– Skoro są chronione... – dziewczyna wróciła do tematu.

– Triady zawsze zgrupowane są po trzy. Na granicy styku ich stref występują linie szczególnie złe. Wszystkie wypadki zostają skoncentrowane właśnie tam. Jeszcze jedno. Istoty mojej rasy, penetrując tę część wszechświata, uznały, że triady trzeba choć trochę zabezpieczyć przed takimi, jak ci wasi zwolennicy rządów kolektywnych. Dlatego powołali strażników, by strzegli każdej z nich przez całe pokolenia.

– Jak uzyskać ich przychyłność?

– Tu jest znak rozpoznawczy. – Podał mi amulet. – Daje on dostęp do triad w tym świecie i kilkunastu sąsiednich. Nie obawiajcie się, mam ich kilka. Niezłe te ciasteczka. Jak się nazywają?





Asper ulokował się w kryjówce podobnej do mojej. Wyszukał bunkier osiedlowej kotłowni, zamknięty i porzucony, gdyż bloki dawno już podpięto do sieci centralnego ogrzewania. Zamurował okna, wewnątrz przygotował labirynt. Rozłożył pułapki, potykacze, miny i samopały. Asper jako jedyny z naszej grupy jest szlachcicem i wojownikiem z wykształcenia. Na jego barki złożyliśmy obowiązki poznawania techniki militarnej i taktyki narodów Ziemi Kłamców... Trzeba przyznać, że poświęcił się studiom z prawdziwym zapałem. Jego kryjówkę wypełniają setki książek, na ścianach wiszą repliki szabli i mieczy używanych na tej planecie przez ostatnie tysiąc lat.

Szczególnie starannie przeanalizował dzieje wojen dwudziestego wieku ziemskiej, chrześcijańskiej miary czasu. Znalazł wiele niepokojących analogii. Republika, podbijając nas i eksterminując niepokornych, wykorzystwała wiele pomysłów przetestowanych w tym świecie przez nazistów i komunistów. Na szczęście oprócz wiedzy, która przyniosła nam zagładę, odnaleźliśmy tu także myśl, jak się przeciwstawić. Dzieje rozmaitych miejscowych ruchów oporu uświadomiły nam, że powstania prowadziliśmy w sposób dość amatorski. Wrócimy wzbogaceni o mądrość pozwalającą zadać Republice cios, po którym wróg nie podniesie się przez wiele pokoleń.

Przyniosłem mapę Warszawy, na której Byk zaznaczył lokalizację pierwszej triady wraz z jej dokładną wysokością nad poziomem morza. Lepsza byłaby odległość od geometrycznego środka planety, ale cóż...

– To może zadziałać! – Asper podniecony krążył po ciasnej klitce. – Ale namierzenie dwu pozostałych triad nie będzie łatwe...

– Jak wyznaczyć linie losu w wielkim mieście? – zapytała moja towarzyszka. – Bo od tego chyba musimy zacząć?

– Raczej nazwałbym to liniami pecha... – zauważyłem.

– Trzeba by zdobyć szczegółowy wykaz wszystkich przestępstw, wykroczeń, wypadków i awarii, potem nałożyć na plan miasta... – zaproponował Asper. – Nie zdobędziemy tego bez włamania do policyjnych baz danych.

– No to klops – westchnęła.

Komputery... Tylko ja i Timker zdołaliśmy przełamać obrzydzenie na tyle, by nauczyć się ich używać. Ale Timker już nie żyje. Zresztą wątpię, by potrafił więcej niż ja. Ponoć przeciętny człowiek wykorzystuje około trzech procent możliwości tych urządzeń. My nie przekroczyliśmy zapewne jednego procenta. Używamy ich mniej więcej tak sprawnie, jak dziewiętnastowieczny, ledwo piśmienny chłop użyłby maszyny do pisania... Co nam pozostaje, wynająć hakera?

– Mam pomysł – powiedziałem. – Jeśli triady istniały tu od zawsze, to były

też przed sześćdziesięciu, siedemdziesięciu laty, prawda?

– Do czego zmierzasz? – Asper zamarł w pół kroku.

– Może da się odnaleźć linie losu na zdjęciach lotniczych z okresu po ostatniej wojnie. Budynki w pobliżu triad powinny ocaleć. Linie będą pasami totalnej destrukcji.

– No, nie wiem. – Asper poskrobał się po nosie. – To miasto przetrwało tak straszne piekło, że jakakolwiek statystyka może zawieść.



Destrukcja... Przekładamy kolejne karty albumów. Patrząc na dzisiejszą Warszawę, trudno się domyślić, w jak potworny sposób ostatnia wojna dotknęła to miasto. Wykonane w 1945 roku zdjęcia lotnicze pokazują ogrom zniszczeń, który nie mieści nam się w głowie.

Asper podszedł do zadania z właściwą sobie sumiennością. Zdobył szczegółowy plan centrum miasta. Przerysował na foliach. Zaznaczył wszystkie budynki przedwojenne istniejące i nieistniejące. Następnie rozdzielił pracę. Z księgarni i antykwariatów przywiózł kilkadziesiąt monografii naukowych. Ściągnęliśmy do pomocy resztę drużyny. Zaznaczamy wszystko, co się da. Każde paskudne zdarzenie. Pożary po bombardowaniach w 1939, egzekucje uliczne, zniszczenia w czasie walk powstańczych i rozmyślne dewastacje ocalałych budynków dokonane przez komunistów. Dla każdej epoki destrukcji odrębny plan. Cztery dni pracy...

I wreszcie nadchodzi chwila prawdy. Nakładamy siedem kolejnych warstw folii. W gąszczu kolorowych plam widać trzy jasne punkty. Trzy kamienice przetrwały absolutnie wszystko, co najeźdźcy zgotowali temu miastu.

– Triady – szepce Dafia.

Pomiędzy nimi widać linie losu, przerażające pasma totalnego wielokrotnego zniszczenia znaczone czarnymi gwiazdami ulicznych egzekucji.

– Znamy przybliżoną lokalizację triad – mówi Ana. – Teraz wystarczy tylko odnaleźć mieszkanie, w którym je umieszczono. Trzeba wybrać się do hipoteki, zdobyć wypisy szczegółowe z ksiąg wieczystych, potem zbadać losy kolejnych właścicieli. Pole generujące się na styku trzech rzeczywistości...

– Chroni tylko punkty, nie ludzi. – Asper kręci głową. – Wystarczyło, że oddalili się od domu, i tracili ochronę, jakby wyszli spod parasola... Trzeba inaczej.

– Zapukać i zapytać – podsuwa Dafia.

– Czy ktoś ma lepszy pomysł? – Przesuwam wzrokiem po zebranych.

– Tak zrobimy – decyduje Asper. – Oczywiście, wcześniej przeprowadzając obliczenia, by w miarę możliwości wyeliminować ryzyko pomyłki.



Poszliśmy we trójkę. Asper to nasz przywódca. Ja nawiązałem kontakt z Bykiem. Jeśli plan się powiedzie, ruszymy szlakiem przez wszechświat i wytyczymy drogę. Dafia pozostanie w odwodzie.

Obliczenia? To nietrudne. Na sąsiednim budynku znaleźliśmy reper – znacznik wmurowany w ścianę przez geodetów mierzących miasto. Odczytaliśmy wysokość punktu, dodaliśmy ile trzeba. Triada znajduje się na drugim piętrze. Analiza map, centrów oddziaływań i przebiegu linii pecha wskazuje, że mieszkanie powinno znajdować się od południowej strony budynku. Trzeba jeszcze dostać się do wnętrza. Nie ma wśród nas ślusarza, lecz nieskomplikowany zamek domofonu można otworzyć choćby widelcem.

Tylko jedne drzwi pasują. Stare, drewniane, secesyjne... Nad nimi niewielki prześwit z witrażem. Jego centralną część stanowi koło z trzech kolorowych szybek. Symbol triady, taki jak na naszym amulecie.

Zapukałem. Czekaliśmy dłuższą chwilę, po czym drzwi szczęknęły i uchyliły się na szerokość łańcucha. Przez szparę wyjrzał staruszek w szlafroku, z fajeczką w dłoni.

– Świadkowie Jehowy? – Otaksował nas wzrokiem.

– Co też pan – odparł Asper z uśmiechem.

– Co zatem sprzedajecie?

Wyjąłem amulet. Kółko przecięte trzema drucikami wygląda zupełnie jak...

– Obnośna sprzedaż mercedesów? To coś zupełnie nowego. – Drzwi zatrasnęły się, a po chwili otworzyły na oścież. – Witajcie, podróżnicy! – zaprosił nas do środka.

Weszliśmy. Z kuchni wyjrzał dziesięcioletni chłopiec.

– Dziadku? – zagadnął.

– Nic się nie dzieje – uspokoił go gospodarz. – To ci, o których ci mówiłem. Nie zostaną tu długo, siądą sobie na podłodze i znikną. Taki ich obyczaj.

Dafia komicznie przewróciła oczyma.

– Triada jest tutaj. – Staruszek wskazał błyszczące od pasty żółte linoleum. – Zaraz ją odsłonię. Będziecie wracali też przez moje mieszkanie?

– Tak – potwierdzam na wszelki wypadek.

– To gdybym mógł mieć prośbę; tak ze dwadzieścia lat temu jeden z podróżników dał mi paczkę ziółek. *Mychru* się nazywały. Rosną gdzieś tam, w innych światach... Chciałem sobie smak przypomnieć.

– Jeśli tylko trafimy, to oczywiście dostarczymy panu. – Asper skłonił głowę.

– Jesteście czarownikami? – zainteresował się wnuk właściciela.

– Nie. Kosmitami – wyjaśniłem.

– Wow – szepnął, ale na jego twarzy odmalował się lekki niepokój i zawód.

Chyba wołałby magów.

– A gdzie mają panowie latający spodek? – Dzieciak otrząsnął się z rozczarowania, a wrodzona dociekliwość nie pozwalała mu usiedzieć na miejscu.

– Nie ma żadnych latających talerzy – wyjaśnił cierpliwie Asper. – Pojazdem takiego kształtu byłoby niezwykle trudno sterować. Zresztą sama idea jest niezbyt praktyczna i nieopłacalna. Wyobraź sobie, ile paliwa potrzeba, by zalecieć choćby na Księżyc. Nie da się zabrać go ze sobą dużo. A po drodze nie ma gdzie zatankować.

– A nie da się zrobić po prostu lepszego paliwa? – zaciekał się stary.

– Nie wiem. Moim zdaniem, jedyną możliwą drogą do gwiazd jest fizyka – wyjaśniam.

Sam zadumałem się nad swoimi słowami. Fizyka? Bramę otwieramy mocą naszych umysłów. By wykorzystać triady, trzeba wejść w trans. Czy to jeszcze fizyka, czy już magia?

– Przybyli panowie z drugiego końca kosmosu, z planety pod obcymi gwiazdami, i nie umiecie zrobić latającego talerza? – chłopcu nie mieściło się to w głowie.

– Skoro jednak stamtąd przybyli, to chyba oznacza, że nie potrzebują takich pojazdów – mruknął dziadek. – Z pewnością ich cywilizacja wyprzedza naszą o tysiące lat rozwoju technicznego.

Nie zaprzeczamy przez grzeczność. Nie da się porównać. Nasze garncarstwo odpowiada ich dziewiętnastowiecznemu. Broń palna przypomina średniowieczną. Broń biała...

Ściągnęliśmy wykładzinę. Na przedwojennej posadzce z kamiennych płytek wyraźnie było widać punkt stykowy. Trzy zbiegające się linie z zatopionych w kamieniu brązowych prętów, w każdym wierzchołku trzy hieroglify – cyfry tworzące numer lokacji. Przy jednym ktoś wydrapał w marmurze trupa czaszkę.

– Byk mówił, żeby unikać tak oznaczonych dróg, bo można zginać... – rozważam.

– Zostają dwie do sprawdzenia – powiedział Asper. – Po jednej dla każdego. Wybieraj.

Z kieszeni wyjmuję irydową *aflę*. Niech decyduje los.



Siedzę skupiony. Asper znikł godzinę temu. *Tiplla* kiwa się w pochwie przerzuconej przez plecy. U boku mam kaburę z rewolwerem. Po drugiej stronie wisi na pasku licznik Geigera. Nie tylko ludzie odkryli broń atomową. Niektóre cywilizacje nie zdołały zatrzymać się w porę... Nie mam możliwości, by zabezpieczyć się przed obcymi bakteriami, ale Byk twierdził, że ryzyko zakażenia nie jest duże. I co najważniejsze: wszystkie triady prowadzą do

światów w miarę podobnych. Wszędzie znajdę stabilny grunt pod stopami oraz powietrze zdatne do oddychania.

Trzy cyfry. Trzy lokacje. Jedna to świat zniszczony przez jakiś kataklizm. Pozostałe dwie? Co spotkam na tamtych planetach? Chodzące grzyby? Rozumne ślimaki? Myślące drzewa? Potwory, dla których będę jedynie potencjalnym obiadem? A może tylko wiatr hulający po wypalonych radioaktywnych ruinach? Przede mną sześć, może dziesięć skoków w nieznaną. Boję się, ale to proste zadanie. Jeśli przeżyję, powinienem odnaleźć drogę do domu.

Podzieleni na kilka grup forsownym marszem ruszymy ku Fresii. W każdej wsi zbierzemy ochotników. Kowale wedle naszych instrukcji przygotowują kusze. Oddziały króla zejną z gór i razem pójdziemy w stronę wybrzeża. Pobyt na Ziemi Kłamców skalał nasze dusze wiedzą. W wypchanych plecakach przydźwigamy kilkaset kilogramów magnezu, fosforu i termitu. Wierzmy, że w walce, która nas czeka, przechyłą szalę zwycięstwa na naszą stronę. Republika chce wojny totalnej, więc będzie ją miała.

Teraz, gdy pojawiła się realna szansa powrotu, zamiast radości czuję strach. Nie mogę otrząsnąć się z dojmującego przeczucia rychłej zagłady. Ale umrę w walce. A jeśli przeżyję? Gdzieś tam, opodal pomnika budowniczego-poety, czeka na mnie dom i warsztat z widokiem na zatokę. Po kamiennych ścianach pną się pędy dzikiej róży... Po latach okupacji, nędzy, prześladowań i cierpień wśród mieszkańców Fresii z pewnością znajdą się ludzie, którzy będą potrzebowali nowych butów.

Dafia siedzi przy stole, oprawiając książkę z biblioteczki staruszka. Nasze spojrzenia się spotykają. Będzie tu na nas czekać. Jeśli trzeba, nawet kilka dni.

Pora ruszać w drogę. Oddycham równo, by uspokoić i wyciszyć myśli, nim wejść w trans. Za oknami starej kamienicy nadchodzi wczesny jesienny zmierzch. Zapalam gałązkę bukszpanu, by zakreślić nią potrójny krąg...

# Poddasze



**W** centrum Warszawy stoi sporo starych kamienic. Przetrwały dwie wojny światowe i lata radosnego wyburzania wszystkiego, co zasłania widok na Pałac Kultury. Nieliczne odnowiono, pozostałe wyglądają żałośnie. Tynk odpada całymi płatami. Elewacje okaleczono. W ciemnych i cuchnących bramach natrafić można na kostkę brukową z nasączoną olejem dębiny, hit roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego...

Wdrapałem się na poddasze po długich, wąskich i skrzypiących schodach. Zasapałem się, lecz przyszło mi do głowy, że za rok dzięki codziennej wspinaczce na piąte piętro z pewnością zgubię trochę sadła i nabiorę kondycji. Zatrzymałem się przed starymi drzwiami i dłuższą chwilę wyrównywałem oddech. Wreszcie zapukałem.

– Proszę wejść! – usłyszałem.

Poprzedni właściciel, niski staruszek o chytrych oczkach, siedział na jedynym krześle.

– No, jest pan – ucieszył się na mój widok. – Punktualnie, co się chwali. Oto i klucze.

Podał mi pęczek spięty drutem.

– Dziękuję.

Obawiałem się, że zechce zostać i wypić ze mną zwyczajową flaszkę, ale na szczęście wyraźnie się gdzieś spieszył. Wstał i obciągnął na sobie wyświechtaną marynarkę. Swoją drogą dziwne, miesiąc temu dostał czterdzieści tysięcy zaliczki, wczoraj przelałem mu resztę kwoty, powinien ubrać się po ludzku... Czemu nie zadba trochę o siebie? Pomyślałem, że może pieniądze nie są dla niego środkiem, ale celem samym w sobie. Cóż, bywają i tacy.

– Niech mi pan jeszcze powie – skrzywił się w czymś na kształt uśmiechu – po co właściwie kupił pan ten strych?

– Żeby tu mieszkać – odparłem zgodnie z prawdą.

Zmrużył chytrze oczy. Spojrzenie niemal przewierciło mnie na wylot.

– Tu żył taki jeden malarz od rewolucji, ten, co mu tablicę wmurowali. Pracownię miał. On malarz, pan grafik, myślałem, że jego miłośnik może – wyjaśnił.

– Jak on się nazywał?  
– Nowiński.  
– Nigdy nie słyszałem. – Pokręciłem głową.  
– No nic, pańska forsa, pańska sprawa. A właściwie to już moja forsa. –  
Znowu uśmiechnął się chytrze. – Muszę już iść.

Minął mnie, a w drzwiach jeszcze na chwilę przystanął.

– No, niech się dobrze mieszka – powiedział na pożegnanie i zniknął.

Usłyszałem, jak człapie po schodach. Zamknąłem starannie drzwi. Wreszcie jestem u siebie... Rozejrzałem się wkoło. Główne pomieszczenie liczyło może trzydzieści metrów kwadratowych. Cztery nieduże mansardowe okna wychodziły parami na przeciwległe płaszczyzny dachu. Obok drzwi wejściowych znajdowało się przejście prowadzące do niewielkiej kuchni. Za nią była jeszcze malutka łazienka.

Zacząłem badać mieszkanie, planując remont. Poprzedni właściciel był wielkim miłośnikiem malowania. Pod oknem znalazłem kaloryfer, sądząc z kształtu, przedwojenny, bezmyślnie pokryty wieloma warstwami farby. W kuchni czekało mnie doczyszczenie elektrycznej kuchenki, w łazience należało wymienić poobijaną wannę i nadpękniętą muszlę klozetową. Niechlujnie położone kafelki, sam szczyt mody końca lat siedemdziesiątych, kwalifikowały się wyłącznie do skucia.

Wszystkie okna zarosły brudem. Szyb nie myto od wielu lat, za to framugi wielokrotnie pokryto grubymi warstwami farby.

– Można sobie żyć – mruknąłem. – Tylko trzeba trochę odświeżyć, wymienić to i owo, to znaczy prawie wszystko...

Materac i śpiwór rzuciłem w najczystszy kąt kuchni.



Zdzieranie kolejnych warstw przypominało nieco pracę archeologa. Zacząłem skrobać ścianę przy drzwiach. Pod spękaną olejną powłoką kryła się błękitna klejówka, pyłaca przy każdym dotknięciu. Głębiej biała farba, potem brązowa, jakiś wariat chciał mieć najwyraźniej mieszkanie utrzymane w kolorystyce wnętrza trumny, wreszcie moim oczom ukazała się bordowa w żółte szlaczki malowane z wałka. To mógł być okres międzywojenny. Jeszcze jeden poziom, znowu biała i wreszcie sparszywiały tynk narzucony na trzciniowe maty. Zatem dalsze skrobanie nie miało sensu. Należało skuć wszystko do gołej cegły i położyć gładź gipsową. Na szczęście zaprawa podważana szpachelką łatwo odchodziła od ściany.

Wieczorem umyłem się w poobtłukiwanej wannie, pryskając wodą z zepsutego prysznica. Niemal bez życia padłem na materac. Pył skrzypiał mi w zębach, plecy bolały. Jeszcze tylko jedno piwo przed snem... Odkorkowałem

puszkę, pociągnąłem kilka łyków. Gdzieś za ścianą rozległo się przeciągłe szurnięcie, jakby ktoś kawałkiem blachy skrobał po murze. Coś zabębniło. Palce? Łapki?

Szczury, pomyślałem z obrzydzeniem. Pewnie lęgną się na strychu. Może siedzą i u mnie pod podłogą. Trzeba będzie się ich pozbyć.

Hmm... Przepatrzyłem przecież za dnia wszystkie kąty, nie widziałem nigdzie nor, mysich dziur, nic takiego. Poza tym to coś... Jakby skrobało w murze? Wyobraziłem sobie stary przewód kominowy i hordy zwierzaków drążących sobie przejście przez ścianę. Skrobanie powtórzyło się jeszcze kilka razy. Dopiero kiedy zapadła cisza, udało mi się zasnąć.

Sen przyszedł dziwny. Maszerowałem drogą, wpatrzony w mglisty horyzont. Niebo było jasne, choć nienaturalnie sine. Po obu stronach pylistego traktu rosły łąny wysokich traw. Nogi zakute miałem w ciężkie kajdany połączone łańcuchem...



Kolejny dzień poświęciłem na pracę z opalarką. Zacząłem od drzwi i tu czekała mnie pierwsza niespodzianka. Pod kilkoma warstwami starych powłok malarskich odkryłem tabliczkę. Ozdobna cyrylica, głęboko grawerowany mosiądz. Odczytałem nie bez problemów: *K. Nowiński*. A więc poprzedni właściciel miał rację. To tutaj żył niegdyś malarz. Poskrobałem się z frasunkiem po głowie.

Co zrobić z tą wizytówką? Czy w Warszawie jest jakieś muzeum, które przyjąłoby taki eksponat? Jeżeli artysta rzeczywiście sympatyzował z rewolucjonistami... Muzeum Ruchu Robotniczego? Przypuszczałem, że dawno już czegoś takiego nie ma. Muzeum Niepodległości? Najpierw trzeba by sprawdzić, czy ten pan nie był przypadkiem komunistą.

Obejrzałem wizytówkę. Choć przytwierdzono ją starannie, zdołałem odkręcić blaszkę od drzwi. Postanowiłem, że czyszczenie mosiądzu pastą polerską zostawię sobie na deser. Teraz chwyciłem szpachelkę i zacząłem wykrobywać ze szpar resztki farby. Gdzieś w głębi klatki schodowej brzęknęła butelka kopnięta nogą przedstawiciela klasy robotniczej, obecnie na zasiłku. Woń gotowanej kapusty kręciła w nosie. Tak poznawałem zapachy i dźwięki mego nowego domu.



Powoli przywykałem do życia na strychu. Zacząłem sypiać lepiej niż przez pierwsze noce. Jeszcze dwukrotnie śniły mi się zamglone horyzonty, kajdany i klucze żurawi przelatujące nad bezkresną równiną. Skrobanie powtarzało się co jakiś czas. Raz w nocy obudziły mnie odgłosy muzyki, najwyraźniej ktoś, nie



bacząc na późną porę, umiał sobie życie grać na pianinie. Poza tym wypadkiem sąsiedzi nie dawali znaku życia.

Piątego dnia trzy ściany były oskrobane. Długo splukiwałem z siebie grubą warstwę pyłu. Założyłem czyste ubranie i przejrzałem się w lustrze. Ujdzie. Można iść pomiędzy ludzi. Zszedłem ostrożnie skrzypiącymi schodami. Zaraz koło bramy jest sklep mięsny, będzie można kupić sobie coś na kolację. Wyszedłem, zakręciłem, wdrapałem się na cztery kamienne schodki, pchnąłem drzwi i...

Otoczył mnie mocny, przyjemny zapach kawy oraz domowego ciasta. Zatrzymałem się w pół kroku i rozejrzałem zdezorientowany. Kawiarnia. Na ścianach półki zastawione książkami. Potrząsnąłem głową. Przecież mijalem szyld kilka razy, oglądając mieszkanie przed zakupem, dlaczego przed chwilą pomyślałem o sklepie mięsnym? Przepracowanie czy ki diabeł? W lokalu było sporo ludzi, ale kilka stolików pozostawało wolnych. A może zjeść tu coś na kolację?

– Czym możemy służyć? – Ruda dziewczyna za ladą uśmiechnęła się lekko.

Była nawet niebrzydka, ale kolczyki w kształcie trupich czaszek, „gotycki” makijaż, czarna szminka i ubiór skutecznie pozbawiały ją jakiegokolwiek wdzięku.

– Co może pani polecić? – zapytałem machinalnie.

– Mamy doskonałą szarlotkę. – Sięgnęła po kartę. – Podajemy ją na ciepło z lodami.

– Poproszę dwa kawałki. I herbatę – dodałem po sekundzie zamyślenia.

Ulokowałem się przy stoliku. Pogoda, do południa ładna, teraz się zepsuła. Z nieba zaczął siąpić kapuśniaczek. Szarlotka okazała się znakomita, co więcej, podawano ją w naprawdę dużych porcjach. Siedziałem, skubałem ciasto widelczykiem i leniwie popatrywałem wokoło. Zmęczenie po całodziennym harówce, nerwy ostatnich tygodni przed zakupem...

Skończyłem jeść i spojrzałem na zegarek. Dwudziesta. Pora na mnie. Wdrapałem się po schodach na poddasze. Dziesięć minut później zawinięty w śpiwór zasypiałem, słuchając, jak deszcz bębni w szyby.



Ocknąłem się nagle w środku nocy. Znowu śniłem, że wlokę się w zdeptanych buciorach, skuty kajdanami. Tylko że tym razem maszerowałem przez zaśnieżony las. Co mnie obudziło? Przez chwilę słyszałem ciche skrobanie za ścianą, stłumiony dźwięk, jakby miało się tam jakieś zwierzę. Czyżby szczury przeszły do ataku? Wstałem i wcisnąłem kontakt. Żarówka pod sufitem zabłyśła, zamigotała i zgasła z cichym brzęknięciem. Zapaliłem światło w kuchni. Blask padający przez drzwi do pokoju wystarczył mi, by stwierdzić, że

wszędzie panowały spokój i cisza. Tylko gdzieś z daleka, jakby z głębi muru, dobiegło mnie kilka taktów jakiejś melodii. Pewnie ktoś z sąsiadów, nie mogąc zasnąć, włączył sobie radio. A może? Może to nocny muzykant znowu siadł do pianina? Rozległ się brzęk jakby upuszczonej monety, ale drapania już nie słyszałem. Zgasilem lampę i położywszy się na wznak, próbowałem zasnąć. Stara kamienica, smagana wiatrem i deszczem, pełna była dźwięków. Skrzypiały deski, trzeszczały belki, krople wybijały werbel na dachówkach, brzęczała obluźowana rynna...

Nie wiedzieć kiedy zapadłem w sen. I raz jeszcze znalazłem się na drodze. Tylko tym razem nie byłem już sam. Kolumna więźniów, konwojenci na koniach, zdeptyany trakt, sine niebo i tonący w mgłach horyzont...



Wracałem właśnie ze sklepu, dźwigając siatkę z wiktuałami, gdy na schodach spotkałem tę rudą dziewczynę z kawiarni. Mordowała się okropnie, usiłując wnieść na górę ogromne pudło po telewizorze wypełnione czymś ciężkim.

– Może pomóc? – zaproponowałem.

W pierwszej chwili spłoszyła się, ale zaraz mnie rozpoznała. Pomalowane na czarno usta uśmiechnęły się lekko.

– Gdyby pan mógł...

– Proszę tu na mnie poczekać, skoczę tylko do siebie, zostawię zakupy.

Pognałem na poddasze, powiesiłem siatkę na klamce i zaraz wróciłem na dół. Dźwignąwszy karton, aż jęknąłem w duchu.

– Uch, bogata biblioteczka – mruknąłem.

– Nuty – wyjaśniła. – To pan kupił mieszkanie na poddaszu! – rzuciła odkrywczo.

– Aha – potwierdziłem, wspinając się po trzeszczących schodach.

– Jestem wielbicielek grafik Nowińskiego – powiedziała. – Są takie cudownie mrrroczone. Niesamowity facet! Malował odjechane obrazy, no i niezły był z niego dynamitard...

– To podobnie jak ja – wysapałem. – Jestem grafikiem, tylko z dynamitem jakoś nie miałem w życiu do czynienia. No i wolę chyba jednak rysować weselsze rzeczy.

– Zostało tam na poddaszu coś po nim? – zaciekała się.

– Raczej nie – wydyszałem. – Mieszkanie jest zupełnie puste. Ani mebli, ani obrazów.

– A piec pośrodku?

Spojrzałem na nią zaskoczony.

– Mam w jednej książce zdjęcie, jak stoi w pracowni koło pieca – wyjaśniła zmieszana.

– Przykro mi – westchnąłem. – Pieca też już nie ma.

– To tutaj. – Otworzyła drzwi. – I na lewo.

Wcisnąłem łokciem klamkę. Nieduży pokój pomalowany został niezwykle modnie i gustownie. Na czarnych ścianach wisiały oprawione w antyramy reprodukcje prac Victorii Frances. Pod oknem dziewczyna postawiła biurko, oczywiście też czarne, na nim królował gipsowy odlew czaszki. Milusi pokoik, jak z filmu o niedzielnych satanistach. Piękne stare pianino błyszczało głęboką czernią okleiny. A więc to jego dźwięk słyszałem w nocy. Zza biurka podniósł się chłopak w okularach.

– To mój narzeczony – wyjaśniła.

Miałem na końcu języka pytanie, dlaczego nie pomógł jej z tym pudłem, ale widząc kulę opartą o biurko, ugryzłem się w język.

– Tomasz – przedstawiłem się, ściskając jego dłoń.

– Marek – odwzajemnił uścisk.

– Zaraz – mruknąłem. – Czy myśmy kiedyś...

– W redakcji „Pulsu Stolicy” – przypomniał mi. – Robiłem u nich skład komputerowy.

– A ja jestem Wioletta – teraz dopiero spostrzegła, że jeszcze się nie przedstawiła. – Wynajmujemy to mieszkanie... Ale za jakieś pięć lat, jak się dorobimy, chętnie odkupilibyśmy pański strych – dodała z błyskiem w oku.

– Ależ to straszna nora – zaprotestowałem. – Z czasów waszego Nowińskiego zostały tam tylko ściany. A właściwie nawet nie, bo właśnie zrywam tynki. Zresztą wpadnijcie kiedyś, jeśli was to mieszkanie interesuje. Sami zobaczycie.

Moi nowi znajomi skrzyżowali spojrzenia.



Darłem tynk, co jakiś czas kichając jak potężnieniec. Szary pył i kawałki trzciny wirowały w powietrzu. Nawet otwarcie okien na oścież dużo nie dało. Wreszcie dotarłem do ostatniej ściany. Tu czekała mnie następna niespodzianka. Pośrodku muru pod powłokami farby ukryta była prostokątna plama tynku o nieco innej fakturze. Poskrobałem ją nożem przy krawędzi. Spod wapna wyłoniło się drewno. Drzwi. Widocznie kiedyś, dawno temu, było tu przejście. Potem jednak zostało zamurowane. Kiedy? Jak sądziłem, w okresie, gdy zaadaptowano strych na mieszkalne poddasze.

Wreszcie usunąłem zaprawę do końca i z dumą popatrzyłem na swoje dzieło. Pierwszy generalny remont od... Kto wie, może nawet od stu lat? Powrzucałem płyty tynku do dwu sporych kubłów na kółeczkach. Potem uruchomiłem pożyczony od kumpla przemysłowy odkurzacz. Maszyna ryknęła i zaczęła pochłaniać kilogramy pyłu.



Jutro trzeba obić ściany siateczką nośną i można zabrać się do kładzenia gładzi gipsowej. Za dwa tygodnie to wszystko będzie wyglądało po ludzku.

Deski podłogi zachowały się w niezłym stanie. Odszlifowałem na próbę niewielki kawałek i stwierdziłem, że nie ma sensu ich wymieniać. Parokrotne cyklinowanie, lakier i odzyskają dawny blask.

Spojrzałem na zegarek. Dwudziesta. Czas na kolację. W sumie czemu by nie... Zabrzącałem w kieszeni bilonem i zszedłem na parter. Delikatesy były niedaleko.

Dopiero zasypiając, pomyślałem, że niepotrzebnie łąziłem na sąsiednią ulicę.

Przecież mogłem zjeść na kolację kawałek szarlotki w kawiarni...

Oczekiwałem, że także tej nocy usłyszę skrobanie, ale nawet jeśli szczury znowu urządziły swoje konwentykle, ich harce nie zdołały mnie obudzić. Sen nie wrócił, jakby kolumna więźniów zaszła już zbyt daleko.



Po czterech dniach mieszkanie było odmienione nie do poznania. Elektryk położył nowe kable. Gładź gipsową zrobiłem sam. Przydała się praktyka na Wyspach... Ściany i sufit pokoju rozbłysły śnieżną bielą. Szarobrązowe deski podłogi, wycyklinowane i solidnie nawoskowane, odzyskały ciepły, miły dla oka kolor. Tylko w licznych szparach i pęknięciach zachował się czarny brud, wbity tam przez dziesięciolecia. Nowiutkie okna wpuszczały znacznie więcej światła, a mniej wiatru. W łazience wymieniłem wannę i muszlę klozetową, skułem też część kafelków. Reszta prac musiała chwilowo poczekać. Trzeba było wreszcie coś zarobić.

Rozstawiłem stół kreślarski. Przypiąłem pinezkami kartkę papieru, naszykowałem tusz, pędzelki i zabrałem się do dzieła. Dzikie, splątane chaszczce, wieża cmentarnej kaplicy, sowa na gałęzi...

Dopiero po kilku minutach zdałem sobie sprawę, że słyszę muzykę. W pierwszym momencie sądziłem, że dobiega zza okna, lecz było przecież zamknięte. Uchyliłem drzwi na klatkę schodową. Melodia grana na pianinie dobiegała z dołu. Wsłuchiwałem się w nią zadumany. Była dziwna, niepokojąca. Drgał w niej smutek. Wzdrygnąłem się. Człowiek, który skomponował ten utwór, najwyraźniej cierpiał na kliniczną postać depresji. Ruda kelnerka też pewnie musiała znajdować się w głębokiej melancholii. No cóż, skoro miała narzeczonego, niech on ją pociesza... A może takie „gotki” potrzebują do szczęścia właśnie ponurego nastroju?

Zamknąłem starannie drzwi i zawiesiłem na nich koc. Dźwięki ścichły, przestały być natrętne, ale mimo wszystko mój dobry nastrój prysł. Zostawiłem zaczętą grafikę, żeby wyschła. Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek do niej powrócę. Raczej chyba zacznę coś nowego, gdy będę czuł się lepiej. W takim nastroju najlepiej odwalać proste chałtury.

Jedno z czasopism dla miłośników ezoteryki zamówiło cykl grafik poświęconych dwunastu znakom zodiaku. Melodia za drzwiami zmieniła się na inną, jeszcze bardziej ponurą. Rysowałem szybko, starając się nie ulegać nastrojowi. Wreszcie popatrzyłem na gotowy obrazek. Brrr... Lew, którego właśnie stworzyłem, mógł się przyśnić w nocy. Ogromne bydlę o wrednym wyrazie pyska patrzyło, jakby chciało rozszarpać widza. Strzelec też nie był lepszy. Umieśniony byczek o gębie dresiarza przyozdobionej krzywym uśmiechem, wyglądał raczej na kłusownika napinającego łuk. Baran sprawiał

wrażenie rozjuszzonego. Rysunek Bliźniąt ucieszyłby każdego wroga braci Kaczyńskich. Zapadał już wieczór, więc zapaliłem światło. W blasku żarówki wszystkie sportretowane postaci wydały się jeszcze gorsze, jakby dogłębnie skażone złem i cynizmem.

– Co się ze mną dzieje? – zadumałem się nad gotowymi obrazkami.

Kto to kupi? Na pewno nie gazeta zamieszczająca horoskopy. Od samego patrzenia mogło się odechcieć jakiegokolwiek astrologii. Uwalilem się wygodnie na łóżku ze szkicownikiem. Może zbyt długo nie trzymałem w ręce ołówka? Trzeba trochę poćwiczyć...

Zacząłem od rysunków ręki. Palce, nadgarstek... Dłoń zaciśnięta na czymś. Kilkoma ruchami nakreśliłem nogę drewnianego taboretu. Kolejny szkic, inne ujęcie. Ktoś, trzymając stołek za nogę, robi potężny zamach. Celuje prosto w patrzącego. To był świetny rysunek; gdy skończyłem cieniować, przyjrzałem mu się raz jeszcze, by ocenić całość. Mebel wręcz wyskakiwał z kartki wzniesiony do ciosu. Na dziś starczy. Zgasilem światło i po chwili spałem.

Obudziłem się nieco po pierwszej. Na zewnątrz szalała wichura. Gdzieś w kamienicy trzeszczało obluźowane okno. Szmer delikatnego gorączkowego drapania dobiegał jakby ze środka ściany. I jednocześnie usłyszałem coś jeszcze. Muzyka była przytłumiona, jakby dobiegała przez gruby mur. Rozpoznałem melodię. Ruda kelnerka zakończyła pracę i widocznie, wykorzystując chwilę czasu, ćwiczyła. O pierwszej w nocy? Cóż, bywa i tak... Tylko dlaczego dźwięki dobiegały jakby zza ściany, a nie od strony klatki schodowej? Domyśliłem się, że pewnie w murze biegnie stary przewód kominowy lub wentylacyjny. Zasłuchany zapomniałem o skrobaniu. Teraz wróciło. Dźwięki powoli ucichły, jakby drapiącego ogarnęła w końcu śmiertelna rezygnacja.



Igor, mój przyjaciel ze Lwowa, czwartkowe wieczory spędzał w pubie na Żoliborzu. Gdy wszedłem, siedział jak zwykle przy ulubionym stoliku, patrząc z zadumą w pianę na kuflu. Dosiadłem się, stawiając pośrodku blatu miskę z orzeszkami.

– Co dobrego? – zapytał.

– Mieszkanie kupiłem – oznajmiłem.

Pogawędziliśmy na temat cen nieruchomości i materiałów budowlanych, od słowa do słowa rozmowa zesła na manowce. Wreszcie jakoś tak wyszło, że opowiedziałem mu o nocnym skrobaniu.

– Oj, a może ktoś ścianę piłuje, żeby się do ciebie ze strychu włamać? – powiedział z troską.

– Kiedy tam za ścianą nie ma strychu – wyjaśniłem. – Wymierzyłem wszystko, od mojej ściany do muru szczytowego kamienicy jest dwa metry. Tam

może być co najwyżej jakaś pakamera. Poza tym to ostatnia klatka.

– Pomieszczenie szerokie na dwa metry? Zamurowane od dziesięcioleci – rozmarzył się – pełne żydowskich skarbów ukrytych w czasie okupacji...

– I pewnie pilnowane przez golema, który z nudów obgryza ścianę – dorzuciłem zjadliwie.

Spowaźniał w jednej chwili.

– Z tym nigdy nic nie wiadomo – powiedział.

Przypomniałem sobie o zamurowanych drzwiach.

– Może z sąsiedniego domu jest dziura do tej części strychu? – wysunąłem hipotezę.

– Albo właz i kłapa z mieszkania pod spodem – mruknął. – Próbowaleś nagrać te dźwięki?

– Po co? – zdumiałem się.

– No, bo jak coś straszy, to słyszać, ale się nie nagrywa – wyjaśnił łopatologicznie. – Ty słyszysz, inni słyszą, ale jak próbujecie odsłuchać na taśmie, zostaje tylko szum. Duchy nie zostawiają materialnych śladów. Nie wolno im.

– Duchy – prychnąłem. – A może to tylko szczury?

– A, niewykluczone. – Wzruszył ramionami.

Poszedłem po następną kolejkę. Stuknęliśmy się nad stołem kuflami.

– Wiesz, u nas na Ukrainie była taka sprawa. W jednym akademiku popełniono morderstwo. I ten pokój stał potem całe lata zamknięty, póki trwało śledztwo nie można było nic ruszać. Ale obok mieszkali studenci i usłyszeli, że nocą coś stuka...

– Duch?

– No właśnie. Pomyśleli, że nie da się go wypłoszyć, to postanowili się zaprzyjaźnić. Nalali do szklanki wódki, poprosili, żeby ich już nie straszył, bo im nieprzyjemnie, a oni za to się z nim napiją. No i stuknęli szklanką o ścianę, jak przy toaście, upili połowę, a resztę chlusnęli za łóżko.

– Coś podobnego!? – byłem zdumiony pomysłowością młodych ludzi. – I co, pomogło?

– Jak ręką odjął.

Wychyliliśmy jeszcze po kuflu.



Następnego ranka ktoś zapukał nieśmiało do drzwi. Wstałem od pracy i wyrząłem na korytarz. Za drzwiami, nieco speszona, stała Wioletta. Zaprosiłem ją do środka. Rozejrzała się wkoło. Zauważyłem, że zmieniła fryzurę – włosy, zazwyczaj luźno rozpuszczone, dziś splotła w warkocz.

– Odmalowałaś wewnątrz? – Pociągnęła nosem.

Woń farby była ciągle wyczuwalna.

– Owszem. – Kiwnąłem głową. – Cały czas coś tu jeszcze poprawiam.

– Pod tynkiem nic nie było? – zacięła się.

– Jeśli masz na myśli freski w rodzaju tych Schulza, które odkryto w Drohobyczu, to, niestety, nic podobnego nie znalazłem. – Pokręciłem głową. – Zresztą po stu latach trudno trafić na jakikolwiek ślad. Nawet podłoga nie była nigdzie obryzgana farbą.

– No tak... – W zadumie skubnęła koniec rudego warkocza. Kolczyki w kształcie trumienek zakołysały się w uszach. – A może ta pracownia była po drugiej stronie schodów?

Z notatnika wyjęła fotografię odbitą byle jak na ksero i porównała ją z wnętrzem mojego mieszkania.

– Nie, wygląda identycznie. – Zmarszczyła czoło. – Takie historyczne miejsce... W ogóle tak niewiele zostało po tym człowieku – westchnęła. – Większość jego grafik znamy nie z oryginałów, tylko z reprodukcji gazetowych.

– Coś jednak znalazłem – przypomniałem sobie. – Wisiało na drzwiach.

Z pudełka na drobiazgi wyjąłem mosiężną wizytówkę i podałem jej. Wpatrywała się przez chwilę zdumiona.

– Myślałem, że oddam ją do muzeum, ale chyba brak w Warszawie odpowiedniego. Jeśli chcesz, jest twoja.

Ucieszyła się wyraźnie. A potem wyciągnęła kolejną odbitą na ksero fotografię, o której kiedyś wspominała. Widniał na niej Nowiński stojący obok blaszanego piecyka – popularnej niegdyś kozy.

– Tak, to tutaj. – Rozejrzałem się po podłodze i bez trudu odszukałem trzy czarne ślady znaczące miejsca, gdzie opierały się gorące nóżki piecyka.

– Przepraszam za najście. – Cofnęła się do drzwi. – Nie mogłam się powstrzymać. Chciałam choć rzucić okiem na wnętrze, w którym powstały „Kraina ostrzy” i „Śmierć cyklisty” – wymieniła chyba nazwy obrazów.

– Może wpadniecie z narzeczonym na parapetówkę w sobotę wieczorem? Serdecznie zapraszam.

– Niestety, zawód mam taki, że pracuje się głównie na noc. W soboty pracy jest tyle, że nawet Marek mi pomaga. Ale w jakimś innym terminie z przyjemnością. I dobrej szarlotki upiekę, podprowadziłam przepis szefa. – Puściła do mnie oko, ściskając w dłoni wizytówkę.



Ostatnią grafikę skończyłem godzinę przed przyjściem gości. Pylista równina, na horyzoncie wznosiły się zamglone ruiny jakiejś monumentalnej budowli. Na pierwszym planie zabiedzony Indianin Keczua w łachmanach prowadził objuczoną lamę. Jeszcze kilka minut pracy aerografem i obejrzałem



swoje dzieło. Nie wyszło źle, lecz jeszcze nie wróciłem do formy. Musi minąć kilka dni, nim na nowo wdrożę się do pracy.

Kumple zwalili się w komplecie. Dziwaczna zbieranina: poszukiwacze skarbów, współpracownicy pisemek dla wielbicieli rzeczy niezwykłych, jeden zawodowy grafoman piszący wspomnienia politykom. Rozlałem wino do kieliszków i towarzystwo rozpetzło się po pokoju, oglądając moje najnowsze prace, wiszące w antyramach na ścianach. Nigdy nie opowiadałem o tym, co naszkicowałem. Sztuka musi być zrozumiała, musi bronić się sama... Jako ostatni przyszedł Sławek, samozwańczy guru nieistniejącej sekty (nikogo biedak nie zdołał zwerbować), dorabiający sobie jako medium.

Stanął w drzwiach wesoły, z flaszką koniaku w dłoni. Przekroczył próg i nieoczekiwanie jego uśmiech zgasł jak zdmuchnięty. Na chwilę zamarł z przymkniętymi oczami, jednak szybko się opanował. Postawił butelkę pośrodku stołu, między talerzami pełnymi kanapek, i wmieszał się pomiędzy gości. Dwadzieścia minut później, gdy prawie już zapomniałem o jego dziwnym zachowaniu, przydybał mnie samego w kuchni.

– To złe miejsce – powiedział bez wstępów.

– Dlaczego tak sądzisz?

Praca dla czasopism ezoterycznych uodporniła mnie na kontakty ze świrami, ale on był inny. Traktował te sprawy poważnie i z pewnym dystansem, bez entuzjazmu właściwego początkującym wariatom.

– Wyczuwam wibracje śmierci.

– Powstanie warszawskie, wojna, całe centrum Warszawy jest jak jeden wielki grób – odparowałem.

– Starsze. Poza tym inne... Ktoś tu zginął bardzo niedobrą śmiercią.

– W tym mieszkaniu? – zasepiłem się.

– Jego cierpienie trwa zapisane w strukturze krystalicznej cegieł – próbował tłumaczyć. – I tworzy odbicia. Nie będziesz tu szczęśliwy.

– Co radzisz? Egzorcyzmy?

– Kto wie – ożywił się. – Chcesz wizytówkę fachowca? Dobry i niewiele bierze.

– Chyba nie.

Przymknął oczy, skoncentrował się i odpłynął na chwilę.

– Zodiak – powiedział. – Widział to wcześniej. Zanim umarł. Ten obraz ze strzelcem – wskazał moje dzieło.

– Nie żartuj, namalowałem go przedwczoraj! A z całą pewnością nikogo nie zabiłem – zażartowałem. – I tylko ja mam klucze...

– Nie rozumiem tego. Jakiś rodzaj projekcji? On to zobaczył, a teraz podpowiedział tobie, żebyś namalował. Nie wiem, rzadko widzi się rzeczy

konkretne. A tu był obraz, potem mrok i muzyka. Zostawię ci jednak tę wizytówkę. – Położył na brzegu stołu kartonik.

Parapetówka rozkręcała się wolno, ale on do końca imprezy pozostał przygaszony. Sprzątając po przyjęciu, zastanawiałem się nad słowami, które padły. Wiedziałem, że mieszkał tu artysta. A po nim? Sto lat to prawdziwa otchłań czasu. Czy morderstwa dokonano w czasach, gdy on tu tworzył? Wiadomo, malarze to w obiegowej opinii zazwyczaj dziwna i zdegenerowana banda. Ale opinia sobie, a rzeczywistość sobie. Dlaczego miałby kogoś zabijać?

Hmmm... Z drugiej strony praktycznie nic o nim nie wiedziałem. Rewolucja... Pod romantycznym słowem może kryć się wiele różnych treści. Nie wiedziałem nawet, o którą rewolucję chodziło. Może powinienem to sprawdzić?

Sen tym razem był jeszcze gorszy. Szedłem zakuty w kajdany, wlokąc się w dziurawych butach przez ubity śnieg. Trakt ciągnął się w nieskończoność. Widziałem igielki szronu na ogniwach łańcucha. Dusił mnie kaszel, plułem krwią prosto pod kopyta koni konwojentów... Padałem na zmrożoną ziemię, ktoś pomagał mi wstać. A potem już tylko syberyjskie niebo nad głową i ciągnący w dal klucz dzikich ptaków...



Cały ranek poświęciłem na pracę. Usiłowałem wyrzucić z pamięci nocne koszmary. Bez skutku. Dźwięki pianina były ledwo słyszalne, na szczęście tym razem dziewczyna grała coś znacznie weselszego. Wreszcie, gdy od zapachu farby zakręciło mi się w głowie, przerwałem swój zbożny trud. Melodia ucichła już jakiś czas temu, ale sądziłem, że zastanę sąsiadkę w domu. Zszedłem dwa piętra niżej i zapukałem. Otworzyła po chwili, ubrana była w pikowany szlafrok, biło od niej ciepło. Chyba wyciągnąłem ją z łazienki.

– Wybacz – powiedziałem. – Chyba zupełnie nie w czas...

– Za pół godziny zaczynam pracę – wyjaśniła. – Mam tylko chwilę. – Gestem zaprosiła mnie do wnętrza, ale zostałem w progu. – Jeśli to coś pilnego, Marek może ci pomóc...

– Wiesz dużo na temat Nowińskiego – przerwałem jej. – Mogłabyś mi pożyczyć jakąś książkę na jego temat?

– Jasne.

Zanurkowała do pokoju. Wróciła z książką w dłoni. Podziękowałem.

– Oddam jutro lub pojutrze – obiecałem.

Zaniósłem łup do mieszkania. Rzuciłem się na łóżko i rozpocząłem lekturę od obejrzenia wkładki z obrazkami. Już pierwsze czarno-białe ilustracje mnie zmroziły. Cykl obrazów „Znaki zodiaku” powstał prawdopodobnie w tym mieszkaniu. Był ostatnią pracą artysty wykonaną przed aresztowaniem.

Patrzyłem na reprodukcje. Strzelec. Potworny Byk unoszący się nad linią horyzontu. Waga. Na jednej szalce stos czaszek, na drugiej wyrwane, zakrwawione serca. Panna. Herod-baba wyglądająca, jakby była pracownicą centralnej rzeźni miejskiej. Ryby wczepione w siebie zębiskami... To, co uważałem za własny pomysł, jak się okazało, miało przed wiekiem swój pierwowzór.

I jeszcze jedna fotografia, z początków XX wieku. Fronton kamienicy. W miejscu, gdzie jadałem szarlotkę, przed wiekiem mieścił się sklep mięsny. Sięgnąłem po resztkę koniaku pozostałą z imprezy i wypilem prosto z butelki.



Leżałem na łóżku. Opary koniaku powoli się ulatniały. I znowu czułem lęk. Brnąłem mozolnie przez tekst monografii. Jak się okazało, Nowiński dzielił pasję pomiędzy malarstwo i rewolucję. Praktycznie od kiedy ukończył piętnaście lat, carska ochrana deptała mu po piętach. Parokrotnie przesłuchiwany w związku z różnymi ciemnymi sprawkami, za każdym razem zwalniany. By zgromadzić środki dla organizacji, nie cofał się przed niczym. Zamieszany w kilka napadów i włamań, wywijał się z rąk prokuratorów jakby cudem. Prawdopodobnie ulgowe traktowanie zapewniał mu za pomocą sutych łapówek biologiczny ojciec – bogaty przemysłowiec z Łodzi.

Po rewolucji w 1905 roku utracił zaufanie towarzyszy partyjnych. Nie wiedzieli, czemu tyle razy wymykał się sądom, a może wiedzieli, lecz nie uwierzyli? W każdym razie po kolejnej fali aresztowań uznali go za prowokatora i wydali wyrok śmierci, który nie został nigdy wykonany, gdyż nasłany skrytobójca pobrał sto rubli „na kosztą” i wyparował z miasta. Zaraz potem malarza zwinęła żandarmeria.

Bogaty ojciec już nie żył, odgrzebano więc stare grzeszki artysty. Wyrok? Piętnaście lat katorgi oraz dożywotnie osiedlenie na Syberii. Po wybuchu wojny i kolejnej rewolucji nie wrócił już do kraju. Autor, powołując się na pamiętniki z epoki, twierdził, że już w chwili ogłoszenia wyroku malarz cierpiał na zaawansowaną gruźlicę i prawdopodobnie nie przeżył wędrówki do miejsca zesłania.



Szmer, natarczywy odgłos skrobania za ścianą. Na to nakłada się odległa melodia grana na pianinie. Jeszcze na wpół drzemiąc, wcisnąłem guzik dyktafonu. Po dziesięciu minutach skrobanie ucichło. Przewinałem taśmę. Puściłem. Nic. Zagadkowy odgłos się nie nagrał. Czyżbym słyszał go tylko w swojej głowie? Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń rozległ się nowy dźwięk, głucho uderzenie, jak gdyby ktoś kopnął w mur...

Przypomniał mi się Igor i jego opowieść. Poczłapałem do kuchni i nalałem do szklanki trochę wódki. Podszedłem do ściany.

– Napiję się z tobą, tylko mnie już nie strasz – wygłosiłem formułę „straszliwego” studenckiego egzorcyzmu z Ukrainy i stuknąłem kieliszkiem w ścianę.

Coś brzęknęło, jakbym uderzył nie w tynk, ale w drugi kieliszek. Wypiłem trochę, a następnie wylałem kilka kropel na niewidoczny za łóżkiem kawałek tynku. Najwyżej później zamaluję ten fragment. Dodatkowa porcja alkoholu zadziałała. Szum w uszach rozpadał się, rwał na kawałki, powoli coś zaczęło przebijać się do mojej zamroczonej świadomości. Oczekiwanie... Prośba?

– Rano – obiecałem.

Szmer ucichł.



Wstałem o ósmej. Zasałem łóżko, zmieniłem ubranie. Przeżegnałem się i ująłem w dłoń ciężki młotek. Wahałem się tylko przez moment, a potem z rozmachem uderzyłem w środek ściany. Jak się okazało, drzwi obrzucono zaprawą i zagładzono łątą. Bez kłopotu odrywałem całe bryły tynku. Klamki nie było, więc wybiłem dziurę, wyłamując kompletnie spróchniałą dolną płycinę. Z otworu powiało wonią stęchlizny.

Nie czułem lęku. Nic nie czułem. Chyba za długo to trwało. Przywykłem do myśli o duchu stukającym nocami w ścianę. Przywykłem do myśli o zbrodni, która kiedyś wydarzyła się w moim przytulnym mieszkanku. Co znajdę za ścianą? Zapewne trupa... No cóż, już w liceum plastycznym rysowaliśmy czaszki i kości, korzystając z autentycznych „eksponatów”. Bać się? Czy naprawdę jest czego?

Kolejny mur, prawdopodobnie ściana szczytowa kamienicy, mający w odległości dobrych dwu metrów. Wczołgałem się do środka. Było tu sucho i nawet ciepło, przez schowek przebiegał jeden z kominów. Nad głową miałem spróchniałe deski. Nikt tu nie zajrzał przez sto lat? Nikt nie wymieniał dachu? No cóż, i takie rzeczy się zdarzają... Siadłem po turecku w półmroku, oparłem się plecami o chropawy mur i czekałem, sam nie wiedząc na co.

Najpierw zmieniło się oświetlenie. Potem usłyszałem dźwięki. Melodia dzika, rwąca się, dobiegała tym razem zza ściany. Nowiński, nieżyjący od lat, grał na pianinie w moim pokoju. Muzyka więzła w komórce, odbijała się od murów... W pakamerze było bardzo duszno i pachniało świeżą zaprawą. Usłyszałem skrobanie, a potem kilka głuchych uderzeń w ścianę. Melodia zmieniła się, stała się głośniejsza i bardziej żwawa, jakby malarz chciał zagłuszyć te dźwięki. Czemu siedział i grał, zamiast wyjść z domu? Był z kimś, a może lękał się, że sąsiedzi coś usłyszą?

Tak czy inaczej, wiedziałem już wszystko. Uniosłem dłoń i przeżegnałem się jeszcze raz. Zapanowała cisza. Teraz dopiero zapaliłem latarkę.

Pajęczyny zasnuły wszystko jak szare firanki. Szkielet spoczywał pod ścianą. Na kościach zachowały się strzępki ubrania. Czaszka była nieco uszkodzona, spore pęknięcie przecinało skroń. Na ścianie od strony pokoju widać było ciągle jeszcze krwawe zacieki. Coś błysnęło w kurzu na podłodze. Schyliłem się i spomiędzy kości palców podniosłem srebrnego rubla. Z jednej strony moneta była zupełnie zdarta od tarcia o cegły.

– A zatem tak to wyglądało – mruknąłem.

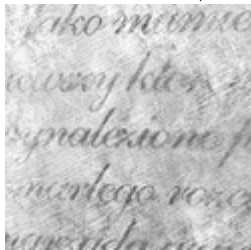
Przyszedł zabić, wykonać wyrok na domniemanym zdrajcy, zamiast tego dostał stołkiem w głowę. Może był zbyt powolny, a może w ostatniej chwili zwątpił i zawahał się ułamek sekundy zbyt długo? W każdym razie życie za życie.

Malarz sądził, że zabił, no i miał problem z pozbyciem się ciała. Wymyślił więc, że nie będzie go nigdzie wynosił, tylko zamuruje w schowku. Nocą niedoszły egzekutor oprzytomniał i zaczął skrobać ścianę. Nowiński był twardy, lecz nie zdobył się na dobitnie przeciwnika. By zagłuszyć te dźwięki, grał na pianinie, czekając, aż nadejdzie koniec... A potem? Czy wlokąc kajdany przez śnieg, żałował swego czynu? Czy dlatego dręczył mnie swymi wspomnieniami? Umierając, wracał myślami do swego mieszkania, aż wgryzły się w mur?

Muzyka w pokoju przybierała na sile. Nowiński grał coraz głośniejsze, z coraz większą ekspresją. Znów ogarnęło mnie to paralizujące poczucie głębokiego żalu, straty, niezrozumienia. Akordy stawały się coraz bardziej dzikie, szybkie pasaży niemal przyprawiały o szaleństwo. Zacisnąłem mocniej w ręce startą monetę. Przymknąłem oczy. Słyszałem głucho uderzenia, ściana wibrowała, w mojej głowie kłębiły się niezrozumiałe obrazy. Świadomość uciekała. Ukołysany muzyką zapadłem w półsen. Nie wiedziałem już, kim jestem ani w jakim miejscu się znajduję. Palce pogładziły brzeg srebrnego krążka, a potem mechanicznie zaczęły trzeć nim spoinę między cegłami. Musiałem to robić. Słuchać muzyki i drapać monetą w jej rytm. Aż do końca świata.

# Serce kamienia

Warszawa, sierpień 1944



Od strony Śródmieścia wiatr niósł huk wystrzałów karabinowych. Jasnowidz w milczeniu patrzył na zwały trupów wypełniające płytkie wyrobiska glinianek. Wreszcie uniósł głowę. Spojrzał w twarze całej trójki. W oczach gestapowców czaiła się żądza mordy. Wysłannik Himmlera przypominał wilka, który osaczył królika i zastanawia się, czy już nadszedł czas, aby go pożreć.

– Czy otrzymamy w końcu odpowiedź? – Cywil wystudiowanym gestem poprawił okulary.

– Dom Czterech Liści już nie istnieje – powiedział Ossowiecki. – Resztę księgozbioru ukryto w archiwum wojskowym przy ulicy Długiej. Wszystko spłonęło we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Pozostały tylko popioły.

Już się nie bał. Lęk przed śmiercią to strach przed nieznanym. Tak wiele razy odwiedzał w swoich wizjach krainy mroku, tyle razy rozmawiał z duszami, które przekroczyły próg wieczności. Tym razem będzie tak samo, a jedyna różnica polega na tym, że to droga bez powrotu.

– Wszystko spłonęło? – dopytywał się cywil.

Jasnowidz czuł, jak myśl tamtego usiłuje wdrzeć się w pokłady jego pamięci. Zablokował mentalny atak bez wysiłku, niemal od niechcenia.

Ahnenerbe kiepsko szkoli swoich funkcjonariuszy, pomyślał.

Rozstrzeliwano kolejną grupę schwytanych. Wrzaski gestapowców, huk karabinów, jęki rannych, potem jeszcze kilka strzałów, tym razem z pistoletów. Do wszystkiego lepił się gęsty mrok. Jasnowidz czuł obecność demonów, dla nich to jak uczta. Granice światów trzeszczały. O jakieś pięćdziesiąt kroków od niego na brzeg wyrobiska przypędzono następne ofiary.

Ossowiecki przymknął oczy. Wizja była bardzo silna. Cmentarz, wzdłuż alejek posadzono niskie, młode cyprysy. Brzozowe krzyże wyrastają na zbiorowych mogiłach. To samo miejsce za kilka, może kilkanaście lat. Na tabliczkach pojawiają się polskie napisy. Czerwona posoka wsiąka w ziemię, odsłaniając zieloną murawę. Trzeba jeszcze wylać morze krwi... On nie doczeka,

ale ta wojna jest już wygrana.

– Obudź się, polska świnio! – ryknął nazista. – Pytałem, czy coś zostało?

– To wy powinniście wiedzieć. Rozbiórką i wywozem popiołów zajmowała się niemiecka administracja. – Wzruszył ramionami.

Napłynęła kolejna wizja. Berlin, kamienice rozsypują się w morze gruzów. Szaleją pożary. Na Bramie Brandenburskiej powiewają jakieś transparenty. Nie może odczytać treści, ale nie ma wątpliwości, że napisy wykonano cyrylicą.

Wróg znowu próbował sondować, więc Ossowiecki, chichocząc w duchu, podsunął Niemcowi ten obraz. Pomogło. Ucisk znikł.

Podniósł powieki. Nazistowski jasnowidz stał blady jak ściana, głęboko wstrząśnięty tym, co zobaczył.

– Nawet gdybyście znaleźli jakieś resztki ze zbioru Domu Czterech Liści, w niczym wam to nie pomoże – szepnął Polak. – Nie ma już innej przyszłości. Wojnę przegraliście pod Stalingradem. I to przez takich durni jak ty. Doradziliście Hitlerowi datę ataku. Policzcie to raz jeszcze. Skończycie jak Napoleon. To analogiczny układ planet.

– Rozwalić go!

Spojrzał raz jeszcze w stronę miasta. Powietrze drgało w upale. Nad domami Warszawy unosiły się dymy. Piekło... I naraz upał zelżał, ustąpił miejsca chłodnej, orzeźwiającej bryzie. Dymy rozpraszaly się, cichł huk wystrzałów. Miasto piękniało w oczach, rozkwitało soczystą zielenią. Porzuciwszy zbędne już ciało, jasnowidz zrobił krok do przodu, potem kolejny i ruszył na spotkanie wieczności.

## *Warszawa, październik 2008*

Nad peryferiami Targówka w chłodnym jesiennym powietrzu unosił się ciężki, drażniący odór pochodzący ze spalarni śmieci. Na wilgotnych po deszczu płytach nierównego chodnika gniły brudnożółte liście. Samochody zaparkowane wzdłuż ulicy miały karoserie matowe od pyłu, który opadał co dzień na miasto. Betonowe ogrodzenia, niegdyś białe, teraz straszyły szarymi zaciekami, a drewniane sztachety najbardziej zapuszczonej posesji butwiały, obłaząc z farby.

Szczupły, wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce szedł niespiesznie wzdłuż ulicy, omijając co większe kałuże. Nie chciał powalać lśniących czarną pastą starych oficerek. Ubrany był w szary, długi płaszcz, na głowie miał filcowy, znoszony kapelusz. W ręce dzierzył skórzaną teczkę pamiętającą jeszcze czasy jego młodości.

Gdy dotarł do przekrzywionej drewnianej furtki, adwokat już czekał.

– Pan Stanisław Renk? – zapytał młody prawnik, poprawiając okulary.

– Proszę, oto moje dokumenty.

Adwokat rzucił tylko okiem, po czym otworzył kłódkę i wpuścił mężczyznę

na podwórze.

Dom wyglądał dość przygnębiająco. Ściany obłaziły z tynku, odsłaniając stare, przeżarte grzybem belki. Dach przekrzywił się, komin pękł, kawałki cegieł leżały na podartej papie.

– Jeśli dobrze pamiętam – prawnik mocował się z zamkiem przy drzwiach wejściowych – to był pański stryj?

– Tak, brat ojca. Był już bardzo stary. Prawie nie utrzymywał kontaktów z rodziną. Gdy przyszedłem tu pięć lat temu, poszczył mnie psem.

Spojrzał odruchowo w kąt podwórza, ale przy rozsypującej się budzie leżał tylko kawałek zardzewiałego łańcucha. Wielki, czarny, agresywny zwierz znikł. Może zdechł? A może zerwał się z łańcucha i gania teraz, siejąc grozę w całej okolicy?

– Jeśli mam być szczery, pan Olgierd Renk był dość trudnym klientem.

– Domyślam się – westchnął spadkobierca. – Ale cóż, o zmarłym albo dobrze, albo wcale.

– Sąsiedzi też go chyba nie lubili. – Adwokat pokonał wreszcie opór skorodowanej wkładki.

Z wnętrza domu zionęło taką zgnilizną, że w pierwszym odruchu aż się cofnęli.

– Wydaje mi się, że to budynek do natychmiastowego wyburzenia – powiedział wreszcie Stanisław, przekraczając spróchniały próg.

– Zresztą i tak leży na trasie planowanej autostrady – stwierdził prawnik.

– Spodziewam się, że w tej sytuacji dadzą odszkodowanie za grunt. Pewnie kilkadziesiąt tysięcy, może więcej. Niby to dzielnica przemysłowa, ale zawsze działka budowlana.

– No cóż, życzył pan sobie obejrzeć obiekt.

– Miałem nadzieję, że znajdę jakieś listy, zdjęcia, pamiątki rodzinne – wyjaśnił Renk. – Wie pan, jestem z wykształcenia historykiem. Choć obawiam się, że...

Weszli do kuchni. Ściany były okopcone, na piecu i podłodze obok wały się stosy popiołu. Zza oberwanych drzwiczek odrapanego kredensu wyzierały obite emaliowane garnki. Zardzewiałe patelnie wisiały na haczykach.

– Spalił chyba wszystkie swoje ubrania – zauważył oprowadzający. – Zobacz pan, jak wygląda pokój. Do tego spopielił kupę książek i jakieś inne papiery. Boję się, że nic pan tu już nie znajdzie...

Spadkobierca wysunął szufladę stołu. Znajdowały się w niej aluminiowe sztućce, stare i brudne, oraz kłębek zaśniedziałego drutu. Weszli do jedyne go pokoju. Łóżko było rozgrzebane, szafa otwarta i kompletnie pusta, a kominek pełen zwęglonych szmat.



– Ciekawe, dlaczego spalił odzież. Czyżby przeczuwał nadchodzącą śmierć?  
– Renk poskrobał się po głowie.

– Jeśli pan tak uważa... – odparł prawnik z powątpiewaniem. – Sam nie wiem, co o tym myśleć – przyznał.

– Rozmawiałem z lekarzami i personelem oddziału szpitalnego. Pielęgniarki twierdziły, że do końca zachował niezmałowany umysł. Dobrze zapamiętały jego cyniczne komentarze.

Pod ścianą stało zakurzone biurko z częściowo wysuniętą szufladą. Wyciągnęli ją do końca, pokonując opór spalonego drewna. Wewnątrz leżała tylko legitymacja i czerwone pudełko z orderem. Brązowy Krzyż Zasługi PRL.

– Mam swoje pamiątki rodzinne – westchnął Stanisław. – Przejdźmy do rzeczy. – Spojrzał na prawnika. – Nie mogę powiedzieć, żeby spadek szalenie mi się podobał, ale jestem nim zainteresowany. Może jeszcze coś znajdę w tamtych szafkach. – Machnął ręką w kierunku resztek meblöścianki. – Poproszę o szczegöły.

– Pański krewny odwiedził naszą kancelarię sześć miesięcy temu. Wskazał pana jako potencjalnego spadkobiercę. Jeśli nie będzie pan zainteresowany lub nie zdoła pan dotrzymać warunku, nieruchomości należy spieniężyć i podzielić równo pomiędzy wszystkich żyjących potomków Izydora Renka.

– No to będzie ze trzydzieści osób...

– Wliczając kilkoro z, jak się to mówi, nieprawego łoża, czterdzieści dwie osoby. Załączył spis.

– Albo tylko ja.

– Tak. Pod rygorem wypełnienia jego ostatniej woli.

– Dobrze, a jaki jest ten warunek?

Prawnik wyjął z teczki kopertę. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie na sztywnym kartoniku i kilka jego reprodukcji wykonanych przez fotografa.

– W ciągu sześciu miesięcy od daty pogrzebu musi pan przyprowadzić do naszej kancelarii sportretowaną dziewczynę.

– To chyba jakiś żart! Przecież to zdjęcie ma ze sto lat! – wykrztusił Stanisław.

– Ponad sto – sprostował prawnik, wzruszając ramionami.

– Obawiam się, że staruszek nie był jednak tak zdrowy psychicznie, jak go pamiętają pielęgniarki – mruknął z przekąsem. – Czy nie dałoby się podważyć tego zapisu?

– Niestety. Przed sporządzeniem testamentu przedłożył zaświadczenia dwu renomowanych psychiatrów, że jest w pełni władz umysłowych. Trzeba by zaskarżyć testament. Robota na lata... I zawsze można trafić na sędziego, który uzna, że starzy ludzie mają prawo do drobnych dziwactw.

Potencjalny spadkobierca obrócił fotografię w palcach.

– Apolinaria Szczurzyńska – odczytał napis po drugiej stronie.



Następnego dnia Stanisław w swojej skrzynce znalazł list. Dłuższą chwilę patrzył na kopertę. Pożółkła ze starości, lecz naklejony znaczek był świeżutki. Wydobył ją ostrożnie. Pismo, którym naskrobano jego adres, przypominało kłębowisko pajaków. Nadawcy brakowało. Mimo to od razu domyślił się, że bazgroły na kopercie zostały skreślone ręką zmarłego niedawno krewnego.

Zadumał się głęboko. Stryjek najwyraźniej napisał co trzeba, a potem oddał jakiemuś znajomemu, by ten wysłał korespondencję po jego śmierci.

List z tamtego świata, zachichotał mimowolnie.

Wchodząc na piętro, trzymał kopertę za sam róg, jakby niósł zdechłego szczura. Wreszcie zamknął za sobą drzwi i położył list na stole. Ostrożnie przeciął papier nożem. Wydobył kartkę, a następnie odpalił papierosa i zaczął czytać.

*Drogi Staszku*

*Wiem, że nie układało się między nami i może potraktowałem cię zbyt obcesowo...*

*Cóż, było, minęło i musisz mi to wybaczyć.*

– Doprawdy? – mruknął do siebie i zaciągnął się głęboko. Mieszkając sam, nabrał nawyku głośnego myślenia.

*Są sprawy ważniejsze niż sympatie lub antypatie. Mój dziadek, a twój pradziadek, popełnił wielkie zło. Honor rodziny wymaga, by je zmasakrować i zadośćuczynić ofierze. Ja już nie zdążę. Zostawiam ci książkę oraz notatnik. Odnajdź bibliotekę i posąg, a dokończysz to, co zacząłem. Z Bogiem.*

*Stryjaszek Olgierd*

Poniżej naszkicowano coś w rodzaju planu.

Wstał, poszedł do kuchni i zrobił sobie kawy. Trzeba się zastanowić, czy w ogóle warto. Krewny przez wiele lat się nie odzywał, a teraz nagle wymaga, aby Stanisław kończył za niego jakieś dziwne, tajemnicze sprawy. Z drugiej strony... Zapisał mu przecież tę rudere. Za działkę autostradziarze wypłacą pewnie ze sto tysięcy. Może uda się spłacić wreszcie kredyt za mieszkanie, a także zlikwidować debet na koncie.

Raz jeszcze wyczytał się w treść pisma.

– Zostawiasz mi książkę i notatnik, stryju? – mruknął. – I gdzie one są? Jaka biblioteka, jaki posąg? Trochę mało wskazówek. Czyje krzywdy trzeba naprawiać?

Nie, zaraz – wrócił do listu. Pradziadek Izydor popełnił jakieś zło, które trzeba naprawić. Tylko że on zmarł jeszcze przed pierwszą wojną. Sto lat mija, tu już się nic nie naprawi, już co najwyżej potomkom ofiar można w jakiś

sposób zadośćuczynić. I co do tego ma Apolinaria Szczurzyńska? W jaki sposób przyprowadzić do adwokata dziewczynę, która nie żyje od stu lat? A może chodzi o potomkinię Apolinarii? W rodzinie Szczurzyńskich mogła się pojawić jakaś jej imienniczka.

Westchnął i przyjrzał się temu, co stryj Olgierd szumnie nazwał „planem”. Coś jakby rysunek muru i bramy. Obok rzymska piątka. Dalej bohomaz przypominający anioła z połamanymi skrzydłami i dopisek: *lewa płyta*. Nie zaznaczono nawet kierunków świata.

– Płyta? – zadumał się. – Czyżby chodziło o cmentarz? Jeżeli mowa o płycie, to może oznaczać, że w nagrobku skonstruowano skrytkę.

Z półki wyciągnął plan miasta. Najbliżej miał do Cmentarza Bródnowskiego. Zapakował do swej czarnej teczki młotek i śrubokręt. Na wszelki wypadek, żeby nie trzeba było wracać...

Zaparkował samochód przy jakiejś restauracji i ruszył wzdłuż muru. Piąta brama była zamknięta. Musiał wejść przez inną, a następnie szukać właściwej alejki. Szybko zorientował się, że to nie jest miejsce przedstawione na planie. Ścieżki biegły zupełnie inaczej. Groby były niskie, z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wszędzie połyskiwało lastryko.

– Inny cmentarz – mruknął. – Tylko który?

Pięć bram sugerowało dużą nekropolię. Powązki? Chyba tak...

Jesienne słońce chowało się już za drzewa.

– Jutro – zdecydował.



Pojechał na cmentarz zaraz po ostatnim wykładzie. Szedł, chłonąc atmosferę tego miejsca. Powązki w jesiennej szacie były piękne. Gałęzie starych drzew, poruszane ciepłym wiatrem, gubiły czerwone i złote liście.

Miejsce zaznaczone na planie znalazł bez trudu. Posąg anioła, polerowane płyty... Lewa? I co dalej? Podnieść? Podważyć? Zajrzeć pod spód? Zatrzymał się niezdecydowany. Coś mu się nie zgadzało. Grób wyglądał zbyt świeżo. Nawet liście nie zdążyły jeszcze pokryć granitu. Dotknął dłonią zaprawy. Kruszyła się pod palcami. Poprawki wykonano dwa, może trzy dni temu. Także płyty najwyraźniej wymieniono na nowe. Jeżeli była tu skrytka, nie pozostał po niej ślad.

Drzewa zaszumiały, jakby drwiąc z niego.

Czy tę Apolinarię da się odnaleźć w inny sposób? – zastanowił się.

Przyjrzał się raz jeszcze fotografii. Ładniutka dziewczuszka. Znaleźć identyczną? Jak...

Nie, to chyba niemożliwe.

Ruszył w stronę bramy. Cmentarz był ładnie utrzymany, wiele grobów

odnowiono. Przy niektórych pomnikach umieszczono wizytówki kamieniarzy.

– Zaraz! – Zatrzymał się w pół kroku, a potem zawrócił do grobowca z aniołem.

Nalepka umieszczona była dyskretnie z tyłu.

– *Zenon Cwajnos* – odcyfrował. – *Usługi kamieniarskie.*

Poniżej był jeszcze adres. Warto sprawdzić.

Zakład kamieniarski leżał po drugiej stronie ulicy. Wyglądał jak wiele jemu podobnych firm. Od strony furty wystawa – kilkanaście różnych nagrobków. Pod ścianą warsztatu dziesiątki kamiennych płyt, przekładanych drewnianymi krawędziakami, przygotowanych najwidoczniej do pocięcia. Przez uchylone drzwi szopy widać było jakieś maszyny. Z boku stał malutki budynek ozdobiony emaliowaną wywieszką: *Biuro.*

Stanisław podszedł i spokojnie zapukał.

– Proszę – rozległ się zrzędlawy głos.

Kamieniarz miał około sześćdziesiątki, krzaczaste brwi i zapadnięte policzki, które pokrywała kilkudniowa szczecina. Skołtunionie włosy nakrył szarym berecikiem.

– Czym możemy służyć? – zagadnął ochryłym głosem, przesuając papierosa w kącik ust.

– Chcę odzyskać książkę i notatnik – Stanisław zagrał *va banque*.

– O ty, w mordę... – Z kamieniarza naraz uszła połowa powietrza. – Czyżbyś... Kurde. Olgierd nie miał dzieci.

– Stanisław Renk – przedstawił się. – Jestem jego bratankiem.

– Ja pier... – zdusił przekleństwo. – Mogłem się tego spodziewać. I tak po prostu mam to oddać...

– Pamiątki po stryju należą teraz do mnie. Taka była jego wola. Otrzymałem plan skrytki.

Stary zagryzł wargi wściekły i jakby rozczarowany.

– Beze mnie i tak nie znajdziesz dziewczyny – warknął.

– Zobaczymy – odparł spokojnie Renk.

– No dobra, w sumie o co się gryźć... Nie! Kurde! Nie zgadzam się, żeby książka znalazła się w łapach potomka tego przekleńnika Izydora!

– Takie życie. – Stanisław nie tracił opanowania, choć drażniło go, że mężczyzna mówi do niego „ty”. – Obawiam się, że jednak powinien mi ją pan oddać.

Kamieniarz milczał, lecz złość z niego aż buchała.

– A, dobra. – Machnął ręką. – Widać tak musi być... Pójdiesz za mną – zadysponował.

Pchnął drzwi na końcu pomieszczenia. Weszli do kolejnego

mikroskopijnego pokoiku, ciasno zastawionego regałami.

– Skąd tu tyle książek? – zdumiał się Stanisław.

– Z grobów inteligentów wyciągnięte – warknął stary. – Nie wiem, co to takiego, ale pozabierałem, żeby obrazki pooglądać – zakpił. – Co ty myślisz, że jak kto kamieniarz, to czytać nie lubi?

– Przepraszam pana – wymamrotał speszony.

W kącie stała metalowa szafka na akta. Gospodarz przekręcił klucz tkwiący w zamku. Wyciągnął plastikową siatkę. Wewnątrz tkwiło coś twardego.

– Zadowolony? – warknął.

– Dziękuję za przechowanie. – Stanisław schował łup do torby, powstrzymując się od sprawdzenia zawartości. Nie chciał ryzykować, że stary się rozmyśli.

– Nie ma za co i spadaj. A i tak jeszcze nieraz tu przyleziesz psuć mi nerwy – burknął kamieniarz. – Czuję to w kościach.



Dopiero gdy wrócił do domu, sprawdził, co otrzymał od Cwajnosy. W torbie znalazł niezbyt grubą książkę oprawioną w starą, pomarszczoną i popękaną skórzaną okładkę. Był też notatnik. Cienki zeszytek poplamiony atramentem.

– I to niby ma mi pomóc odnaleźć dziewczynę nieżyjącą od stu lat – mruknął.

Odpiął fikuśne zapięcie z miedzianej blaszki i otworzył wolumin.

– O, do licha – szepnął.



Spodziewał się starodruku, a tymczasem miał przed sobą rękopis zapisany kaligraficznym, lekko pochylonym pismem. Zapalił lampkę na biurku, założył okulary i zaczął studiować dzieło.

*Jako mumię uczynić.*

*Sposób pierwszy, który w egipskiej ziemi wynaleziono, prostym jest. Ciało zmarłego rozciąć należy. Następnie narzęda usuwamy, gdyż w nich wilgoci wiele, co rozkład spowodować może. Pustą jamę brzucha i czaszkę wypełnić należy sodą, która wilgoć z mięsa wyciągnie. Skórę po wierzchu solą natrzeć i przez dni trzydzieści...*

Podręcznik mumifikacji? – zdziwił się. Ale...

Przewrócił stronę.

*Mumie egipskie, jak wiemy, suche są i kruche, smotłą wonną przesycone. Najdokładniejszy nawet balsamista nie ustrzeże się przed skóry szernieniem i zniekształceniami całego ciała, a po latach mumia taka kruszy się zaczyna i w proch się obraca. Tedy polecić waszej uwadze należy metodę drugą, która pozwala zachować ciało nieomal niezmiennione.*

*Schwytaj tedy wedle upodobania chłopca lub dziewczynę. Loszek naszykować wpiერw musisz i wejście do niego tak zamaskować, by nikt uwięzionych nie odnalazł. Tam przez rok przetrzymasz ich, karmiąc i pojąc wywarami wedle podanej receptury, aż ciało trucizny na wskroś przenikną. Gdy skóra ich gładką się stanie, uspij ofiary mocnym wywarem z maku i krew spuszczaј powoli, na jej miejsce roztwór specjalny wtłaczając. Bacz przy tym, by serce biło jak najdłużej, aby wszelkie żyły i inne naczynia wypełnił.*

*Potem przez gardło tłocz kilka kwart oliwy, aż wszelkie nieczystości i pożywienia resztki anusem spłyną, wreszcie roztworem kolejnym wnątrze wygarbuj. Tak sprawiona mumia, pod dachem leżąc, latami całymi sprawi wrażenie nieomal żywego ciała, a po napojeniu wywarem, którego recepturę poniżej znajdziesz, pozory życia odzyska i z niejaką ostrożnością postępując, do miłości możesz jej używać.*

– Co to jest!? – Zerwał się z miejsca. – Poradnik nekrofila-sadysty!?

Skąd stryj wziął tak obrzydliwe dzieło? Kto mógł napisać ten traktat!? I... dlaczego Olgierd zdecydował się dać tę książkę właśnie Stanisławowi?

A może zagadkowa Apolinaria Szczurzyńska została tak właśnie „sprawiona”? – pomyślał z odrazą. Czyżby warunek testamentu dotyczył okazania w kancelarii ożywionej mumii?

Aż wzdrygnął się na tę myśl. Ciekawość zdołała jednak przewyciężyć obrzydzenie. Odnalazł miejsce, w którym przerwał lekturę.

Kolejny rozdział poświęcony był kościom. Autor drobiazgowo wyjaśnił, jak pozyskiwać z nieboszczyków „wartościowy materiał”. Podał także metody zmiękczenia i formowania. Zamieścił kilkadziesiąt rysunków.

Autor był szaleńcem, stwierdził w końcu Stanisław. Chyba że... stryjasek przekazał mu tę książkę jako sugestię, co zrobić z jego zwłokami? Nie. Przecież tu trzeba przygotowań.

Przejrzał ilustracje przedstawiające meble wykonane z modelowanych i scalanych kości, potem przeszedł do kolejnego rozdziału.

*Jako z ciała żywego marmurowy posąg uczynić.*

Tę partię tekstu przeczytał już bez większych emocji. Opis procesu przekształcania człowieka w kamień był oczywistym idiotyzmem. Raz jeszcze przekartkował księgę. Zbierało mu się na mdłości. Niezależnie od tego, czy przedstawione w niej metody miały coś wspólnego z rzeczywistością, czy też stanowiły płody chorej wyobraźni, pisał to ewidentnie psychopata.

Zniechęcony odłożył rękopis na stół.

– I po co to wszystko? – mruknął do siebie. – Staruszkowi odbiło pewnie, gdy znalazł gdzieś zdjęcie ładnej dziewczyny. Może nawet się zakochał. Historia zna takie przypadki. I ubrdał sobie, że trzeba ją odszukać. A że sam nie zdążył, polecił dokończyć rzecz swojemu spadkobiercy. Dlatego właśnie winienem teraz podążyć tropem fantazji, choć zdaję sobie sprawę, że zapewne dojdę donikąd. – Zaśmiał się gorzko.

Obejrzał raz jeszcze zdjęcie. Po drugiej stronie grubej tekturki odkrył pieczętkę zakładu fotograficznego. Z pewnością wizerunek dziewczyny był naprawdę stary.

Odetchnął głęboko, sięgając po notes. Składało się nań ledwie kilkanaście kart wytłuszczonego papieru zapisanych ołówkiem, pismem stryja. Okładka lepiała się od brudu.

*Apolinaria Szczurzyńska była prawdopodobnie pierwszą ofiarą Izydora po jego przeprowadzce do Warszawy. Niejasny pozostaje dla mnie sposób wyboru ofiar. Dziewczyna mieszkała w innej dzielnicy.*

Dalej kawałek był kompletnie nieczytelny. Udało się odcyfrować tylko *Kr.Warsz.3/9/1899*.

– Przypis? Numer gazety? – zadumał się Stanisław. – „Kurier Warszawski”? Trzeci września tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego...

Włączył komputer. Liczył, że znajdzie gdzieś stronę internetową ze skanami starych gazet – ale, niestety, nie udało się.

– Trzeba się będzie do biblioteki pofatygować – stwierdził.

Wrócił do lektury notesu. Stryjeczny dziadek zanotował adresy dziewczyny oraz pracowni kamieniarskiej Izydora, gdzieś na Targówku. Na marginesie długopisem zanotował:

*jestem przekonany, że chodzi o Powązki*

Na następnej karcie znalazł spis nazwisk.

*Lista czytelników biblioteki Domu Czterech Liści.*

*Bławatska Helena(?)*

*Izydor Renk*

*Mustafa Akhara Jussuf*

*Ossowiecki Stefan*

*Szyller-Szkolnik*

*Jaxa-Ronikier Bohdan(?)*

– Dom Czterech Liści – powtórzył w zadumie.

Znów sięgnął do manuskryptu, otworzył go na stronie tytułowej. Raz jeszcze obejrzał ekslibris. Dobrze zapamiętał, litery dookoła wizerunku jednorożca układały się w napis *Biblioteka Domu Czterech Liści*. Chyba należałoby zwrócić



tomik prawowitym właścicielom.

Wzdrygnął się. Zwrócić? Zwrócić coś takiego? Spalić raczej i rozwiać popioły na wietrze! Zakładając, że w tych szaleńczych rojeniach jest choćby cień prawdy... Jeśli ta jedna książka niesie ze sobą tak straszną energię czystego zła, to co może kryć reszta księgozbioru?

Przejrzał notatnik do końca. Dalej nie było już nic ciekawego, same rachunki, kolumny cyfr. Krewny od całych dziesięcioleci zapisywał, ile co kosztuje... Dopiero na ostatniej stronie widniał zagadkowy napis *DŹS II 2.507.509*. Chyba był ważny, bowiem stryj Olgierd podkreślił go czerwonym długopisem. Te trzy litery też coś mu mówiły, ale postanowił zająć się tym później.

*Biblioteka Domu Czterech Liści* – wpisał w Google.

Niestety, wyszukiwarka nie odnalazła podanej frazy.

– A czego niby mogłem się spodziewać – mruknął, patrząc w ekran komputera.

Jeśli choćby część tych zapisów zawiera prawdę, to z całą pewnością właściciele księgozbioru dołożyli wszelkich starań, by ich sekret nigdy nie ujrzał światła dziennego... A może inaczej?

Wpisał *Dom Czterech Liści*. Tym razem komputer zareagował. Wyświetliła się jedna jedyna strona. Amatorski serwis o postaci słynnego przedwojennego jasnowidza Szyllera-Szkolnika.

Po śmierci jasnowidza wśród jego rzeczy znaleziono książkę opatrzoną ekslibrisem przedstawiającym jednorożca. Wetknięto w nią kartkę, na której napisano, że wykonawca testamentu ma obowiązek zwrócić księgę do miejsca zwanego Domem Czterech Liści.

Altavista pozwoliła znaleźć drugi dokument. Katalog aukcyjny. Przed ośmiu laty sprzedano anonimowy rękopis zatytułowany „Cuda przyszłości” ozdobiony ekslibrisem Domu Czterech Liści. Stanisław zapisał sobie adres domu aukcyjnego. Niestety, dalsze poszukiwania pozwoliły stwierdzić, że firma zakończyła działalność ponad pięć lat temu...

– Do diaska – mruknął.

Spróbował pogrzebać w poszukiwaniu wymienionych nazwisk. Jasnowidze, chiromanci, pisarz zainteresowany czarną magią...

Dopadło go zniechęcenie. Warunek uzyskania spadku wydawał się niemożliwy do spełnienia. Czy warto poświęcać jeszcze dzień lub dwa na poszukiwania? Żal mu było traconego czasu. Z drugiej strony, jeśli jest szansa przechwycenia całego spadku... No właśnie: jeśli.



Następnego dnia postanowił jeszcze nie rezygnować. Po zajęciach ze

studentami wstąpił do czytelni Biblioteki Narodowej. Bywał tu tak często, że czuł się niemal jak we własnym domu. Nie drażnił go nawet niezbyt estetyczny wystrój wnętrza. Stare, masywne, zacinające się czytniki do przeglądania mikrofilmów nawet polubił. Szkoda tylko, że przy pracy nie można tu palić... Miał ogromną ochotę na papierosa. Przesuwał rolkę taśmy, od czasu do czasu zwalniając, by sprawdzić, czy dotarł już do odpowiedniego miejsca. Przeglądanie starych czasopism miało w sobie coś z magii. Ludzie, którzy kiedyś nabywali je od gazeciarzy, żyli jak on, dzień po dniu. Teraz Stanisław, jakby obdarzony nadnaturalną mocą, mógł wędrować, swobodnie przeskakiwać z tygodnia na tydzień, cofać się w czasie. Patrzył na losy miasta z zewnątrz, nieograniczony upływem dni i lat.

Gdy odnalazł numer z dnia zapisanego przez stryja, muskając palcami korbkę, przeglądał gazetę strona po stronie. I znalazł.

*Policja warszawska do dziś nie zdołała wyjaśnić zagadkowego zniknięcia panny Apolinarii Szczurzyńskiej. Jak powszechnie wiadomo, dziewczyna owa, licząca sobie lat szesnaście, a będąca jedyną córką starego krawca z Woli, została uprowadzona, gdy w towarzystwie przyjaciółki wracała ze sklepu bławatnego. Drugą z dziewcząt znaleziono ogłuszoną. Policja przypuszcza, że dziewczynę uprowadziła banda sutenerów. Poszukiwania trwają. Cech krawców miasta Warszawy oraz kupcy bławatni złożyli się na nagrodę w wysokości rubli srebrem dwieście pięćdziesiąt, a to dla tego, kto własnym pomysłem dziewczynę z rąk złoczyńców odbije lub miejsce jej przetrzymywania władzom wskaże.*

Czyli przynajmniej wiem, że naprawdę istniała, pomyślał. Dom Czterech Liści... Nawet niezła nazwa jak na zamtuz...



Lokal, w którym mieścił się antykwariat, był dość duży, ale dziesiątki regałów sprawiały, że zmienił się w nieprawdopodobnie zagracony labirynt, wypełniony zapachem kurzu i starego papieru. Nieliczne żarówki wydobywały z półmroku złocone grzbiety starych książek. Pośrodku za biurkiem siedział właściciel. Wyglądał jak pajak czatujący w sieci. Klientów o tej porze dnia było niewiele.

– Czym możemy służyć? – zapytał stary.

– Szukam pewnej biblioteki – zaczął Stanisław. – Wiem, że istniała jeszcze przed drugą wojną światową, jednak nie udało mi się ustalić dalszych jej losów. Zastanawiałem się, czy właśnie ktoś z antykwariuszy nie zetknął się z...

– Potrzebny panu plan miasta z wykazem instytucji kulturalnych. – Sprzedawca uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Pracuje pan w tym fachu już tyle lat. Czy kiedyś nie spotkał się pan z nazwą „Biblioteka Domu Czterech Liści”?

Twarz antykwariusza nagle stężała. Znieruchomiał też jeden z klientów buszujący pomiędzy regałami.

– Nie baw się w to, człowieku – powiedział antykwariusz z powagą.

– Czyli...

– To miejsce nie istnieje od dziesięcioleci. Tamci ludzie zostali wymordowani, a hitlerowcy spalili cały księgozbiór w czasie powstania warszawskiego – uciął.

– Czym była? Wiem tylko, że jasnowidz Szyller-Szkolnik miał książkę z tego zbioru...

– Przechowywano tam książki w większości rękopiśmienne. Ponoć zawierały sekrety innych światów oraz największe tajemnice ludzkości – odezwał się klient zza regału. Między półkami mignął szary płaszcz i kosmyk szpakowatych włosów.

– Gdzie się mieściła? – Stanisław spojrzał właścicielowi prosto w oczy.

– Nie wiem. Jej lokalizację utrzymywano w sekrecie. Ale nawet gdyby ktoś tam dotarł, to bez karty czytelnika nie zostałby wpuszczony do środka. Ot, taka antykwaryczna legenda – dodał, jakby nagle zorientował się, że powiedział za dużo.

– A więc...

– Został tylko popiół – uciął.

– Przynajmniej tak powiadają – człowiek zza regału znowu dopowiedział swoje. – Tylko że każdy przedstawia to trochę inaczej. I komu wierzyć?

– Igorze, nie prosiłem cię o konsultacje! – antykwariusz chyba się zdenerwował.

– Dobra, dobra – burknął klient i zamilkł.

– Czyli... – zaczął Renk.

– Nie ma czego szukać – syknął stary, rzucając gniewne spojrzenie w półmrok, ale jego przyjaciel milczał.

– Zatem do widzenia – bąknął Stanisław i wyszedł ze sklepu.

Przyczał się po drugiej stronie ulicy w kawiarni. Przez ponad pół godziny obserwował antykwariat. Ludzie wchodzili i wychodzili, lecz nie potrafił zidentyfikować tajemniczego klienta. Niewątpliwie nieznajomy coś wiedział, a co najważniejsze, był bardziej rozmowny niż właściciel sklepu...

Nagle w drzwiach antykwariatu spostrzegł szpakowatego mężczyznę w szarym płaszczu. W pośpiechu wyszedł z lokalu. Obcy obejrzał się i ponagliwszy go gestem, znikł za rogiem kamienicy. Renk przyspieszył kroku.

Dłuższą chwilę szli obok siebie w milczeniu. Wreszcie zatrzymali się przed ciemną witryną jakiegoś lokalu. Mężczyzna wyjął z kieszeni klucz.

– *Kacper Igor Kram. Astrolog* – odczytał Stanisław.

– Jestem jasnowidzem – powiedział Kram. – No, może niezupełnie jasnowidzem, specjalizowałem się w stawianiu kart, ale rzuciłem to na rzecz astrologii.

– Tarot? – uśmiechnął się niepewnie Renk.

– Taa... Paskudna rzecz.

– Nie rozumiem?

– Czy orientuje się pan, na czym polega przepowiadanie przyszłości? No tak, widzę po minie, co pan sądzi na temat mojej profesji... Proszę tylko na pięć minut uwierzyć, że to możliwe.

– Zgoda, ale najwyżej na pięć.

– Można przewidzieć przyszłe zdarzenia, lecz niezbędne są odpowiednie predyspozycje psychiczne, ponieważ najczęściej to, co widzi jasnowidz, pochodzi od złych duchów.

Weszli do wnętrza. Stylowy stolik, na nim szklana kula, dookoła wygodne skórzane fotele, na ścianie wachlarze starych kart w antyramach.

– To tylko ozdoba – wyjaśnił gospodarz.

– Jedynie czarnego kota brakuje.

– Miałem, ale zdechł.

– Powiedział pan, że wizje przyszłości pochodzą od złych duchów – powtórzył Stanisław.

– Zazwyczaj. Od diabłów, demonów, zwał, jak zwał. – Jasnowidz nastawił wodę na herbatę. – Przepowiednie bywają precyzyjne, ale dotyczą tylko złych rzeczy. Ciemnej strony rzeczywistości. W którymś momencie nadchodzi refleksja, czy tak naprawdę przepowiada się przyszłość, czy raczej kreuje ją wedle podszeptów diabła.

– Nie bardzo potrafię sobie to wyobrazić.

– Jeśli powiem komuś, że dozna uszczerbku na skutek wypadku samochodowego, to zacznie się tym denerwować, ile razy siądzie za kółkiem, i nieszczęście gotowe. Podobnie z chorobami. Sporo naszej fizjologii zakorzenione jest w psychice. Kto wie jak to działa? Ja przepowiem raka, a ktoś będzie się tym zamartwiał, aż...

Stanisław milczał, nie wiedząc, co o tym sądzić. Hochsztapler... Ale może powie coś użytecznego.

– Astrologia jest bezpieczniejsza – westchnął Igor. – To tylko znajomość układu planet i trochę matematyki. Odgadujemy cechy charakteru, nie zdarzenia. Zły ma niewiele furtek, by przedrzeć się do naszego umysłu. Choć dalej jest to trochę jak igranie z ogniem.

– Dedukuję, że wie pan coś na temat Domu Czterech Liści – Stanisław przeszedł do rzeczy.

– Wiem. W antykwariacie nie było jak porozmawiać – prychnął jasnowidz. – Wyda się to panu bajką, może idiotyzmem... To rzeczy, sprawy, wydarzenia, które nigdy nie zostały zapisane. Prawdziwe sekrety. Ja znam tylko plotki. Relacje z drugiej, może z trzeciej ręki.

– Trudno – westchnął Renk. – Cała ta sprawa...

– Ponieważ pytał pan nie o Dom Czterech Liści, ale o bibliotekę, to przypuszczam, że widział pan jakąś książkę z tego zbioru.

– Nie książkę, a rękopis – uściślił. – Oprawiony. Fantazje o przerabianiu żywych ludzi na mumie lub posągi.

– Ma pan dwie możliwości. Albo wsadzić to świństwo od razu do pieca, albo oddać bibliotece. Dom Czterech Liści był tajnym bractwem magów. Zawsze było ich czterech, czterech mistrzów, ekspertów od czterech filarów sztuk tajemnych.

– To znaczy?

– Magia, astrologia, jasnowidzenie, nekromancja.

– Dlaczego „liście”?

– Mnie pytasz, człowieku?

– To pan jest jasnowidzem – odparł Stanisław sarkastycznie.

Wróż spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

– Miał pan żonę, dobrą, łagodną kobietę. Dzieci nie mieliście. Poza tym wszystko było dobrze, aż nagle, trzy lata temu, spakowała się i oznajmiła, że odchodzi do innego. Nie wiedział pan, że ona już od dwóch lat spotykała się z tamtym. A teraz – zawiesił głos – teraz ona, choć ma już ponad czterdzieści lat, spodziewa się dziecka.

Stanisław przymknął oczy i wciągnął powoli powietrze.

– Skąd pan...? Na jakiej podstawie...?

– Trzydzieści złotych za usługę się należy – odparł astrolog. – Normalnie biorę stówka. A potem pogadamy dalej.

Stanisław, klnąc w duchu, odliczył banknoty drżącą ręką.

– O jakich czasach mówimy? Kiedy powstał Dom Czterech Liści?

– Najstarsze wzmianki sięgają połowy osiemnastego wieku, ale liczyłbym ostrożnie jeszcze drugie tyle. Doradzali naszym królom. Doradzali wodzom w kolejnych powstaniach. Jeśli zna się nazwiska ludzi, którzy otarli się o to bractwo, można prześledzić, gdzie i w jakich okolicznościach się pojawiali.

– Jak na jasnowidzów kiepsko doradzali – mruknął Renk, przypominając sobie losy kolejnych powstań.

– Mieli inne cele. Gdy się zawiera pakt z siłami zła, to trzeba co jakiś czas opłacać rachunki za pomoc... Niewinne ofiary idące w tysiące sztuk to dobra cena za otrzymaną moc.

– Mówi pan okropne rzeczy. A biblioteka?

– Dom Czterech Liści szkolił adeptów czterech ścieżek. Biblioteka była potrzebna do, że się tak wyrażę, celów dydaktycznych. Aż nadszedł wiek dwudziesty. Po nieziemsko krwawej pierwszej wojnie światowej młodzi adepci nie mieli już ochoty na kolejną hekatombę. Zebrali się w kilku i wymordowali swoich mistrzów oraz uczniów studiujących magię i nekromancję. Potem ścigali jeszcze przez jakiś czas absolwentów tej czarnej uczelni. Mała, cicha wojenka.

– Bajeczki... – zirytował się Stanisław.

– Tak pan sądzi?

Nalał herbaty. Następnie wyciągnął z regału oprawiony w płótno tom. Wypełniały go nekrologi, zarówno klepsydry odlepione od murów, jak i wycięte z gazet. Były też całe artykuły.

– Proszę. To zebrał mój krewny Stefan Ossowiecki.

– O!

– Kim byli zmarli? Specjalista od ziołolecznictwa, wróżka, jasnowidz, grafolog, chiromanta, znachor, tu kolejny... – wyliczał Igor.

– Hmm...

– Wszystkich wykończono w ciągu trzech lat. A w jaki sposób? Ten zamordowany przez nieznaną sprawców, ten zginął tragicznie, tu wypadek samochodowy, tu dla odmiany przejechany przez pociąg... Albo tu: *po nagłej i gwałtownej chorobie...*

– A może grupka jasnowidzów pozbywała się konkurencji, by przejąć rynek usług? – odparł Stanisław z powątpiewaniem.

– Mordując przeszło pięćdziesiąt osób w trzy lata?

Nie potrafił na to odpowiedzieć.

– I jeszcze jedno, to nie jest rynek, o który warto było walczyć. Z przepowiadania przyszłości bardzo ciężko wyżyć, a myśli o wzbogaceniu się w ogóle należy porzucić. Nawet najlepsi traktowali to jako zajęcie dorywcze.

– Wydawać by się mogło...

– Wiem – zirytował się Igor. – Że niby jasnowidz wchodzi do kolektury lotto i typuje cyfry. Ale to tak nie działa. Ja tylko raz miałem szczęście.

– Wygrał pan?

– Nie. Ale przepowiedziałem klientowi, że wygra. Zdziwiłem się, gdy jakieś trzy lata później trafił w totolotka i przyniósł mi pliczek banknotów z wdzięczności. Całe dwadzieścia tysięcy. Samochód wtedy kupiłem i pralkę wymieniłem na nową...

– Mówił pan, że diabli podpowiadają...

– Taaa... Facet się tą forszą błyskawicznie zdemoralizował. Większość ludzi niszczy nędza, ale są i tacy, których niszczą pieniądze.

Renk przeglądał księgę. Przodek Igora zadał sobie ogromny trud, przez całe lata dokumentując dzieje nauk tajemnych i losy ich adeptów w dwudziestolecium międzywojennym.

– A więc zginęli... – Zamknął wolumin. – Przerwano starożytną tradycję. Może i słusznie.

– Na pewno słusznie. Ale pojawił się problem.

– Biblioteka? – odgadł Stanisław.

– Właśnie. Biblioteka Domu Czterech Liści. Najbardziej przerażający księgozbiór w tej części świata. Zbierany przez stulecia. Księgi kryjące w sobie ocean ohydnej wiedzy. Ale wiedzy. Samozwańczy egzekutorzy nie zdecydowali się, by zniszczyć te manuskrypty, lecz gdzieś je ukryli. Dostęp mieli tylko wtajemniczeni. Być może mają go nadal.

– Ale takie świństwa jak książka, która znalazła się w moim posiadaniu...

– Z pewnością były tam też inne księgi. Bardziej pożyteczne. Zawierające wiedzę, za pomocą której można czasem czynić także dobro.

– Zatem powinienem...

– Odnaleźć księgozbiór. Zwrócić książkę skradzioną przez pańskiego przodka. Porozmawiamy teraz o problemie, który sprawił, że się pan w tym babczu? Wyczuwam jakieś duże pieniądze...

Stanisław opowiedział o spadku i o warunku, który musi spełnić.

– Przyrowadzić żywą dziewczynę, która zmarła przed ponad stu laty? – zdziwił się jasnowidz. – No cóż... Wydaje mi się to niemożliwe.

– Pan uważa to za niemożliwe? Jako człowiek, który wierzy w magię, powinien pan...

– Ja nie wierzę. Ja wiem, że ona istnieje i jakie są jej możliwości... Oraz jakie są jej ograniczenia. Magia tak nie działa. Nie da się żywego człowieka wyrwać na pół godziny z jego epoki.

– A nekromancja? – skrzywił się Renk.

– Proszę omijać te sprawy jak wściekłego psa! – odparł Igor z przerażeniem.

– Zresztą truchła, które ma sto lat, nie ożywi się... Chyba. Sądzę, że raczej dziewczyna nadal żyje.

– Nieśmiertelna Apolinaria Szczurzyńska ot tak wędruje ulicami Warszawy?

– To jedna z hipotez. Warta przynajmniej rozważenia. Ale wydaje mi się, że i pan ma jakieś przypuszczenia.

– Owszem. Kompletnie idiotyczne.

– Mimo wszystko chciałbym je usłyszeć.

– Znalazłem rozdział o mumiach drugiego rodzaju, innych niż egipskie. –

Wyjął z teczki manuskrypt.

Jasnowidz zbladł lekko na widok księgi.

– O, tu. – Stanisław znalazł odpowiedni fragment. – *Tak sprawiona mumia, pod dachem leżąc, latami całymi sprawi wrażenie nieomal żywego ciała, a po napojeniu wywarem, którego recepturę poniżej znajdziesz, pozory życia odzyska i z niejaką ostrożnością postępując, do miłości możesz jej używać* – odczytał.

– Mam prośbę – odparł jasnowidz, nie kryjąc obrzydzenia. – Proszę tego nie przynosić do mojego mieszkania. Nigdy więcej! Coś może się za tym przywlec!

Przełamując opory, otworzył wolumin na stronie tytułowej, rzucił okiem na ekslibris i zatrzasnąwszy, odepchnął księgę od siebie.

– Skoro już rozmowa wspięła się na takie wyżyny idiotyzmu – rzekł wolno Stanisław – trzeba się zastanowić, czy to właśnie takiej pozornie ożywionej mumii nie miałem doprowadzić do kancelarii adwokackiej.

– Nie sądzę... – Jasnowidz nerwowo splótł palce. – Ale to chyba nieprawdopodobne. Bo i po co? Czy pański stryjek był sadystą?

– Raczej nie – odparł niepewnie.

– Dusza uwięziona w takiej mumii musiałaby cierpieć straszliwe męki, a każdy powrót do życia dodatkowo... To bez sensu.

– To wszystko jest bez sensu.

Igor, przełamując obrzydzenie, znów przyciągnął do siebie manuskrypt i zaczął go kartkować.

– To tylko część pierwsza – stwierdził. – Nie było drugiej?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Może tam znalazłoby się wyjaśnienie? Tylko że ona zapewne znajduje się w bibliotece.

– Czyli mam odnaleźć...

– Tak sądzę.

– Pomoże mi pan?

– Tak.

– Ale zapewne nie za darmo?

– Owszem, chcę przy okazji ubić własny interes... Malutki – zachichotał jasnowidz.

– Procent od spadku?

– Nie. Za moją pomoc chcę dostać tylko adres biblioteki.

– Załatwione. O ile oczywiście zdołam ją odnaleźć i jeśli ten księgozbiór jeszcze istnieje. Nie wiadomo też, czy mnie tam wpuszczą.

– Wpuszczą... – mruknął Igor.

Podszedł do drzemiącego w kącie sejfu i wydobył z niego kopertę. Wewnątrz tkwiła kartka papieru formatu wizytówki. Wytrząsnął ją na stół.

– Co to? – zdziwił się Renk.

– Karta czytelnika. Znalazłem ją w starej książce po krewnym. Mam też



drugą, która kiedyś wpadła mi w ręce.

– I tak po prostu...

– Otrzyma ją pan, gdy dostanę adres. Jeśli biblioteka istnieje, to powinno zadziałać. Wystawiono je na okaziciela.



Kamieniarz mimo wczesnej pory pracował w swoim warsztacie. Obrabiał granitową płytę, wymłotkowując w niej skomplikowany wzór.

– A, to ty – burknął. – Coś mi się zdaje, że przeczytałeś.

– Przeczytałem.

Z drzew sypały się liście. Jesień, iście cmentarna pogoda...

– No to ekstra. – Mężczyzna wrócił do obrabiania kamienia.

Stanisław patrzył, jak uderza małym młoteczkiem w solidne dłuto. Od polerowanej powierzchni płyty odpryskiwały niewielkie drobinki.

– Podglądasz sekrety mojego zawodu! – ofuknął go rzemieślnik.

– Konkurencji i tak nie zrobię – odgryzł się. – Chciałem porozmawiać. Bo coś mi się wydaje, że pan też to czytał.

– Pobieźnie przejrzałem. I z Olgierdem też nieraz o tym gadaliśmy. Nie musiałem czytać, i tak wiem, o co w tym chodzi. Starzy pracownicy cmentarza przy wódce opowiadali...

Renk westchnął i wyciągnął z teczki butelkę kubańskiego rumu.

– A co to? – kamieniarz udał zdziwienie.

– Ziąb tu taki...

– Cmentarny – zachichotał stary. – No to chodź pod dach – zaprosił go do kanciapy. – Co wiesz o Izydorze? – Polał do szklanek.

– Tylko tyle, że miał warsztat kamieniarski na Bródnie. I marnie skończył. Ktoś go napadł, stracił władzę w prawej ręce. Potem nie mógł już pracować, więc zachlał się w kilka lat na śmierć.

– Ale kto go tak i za co, pewnie nie wiesz?

– Nie mam pojęcia. Może Olgierd wiedział? Był jego wnukiem.

– Już chyba tylko ja znam tę historię. Gdy zaczynałem pracę, zaraz po wojnie, opowiedzieli. Byłem taki młody szcurek... To był inny świat – zadumał się kamieniarz. – Nikt prawie nie rzeźbił w granicie, piaskowiec głównie był w robocie. My byliśmy elitą fachu, po drugiej stronie Wisły trafiali się i tacy, którzy kradli stare nagrobki z żydowskiego cmentarza przy Odrowąża i szlifowali, żeby zrobić z nich nowe płyty dla chrześcijan. Pierdolone hieny – parsknął. – Uczniowie Izydora...

– Był złym człowiekiem?

– Był takim ścierwem, że jeszcze za czasów mojego terminowania ludzie pluli na samo wspomnienie o nim. A przecież od jego śmierci mijało wtedy

kilkadziesiąt lat.

– Ale co konkretnie takiego zrobił?

– Wysługiwał się carskim, ponoć potajemnie grzebał trupy ludzi, których zlikwidowali. Kradł płyty i przerabiał, jak groby przebudowywał, złotymi zębami ponoć też nie gardził. Ale to jeszcze małe piwo. Przybył tu z Krakowa, miał tam jakieś sprawy, musiał opuścić miasto. A jakie to sprawy? Gadali... nie śmiej się. Gadali, że te jego rzeźby to nie do końca rzeźby. Anioły robił w marmurze, piękne. Za ciężkie pieniądze je sprzedawał. Ale mówili, że tak naprawdę nie rzeźbił ich, tylko magiczną sztuką żywe dziewczęta obracał w kamień.

– Ależ to bzdura!

– Czytałeś?

– Czytałem i nadal uważam, że to niemożliwe. Rozumiem mumifikacja. Nawet przekształcenie tkanek w plastik, jak robi ten szalony Niemiec. Ale w marmur... Nie da się. Zupełnie inne proporcje minerałów. To jak zmienić ołów w złoto.

– W każdym razie tu, w Warszawie, znikła bez śladu dziewczeczka, śliczna, młodziotka, niewinna i tak dalej.

– Córka krawca Szczurzyńskiego – uzupełnił Stanisław.

– O! Nazwiska sobie nie mogłem przypomnieć. Czyli znasz tę historię?

– Mój stryj znalazł opis zaginięcia dziewczyny w starej warszawskiej gazecie. Ale to wszystko, co wiem.

– W każdym razie jakiś rok po jej zniknięciu Izydor wystawił na sprzedaż figurę anioła. Poszła za siedemset rubli, to była gigantyczna kwota... I krawiec Szczurzyński dopatrzył się, że ta statua przypomina jego córkę. Wiedział, że nikomu nie pozowała ani nie zrobiono odlewu jej twarzy, więc umyślił sobie, że rzeźbiarz ją porwał i więził. Zebrał kilkunastu przyjaciół i napadli na warsztat. Przeszukali go od piwnic po dach, ale po porwanej tylko ubranie znaleźli. Pewnie Izydora też torturowali. Wreszcie, choć nie mieli dowodów, pobili go na śmierć. Tak im się przynajmniej zdawało. On jednak doszedł do siebie, choć nie odzyskał już władzy w ręce. Złożył zeznania. Aresztowano tylko krawca, nie powiedział w śledztwie, kto mu pomagał. Został skazany na piętnaście lat katorgi...

– A Izydor pił, aż się wykończył.

– Taaa... Gdy kojfnął, okazało się, że miał nie tylko rodzinę w Krakowie, ale i tu dwóch synów spłodził z aktoreczką z operetki. Dziewczyna sprzedała jego zakład i tyle ich widzieli. Dopóki nie pojawił się u mnie pański stryjek, nie wiedziałem nawet, że ciągle żyjecie.

– A czego on tu u pana szukał?

– Stwierdził, że skoro znam cmentarz jak własną kieszeń, to pomogę mu

odnaleźć tamten posąg. Trochę się zaprzyjaźniliśmy. Pokazał mi też księgę Izydora. Wiedziałem, gdzie ją potem schował, to zabrałem, żeby nie wpadła w niepowołane ręce. A i tak wpadła... – Zmierzył Stanisława niechętnym spojrzeniem.

– I pomógł mu pan znaleźć tego anioła.

– A dlaczego nie? – Wzruszył ramionami. – Tylko że to nie ten. Okres powstania mniej więcej się zgadza, ale twarz inna.

– A ten koło bramy?

– Zwyczajny beton. Kompletne pudło.

– Czy Olgierd wspominał coś o bibliotece?

– Wiele razy. Chwalił się, że zdołał ją odnaleźć, ale nie miał karty czytelnika, więc nie wpuszczono go do środka.

– Podał adres? – dociekał Stanisław.

– Nie. Ale wyrwało mu się, że trafił na trop w Bibliotece Narodowej. Jakąś księgę znalazł czy coś... Strzemiennego?

Wypili jeszcze po pół szklaneczki.



Pchnął skrzypiące drzwi. Zadzwoił mały dzwoneczek. Wróż Igor oderwał się od studiowania tablic astronomicznych.

– Jak idą poszukiwania? – zapytał z uśmiechem.

– Mam adres biblioteki. Wymienię go na jedną z kart.

– A niech mnie. Jak go pan zdobył?

– Podobno jest pan jasnowidzem – zaśmiał się Renk, wyciągając z torby plik kartek ksero.

– To tak nie działa – obraził się gospodarz.

– W notatniku stryjka zapisano sygnaturę zaczynającą się od liter DŻS.

– Hmm... nic mi to nie mówi.

– Dokumenty życia społecznego. Biblioteki zbierają ulotki i inne tego rodzaju śmieci. Za sto lat to będzie cenne źródło historyczne. A te, które mają sto lat, już się przydają...

– I co kryło się pod tym numerem?

– Księga handlowa firmy przewozowej z Warszawy. Dom Czterech Liści został zlikwidowany w 1928 roku.

– Tak mi się wydaje, z tego roku są pierwsze odnotowane ofiary. Polowanie zaczęło się w marcu... Czyli atak na siedzibę był nieco wcześniej, bo dane o zabójstwach, które zebrał mój krewny, to prawdopodobnie już tylko dokumentacja pościgu i dorzyny niedobitków.

– Mam adres. Proszę spojrzeć na to. – Stanisław rozłożył odbitki. – 12 stycznia 1928 roku. Transport stu osiemdziesięciu skrzyń starodruków i

rękopisów z kamienicy przy ulicy Leszno na Żoliborz. O, proszę, na życzenie klienta firma wystawiła do konwojowania ładunku uzbrojoną obstawę.

– Sądzę, że trafił pan na właściwy trop.

– Stryjek trafił. Ja tylko poszedłem jego śladem.

– Skoro znalazł adres, co go powstrzymało przed zwrotem książki? Strach, czy może...

– Na przykład brak karty czytelnika. Nie wiem. Może nie miał do nich zaufania?

– Do nich – powtórzył w zadumie jasnowidz.

– No bo ktoś chyba tego ciągle pilnuje?

Igor podszedł do regału. Wydobył kartę ze skrytki, przez chwilę oglądał ją w zadumie i podał Stanisławowi.

– Co planuje pan zrobić?

– Pójdę, oddam książkę, skorzystam z katalogu, wypiszę rewers... O ile pozwolą mi na to. Wspominał pan, że tych złych wybito do nogi?

– Magia może być zła albo jeszcze gorsza – westchnął jasnowidz. – To jak płomień. Trochę da się okiełznać, ale wystarczy chwila nieuwagi i człowiek zaczyna się palić. Sama informacja o istnieniu biblioteki to dobrze strzeżony sekret.

– Sądzi pan, że mogą mnie... zlikwidować?

– Raczej przepędzą. Ale kto wie? Kiedy zamierza pan tam iść?

– Dziś już późno. Jutro pracuję do południa.

– Proszę się odezwać, gdy pan skończy rekonesans – powiedział poważnie Igor. – Będę się o pana niepokoił. Jeśli, powiedzmy, do siedemnastej nie otrzymam żadnej wiadomości, spróbuję zorganizować jakiś ratunek.

– Dziękuję.



Szedł, mijając przedwojenne wille. Rejestrował wzrokiem sypiące się elewacje, pordzewiałe balustrady balkonów, zapadające się dachy pokryte szerniałą dachówką. Ganki i werandy ozdobione drewnianymi maswerkami od dawna wymagały remontu. Ogrody, niegdyś zapewne pięknie utrzymane, dawno zarosły chwastem. Pomiędzy drzewami wyrosły drewniane szopy oraz blaszane garaże. Niektóre posesje zdobiły wraki samochodów w różnym stanie rozkładu. Liści z chodników nikt nie grabił. W jednym z ogródków zażywny staruszek rąbał regał z płyty pilśniowej. Może na opał?

Ta dzielnica zdecydowanie najlepsze lata miała za sobą i zarazem przed sobą. Dobry dojazd, blisko centrum. Minie jeszcze kilka lat i ktoś spojrzy na to zbiorowisko ruder łaskawym wzrokiem. Nowobogaccy wykupią teren parcella po parcella. Odnowią brudne, stare mury. W stuletnich domach pojawią się nowi

lokatorzy, popękane chodniki zastąpi równo ułożona kostka, kocie łby uliczek przykryje gładki jak lustro asfalt...

Dom oznaczony numerem szesnastym nie wyróżniał się niczym szczególnym. Stanisław stał przez chwilę niezdecydowany, patrząc na zardzewiałą furtkę. Zielony lakier spaskudziła już dawno kaszka korozji. Sam budynek pokryto, podobnie jak kilka sąsiednich, płytkami z kolorowego klinkieru. Wiele z nich odpadło, odsłaniając czerwony ceglany mur. Szyby w oknach były nieprawdopodobnie wręcz brudne. Dom wyglądał na opuszczony.

Czy naprawdę tutaj miała znajdować się biblioteka Domu Czterech Liści? Nie bardzo chciało mu się w to wierzyć... Raz jeszcze rzucił okiem na kserokopię planu, a potem wcisnął zaśnieżony przycisk dzwonka.

Bez sensu, pomyślał. Minęło osiemdziesiąt lat... Ten budynek z pewnością zdążył już kilka razy przejść z rąk do rąk. Nawet jeśli były tu kiedyś jakieś książki...

Okno na parterze uchyliło się ze zgrzytem i brzękiem obłuzowanych szyb. W szparze mignęła gęba jakiegoś gniewnego starca.

– Kto tam? – głos zaskrzypiał jeszcze gorzej niż okno. – Czego się tłucze?

– Czytelnik spragniony wiedzy.

– Że co?

– Chciałem skorzystać z biblioteki.

– Tu nie ma żadnej biblioteki.

– Mam kartę! – Pokazał ją z daleka.

Dziadyga popatrzył na niego, poprawiając okulary tkwiące na krogulczym nosie. Lustracja wypadła widać korzystnie, bo skrzywił się niemiłosiernie.

– Wlazł! – polecił.

Drzwi wyglądały, jakby zaraz miały wypaść z framugi, ale uchyliły się niemal bezszelestnie i równie cicho zamknęły się za wchodzącym. Znalazł się w ciasnym przedsionku. Przed kolejnymi drzwiami stali dwaj rośli mężczyźni w czarnych garniturach.

– Proszę okazać kartę czytelnika – zażądał jeden z nich, głaszcząc imponujące wąsy.

Stanisław podał kartonik.

– To jedna z tych starych – wyjaśnił wąsacz drugiemu mężczyźnie. – Na okaziciela...

– Wpuszczamy? – zapytał.

– Takie jest prawo. Ich ważność nie wygasa. To pierwszy zewnętrzny od dobrych trzydziestu lat. Witamy w Domu Czterech Liści – zwrócił się do Stanisława. – Tu jest formularz do wypełnienia.

Renk przeczytał tekst oświadczenia. Tak jak przypuszczał, aby skorzystać ze

zbiorów, musiał podpisać oświadczenie o ścisłym zachowaniu tajemnicy. Odstąpienie od tego warunku skutkowało karą śmierci.

– Proszę podpisać w wykropkowanym miejscu, a następnie postawić krzyżyk własną krwią. – Wąsacz podał mu wieczne pióro oraz grubą igłę.

Stanisław, zagryzając wargi, dopełnił formalności. Sam nie wiedział, dlaczego to robi. Czy dla głupich pieniędzy warto podpisywać aż tak kategoriyczne umowy?

Ochroniarz otworzył ciężkie drzwi.

– Do biblioteki prosto i na lewo.

Korytarz wyłożono grubym dywanem, z sufitu zwisały stylowe lampy z kutego brązu. Na końcu jaśniało okno zdobione witrażem. Choć z zewnątrz dom wyglądał jak rudera, tu, w środku, utrzymany był w niezwyklej czystości, a wystrój wewnątrz zaprojektowano ze smakiem.

Stanisław szedł, mijając kolejne pary dębowych drzwi. Nad klamkami przykręcono mosiężne szyldy z grawerowanymi napisami. Niestety, nie znał runicznego alfabetu... Nad drzwiami biblioteki, na szczęście podpisanej po polsku, wprawiono witraż przedstawiający sowę nad książką.

Odruchowo zapukał, nim wszedł. Najpierw uderzył go w nozdrza zapach... Mieszanka woni spalenizny i starego papieru. Pomieszczenie podzielono w poprzek regałami. Na nich, ciasno stłoczone, stały i leżały książki. Tu i ówdzie połyskiwały resztki złocień lub klejnoty wprawione w szerniałe, popękane ze starości skórzane grzbiety.

Tajemnice innych światów... – pomyślał, patrząc na tysiące książek. Jak ich szukać?

– Czym możemy służyć? – Bibliotekarz miał czarną capią bródkę, czarne kręcone włosy, grube brwi i pałające wewnętrznym blaskiem oczy. Brakowało tylko rogów i ogona...

– Oddaję książkę wypożyczoną lub skradzioną przez jednego z moich przodków – wyjaśnił, wyciągając z torby wolumin.

– A niech mnie – szepnął strażnik książnicy, sprawdzwszy tytuł. – Po tylu latach...

Z szuflady biurka stojącego pod ścianą wydobył gruby plik kart, przez chwilę szukał i wreszcie z uroczystą miną przekreślił całą stronę.

– Dziękuję w imieniu Domu Czterech Liści – powiedział poważnie. – Jeśli możemy jakoś się odwdziżyć...

– Czy w zbiorach jest drugi tom?

– Niestety, przepadł jeszcze wcześniej niż pierwszy... Ale jeśli ma pan jakiś problem, możemy poszukać rozwiązania w innych pozycjach. – Powiódł gestem po wnętrzu.

– W tej książce opisano proces zamiany żywego człowieka w kamień... Czy jest on odwracalny?

– Musiałby pan skonsultować to z doktorem Schneiderem z katedry nekromancji. Trudna sprawa, bo nie jest pan naszym studentem, ale porozmawiam z nim. Przysługa za przysługę. Proszę za mną.

Zapukał do jednych z drzwi w korytarzu i nakazawszy gestem zaczekać, znikł wewnątrz. Wynurzył się po chwili.

– Pan doktor przyjmie pana.

Stanisław spodziewał się wewnątrz jakichś okropności, dlatego mile się zdziwił, widząc, że najbardziej niesamowity element wyposażenia stanowiło kilka czaszek w oszklonej szafce. Poza nimi w pokoju znajdował się jedynie stół kreślarski, duża szafa oraz kilka regałów książek. Doktor okazał się niesympatycznym tęgim facetem koło pięćdziesiątki.

– Kogo chce pan ożywić? – od razu przeszedł do konkretów.

Stanisław usiadł na podsuniętym krześle i opowiedział wszystko.

– A niech mnie, udało się staremu draniowi – mruknął nekromanta, gładząc łysinę.

– Czyli...

– Stosowano ten rytuał niezwykle rzadko, jeszcze rzadziej niż mumifikację za życia – powiedział doktor. – Nasze zapiski wspominają na przykład, że emir Granady, uchodząc po upadku swego państewka, zamienił w kamienne rzeźby cztery ulubione nałożnice. Liczył, że posągi ocaleją w ogrodzie, a on kiedyś powróci, by je ożywić. Jak wiemy, przeliczył się.

– A więc proces jest w pełni odwracalny? Da się tę dziewczynę ożywić, ściągnąć z pomnika i zaprowadzić gdzie trzeba?

– Wygląda na to, że tak. Obawiam się jednak, że posiadamy jedynie teoretyczną wiedzę. Nikt od dziesięcioleci nie podejmował tak odrażających doświadczeń...

Szóstym zmysłem poczuł, że ten człowiek łąze w żywe oczy. Z trudem opanował dreszcze.

– W naszych księgach zapisano, że ten, kto dopuści się podobnych praktyk, ma zostać natarty miodem i żywcem zawieszony nad mrowiskiem, a kat winien dopilnować, by męka trwała najmniej tydzień... – ciągnął nekromanta.

– Dlaczego? Fakt, morderstwo popełnione na niewinnej...

– To nie morderstwo. To los stokroć gorszy niż śmierć – powiedział doktor, a w jego oczach błysnęło coś na kształt ponurego zadowolenia.

– Chce pan powiedzieć, że te rzeźby zachowują ...świadomość?

– Tak. Nie tylko zresztą świadomość. Ich serca, choć otacza je kamień, pozostają żywe. Biją.

– Jak...?

– Magia. – Wzruszył ramionami. – Bija, choć nie ma już nawet krwi, którą mogłyby przetaczać.

Podszedł do szafy. Bez słowa otworzył rzeźbione drzwi.

Stanisław niemal krzyknął. Półki zastawione były przezroczystymi słojami wypełnionymi jakimś żółtawym płynem. Najpierw zauważył machającego łapkami małego kotka. Zwierzę, zatopione w bursztynowej cieczy, bawiło się gałązką. Obok trzy myszki obgryzały najwyraźniej niedawno wrzucony mózg. Jeszcze dalej – małpka, która wyglądała, jakby chciała za wszelką cenę wydostać się na zewnątrz. Zamknął oczy, ale zdążył jeszcze zobaczyć ludzkie serce, kurczące się i przetaczające bursztynowożółtą ciecz.

Usłyszał skrzypnięcie. Doktor Schneider, chichocząc, zamknął drzwi szafy.

– Czy... – zaczął Stanisław drżącym głosem.

– Niech pan już otworzy oczy. Jeśli znajdzie pan posąg, radzę posłuchać, czy wewnątrz bije serce. – Roześmiał się chrapliwie. – To test ostateczny. Po tym rozpozna pan, czy ma do czynienia z prawdziwą rzeźbą, czy nie.

– Dobrze. Przyjmijmy, że znalazłem. Co dalej? Jak zdjąć taki czar? – Sam nie wiedział, dlaczego o to spytał. Najchętniej uciekłby stąd jak najdalej i zapomniał o wszystkim.

Doktor przez chwilę milczał, przypatrując się uważnie Stanisławowi, jakby oceniał, ile jest wart.

– Pomogę panu – rzekł, kiedy Renk już stracił wszelką nadzieję. – Sam jestem ciekaw efektu. Zaraz przygotuję odpowiedni roztwór...



Rzeźb aniołów było na cmentarzu do licha i jeszcze trochę. Na szczęście zdecydowaną większość umieszczono w starej części Powązek. Stanisław założył, że posąg powinien być mniej więcej naturalnej wielkości. Ile mogła mierzyć szesnastoletnia panienska żyjąca w XIX wieku? Pewnie sto pięćdziesiąt, najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów. Tak dużych aniołów było niewiele... I żaden nie był wykonany z marmuru.

Na nic się zdała włóczęga alejkami, wertowanie w bibliotekach monografii o nekropolii. Dopiero po kilku dniach poszukiwań nieoczekiwanie dokonał odkrycia. Wszystkie statuy wykuto w piaskowcu. Z jednym wyjątkiem. Na grobie rodziny Zagórskich stała rzeźba zrobiona z jakiejś szarej, sparszywiałej masy. Przyglądał się dłuższą chwilę, zanim zorientował się, co go zmyliło. Posąg był pokryty warstwą olejnej farby.

– Ciekawe, kto to zrobił – mruknął.

Odlupał łuskę starej powłoki malarskiej, potem kolejną. Błysnął marmur. Grób musiał być opuszczony od dawna, ostatnia data pochówku wykuta w



kamieniu pochodziła z lat trzydziestych... Nikt nie sprzątał liści... Farba także była stara.

– Po prostu zasmarowali tym paskudztwem, żeby trudniej było znaleźć... – warknął.

Nadal stał niezdecydowany. Wreszcie przemógł się. Z torby wydobył stetoskop.

– Znalazłem – powiedział cicho. – Pora zatem sprawdzić...

Podszedł do posągu i włożywszy słuchawki w uszy, przyłożył stetoskop do nagrzanego przez jesienne słońce powierzchni marmuru. Po chwili jego uszu dobiegł powolny miarowy stukot. Mimo upływu przeszło stu lat wewnątrz kamienia nadal biło żywe serce.

Spojrzał w twarz anioła. Teraz dostrzegł uderzające podobieństwo do fotografii... Te same rysy, ten sam wykrój oczu, zgrabny nosek. A więc tu biedna dziewczyna wegetowała przez wiele lat. Ale jej oczekiwanie już dobiegło końca. Dzięki niemu ma szansę się uwolnić.

Terkotanie słabego silniczka wyrwało go z zamyślenia. Alejką nadjeżdżał pojazd zbudowany z motoroweru i przyczepki, taki, jakich używano tu do transportu materiałów budowlanych przy przeróbkach starych grobów. Kamieniarz zaparkował tuż obok. Przekręcił kluczyk. Silnik kaszlnął, z rury wydechowej uniósł się obłoczek jadowicie pachnących spalin.

– Znalazłem Apolinarię Szczurzyńską – powitał go Stanisław.

– To nie ten. Miał być marmurowy – powiedział Zenek.

– Owszem, ten. Ktoś go pomalował olejną farbą.

Kamieniarz zeskoczył z siodelka. Podszedł do posągu i przyglądał mu się dłuższą chwilę.

– O kuźwa – burknął.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości... Sam pan zobaczy. – Stanisław wyjął z aktówki zdjęcie dziewczyny. – I posłuchać można... – Dotknął stetoskopu.

Zenek dłuższą chwilę oglądał odbitkę, potem przeniósł wzrok na twarz pomnika.

– Ciekawe, jak dorobił te skrzydła i dzban – zamyślił się.

– A jakie to ma znaczenie? Ważne, że zdołałem ją odszukać. A teraz...

– Masz nosa... No dobra, powiem. Sam to pomalowałem. – Spojrzał wyzywająco. – Ze dwadzieścia lat temu.

– Żeby nikt nie znalazł?

– Taaa... A niby po co?

– Okłamał mnie pan...

– Okłamałem – przyznał. – Nie chciałem, żebyś się tym zajmował. Twojego stryjka Olgierda też próbowałem zrobić w konia i nawet mi się udało. Masz

zamiar ją ożywić?

– O ile się uda. Nawet wiem jak.

Stary westchnął.

– Posłuchaj – powiedział. – Znam te legendy. Niejeden raz to zrobił zapewne. Może tu, na Powązkach, jest więcej takich figur. Może inne cmentarze trza by przeszukać. Te w Krakowie... Zabrałeś stetoskop, zatem wiesz co najmniej tyle, co i ja. Ona tam jest w środku. I wiesz, kim jest. Była...

– Apolinaria Szczurzyńska, córka krawca z Woli, zaginiona bez wieści w...

– I tyle. – Wzruszył ramionami. – A jak sądzisz, po co zamaskowałem marmur farbą?

– Żeby nikt nie znalazł. I nie ożywił?

– Mój drogi Holmesie, jesteś geniuszem – zakpił. – Ano, właśnie po to. Młody byłem i głupi. A nawet potem odwagi mi nie starczyło, żeby wziąć młotek i rozpirzyć to w drabiazgi...

– Zniszczyć...

– Zabić. – Skrzywił się. – A może i dobić, zwał, jak zwał. W każdym razie na śmierć i szlus.

– Zabić to...

– Nie to, tylko ją! – sarknął Zenon. – Też miałem wątpliwości, dlatego ciągle stoi. I z roku na rok mi z tym ciężiej.

– Ale po cholere...

– Tylko pomyśl. Ożywisz. Uwolnisz. I co dalej?

– Coś wymyślę.

– Co niby?

– Fałszywą tożsamość. Przecież jakoś trzeba ją tu zalegalizować...

– Dureń.

– Słucham?

– Po pierwsze – powiedział stary cicho – ta damulka chodziła po Warszawie dobre sto lat temu. Nigdy nie widziała żarówki, samochodu, radia, telewizora... Rozumiesz? Dla niej znaleźć się w naszym świecie to jak dla ciebie obudzić się i stwierdzić, że wszystko wokół jest rozpieprzone, a do tego ktoś ci wyłączył matriksa. Myślisz, że spodoba jej się ten świat? Nie sądzę. On nawet nam się nie podoba.

– Może przywyknie. A jeśli nie, mam chatę w górach i...

– Gówno tam przywyknie. Cała jej rodzina w piachu. Ojciec przez tego bydlaka poszedł w kajdanach nad Bajkał i już nie wrócił. Jest tu całkiem sama w obcym świecie. Wiesz chociaż, jak się zwyczajnie zmieniły? Język? Poza tym co niby dobrego ją tu czeka?

– No... Może sobie jakoś życie ułoży. Szesnaście lat ma... Maturę zrobi

eksternistycznie, może pomieszkać u mnie, póki nie znajdzie roboty i czegoś do wynajęcia. Z tego spadku odpalę jej połowę, może starczy na wkład własny, będzie mogła zacząć życie od nowa.

– Matureę to jej nawet na bazarze kupisz – prychnął. – Będzie jak kaleka. Sam nie zdajesz sobie sprawy, ilu rzeczy trzeba się uczyć od dziecka. Rozjadą ją na pierwszym przejściu dla pieszych.

– Spróbuję...

– Druga sprawa jest istotniejsza – powiedział stary cicho. – Umysł. Świadomość.

– Nie rozumiem.

– Posłuchaj. Ten twój antenat zamienił ją w kamień. Zamienił nie do końca. Zachowała rozum. A potem przyszło sto lat z hakiem. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła choćby mrugnąć oczyma. I co widziała przez te wszystkie lata? Dymy z płonącego getta, potem strzelaniny w czasie powstania, do tego niezliczoną liczbę pogrzebów... O ile w ogóle widziała, bo nie da się wykluczyć, że po prostu stoi jak pień. Zresztą i ja farbą...

– To znaczy...

– Że ona już dawno oszalała. Tacy jak ty wszystko zrobią dla pieniędzy – rzekł z goryczą. – Ten twój pradziadek za kilkaset rubli żywą dziewczeczkę zamienił w rzeźbę. Niedaleko jabłko pada od jabłoni. Możesz naszprycować ją czymś i zaprowadzić do kancelarii, żeby dostać swoją garść srebrników. Potem powinienes wsadzić ją do wariatkowa, ale humanitarniej byłoby dać w łeb i zakopać...

– Gównu pan o mnie wie! – uniósł się Renk.

– Tak? – Zenek wygiął wargi w kwaśnym uśmiechu. – To udowodnij, po której stronie masz serce.

Z przyczepy wyjął masywny kamieniarski młot.

– O tej porze nikt już nie chodzi po cmentarzu. Będzie na wandali – powiedział.

– Ale ja... Mam ją roztrzaskać? Zabić...

– Twój wybór. Ale po mojemu tylko tym sposobem choć częściowo odkupisz winę przodka. A zrobisz, co zechcesz. Przyjdę tu jutro i zobaczę. Pusty cokol – próbuj szczęścia z adwokatami. Rozwalisz na kawałki – Bóg z tobą, pobieram i pogrzebię. Zostawisz, jak było – sam oddam jej tę przysługę, bo sumienie mnie szarpie, a ty więcej mi na oczy nie leż. Nie ręczę za siebie.

Odwrócił się i kopnąwszy sprzęgło, zapuścił silnik. Spojrzał w lusterko. Stanisław, blady jak ściana, stał oparty o trzonek młota.

– Za słaby, nie robi tego – burknął Zenek sam do siebie. – Sam muszę ręce brudzić... Bo ktoś w końcu musi to przerwać.

Był już prawie przy bramie, gdy do jego uszu dobiegł huk kruszonego żelazem marmuru.

# Teatralna opowieść

- *A więc podjęłaś decyzję?*
- *Okupacja potrwa na pewno kilka lat. To jedyne miejsce, w którym będę bezpieczna.*
- *Szaleństwo.*
- *Wiem. Ale tam nikt mnie nie znajdzie.*



To była moja druga ścieżka zdrowia. Podwójny szpaler zomowców zdawał się nie mieć końca. Patrzyłem na drewniane pały w ich rękach. Tylko nieliczni mieli zwykłe, z metalowego łańcucha zatopionego w grubym kauczuku. Przypomniałem sobie rady Przemka. Pochylić się w biegu. Zasłonić rękami głowę. Przedramiona ściągnąć blisko, niech chronią twarz. Płców i nerek w żaden sposób nie da się zabezpieczyć. A lepsze przetrącone palce niż na przykład złamana kość skroniowa...

– Wio, gnoju!

Kopniak zadany celnie w kość ogonową rzucił mnie do przodu. Z trudem złapałem równowagę i wtedy dostałem po raz pierwszy. Przed oczyma zrobiło mi się zielono. Coś zawył, dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to ja tak krzyczę. Miałem szczęście, instynkt zwyciężył. Nie zmyliłem kroku, nie upadłem. Kolejny cios. Przeskoczyłem nad podstawioną nogą. Łokieć eksplodował bólem. Potem w celi zbiorowej koleddy powiedziałem, że miałem szczęście. Byłem dwudziesty w kolejce do sponiewierania. Zmęczeni milicjanci nie przykładali się do roboty. Wyszedłem prawie bez szwanku. Jedno nadwyręzione żebro, kilka guzów, przetrącony łokieć, kilkadziesiąt siniaków. Ale nie odbili mi nerek ani płuc, nie rozwalili głowy, nie połamali rąk. Twarz udało się uchronić.

No i co najważniejsze, zostałem „obsłużony” jak wszyscy uczestnicy pikiet i ze dwudziestu przypadkowych przechodniów. Ubecja najwyraźniej nie wyczała, że to ja rozdawałem w tłumie biuletyn.



*Gdyby Urban nosił turban, zamiast świni byłby Chomeini!*

Przemek odłożył kawałek świecowej kredki i krytycznie spojrzął na swoje dzieło. Szczęknął judasz w drzwiach celi.

– Ty, artysta! – warknął strażnik. – Zaraz to będziesz własnym językiem zmywał!

– I tak pięć lat dostanę – odwarknął Przemek, dorabiając ilustracje. – A przynajmniej będę wiedział, za co siedzę.

Cztery-osiem mijało jak z bicza strzelił. Przez pierwszą dobę dochodziłem do siebie po pobiciu. Trafiłem do jednej celi z przywódcą naszej konspiracji. Miał przetrącony nos, podbite lima, rozwalone łuki brwiowe i stracił dwa zęby. Ale nawet to nie pozbawiło go ducha przekory.

– Naprawdę sądzisz, że mogą nam wlepić aż po pięć lat? – zdziwiłem się.

– Kto ich tam wie, kacapskich pacholków. Przepisy o stanie wojennym to dla nich niezłe pole do popisu. Ciebie, farciarzu, stryjek wyciągnie, a my będziemy pewnie kopać rowy na Żuławach... – westchnął.

– A gdzie tam wyciągnie. – Wzruszyłem ramionami. – Trzęsie się o stołek.

– Jak ktoś wlaź już tak wysoko, to stołek ma przykręcony śrubami do dupy. Nie martw się. Trzech dni nie posiedzisz i puszcza.

W drzwiach stanął wachman.

– Z rzeczami! – warknął do mnie, a potem zaciekawiony spojrzął na ścianę. – O kurwa! – wykrztusił.

Przemek rysował naprawdę świetnie, realistycznie, z dbałością o szczegóły. Na obrazku poniżej obrazoburczego napisu towarzysz Lenin chędożył naszego drogiego rzecznika rządu. Idąc korytarzem zdążyłem jeszcze usłyszeć wrzaski pałowanego przyjaciela... Wypuszczono mnie kwadrans później. Podpisałem tylko oświadczenie, że będę się stawiał na każde wezwanie. Byłem wolny. Stryjek siedział przed komendą w swoim czarnym służbowym volvo, wbity w równie czarny garnitur. Członek KC PZPR...

– Znowu się wpieprzyłeś – warknął. – Dziadek uczciwy komunista, ojciec też członek partii, a ty...

– Solidarność to spontaniczny ruch robotniczy – odparłem beczelnie.

– Solidarność to banda warcholów, paraliżująca nasz kraj za pieniądze CIA! – syknął. – Takich naiwniaków jak ty posyłają zomowcom pod pały, a sami siedzą, żrą ananasy z puszki i dolary w piwnicach liczą.

Tak, oczywiście, a rewanżyści z RFN przysyłają im karabiny maszynowe w paczkach żywnościowych. Miałem szaloną ochotę się odgryźć, ale w ostatniej chwili zrezygnowałem. Ostatecznie zaryzykował swoją opinię, żeby mnie wyciągnąć.

Stryjek ruszył z piskiem opon.

– Twoje szczęście, że cię lubię – mruknął – choć kompletnie nie wiem za co. Teraz mnie posłuchaj. Twój koleś odsiedzą swoje cztery-osiem i jadą. Jedni do woja, inni na prowincję rowy kopać. Naczalstwo uznało, że pora, by tacy jak wy

poznali realia pracy prostych robotników. Pomachacie łopatami, to wam wywietrzą z głowy trockistowskie mrzonki.

– A ja?

– Całkiem wykręcić od nakazu pracy się nie udało, to załatwiłem przydział w Warszawie. W Teatrze Wielkim będziesz robił. Jak zmadrzejesz, to mi podziękujesz.

– Dziękuję.

– Jeszcze nie zmadrzałeś. – Skrzywił się. – Tu trzeba lat ciężkiej pracy wychowawczej i obróbki ideologicznej. Skąd taka czarna owca w naszej rodzinie? – zastanawiał się na głos. – Sąsiedzi Głos Ameryki puszczali, jak matka w ciąży była, czy ki diabeł?

Jak na twarogłowego przedstawiciela najczerniejszego komunistycznego betonu, zaskakująco często demonstrował swoją wiarę w przesady.

– Ale i tak dziękuję. W jakim przedstawieniu będę grał? – zaciekałem się.

– Ocipiałeś?

– No bo... skoro zawodowi aktorzy ogłosili bojkot, to pomyślałem, że trzeba uzupełnić zespół i...

– Dureń! – w jego ustach ten epitet zabrzmiał niemal pieszczotliwie. – Ty wiesz, jakie trzeba mieć umiejętności, żeby się tam załapać choćby na statystę? Myślisz, że rok zbijania bąków w licealnym teatrze amatorskim dał ci choćby cień potrzebnych... – Machnął ręką.

– To co będę robił? – zapytałem ostrożnie.

– Masz za sobą prawie połowę pierwszego roku historii. Będziesz konsultantem do spraw merytorycznych. I ciesz się, że w kamasze nie pójdziesz.



Bywałem w Teatrze Wielkim kilka razy. Oczywiście jako widz. Od kuchni nigdy nie było okazji zajrzeć... Punktualnie o ósmej rano stawilem się przy piątej portierni. Czekał tu na mnie jeden z licznych w tej instytucji kierowników technicznych. Podałem swoje dane portierowi i otrzymałem przepustkę. Następnie nowy zwierzchnik poprowadził mnie długim korytarzem do wind. Wjechaliśmy na górę. Jeszcze kilka minut marszu i stanęliśmy na miejscu.

– To wasze biuro. – Kierownik pchnął drzwi klitki.

Rozejrzałem się po wnętrzu. Na umeblowanie składały się biurko, zakurzone krzesło oraz czarny telefon z ebonitową słuchawką, pozbawiony tarczy. Na ścianie wisiał spłowiały kalendarz sprzed dwu dekad. Lamperie pociągnięto burą olejną farbą. Przytulnie jak na tym komisariacie, gdzie spałowali mnie po raz pierwszy.

– Będziecie siedzieli tutaj od ósmej do szesnastej. – Mój nowy zwierzchnik wskazał krzesło. – Chyba że chcecie półtora etatu, to do dwudziestej. Jeśli

będziecie potrzebni, telefon zadzwoni. Jest podczepiony do wewnętrznej sieci, nie można uzyskać połączenia na miasto. Zresztą i tak nie ma tarczy, żeby wykreślać numery. Przerwa obiadowa od trzynastej do trzynastej trzydzieści, stołówka dla pracowników jest na piątym piętrze, tu macie karnet na posiłki... Etat?

– Wezmę półtora.

Nie miałem kompletnie nic do roboty w domu, a parę groszy więcej się przyda.

– W takim razie przysługuje wam pełne wyżywienie: drugie śniadanie, obiad i kolacja. I skombinujcie sobie coś do poczytania – poradził życzliwie. – Bo wasz poprzednik zanudził się na śmierć.

– Proszę?

– Tak mu odbiło, że w kotłowni do pieca skoczył. – Znacząco przeciągnął palcem po gardle i zachichotał nerwowo.

Wyszedł. Zaraz przyszła sprzątaczką. Obrzuciwszy mnie niechętnym spojrzeniem, zabrała się do mycia okna. Promień światła po raz pierwszy od lat przedarł się przez szybę i wpadł do środka... Nie zmieniając ściery, przejechała po siedzeniu krzesła i blacie biurka, a następnie, mamrocząc pod nosem jakies groźby, wyszła.

Zostałem sam. Woń detergentu i zgniłej szmaty kręciła mnie w nosie. Telefon milczał jak zaklęty. Usiadłem na krześle. Wstałem. Popatrzyłem przez okno. Wychodziło na małe wewnętrzne podwórko. Przed sobą widziałem tylko sparszywiałą ścianę innego skrzydła budynku.

Pociągnąłem uchwyt szuflady. Była prawie pusta. Leżała w niej jedynie książka po rosyjsku o historii kostiumu teatralnego. Przekartkowałem ją i odłożyłem na miejsce. Na szczęście w teczce miałem gazetę.



Po trzech dniach czytania monografii naukowych poczułem, że umysł mi odkotwicza. Tkwiłem tu jak puszczyk w dziupli. Zapomniany, niepotrzebny. Telefon milczał, nikt nie pukał do drzwi. Zorientowałem się też, że aparat nie był podłączony do żadnej wewnętrznej sieci. W ogóle nie miał kabla...

Porażony tym odkryciem najpierw długo kłamię w żywy kamień. Potem ruszyłem zwiedzać.

Teatr... Kto go zaprojektował i zbudował? Po co taki wielgachny? Gargantuiczny budynek, idiotyczny płód gigantomanii architekta... Miasto w mieście. Dwie kondygnacje piwnic, parter, dwa piętra, których w ogóle nie liczone, bo poziom zero wyznaczała dopiero scena. Wyżej pięć pięter. Jednak i to nie było wszystko, bowiem windy ewakuacyjne jeździły na ponad dziesięć różnych poziomów. Zacząłem się zastanawiać, jaka była powierzchnia tych



wszystkich scen, szatni, pracowni, magazynów? Dziesięć hektarów pod dachem?

Wjechałem windą na piąte piętro. Jeden korytarz, wyłożony dywanem, prowadził do biur i stołówki. Powędrowałem drugim, wąskim, ale wysokim. Drzwi rozmieszczono z rzadka. Wszystkie były zamknięte, na żadnych nie namalowano choćby numeru. Jedne, umieszczone po prawej, ustąpiły nieoczekiwanie, odsłaniając ciemną klatkę schodową. Kolejne, po lewej, też dały się otworzyć. Zajrzałem. Zobaczyłem kotły pełne bulgoczących kolorowych cieczy. Nad nimi suszyły się tkaniny, technicy uwijali się wśród gryzących oparów. Farbiarnia? Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Doszedłem do zakrętu korytarza. Za nim znajdowały się szare, wielkie wrota prowadzące do stolarni. Aż się w pierwszym momencie przestraszyłem, usłyszawszy wizg maszyn. W powietrzu wisiał pył, wszędzie leżały przyprószone trocinami stopy drewna. Pomiedzy nimi dojrzałem schodki prowadzące gdzieś w górę. Cofnąłem się do znalezionej wcześniej klatki schodowej.

Wspiąłem się o poziom wyżej. Wyszedłem na wielką okrągłą salę. Była wysoka na dwie kondygnacje, obiegała ją galeryjka. Chyba znajdowałem się dokładnie ponad widownią. Na podłodze suszono tu jakieś elementy dekoracji, woń olejnej farby i pokostu kręciła w nosie. Odszukałem następną klatkę schodową, wdrapałem się tam i znów trafiłem na długie korytarze, wzdłuż których rozmieszczono drzwi z matowymi szybami. Pachniało kurzem. Odniosłem wrażenie, że nikt nie był tu od bardzo dawna. Zszedłem piętro niżej. Znalazłem pomieszczenie, gdzie grupka ludzi o wyglądzie studentów malowała fałszywą ścianę wykonaną na drewnianym stelażu. Potem zagłębiłem się w kolejny ciemny, choć wysoki i szeroki korytarz. Pod ścianą złożono feretrony używane widocznie w jakimś przedstawieniu. Stał tu też wózek, a na nim wielka atrapa martwego byka, zapewne z przedstawienia „Carmen”. W półmroku zwierzę wyglądało bardzo realistycznie.

Skądś z daleka echo przyniosło odgłos kroków. Znak, że jednak gdzieś tam chodzą ludzie...

Za zakrętem umieszczono windy towarowe o udźwigu trzech i pięciu ton. Jeśli malarnia dekoracji znajdowała się nad widownią, to prawdopodobnie te windy, odległe od niej o kilkadziesiąt metrów, pozwalały dowozić cięższe rekwizyty niemal prosto na scenę.

Czyli mniej więcej wiedziałem, w którym miejscu się znajduję. Jonasz w brzuchu wieloryba... Korytarz skończył się ślepo. Zawróciłem, by odnaleźć schody na piąte piętro. Niestety, okazało się, że to nie takie proste. W żaden sposób nie oznaczyłem drzwi, przez które wszedłem, i teraz rozpoznanie właściwych wymagało nie lada wysiłku. Znowu znalazłem się w okrągłym pomieszczeniu z galeryjką. Kroki zbliżały się. Spojrzałem. Balkonikiem szły

dwie kobiety w balowych kreacjach. Jedna z nich dźwigała belę tkaniny.

– Spokojnie – rozkazałem sam sobie. – To nie labirynt. Jeżeli nie wydobędę się samodzielnie, poczekam, aż ktoś będzie przechodził, i zapytam o drogę.

Zabrałem się do sprawdzania wszystkich zakamarków i oczywiście trafiłem na wyjście. To były inne schody niż te, którymi tu zawędrowałem, ale liczyło się tylko jedno – prowadziły w dół.

Odnalazłem moje biuro po trzygodzinnej nieobecności. Szary paproch, który zostawiłem na kłamce, leżał na swoim miejscu. Czyli nikt nawet nie przyszedł sprawdzić, czy „pracuję”.

Po pierwszej wyprawie na górne kondygnacje miałem lekki przesyt wrażeń... A jednak nieznanne kusiło.



Mijał drugi tydzień pracy. Nawet sobie jakoś radziłem. Potrafiłem już dotrzeć z parteru do mojej pakamery. Ba, umiałem wydostać się na zewnątrz. Znalazłem nawet drugą z trzech stołówek.

Był ponury, ciemny styczniowy wtorek. Po wczorajszym dniu bezmięsnym dziś zaserwowano doskonały gulasz, do tego kartofle i buraczki. Żarcie jak w rządowym ośrodku wypoczynkowym, do którego kiedyś zabrał mnie stryjek.

– To ty? – usłyszałem jakiś znajomy głos.

Oderwałem wzrok od talerza.

– Norbert? – zdumiałem się.

Znałem obrzydliwca aż za dobrze. Chodziliśmy do tej samej podstawówki, ponownie spotkaliśmy się w liceum, był ode mnie dwa lata starszy. Nieuleczalny, obleśny erotoman. Nieproszony usiadł na wolnym krześle obok.

– Co tu porabiasz? – zagadnął.

– Ukrywam się przed życiem – odparłem – i przy okazji z polecenia najwyższych czynników poznaję dogłębnie pracę prostego robotnika, co ma mnie wyleczyć z obsesyjnie negatywnego stosunku do panującego w Polsce ustroju sprawiedliwości społecznej. A ty?

– Drobnie zawirowanie w życiorysie – westchnął.

– Syfilis cię trafił? – zainteresowałem się.

– Tfu! Odpukaj. – Chyba autentycznie się przestraszył. – Tylko tego mi jeszcze brakowało. Też nakaz pracy dostałem – powiedział jakby niechętnie. – Przy kostiumach, sitodruk robię. A za parę tygodni idę w kamasze.

– Fiu...

To mu się noga powinęła. Zresztą „zaszczytny obowiązek służby wojskowej” w każdej chwili i mnie mógł spotkać.

– Na szczęście od razu na podoficera politycznego idę.

– Coś narozrabiałeś?

– A, szkoda gadać. – Machnął ręką. – Wiesz, przespałem się z taką jedną.

Nic nowego. Podrywał wszystko, co się ruszało. Obmacywał te, które nie dały się poderwać. Parę razy oberwał za to po facjacie, ale wcale go to nie zrażało. Zdumiewała mnie liczba jego podbojów. Czy tych wszystkich dziewczyn nie raził jego prostacki język i maniery jak u absolwenta zasadniczej budowlanej?

– To chyba u ciebie normalne – zakpiłem.

– No, niby tak. Wiesz, jestem wrogiem konwenansów i przesądów. Ale jej ojciec podszedł do sprawy z typowo burżujską moralnością... I mam przerąbane.

– Szycha?

– I to jaka! Nomenklatura najwyższego szczebla, Komitet Centralny... No i on mnie tak załatwił – rozżalił się. – Nakaz pracy i duuuupa. Nie dość, że zapieprzam na półtora etatu, to jeszcze często dostaję nocki. Nijak kontynuować obiecującego romansu.

– Na nocki? – zdziwiłem się. – Przy kostiumach?

– Toż mówię. Pracy jest tyle, że nie wyrabiamy. Po szesnaście godzin ludzie przy sitach stoją.

– Ale po co?

– Jak to: po co? – zirytował się. – Nie wiesz, po co w teatrze są kostiumy?

– Ale przecież nie ma teraz przedstawień, aktorzy ogłosili bojkot i w ogóle...

– Przedstawień nie ma – zniżył głos – ale kostiumy szykujemy. I to na wagony dosłownie. Bojkot niby ogłosili, lecz próby trwają. Podobno – puścił oko – będzie za dwa miesiące przedstawienie galowe. Premiera. Na imieninki.

– Imieninki? – nie zrozumiałem.

– No, pomyśl sam. Przecież Pierwszy też kiedyś świętuje. No więc jest grupa aktorów...

– ...którzy chcą na imieniny Jaruzela wystawić balet. – Uśmiechnąłem się. – Zapewne w tajemnicy przed kolegami.

– Nie w tajemnicy, tylko aby pokazać władzy, że nie wszyscy przesiąkli duchem anarchii. I że jakby co, to oni są lojalni, zwarci, gotowi, szczególnie do wzięcia podwyżki, wczasów zakładowych i tak dalej – zachichotał.

– Czyli liczą, że władza ich za to odpowiednio dopieści. – Pokiwałem w zadumie głową.

– No, ba... Czas na mnie. – Rzucił okiem na masywny radziecki zegarek. – Jakbyś miał chwilę, zapraszam w odwiedziny. Górna malarnia kostiumów, poziom szósty. Zobaczysz, co robimy.

– Jasne.

Poszedł sobie.



Błąkałem się po korytarzach. Czytanie po dziesięć godzin dziennie męczyło, więc co jakiś czas szedłem rozprostować kości. Napawałem oczy sekretami teatru. Oglądałem próby, zaglądałem do sal, gdzie baletnice ćwiczyły przed lustrem... Tego dnia też łąziłem bez celu, gdy nieoczekiwanie prawie wpadłem na zjawiskowo odzianego człowieka. Aktor w swoim kostiumie wyglądał jak typowy kresowy szlachciura. W kontuszu, z szablą u boku. Minał mnie obojętnie, szedł szybko czymś zaaferowany. Wezwał windę i zjechał w dół.

Dziwne, pomyślałem. Przecież jest bojkot... Aktorzy nie występują, przedstawienia zawieszono. Czyżby to był jeden z łamistrajków? Imieninki i tajemnica państwowa. Pewnie na scenie trwa próba.

Postanowiłem chociaż popatrzeć.

Zaplecze od widowni oddzielone jest bardzo starannie. Ostatecznie po co widzowie mają błdzić i oglądać teatr od kuchni? Bariera działa, niestety, w obie strony. Ale kto powiedział, że przedstawienie trzeba oglądać z widowni?

Scena Teatru Wielkiego jest ogromna. Na ścianach, ukryte za kulisami, znajdują się pomosty techniczne. Stamtąd podczas przedstawień emituje się sztuczne dymy, kolorowe światła i inne takie miłe dodatki. Pomosty ciągną się aż pod dach. W sumie jest ich siedem.

W poprzek, na wysokości pięciu i siedmiu pięter, nad deskami sceny biegną dwie kładki techniczne z wąskich stalowych kratownic. Widz nie ma szans ich dojrzeć, ponieważ zasłania je ta część kurtyny, która normalnie się nie podnosi. Oczywiście, oglądanie stąd czegokolwiek ma swoje mankamenty. Głównym jest ten, że patrzy się z góry. Drugi, że obok gry aktorów widać techników kręcących się cały czas za kulisami... Trudno, coś za coś.

I właśnie na tę niższą kładkę wlałem, by popatrzeć sobie na próbę. Niestety, zawiodłem się. Na scenie zamiast szlachty zobaczyłem jakąś kobietę odzianą w pseudoegipski strój. Czyżby planowano wystawiać „Aidę”? W każdym razie człowiek, którego minąłem, bardziej pasował do „Strasznego dworu” Moniuszki niż do podziemi egipskich grobowców.

Rozczarowany zostałem jeszcze chwilę, zastanawiając się, co robić dalej. W końcu zrezygnowany postanowiłem wrócić do swojej kanciapy.



Drzwi otworzyły się zupełnie znienacka. Oderwałem wzrok od książki. Inspekcja, czy może wreszcie jakieś zlecenie? Nie, na szczęście to tylko sprzątaczką. Ta sama kobiecina w fartuchu, z burą szmatą na wyliniałej szczotce...

– Nogi, niech se kierownik nogi podniesie, to podłogę przetrę – powiedziała życzliwie.

Przełożyłem stopy na biurko.

– Jeszcze nie zwariował? – Spojrzała na mnie i puściła oko. – Ja to bym tak nie mogła czytać cały dzień. Co gazetę przejrzę, to głowa boli. A i poprzednik też widać nie mógł.

– Co się z nim stało? – zadałem dręczące mnie pytanie.

– Z kim?

– No z tym, co tu pracował przede mną.

– A... Tak samo go załatwili – mruknęła sprzątaczką. – Siedź i czekaj, aż telefon zadzwoni, powiedzieli. No to siedział i siedział, palma mu odbijała... Najpierw zaczął łązić po korytarzach bez celu, potem zapuszczał się coraz dalej. Pytał o stare plany budynku, wreszcie przycichł i pewnego dnia po prostu to zrobił.

– Jak? Słyszałem coś, że się spalił.

– Znaleźli jego buty i ubranie poukładane w kostkę w kotłowni. Koło zsypu węgla do pieca. Wskoczył ani chybi prosto w palenisko... Milicja kazała wygasić i wygarniali żuźle, ale tylko stopiony zegarek po nim został. Świeć Panie nad jego duszą – westchnęła.

Zirytowałem się. Co to, u licha, za bzdura!?! Ktoś miałby ot tak wskoczyć do pieca? A może... Morderstwo? Nie, skoro milicja zbadała sprawę... A może kryją sprawcę? Też bzdura. Jakby SB chciała kogoś stuknąć, a potem upozorować samobójstwo, to przecież nie w ten sposób. Zbyt grubymi nićmi szyte. Dobrze, przyjmijmy, że to było samobójstwo. Tacy desperaci zazwyczaj zostawiają po sobie listy. Może znaleźli i stąd wiedzieli?

Nawet nie miałem z kim o tym porozmawiać. No niezupełnie, był ten głupek Norbert. Oczywiście, nie zamierzałem go odwiedzać. Mierzył mnie. Chamski język, prostackie maniery. Po cholere w ogóle z takim gadać?

Nie przewidziałem, że po prostu do mnie przyjdzie. Studiowałem akurat historię Rusi Kijowskiej, gdy stanął w drzwiach. Wlazł oczywiście bez pukania.

– Fiu, fiu. – Rozejrzył się. – To tu się pan konsultant dekuje... Jak przytulnie – zakpił.

– Cóż cię sprowadza?

– Nie wpadłeś w odwiedziny, to wydedukowałem, że nie umiesz trafić. Labirynt to przecież nielichy. Zbieraj się, zgodnie z partyjnym zaleceniem obejrzysz życie prostych robotli. Bo z za biurka to raczej ci się nie uda.

– Teraz?

– No chodźże. – Odwrócił się na pięcie. – Przecież widzę, że nie masz nic pilnego do roboty. „Borysa Godunowa” na razie nie planują u nas wystawiać.

Powlokłem się za nim do stolarni. Jak się okazało, schodki, które widziałem w czasie pierwszej wyprawy, prowadziły do korytarza z bykiem. Następnie trafiliśmy do znajomej mi już okrągłej sali, a potem przez drzwi z płyt

matowego zbrojonego szkła, osadzonych na stalowym stelażu, weszliśmy do malarni.

– Nie będę przeszkadzał?

– Właż, przerwa jest.

Zobaczyłem kilkanaście stołów pokrytych cienką tkaniną bawełnianą. Na niej leżały spore aluminiowe ramy. To chyba były te sita... Nie miałem wcześniej nigdy do czynienia z sitodrukiem. Tylko słyszałem, że taka technika istnieje.

– Zobacz. – Podniósł ramię.

Na stole położył kawałek tkaniny, chyba plecy od czegoś. Następnie przygniótł ramą.

– To jest taka gęsta tkanina, a tu ma wypalone wzorki. – Pokazał. – Jak się całość przeciągnie raszplą...

Narzucił gęstej, kluchowatej błękitnej farby, a potem czymś w rodzaju wycieraczki zaciągnął całą powierzchnię.

– I teraz patrz, tam, gdzie jest wzór, przechodzi przez osnowę. – Podniósł sito.

Na szmatce został niebieski szlaczek.

– To farba termoutwardzalna – wyjaśnił. – Trzeba ją jeszcze nagrzać w piecyku.

Po chwili oglądałem gotowy wyrób.

– Coś jakby plastik. – Poskrobałem wzór paznokciem.

– O to pytaj raczej teatralnych chemików. – Wzruszył ramionami. – Ja tylko robię to, co mi kazali.

– Co dzieje się dalej z taką tkaniną?

– Powstają z niej kostiumy. Dostajemy te detale z farbiarni, nakładamy wzór i odsyłamy do szwalni. To, co z daleka wydaje się haftem, w rzeczywistości jest robione przez nas – powiedział z dumą. – Co się krzywisz, teatr to sztuka oszustwa.

Zauważył, że miałem już dosyć.

– Trafisz na dół? – zaniepokoił się.

– Chyba tak – odparłem niepewnie.

– Odprowadzę cię, tu jeszcze będzie z pół godziny przerwy.

Szliśmy korytarzem, gdy zza zakrętu wyszła para aktorów w strojach. Starszy facet w peruce, ze szpadą u boku i drobna blondynka około trzydziestki, w kapeluszu z woalką. Minęli nas, milcząc. Mój towarzysz odprowadził ich wzrokiem.

– Ciekawe, zwykli ludzie czy tamci – mruknął.

– Tamci?

– Widzisz – powiedział Norbert – krążą takie głupie legendy...  
– Legendy? – podchwyciłem.  
– Taaa... – zamilkł jakby speszony.  
– Upiór w operze? – zażartowałem. – Chyba nie o to ci chodzi?  
– Co do upiora, to chyba faktycznie nie istnieje – zgodził się. – Choć oczywiście głowy nie dam. Jak się tu dłużej popracuje, nic nie jest już takie oczywiste.

Przez chwilę milczał.

– Ludzie... – powiedział wreszcie. – Starzy teatralni wyjadacze opowiadają, że tu żyją ludzie.

– Jacy ludzie? – nie rozumiałem. – To chyba normalne, że jesteśmy żywi i *homo sapiens*...

– Wyobraź sobie ludzi, którzy tu mieszkają. Którzy nigdy nie wychodzą na zewnątrz. Którzy rodzą się tu i umierają, pokolenie za pokoleniem. A może i nie umierają.

– Jaja sobie robisz. Pokolenie za pokoleniem? Ile ten teatr ma lat?

– Tylko cytuję – burknął. – Dwie enklawy. Dwa klany starte w walce. Jedno terytorium wspólne. Teatr....

– Enklawy?

– Obszary budynku, których nie ujęto na planach. I raczej nie należy ich szukać.

– I skąd niby mieliby się tu wziąć tajemniczy mieszkańcy?

– Ponoć ich przodkowie ukryli się tu we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Weszli w trzewia budynku i zorientowali się, że nie są sami. Tamci byli starsi. Osiedli tu w tysiąc dziewięćset piętnastym, może nawet wcześniej. Obie grupy nigdy się nie pogodziły. Od czasu do czasu udowadniają sobie, kto jest lepszy. Tak przynajmniej mówił mi pewien staruszek pracujący w kotłowni.

– To idiotyzm.

– Dlaczego?

– Tia... Mieszkają sobie ludzie w teatrze. I sądzisz, że nikt by nie zauważył?

– Jedni pracownicy wiedzą, inni mają to w dupie, a jeszcze inni nie wierzą i nie chcą widzieć tego, co oczywiste. Trzy tygodnie temu do pracy przy sitodruku przyszła nowa dziewczyna. Ładniutka, rasowa samiczka, tylko rwać. No to się zainteresowałem. A potem nagle przestała się zjawiać. Ot, jednego dnia była, drugiego nie.

– Dobierałeś się do niej? – za późno ugryzłem się w język.

Niestety, nie obraził się.

– Oj tam, dobierałem. Trochę ją capnąłem za tyłek. No wiesz, kupa dziewczyn udaje świętoszki, ale drobne masowanko i nabierają ochoty. Nie

sądziłem, że jest taka niedotykalna. I, kurde, kamień w wodę.

– Niektóre tego nie lubią.

– Co? – Spojrzał na mnie zdumiony. – Czego?

– Obmacywania.

– Głupiś. Możesz uwierzyć mojemu doświadczeniu. Lubi każda, tylko różnie mają sfery erogenne umieszczone i zabrałem się za nią od niewłaściwej strony. Trza było po cyckach posmyrać, ale zostawiłem je sobie na deser...

– No to wystraszyłeś ją i rzuciła robotę – warknąłem. – Czego jeszcze byś chciał?

– Wymyśliłem legendę, że mam jej płytę oddać, poszedłem do kadr. I co? Figa, nikt o takim nazwisku nigdy nie pracował w teatrze. Poszedłem do kierowniczkii, pociągnąłem za język. Tu się zaczynają najlepsze jaja. Bo wiesz co? Ustaliłem, że zadzwonił do niej dyrektor Grabko z departamentu kierunków strategicznych i polecił zatrudnić. No to ja z powrotem do działu kadr ustalić, gdzie go w tym labiryncie szukać, bo pomyślałem, że jak dzwonił, to pewnie jakaś jego znajoma. A tam mi mówią, że nie znają żadnego dyrektora Grabki, a o takim departamencie nawet nie słyszeli. Jakby tego było mało, na drugim piętrze znalazłem jego biuro. Tabliczka na drzwiach, nazwa departamentu, nazwisko dyrektora, wszystko w porządeczku. Tylko zamknięte na głucho i żadnego śladu w papierach, że taka komórka w ogóle istnieje.

– Bałagan mają?

– Jasne. Widziałeś taki bałagan, żeby zgubić dyrektora razem z całym podległym mu pionem?

– Hmm...

– Co najśmieszniejsze, wyobraź sobie, znalazłem tę dupę. Prawie znalazłem. Skrzywiłem się w duchu. „Dupa”, jak można tak mówić o dziewczynie!?

– To w końcu znalazłeś czy nie znalazłeś?

– Wypatrzyłem ją z góry, z kładki technicznej. Płasała sobie na scenie podczas próby. No to zacząłem się koło portierni. I wiesz co?

– Nie wyszła?

– Właśnie. Kwadrans przed godziną milicyjną się zmyłem, dobrze, że nocną przepustkę mam.

– Tu jest pięć portierni. Mogła też wyjść głównym wyjściem – zauważyłem.

– No, niby tak – zgodził się niechętnie. – Ale mam przeczucie, że się przyczaiła i wyjdzie z kryjówki, dopiero gdy przestanę tu pracować.

– No, to może trochę potrwać.

– Gdzie tam – parsknął. – Przecież niedługo biorą mnie w kamasze.

Pokiwałem głową, udając smutek.

– Rozejrzyj się za nią – poprosił. – Niewysoka, ciemne oczy i włosy. Czesze



się w koński ogon i używa jaśminowych perfum. Od razu ją rozpoznasz.

Stanęliśmy właśnie przed moimi drzwiami.

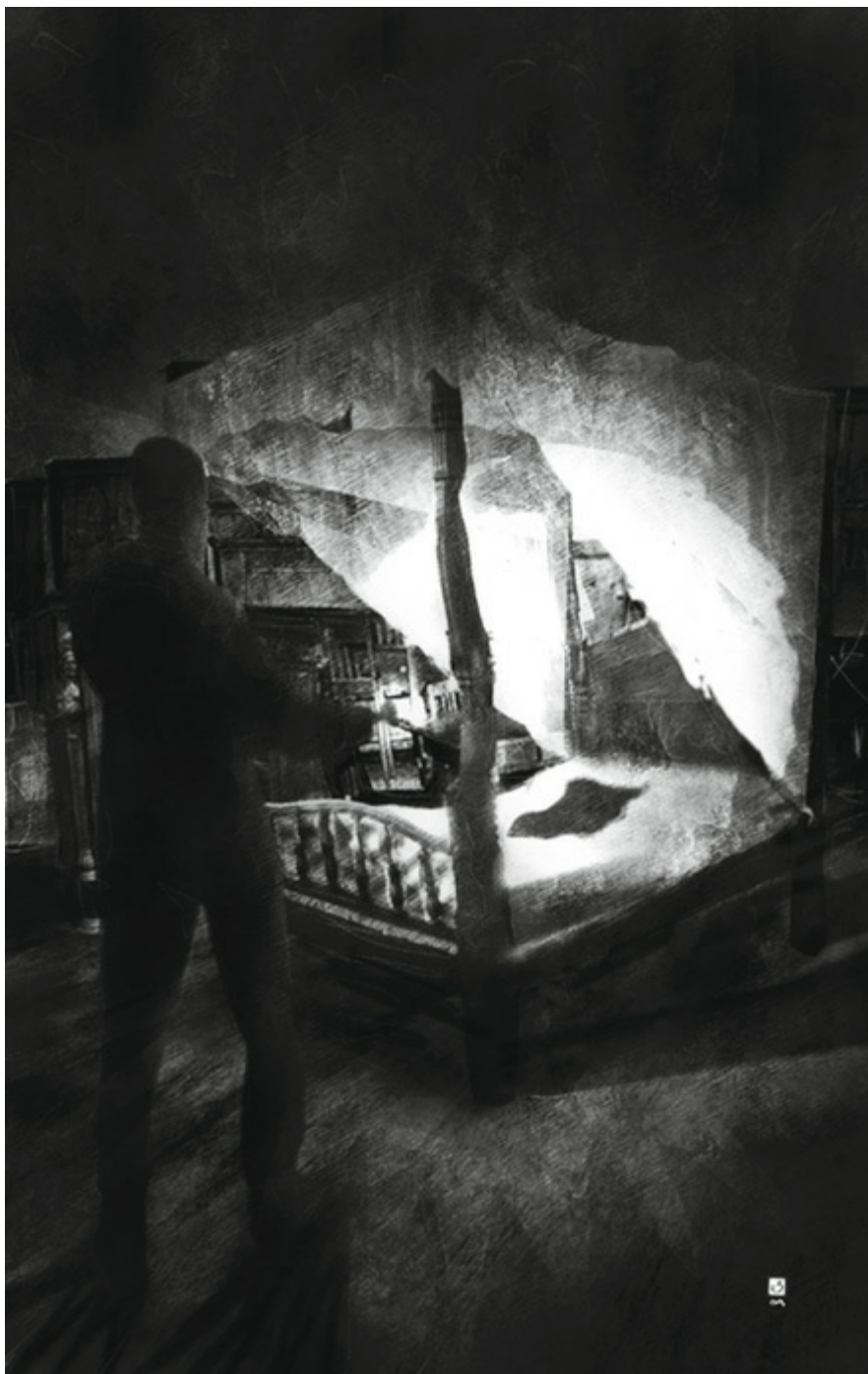
– I stanowczo twierdzisz, że to członkini klanu zagadkowych dzikich lokatorów żyjących w tych murach? – spytałem tonem doświadczonego psychiatry, który niczemu się nie dziwi.

– No – potwierdził.

– To chyba ci szajba odwaliła – odparłem kategorycznie.

– Że co?

– Jak jej będziesz za bardzo szukał, to się wkurzą i możesz skończyć w piecu, jak mój poprzednik – postanowiłem być bezlitosny.



– Przecież milicja ustaliła, że samobójstwo popełnił. – Na szcurzej gębie odmalowało się niekłamanie zdumienie.

Wierz milicji, czubku, zobaczymy, jak daleko w życiu zajdziesz... Pożegnałem go pospiesznie i schroniłem się w biurze.



Nie chciałem się nigdzie włamywać. Nie miałem ochoty nic kraść. Po prostu korciło mnie nieznanne. Co mogły kryć dziesiątki zamkniętych pomieszczeń? Piąte piętro stanowiło w tym budynku jakby granicę ekspansji gatunku *homo*

*sapiens*. Życie teatru, gorączkowa krzątanina koncentrowały się na niższych kondygnacjach. Wyżej była tylko ta malarnia kostiumów i ogromna ilość skąpanych w półmroku korytarzy. Dziś zawędrowałem daleko na zachód od sceny. I znalazłem otwarte drzwi...

Szedłem przez magazyn mebli oczarowany. Czego tu nie było! W większości zwykle atrapy wykonane na potrzeby przedstawień, ale wśród nich, jak rodziniki w cieście, stały także prawdziwe gdańskie szafy, solidne stoły i skrzynie. Oświetlałem je po kolei latarką, oglądałem zafascynowany rzeźbione powierzchnie, gzymsiki i korony... W jaki sposób zebrano tę niezwykłą kolekcję?

Nieoczekiwanie promień światła wydobył z mroku wielkie łożo z baldachimem. Na skotłowanej pościeli leżało coś czarnego. Pochyliłem się i podniosłem jedwabną halkę obszytą koronką. Na metce miała nadrukowany numer ewidencyjny. Dotknąłem dłonią materaca. Był jeszcze ciepły.

Wesoło tu, pomyślałem rozbawiony. Aktorzy lub pracownicy techniczni dogadzają sobie nie dość, że na rekwizytach, to jeszcze w kostiumach...

Jakby na potwierdzenie moich domysłów w ciemności rozległ się odgłos szybkich kroczków. Odwróciłem się odruchowo, snop światła z latarki rozproszył na chwilę ciemności, ale promień zaraz ugrzązł wśród kotar i draperii. Gdzieś za nimi zabrzmiał perlisty dziewczęcy śmiech, a następnie trzask drzwi.

Halka, czy też kusa koszulka nocna, pachniała jaśminem... Rozwiesiłem ją starannie na oparciu krzesła i wyszedłem z magazynu. Czułem zakłopotanie, przeszkodziłem komuś w płomiennym romansie, z drugiej strony byłem też poirytowany... Sam nie wiem dlaczego.



Norberta spotkałem znowu w stołówce nazajutrz przy śniadaniu. Niechciany kumpel dosiadł się do mnie jak zwykle bez pytania. Miał na talerzu kanapki z wędliną i listek sałaty.

– Smacznego – powiedział.

Podziękowałem.

– Coś taki skwaszony? – zapytał.

– Gryzie mnie jedno pytanie – westchnąłem.

– Wal śmiało.

– Zastanawiam się, skąd tu takie świetne warunki pracy? Żarcie na stołówce pierwsza klasa, jakby o kryzysie nie słyszeli. A widziałeś, jakie mydła są w kiosku na dole? W Peweksie takich ze świecą szukać!

– A wiesz, ilu ważnych partyjniaków tu zrobili dyrektorami? Jesteś, stary, w mateczniku komunistycznej arystokracji. Tylko w Sejmie podobnie karmią. Cały ten teatr to jak rezerwat. Ba, co ja mówię, to prawie enklawa komunizmu. I

ceny prawie co komunistyczne.

– Lenin pisał, że w komunizmie nie będzie pieniędzy – zażartowałem.

– Ty kopany reakcjonisto, jeszcze nie dorosłeś, by Lenina łapać za słówka! – syknął.

W pierwszej chwili zmartwiałem, ale zaraz się uspokoilem. Nawet jeżeli ten szcurek naskrobie donos do SB, to za cytowanie Lenina nic nie mogą mi zrobić. I zaraz zobaczyłem, jak się śmieje.

– Co, nastraszyłem cię? – zapytał. – Daj spokój, czy ja wyglądam na ubeka?

– Myślałem o tym, co opowiadałeś mi dwa dni temu – zmieniłem temat. – Ta legenda o ludziach, którzy stąd nie wychodzą... Ja też właściwie zaczynam żyć tylko tutaj. Przychodzę rano, wychodzę wieczorem. Na stołówce jem śniadanie, obiad i kolację. Jeżeli zgłodnieję, za kilka złotych mogę kupić suty podwieczorek. Wracam do domu tylko po to, żeby spać, ewentualnie obejrzeć przed snem telewizję. No i po nowe książki.

– A po cholere?

– Nie wiesz, po co się czyta? – zakpiłem.

– Nie, zastanawiam się, dlaczego chce ci się je dźwigać, przecież jako pracownik masz prawo korzystać z biblioteki.

– Tu jest biblioteka?

– Nie powiedzieli ci? Oczywiście, że jest. Nieduża, na jakieś czterdzieści tysięcy tytułów. Na drugim piętrze, na prawo od wind.

– Czyli wracam tylko spać i oglądać telewizję.

– Jak się uprzesz i olejesz telewizję, w której i tak nic ciekawego nie ma, spać też możesz tutaj. – Wzruszył ramionami. – W magazynie jest łóżek polowych do wypęku. Jak jest nawał pracy w malarni, to pracownicy śpią na miejscu. Przekimają kilka godzin i po przebudzeniu znowu do roboty... Pora na mnie – westchnął.

– Tym razem ja cię odprowadzę – zaproponowałem.

Zostawiłem go pod drzwiami malarni, a sam ruszyłem poznany ostatnio szlakiem. Tajemnica halki dziwnie mnie intrygowała. W magazynie mebli nic się nie zmieniło. Zapaliłem mocną latarkę i spróbowałem odnaleźć tamto łoże z baldachimem. Znalazłem sześć. W czterech była pościel. Stara, pożółkła, zakurzona. Ułożona równiutko. Zagadkowa dziewczyna, która porzuciła koszulkę, wróciła, by po sobie posprzątać.

Do tej pory zakładałem, że nakryłem tu jakąś parkę w ich miłosnym gniazdku, ale teraz naszły mnie wątpliwości. Usłyszeli, jak wchodzę, ubrali się, obiegli mnie po łuku? Bzdura. Więc może dziewczyna spała tu, ubrana w halkę, jeszcze zanim wszedłem, zaczęła się ubierać i słysząc, że się zbliżam, szybko się wymknęła? Czy to możliwe, że nie chcąc wracać na noc do domu, wślizgnęła się

do otwartego magazynu i postanowiła przespać się w królewskim łożu? A tu ja, konsultant merytoryczny za dychę, jak ostatni cham wpakowałem się z latarką do sypialni damy... Czy słyszałem tupot jednej pary nóg czy dwu? Obutych czy bosych? Diabła tam.

Wróciłem na korytarz, aby zbadać pozostałe drzwi. Niestety, żadne nie były otwarte, więc zawróciłem na dół. Nieoczekiwanie zapragnąłem znaleźć się wśród ludzi.



Przyjmijmy, że mam ochotę popełnić samobójstwo – rozważałem. – Albo że na przykład wiem, iż zagadkowi mieszkańcy teatru chcą mnie zgładzić. Co wtedy? Ostrzegam mojego ewentualnego następcę, zostawiam mu list, wskazówkę... Cokolwiek. Tylko gdzie? Pod doniczką?

Parapet był pusty. A biurko? Wysunąłem szufladę, a potem wpełzłem pod mebel. Eureka! Od spodu szuflady przylepiono plastrem stary klucz. Odkleiłem go i obejrzałem uważnie. Nie klucz. Wytrych raczej... Położyłem narzędzie na stole i popatrzyłem nań zadumany. Wytrych miał swoje lata. Powierzchnia metalu poczerniała i zbrązowiała. Jedynie przy skrzydełku widać było świeże otarcia. Sądząc z kształtu, powinien pasować do większości starych zamków.

Najpierw sprawdziłem drzwi mojego biura. Z pewnymi problemami sforsowałem mechanizm. Pomyślałem o dziesiątkach zamkniętych na głucho pomieszczeń na najwyższych kondygnacjach. Postanowiłem sprawdzić je zaraz po obiedzie. Dziś w stołówce był schabowy z frytkami. Na szczęście, tym razem nie spotkałem Norberta. Gdy już się najadłem, ruszyłem na wyprawę badawczą. Zapuściłem się w długi korytarz, równoległy do tego, w którym leżał martwy byk. Dotarłem do zakrętu. Zamiast wind była tu ściana, a w niej drzwi z dość starym zamkiem. Użyłem znalezionej wytrycha.

W pomieszczeniu panował półmrok, brud dawno już zarósł okna. Kiedyś była tu stolarnia, może modelarnia. Do stołów poprzykręcano potężne stacjonarne imadła, podłogę zaścielała warstwa wiórów i trocin. Jakies deski i sklejki oparto o ścianę. Wszystko poszarzało ze starości. Na narzędziach leżała warstwa kurzu. Sądząc z intensywnego charakterystycznego zapachu, myszy miały tu używanie.

W kącie odkryłem szyb windy towarowej. Żadnego przejścia dalej. Wycofałem się i starannie zamknąłem drzwi. Zagłębiłem się w ciemny korytarz prowadzący gdzieś na zachód. Kolejne drzwi. Pokonałem je i stanąłem na progu rozległej sali.

Magazyn kostiumów? Przecież z tego, co pamiętałem, umieszczono go dużo niżej. Zapasowy magazyn kostiumów? Setki rozmaitych ubrań, zakurzonych i zetlałych, wisiały na wieszakach. Oglądałem niekończące się rzędy sukien,

żupanów, mundurów. Hafty były w większości prawdziwe, nie namalowane... Nim dotarłem do końca magazynu, rozkaszałem się. Kurz, lawenda i naftalina tworzyły mieszanekę zabójczą dla płuc. Zanim katar ostatecznie zatkał mi nos, poczułem jeszcze słabą, ledwo uchwytną woń jaśminu.



Bibliotekę urządzono w korytarzu. W czasie jakiejś przebudowy przestał być potrzebny, prawdopodobnie zmienił się układ ciągów komunikacyjnych. Pomieszczenie było wysokie na co najmniej pięć metrów, szerokie najwyżej na dwa. Po wstawieniu regałów pozostało niewiele miejsca. Bibliotekarza nie zastałem, ale stojąca na biurku herbata była jeszcze ciepła. Może poszedł gdzieś w głąb?

Ruszyłem naprzód. Książki, setki i tysiące książek, woń starego papieru, pleśni, stęchlizny... Dotarłem do rozwidlenia korytarza. Księgozbiór ciągnął się w prawo i w lewo. Pojedyncze żarówki o mocy najwyżej trzydziestu watów dawały niewiele światła. Poszedłem, jak mi się zdawało, w stronę sceny. Jakieś dwadzieścia metrów dalej korytarz zakręcił i skończył się ślepo. No, prawie ślepo. W ścianie za regałami znajdowały się niewielkie drzwiczki.

Nacisnąłem klamkę. Nie ustąpiły.

– Szkoda się szarpać – usłyszałem za sobą. – Klucze też dawno zgubiono.

Bibliotekarz był zasuszonym staruszką, który dawno już chyba osiągnął wiek emerytalny. Wymieniliśmy uścisk dłoni. Powiedziałem mu, czego szukam.

– Plany teatru? – zdziwił się. – Nie ma. To znaczy są. W głównym korpusie budynku na każdym piętrze wisi plan ewakuacyjny. Ale reszta... – Wzruszył ramionami. – Po co to komu? Niech pan spyta w dyrekcji.

– Przecież ktoś musi robić co jakiś czas inwentaryzację? – drążyłem. – Albo przegląd sieci elektrycznej?

– Główne magistrale puszczono po ścianach. Ale i tak nie ma potrzeby ich sprawdzać. Wszystko działa bez zarzutu, choć instalacja pamięta czasy pierwszych żarówek. Położono ją jeszcze za cara Mikołaja.

– To jakaś bzdura! Przecież tak stare kable... Zresztą teatr palił się w czasie wojny.

– Nie cały przecież spłonął. A widziałeś kiedyś, chłopcze, kabel z tamtych czasów? To jest poezja, a nie kabel – rozmarzył się. – Cieniutkie jak włos miedziane druciki, każdy owinięty nawoskowanym papierem. Wszystko oplecione uszczelnionym kauczukiem płótnem, a potem jeszcze zalutowane w ołowianym płaszczu. Nas już nie będzie, a po nich iskra przebiegnie jak w dniu, w którym je zainstalowano.

– A plany instalacji wodociągowych – nie dawałem za wygraną, puszczając mimo uszu bzdury, które wygadywał bibliotekarz.

– Rury z brązu. – Wzruszył ramionami. – Na razie nie popękały. Jak gdzieś strzeli kolanko czy zawór, to wtedy pewnie wyślą hydraulików. A właściwie po co szuka pan tych planów? – zainteresował się.

– Skoro mam tu pracować, chcę poznać budynek – palnąłem.

– Po co? – powtórzył po raz kolejny. – Ja tu siedzę już dwudziesty ósmy rok i jak do tej pory ani razu nie byłem wyżej niż na piątym piętrze. Nikt nie zna całego tego labiryntu. A może ktoś panu nakładł do głowy jakichś bzdur? – Spojrzał znad okularów. – Jak zaczynałem tu robić, też opowiadano mi to i owo – roześmiał się. – Ale przecież to zwykłe bajki.

– Jak to udowodnić?

– A po co udowadniać? Idiotyizm to idiotyizm i tyle. Większość personelu przychodzi i odchodzi. Jest spora rotacja, bo teatr potrzebuje coraz to nowych fachowców do pracowni. Studenci sobie u nas też dorabiają. Ale zasadniczy trzon ekipy jest od lat ten sam. Nie dałoby się utrzymać takiego sekretu – stwierdził stanowczo.

– No, pewnie nie – przyznałem niechętnie.

Zeby udobruchać staruszka, wypożyczyłem kilka książek historycznych i jedną powieść. Dopiero kładąc zdobycz na własnym biurku, pomyślałem sobie, że przecież starzy pracownicy mogą celowo rozpuszczać różne plotki, by kryć „pasażerów na gapę”, dzikich lokatorów tego gmaszyska.

Ciekawe, czy mój wytrych pasowałby do drzwiczek...



Trzy tygodnie pracy w teatrze minęły jak z bicza strzelił. Liczyłem, że nawet jeśli ubecja poleciała komuś za mną łązić, to pewnie już uspiłem jego czujność. Wyszedłem tego dnia nieco wcześniej. Pora na zabawę w milicjantów i opozycję. Ruszyłem Senatorską. Schodki koło kościoła Świętej Anny były obludzone, ale zdołałem zejść. Złapałem trzynastkę. Był paskudny zimowy wieczór, gdy wysiadłem na pętli przy Kawęczyńskiej.

Na szczęście nie było śniegu... Pora sprawdzić punkty kontaktowe. Minąłem bazylikę i wszedłem do ogródka jordanowskiego po drugiej stronie ulicy. Pusto. Sprawdziłem, czy nikt za mną nie lezie... Koło domu kultury stał stary podwórkowy kibel. Wsunąłem klucz w zamek i przekręciłem. Mimo mrozu smród zwał z nóg. I na to właśnie liczyliśmy. Najtwardszy ubek powinien zwać po minucie. Stałem na przedwojennej, jeszcze żeliwnej muszli i nie zdejmując rękawiczek, sięgnąłem na półkę zawaloną śmieciami. Zdjąłem zardzewiałą skrzynkę. Już w chwili gdy ją podnosiłem, wiedziałem, że nic z tego. Za lekka. Dziś nie znajdę wewnątrz ani ulotek, ani biuletynu, ani nawet taśm z nagraniami...

Zakląłem w duchu. W kasetce nie było nawet meldunku. Niedobrze.

Czyżby wpadła cała siatka w tej dzielnicy? Zamknąłem ubikację i odszedłem, łapczywie oddychając ostrym powietrzem. Pod szkołą minął mnie patrol, dwóch smutnych, przemarzniętych żołnierzy i jeden zadowolony z życia, spasiony milicjant... Na szczęście nie zwrócili na mnie uwagi.

Druga skrytka w zasadzie nie była moja. Grzesiek dał mi klucz tuż przed internowaniem. Wszedłem w bramę starej czynszówki. Koło skrzynek na listy wisiała jeszcze jedna, ozdobiona symbolem Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. Tu powinno coś być. Choćby ulotki czy broszurki do rozrzucenia. Kolejny klucz zgrzytnął w zmrożonym zamku. Niestety. Ona też była pusta. Martwa...

Trzecia... Doszedłem do ulicy Radzymińskiej. Skup butelek był nadal czynny. Ponury zarośnięty drab siedział w swojej kanciapie, okutany w brudny kozuch.

– Czy przyjmie pan na stłuczkę butelki po koniaku? – zapytałem. – Mam setkę sztuk.

Niepotrzebnie męczyłem się z idiotycznym hasłem, rozpoznał mnie.

– Wszystkich wyaresztowali – powiedział półgłosem. – Wpadła też drukarnia.

– Dyspozycje dla mnie?

Pokręcił głową.

– Od tygodni nikogo nie było – rzekł z rezygnacją. – Chyba wszystko dupło. A i dwóch takich się tu kręciło – zniżył głos. – Ale spróbuj znowu wpaść za miesiąc, może coś będę już wiedział.

Nie było sensu się zasiadywać. Wskoczyłem w autobus i pojechałem w stronę cywilizacji. A więc jestem odcięty od siatki. I to chyba definitywnie. Tyle warta ta nasza konspiracja. Wszyscy wyłapani, drukarnie też wpadły... Mimo wszystko trzeba będzie tu wrócić i sprawdzić, czy jednak ktoś ocalał i nawiąże kontakt.



Latarnie palące się połową mocy, okna też jakby ciemniejsze niż zwykle. Szarzy ludzie o przygaszonych twarzach. Naprawdę tak niewiele czasu minęło od zrywu, od porozumień sierpniowych, od tamtej euforii? Naprawdę tak niewiele trzeba, by zgasła nadzieja, radość, optymizm...

Wjechałem schodami ruchomymi na plac Zamkowy. Do domu? Po co? Siedzieć w czterech ścianach, trząść się z zimna przy stygnącym kaloryferze i nasłuchiwać szumu pustej lodówki? Wsiadłem w autobus „D”.

Znowu zaczął prószyć śnieg. Sklep Peweksu w Hotelu Europejskim mimo braku cudzoziemców był czynny. W holu stał długi ogonek.

– Kolejka w Peweksie? – zdumiałem się. Tego jeszcze nie było!



– Pewnie kolejny etap budowy socjalizmu – powiedział bykowaty facet w skórzanej kurtce.

Dobra, dobra, cwaniaczku, nie dam się sprowokować byle tajniakowi.

– Papier toaletowy rzucili, po dziesięć centów rolka – wyjaśniła kobieta, za którą stałem.

Na szczęście ogonek posuwał się w miarę szybko. Już po czterdziestu minutach byłem przy okienku. Wysupłałem dwa dolary i kupiłem flaszkę wódki. Dwadzieścia pięć centów reszty? Nabyłem sobie za nie zagraniczny batonik, a skoro trafiła się okazja, także rolkę papieru. Schowałem butelkę do teczki i zawróciłem w stronę teatru.

– O, pan też na nockę? – zdziwił się portier.

– Terminowa robota – zełgałem. – W malarni przy kostiumach będę pomagał. Sam pan wie – konspiracyjnie zniżyłem głos – imieninki idą czy coś takiego. Szczegółów nikt nie zdradza.

– A... to słyszałem. Tajemnica, znaczy się, państwowa i w ogóle z szykanami.

Nie kontrolował, co mam w torbie, bez trudu przemyciłem butelkę do swego biura. Postawiłem ją na stole, obok rosyjskiej książki o kostiumie teatralnym.

Odpakowałem batonik i pokroiłem go scyzorykiem na kawałki. Wewnątrz miał coś twardego. Wafelek? Ech, umieją robić smakołyki, pieprzeni burzuje. Patrzyłem na przekrój. Przekładany wafelek, orzeszki, karmel, czekolada... Wytrząsałem z kubka ołówki i wlałem sobie gorzały.

Jak radziecki inteligent, tylko brak jeszcze solonego śledzia leżącego na gazecie... Popatrzyłem na swoje odbicie w szybie.

– Żeby ten głupi Jaruzel do reszty oślepl! – wzniosłem pierwszy toast.

Padał śnieg, a ja siedziałem w cieple i zaduchu, spowity w woń lizolu oraz starej dębowej klepki. Alkohol jak zwykle po pierwszych dawkach wyostrzył mi węch.

Jesteśmy drobnymi czerwiami, które uwiły sobie gniazdko i wydrążyły korytarze w truchle lewiatana, rozmyślałem, skończywszy pierwszą szklanekę. Czerwia nie interesuje anatomia czy wielkość cielska, w którym żyje. Nawet inni lokatorzy nie zasługują na uwagę, chyba że mogliby go zjeść.

Teatr... Ktoś wznosił ten gmach, rozbudowywał, instytucja wchłaniała kolejne kamienice, cały kwartał. I wreszcie oddano budynek do użytku. Gigantyczny. Za duży. Kilometry korytarzy. Setki pomieszczeń. Większości z nich od lat nie używano. Bez sensu. Ogrzanie takiej przestrzeni musiało kosztować fortunę i pochłaniać codziennie tony deficytowego węgla.

Flaszka pokazała dno. I nagle poczułem, że jest mi duszno. Nabrałem dziwnej irracjonalnej ochoty, by powędrować mrocznymi pasażami. To będzie

takie romantyczne, ja i mój duch samotni w niekończących się tunelach, tfu, korytarzach. Spojrzałem na zegarek. Miałem lekkie problemy, by zogniskować wzrok. Dwudziesta druga i kilka minut...

Wyszedłem z biura.

Na zewnątrz godzina milicyjna, pomyślałem. Ludzie zamknięci w swych mieszkaniach jak w klatkach. Wyjście na korytarz domu jest już pewnym ryzykiem. Przemknięcie się z bloku do bloku wymaga nieliczej desperacji. A ja jestem wolny. Wolny w obrębie rezerwatu. Mogę przejść dwadzieścia kilometrów tej nocy. Nikt mnie nie znajdzie, nikt mnie nie złapie...

– Precz z WRON-ą! – krzyknąłem. – Jaruzelski i Kiszczak na szubienicę!

Odpowiedziało mi tylko echo. Poczułem głębokie zadowolenie. Odepchnąłem łagodnie ścianę, która zagradała drogę. Zatoczyłem się w stronę windy, więc postanowiłem skorzystać z okazji. Wjechałem na piąte piętro. Wysiadłem, a na moje miejsce wskoczyły dwie nastolatki w kostiumach i baletkach.

Rany, żeby o tej porze takie dzieciaki trzymać na próbie? Mimo szumiącego w głowie alkoholu poczułem się zde gustowany.

Powędrowałem korytarzem i trafiłem na znajomą klatkę schodową. Wdrapałem się dwa piętra do góry.

Wyszedłem na galerijkę. Instynkt samozachowawczy podpowiedział mi, że bym trzymał się raczej z dala od barierek. I nagle aż zamrugałem zaskoczony. Leżąca w dole sala była oświetlona. Na podłodze ustawiono kilka szklanych lampionów, w każdym płonęła świeca. Na środek pomieszczenia wyszli dwaj mężczyźni ubrani w stroje chyba z epoki Romea i Julii. Ukłonili się, a potem dobyli rapierów. Zauważyłem, że pod ścianami stoi jeszcze kilka dziwnie odzianych osób.

Ćwiczmy na przedstawienie imieninowe, myślałem złośliwie. Pan generał będzie siedział i oglądał... Może nawet ze swoim uszaty m przyjacielem. W każdym razie szykować spektakl trzeba dzień i noc. Bo jak mu się spodoba, to talon na małego fiata da, albo i paszport nawet.

Tylko czemu próba w tym miejscu, a nie na głównej scenie?

Starcie było krótkie, lecz intensywne. Słuchałem, jak stal brzęczy o stal. Niespodziewanie jeden z mężczyzn wbił broń w podłogę i złapał się za rozcięte czoło. Ktoś podszedł z apteczką. Zwycięzca uniósł oręż w geście triumfu. Przetoczył wzrokiem po galerii i do mnie też się uśmiechnął.

Zamrugałem. Zaraz, coś mi się tu nie zgadzało. Jeden z aktorów chyba faktycznie został poszkodowany w starciu. A drugi co? Jeszcze miał z tego radochę? Zniczulica... Rannego właśnie opatrywano. Jacyś ludzie wyszli z cienia i gratulowali zwycięzcy. Poczułem głęboki niesmak.

W ryj chama, podjąłem męską decyzję.

Skoczyć na dół? Alkohol pobudzał mnie do czynu, ale odezwały się też resztki rozsądku. Ciut wysoko, te kondygnacje mają po cztery metry albo i lepiej. Starabaniłem się jakoś po schodach. Dopadłem drzwi, szarpnąłem klamkę. Zamknięte. Kuźwa... Zapukałem stanowczo. Ktoś po drugiej stronie roześmiał się lekko. Przykopałem raz, potem kolejny. Bez efektu.

Jestem pijany, myślałem z dziwnym ponurym zadowoleniem. Zalałem się w pestkę i poszedłem na spacer w miejsce, gdzie milicja nigdy mnie nie nakryje. Do tego mam najprawdziwszy na świecie wytrych, zaraz sforsuję te drzwi i też mogą mi skoczyć. A potem zamaluję tego dupka w ryj, żeby nie kaleczył ludzi szablą, czy co tam ma...

Zmrużyłem oczy.

– Cholera...

I wszystko jasne. Nie mogłem trafić do dziurki nie dlatego, że byłem pijany, ale po prostu miałem klucz jak od wiejskiej chałupy, a wkładka była nowiutka, typu yale. Westchnąłem ciężko i usiadłem, by przemyśleć ten problem.

★

Ocknąłem się, leżąc nie wiadomo dlaczego na galeryjce. Dręczył mnie kac gigant, byłem kompletnie przemarznięty.

– O, do diabła – westchnąłem.

Spojrzałem na dół. Malarnia była doskonale pusta. Po nocnych gościach nie pozostał żaden ślad. Sam już nie byłem pewien, co widziałem, a co mi się przyśniło. I tylko ten kac, jeden wynikający z przepicia i drugi, stokroć gorszy, moralny.

Wychłanie flaszki wódki w teatrze i włóczęga po pijanemu ciemnymi korytarzami nie wydawały mi się już ani zabawne, ani romantyczne... O, w mordę, przecież jestem tu zamknięty!

Wytrzeźwiałem w jednej chwili. Zbiegłem po schodach. Drzwi do malarni nadal nie dawały się otworzyć. Poczułem zimny pot na karku, a potem palnąłem się w głowę. Przecież... Zszedłem jeszcze kondygnację niżej, skąd już bez trudu wydostałem się na znajomy korytarz piątego piętra.

Doczłapałem jakoś do łazienki, zlałem głowę zimną wodą. Kac trochę mijał. O ósmej nawet zjadłem śniadanie. Mocna herbata i jajecznica na boczku postawiły mnie na nogi. Wraz z lepszym samopoczuciem wróciła jasność myślenia.

Co tak właściwie widziałem wieczorem? Wjechałem na piąte piętro. Spotkałem baletnice. Skąd się tam wzięły? Przecież sala, w której ćwiczą, jest na drugim.

Przyłożyłem rozpalone czoło do szyby. Baletnice to normalne dziewczyny.

Nie chodzą po mieście w strojach i baletkach. Przyjeżdżają i przebierają się w garderobie na dole. Po co miałyby chodzić tak wysoko, i to o tak późnej porze? Co w środku nocy w teatrze mogły robić kilkunastoletnie panienki? Przecież zarządzono godzinę milicyjną. Może po prostu zajęcia się przeciągnęły i musiały zanocować?

Wjechałem na górę windą techniczną. Odszukałem znajomy korytarz ze sztucznym bykiem i wyszedłem prosto na arenę wczorajszego pojedynku. Żaden ślad nie wskazywał, że to, co ujrzałem wczoraj, było prawdziwe... Nigdzie na deskach nie znalazłem plam krwi czy wosku kapiących świec.

– I po cholere było pić aż tyle? – westchnąłem.

Stukot butów przerwał moje rozmyślania. Uniosłem głowę. Dziewczyna z końskim ogonem przeszła galeryjką i znikła w jednym z korytarzy piętro wyżej.

Czy to jej śmiech słyszałem wczoraj?



Gdy ktoś zapukał do drzwi mojego biura, odruchowo schowałem co ciekawsze książki do teczki, nim zaprosiłem gościa do środka. Okazało się jednak, że i tym razem niepotrzebnie się denerwowałem. Przyszedł tylko Norbert.

– Co ty tu siedzisz jak lis w norze? – zdziwił się.

– A gdzie mam siedzieć, to moje miejsce pracy – zakpiłem.

Nie było drugiego krzesła, więc usiadł na parapecie.

– Nie znalazłem jej – powiedział ze złością. – Albo ją schowali, albo mnie unika.

– A może to po prostu była dziewczyna z miasta? – Wzruszyłem ramionami.

– A że podała fałszywe nazwisko? Bywa. Bo to mało ludzi ukrywa się przed internowaniem? Moim zdaniem, wszystkie te wymysły o „innych” to bzdury.

– W tak gigantycznej instytucji wcześniej czy później musiało dojść do czegoś takiego – mruknął. – Przecież nie sposób kontrolować zespołu liczącego tysiące ludzi.

– Sądzę raczej, że to skutek przerostu biurokracji – zauważyłem. – Dziesiątki dyrektorów, setki kierowników, sprzeczne kompetencje, działy, piony, zależności służbowe. Kto ma odrobinę oleju w głowie, jest w stanie funkcjonować jako element tej pajęczyny, a nawet stworzyć jej fałszywy fragment. Dział aprowizacji nie będzie przecież sprawdzał, czy dyrektor składający zamówienie faktycznie istnieje. Trochę sprytu i można brać pensję za nic, obżerając się szynką ze stołówki.

– Czy mógłbyś uwierzyć na moment, że oni istnieją? – zapytał.

– Spróbować to ja mogę, ale jest w tym wszystkim jeden słaby punkt.

– No co?

– Fascynuje mnie ta najbardziej debilna część legendy: pomysł, że oni w ogóle nie wychodzą na zewnątrz. Co za idiota to wymyślił?

– A po co wychodzić? Magazyny pełne ubrań, jest się w co odziać. Jakby było coś potrzeba, to są przecież szwalnie, całe bele materiałów... Lekarz zakładowy na miejscu, dentysta na miejscu. Jest gdzie się umyć. No i przede wszystkim bezpieczeństwo niemal absolutne. Tu nie ma bandytów, polityków, Solidarności ani ZOMO. Enklawa. Mogło być i tak, że gdy weszli do środka, już nie potrafili wyjść. Zapytaj psychologa, jakie bariery w umyśle spowoduje kilka lat ciągłego ukrywania się i ucieczki od świata. Przeczyłeś też jeden ważny szczegół. Wyjść z teatru łatwo. Żeby wejść, potrzebna jest przepustka. Albo bilet – dodał po namyśle. – Ale przedostanie się na zaplecze jest trudne.

– Ty w to naprawdę wierzysz?

– Nie wiem. – Zeskoczył z parapetu. – Ale... Może ten twój poprzednik wcale nie popełnił samobójstwa.

– To znaczy?

– Może spodobało mu się tutaj i po prostu postanowił zostać... Przyłączyć się do nich?

Wyszedł, nim zdążyłem wymyślić odpowiedź.



Gdy wsiadłem do zatłoczonej windy, zwróciłem uwagę na dziewczynę, która stała tuż koło tablicy z przyciskami. Była ciemnowłosa, ciemnooka, uczesana w koński ogon. Jej wygląd pasował do opisu Norberta. Nic dziwnego, że wpadła mu w oko. Szuka jej? Niech sobie szuka na zdrowie, nie będę mu pomagał w przedłużaniu listy podbojów. Znów na nią spojrzałem. Bluzka z falbankami modna była może przed wojną... Buty nieznajoma też odziedziczyła chyba po babci. A jednak wszystko razem sprawiało wrażenie pewnej celowości. Jakby ubrała się właśnie w stylu sprzed półwiecza.

Wśród ponurych i zaciętych twarzy innych pasażerów ta buzia wręcz promieniowała wewnętrznym ciepłem i głębokim zadowoleniem z życia. Wsiadłem na swoim piętrze, ona jechała na dół. Gdy ją mijałem, w powietrzu znów czułem lekki zapach jaśminowych perfum. Zagadkowa dziewczyna z magazynu mebli? Kto wie?



Mijał kolejny nudny dzień. Siedziałem właśnie nad pieczonym udkiem kurczaka, kiedy w stołówce pojawił się Norbert.

– Wolne koło ciebie? – Rzucił swoją teczkę na krzesło. – Zaraz będę! – Poszedł do okienka, przez które wydawano potrawy.

Przeżułem kęs i podniosłem wzrok. Dziewczyna, którą spotkałem wczoraj w

windzie, stała w drzwiach. Machnąłem rozpaczliwie dłonią, by przyciągnąć jej uwagę. Spojrzała na mnie pytająco, może trochę gniewnie. Przyłożyłem palec do ust i wskazałem jej gestem Norberta, odbierającego właśnie tacę z potrawami. Nieznajoma zrozumiała natychmiast. Znikła bez słowa. Mój niechciany przyjaciel zajął miejsce naprzeciw.

– Czas się żegnać – powiedział ze złością.

– Co się stało? – zaniepokoiłem się.

– Mam wezwanie i przepustkę na wyjazd za miasto. Pojutrze będę już w Suwałkach.

– Cholera – czułem, że należy wyrazić jakoś ubolewanie.

– A ty zostajesz tu, wśród tych cudaków – westchnął. – Będziesz siedział, wgapiając się w telefon, aż wreszcie szajba ci odbije. I jeszcze uwierzysz w teatralne opowieści.

– A ty?

– Co ja?

– Też w nie wierzysz.

– To nie tak. Myślałem nad tym, co powiedziałaś. Sądzę, że jest coś na rzeczy. Ktoś tu faktycznie w kulki sobie leci, ale to nie duchy ani konspiracja. Ot, jakieś cwaniaczki się nauczyły korzystać z okazji. Nie nasza sprawa. A że dziewczyny nie złapałem... szkoda. Warto by coś bzyknąć na pożegnanie, bo to, cholera, nie wiadomo, jak na prowincji będzie. Ale nie udało się i trudno. Wyżej dupy nie podskoczę. Trzymaj się, kartkę ci przyślę...

Gdy skończyliśmy jeść, uścisnął mi dłoń na pożegnanie. Zanim wróciłem do biura, zahaczyłem o łazienkę i starannie umyłem ręce. Czułem szaloną, obeszwaną wręcz ulgę, że jutro nie zobaczę tej obleśnej fizjonomii.



Dziewczynę spotkałem tydzień później. Nie wiem, jak mnie znalazła. Zapomniałem zapytać. Może to był przypadek, a może zauważyła mnie z góry? Stałem na kładce technicznej, obserwując próbę jakiejś sztuki z wysokości pięciu pięter. Najpierw usłyszałem cichy stukot drzwi przeciwpożarowych. Potem poczułem lekką woń jaśminu. Nieznajoma stanęła obok mnie, w ciemności.

– Chciałam podziękować – powiedziała bez wstępów.

– Drobiazg.

– Nie miałam ochoty się z nim spotykać.

– A kto by miał – westchnąłem. – Na szczęście już tu nie grasuje. Wezwano go do jednostki, przyszła pora służbę wojskową odrobić.

– Cieszę się.

Teraz dopiero odwróciłem głowę, żeby na nią spojrzeć. Ubrana była w suknię przywodzącą na myśl filmy o wampirach. Światło padające z dołu

nadawało jej twarzy wygląd upiora, ale zapewne mojej też...

– Mam na imię Cloridia. – Wyciągnęła ku mnie dłoń w koronkowej rękawiczce.

Pochyliłem się i ucałowałem ją.

– Czy spotkamy się jeszcze? – zapytałem wprost.

– Jutro na obiedzie – odparła z uśmiechem. – Proszę przyjść o pierwszej.



Siedzieliśmy naprzeciw siebie, rozdzieleni tylko blatem stolika. W niecały kwadrans zdążyłem opowiedzieć jej, jak się tu znalazłem i co łączyło mnie z Norbertem. Słuchała z lekkim znudzeniem.

– Opowiedział ci legendy o stałych mieszkańcach teatru – zmieniła temat. – Jak myślisz, czy opierają się na prawdzie, czy też, jak nasz drogi nieobecny, preferujesz bardziej przyziemne rozwiązania zagadki?

– Nie wiem, co o tym sądzić – westchnąłem.

– Bądź szczery.

– Wydaje mi się, że nie żyjesz.

– Weszłam kiedyś do teatru, umarłam i błąkam się tu jako duch – prychnęła, ale nie obraziła się. – Upiór z opery.

– Coś tak jakby. – Poczułem, że się czerwienię.

– Po pierwsze, czy widziałeś kiedyś upiora tak ładnego jak ja? – Spojrzała zalotnie.

– Szczerze powiedziawszy, nie widziałem żadnego.

– Jeśli chcesz, to wypij kolejną flaszkę i przejdź się o północy po piwnicach – poradziła. – Jest ich tam kilka.

Ośłupiałem.

– Po drugie, czy upiory nie powinny być, że się tak wyrażę, bardziej niematerialne? – Uśmiechnęła się.

– No, chyba powinny – przyznałem.

Ujęła moją dłoń i przyłożyła do swojego policzka.

– A zatem?

Pod palcami poczułem normalną, żywą, gładką, ciepłą skórę. Ręka nie przeszła na wylot. Poza tym duchy chyba nie pachną jaśminem. Cofnąłem dłoń onieśmielony.

– No cóż...

– Poza tym nie wiem, czym się żywią upiory, ale chyba, u licha, nie pierogami ruskimi! – Nabiła kolejny na widelec.

– Dobrze – powiedziałem. – Skoro już gadamy zupełnie szczerze... Czy pamiętasz, jak tu trafiłaś?

Pokręciła głową.

– Jestem tu za długo – powiedziała.

– A...

– Teatr zaciera pamięć poprzedniego życia. Zewnętrznego. To jak śmierć, jak wstąpienie do zakonu. Otrzymujesz nowe imię i możesz zapomnieć o wszelkim złu, które cię tam spotkało. Wszyscy, którzy tu zamieszkali, po prostu mieli dość świata.

Poczułem, jak włoski na karku stają mi dęba. Powiedziała to zupełnie obojętnie. Nie upiór, ale i nie człowiek. Więc co? Kto?

– Przestań się bać – fuknęła rozgniewana. – Trzęsiesz się jak osika. Mężczyźnie, i to jeszcze konspiratorowi, nie wypada się tak zachowywać.

– Czas... Ile masz lat? Potrafisz policzyć? – wykrztusiłem.

– To nietaktowne pytać damę o wiek.

Nie była zła. Po prostu zwróciła uwagę na niestosowność mego zachowania.

– Przepraszam.

– Wykrztuś wreszcie swoje podejrzenia – zażądała. – I przestań się bać. Ja naprawdę nie gryzę.

– Skoro nie jesteś upiorem ani... chyba... wampirem... – Spojrzałem niepewnie.

– Wrrr! – wyszczerzyła drobne ząbki.

Kłów Drakuli jako żywo nie przypominały. Jeszcze jedna hipoteza poszła się bując.

– No, nie jesteś – przyznałem. – W takim razie może... Zaraz. Twierdzisz, że weszłaś tu naprawdę dawno. Zapomniałaś o życiu na zewnątrz, nie pamiętasz już, jak się naprawdę nazywałaś, a to wszystko dlatego, że minęło naprawdę dużo czasu. Dziesięciolecia.

– Czy wyglądam na staruszkę?

– Może teatr powstrzymuje efekty starzenia? Może gdybyś wyszła na zewnątrz, rozsypiesz się w pył... Kiedy tu trafiłaś?

– Nie pamiętam. Chyba... – Zmarszczyła brwi. – Powiedzieli, że nie traci się przeszłości raz na zawsze. Że mogę ją sobie przypomnieć, jeżeli skupię myśli, ale nie mam na to szczególnej ochoty. Czy to ma coś do rzeczy?

– Może ukryłaś się w teatrze podczas ostatniej wojny? Nosisz stroje głównie z tamtej epoki. Niewykluczone, że ubierasz się tak z przyzwyczajenia.

Spojrzała na mnie w zadumie.

– Wojna... Zapomnienie, które otrzymaliśmy, jest cennym darem – powiedziała wreszcie. – Myślę, że nie powinnam go odrzucać. Jeśli masz rację... Zapewne zobaczyłam rzeczy takie, że nie warto sobie przypominać. Sądzisz, że mogę mieć ponad sześćdziesiąt lat? To paradne... Chociaż... – Zamyśliła się. – Widziałam tak wiele premier. Pamiętam też, jak teatr ogarnęła pożoga. To był



jedyny raz, kiedy Starsi okazali nam łaskę. Zaprowadzili do swego świata, głęboko pod poziomem piwnic, do ciemnych korytarzy, sal ze starymi kostiumami, podziemnymi scenami. Mieszkaliśmy tam długo, niektórzy musieli wychodzić na zewnątrz, żeby zdobyć żywność. Mięsem płaciliśmy Starszym za ich opiekę. Jednak gdy już uprzątnięto zgłiszcza i naprawiono szkody, zostaliśmy wydalenii z podziemnego królestwa, by żyć tutaj i nadal prowadzić walkę. – Potrząsnęła głową. – Może masz rację. Może minęło dużo czasu. Tylko co z tego?

– Jesteś uwięziona...

– Mogę wyjść – powtórzyła z uporem.

– Czy ktoś wrócił? Mam na myśli tych spośród was, którzy wyszli z teatru.

– Nikt nigdy nie wyszedł. Nie odczuwamy takiej potrzeby.

– To co macie z życia?

– Teatr. Blask sztuki czerpanej u samego źródła. Radość premier. Przyjemność każdego wieczoru, gdy możemy, ukryci w różnych zakamarkach, podziwiać grę aktorów. A jakby nam się nudziło, mamy bibliotekę.

– I od czasu do czasu toczycie walki na śmierć i życie przy użyciu szpad – uzupełniłem.

– Rapierów – sprostowała. – I nie na śmierć i życie, a jedynie do pierwszej krwi. To rytuał. Każdego tygodnia ustalamy, kto jest lepszy: my czy Starsi.

– Starsi...

– Weszli tu przed nami. Dawno. Naprawdę dawno. Może wtedy, gdy budowano ten teatr.

– To było prawie sto pięćdziesiąt lat temu! – omal się nie zakrztusiłem.

– To by tłumaczyło ich obsesję na punkcie broni białej. Starsi twierdzą, że krew padająca na deski sceny to danina dla duchów sztuki. Upiory z piwnic zaprzeczają, ale kto by im tam wierzył?

– Upiory? – jęknąłem.

– Dla aktora największym honorem jest umrzeć na deskach sceny. Niektórzy również po śmierci zostają w teatrze. To magia... Nowe życie.

– Raczej piekło.

– Każdy kocha i pożąda czego innego, więc znaleźli się i tacy, którzy pragną całą wieczność spędzić grając w niekończącym się przedstawieniu.



Wszedłem w bramę. Byłem wykończony. Marzyłem o kubku gorącej herbaty i chwili, gdy rzucę się do łóżka...

Drzwi na parterze uchylili się na pół centymetra.

– Kocioł – usłyszałem drżący z tłumionej paniki szept sąsiadki.

Poczułem skurcz serca w piersi. Zimny pot na karku i skroniach. Bez słowa

zawróciłem na pięcie. Przez bramę? Nic z tego, dom z pewnością jest już obstawiony. Hmm... jest szansa, że coś przegapili. Niewielka, ale... Zszedłem kilkanaście stopni, otworzyłem drzwi do piwnicy. Zamknąłem je cicho za sobą, przekręciłem klucz i zostawiłem go w zamku. Wędrowałem mrocznym korytarzem. Zakręt, drugi, boks pod ścianą... Otworzyłem, prześlizgnąłem się obok regału zastawionego pustymi słoikami, odsunąłem kawał tektury i przez dziurę wybitą w ścianie przedostałem się do podziemi sąsiedniego budynku. Już dawno dorobiłem sobie klucze do tych drzwi. Po chwili byłem w zimnej i ciemnej bramie sąsiedniego domu. Teraz niespiesznie przez podwórze, skok na śmietnik, murek. Zaryzykowałem szybkie spojrzenie w tył. Moje okna były jasne. Widać służby nie lubią robić rewizji po ciemku. Zeskoczyłem na sąsiednią posesję i przez kolejną bramę wyszedłem na inną ulicę.

Nikt mnie nie gonił. Okolica nie była obstawiona. Po taką płótkę jak ja wysłano najwyżej trzech ludzi. Zatokczyłem na wszelki wypadek duży łuk. Co mogą znaleźć? Najwyżej banknot pięciodolarowy w kopercie za szafą.

Niewątpliwie w razie rozprawy będzie to koronny dowód na finansowanie Solidarności przez CIA, pokpiwałem w duchu.

Przepadły klucze od kibla na Pradze i skrzynki po Grzešku, ale nie były w żaden sposób opisane, łapsy nie znajdą tych miejsc. Książki? Jedna czy dwie podziemne publikacje, kilka znaczków Solidarności. Nic szczególnie trefnego. Żadnych powielaczy, radiostacji, broni... W zasadzie głupio zwałem, bo co mogli mi udowodnić? Zresztą czy oni muszą cokolwiek udowadniać? Jest człowiek, paragraf się znajdzie. Nie znajdzie się paragraf, to jak Norbert odbębnie dwa czy trzy lata w jednostce wojskowej gdzieś na zadupiu. Bo skoro przyszli, to widać stryjкови znudziło się mnie chronić. Albo go postraszyli, wszak i nad nim jest ktoś wyżej.

Idiotyczna zabawa w konspirację. Wydawało mi się, że jestem ostrożny, a tu proszę. Nawet emerytowana krawcowa z parteru wiedziała, czym się zajmuję.

Co dalej? Spojrzałem na zegarek i zmartwiałem. Dwadzieścia siedem minut do godziny policyjnej. Zagryzłem wargi. Do ciotki nie zdążę. Zresztą tam pewnie będą mnie szukać. Do stryjka nawet nie mam co próbować, psami by mnie chyba poszczuł. A gdyby tak... Teatr! Przy odrobinie szczęścia dobiegnę.

Wślizgnąłem się w drzwi portierni trzy minuty po czasie. Stróżówka była pusta. Widocznie staruszek poszedł zrobić sobie herbatę. Przemknąłem korytarzem na paluszkach, potem zbiegłem po schodkach. Przeszedłem kilkadziesiąt metrów, wymacałem drzwi nieużywanej zazwyczaj klatki schodowej, z niej dostałem się do windy.

Czy będą mnie tu szukać? Prawdopodobnie. Tylko co z tego? W książce wejść i wyjść stoi jak byk, że wyszedłem i nie wróciłem. W szufladzie leżały

bloczki na posiłki. Mogę tu siedzieć choćby miesiąc. W kieszeni mam trochę pieniędzy. Kto wie, może w tym bałaganie będę dostawał pobory? Z głodu nie zginę, jest się gdzie umyć, biblioteka do mojej dyspozycji. Coś do ubrania na zmianę znajdę w magazynach.

I nagle uderzył mnie idiotyzm sytuacji. Tamci... Czy zostali tu z podobnego powodu? Wojna, okupacja, coś innego. Weszli i utknęli. Na zawsze.

Nogi same poniosły mnie w kierunku korytarza bibliotecznego. Wsunąłem wytrych do zamka. Przekręciłem. Woń jaśminowych perfum była słaba, ale i tak natychmiast poczułem, że Cloridia tu jest. Zamknąłem starannie drzwi. Dopiero wtedy zapaliłem światło.

Siedziała na rogu biurka. Włosy upięła w kok. Miała na sobie oszałamiającą dziewiętnastowieczną suknię z czarnej koronki i jedwabiu morelowej barwy. Na tle paskudnej olejnej lamperii wyglądała jak egzotyczny kwiat.

– Czułam, że wrócisz.

– Jak?

– Po oczach. Macie to w oczach. Tych, którzy zaczynają tu pracę, by po jakimś czasie pozostać, jestem w stanie rozpoznać.

– Ja tu nie zostaję. To tylko na jakiś czas.

– Utknąłeś? Pętla się zacisnęła? Wrogowie wpadli na twój trop... Tak jest zawsze. Przeznaczenie związało cię z tym miejscem.

– Chwilowo nie mogę wyjść na zewnątrz – wykrztusiłem.

– A czy naprawdę musisz jeszcze kiedykolwiek wychodzić na zewnątrz?

– Tam się uspokoi. Wyjdę...

– Z początku każdy tak mówi. – Uśmiechnęła się smutno. – Ale ja wiem, że zostaniesz wśród nas. Na zawsze.

– I może jeszcze powiesz, że jak się przyłączę do waszej wesołej drużyny, to dacie mi ostry rapier, żebym mógł co jakiś czas sprawdzić, kto jest lepszy: wy czy Starsi?! – wybuchnąłem.

Nie przestraszyła się. Nadal patrzyła spokojnie i przyjaźnie.

– Proszę. – Podała mi broń stojącą do tej pory za biurkiem.

– Wyjdę. – Sam nie wiedząc dlaczego, zacisnąłem dłoń na rękojeści. – Pamiętaj. Wyjdę stąd.

– Zrobisz, jak zechcesz. Jak już mówiłam, jesteśmy wolni.



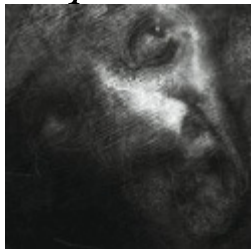
Nazywam się Rinardo. Żyję w teatrze. Kiedyś posiadałem imię i nazwisko. Kiedyś... Jakie? Nie bardzo pamiętam. Dziś przyjmuję tożsamości tylko na czas pracy wśród zewnętrznych. Ponoć tam, w świecie poza teatrem, komuny już dawno nie ma. Czym była ta komuna? Dobrze pytanie... Chyba czymś złym. Niewiele pamiętam z poprzedniego życia, tyle tylko, że nosiłem jakieś gazetki i

że można było za to oberwać pałą od jakichś ludzi w kaskach. Ale o co tak naprawdę chodziło? Ile czasu minęło? Nie wiem.

Ostatnią wypłatę dostałem w nowych banknotach, na których napisano *euro*, a zamiast orła są jakieś gwiazdki. Czy wybuchła kolejna wojna? Czy trwa okupacja? Mógłbym kupić gazetę w kiosku na dole, tylko właściwie po co? Sztormy pustoszące świat zewnętrzny nie przedzierają się przez ściany teatru. A ja nigdy nie opuszczam tych murów. Jedynym przejawem wojny jest wieczny pojedynek między nami i Starszymi. Jedyną rozkoszą – walka, gdy krzyżujemy rapiery i krople krwi skapują na deski sceny. Jedyną radością – wieczna gra w teatrze życia. To właśnie jest szczęście.

# Ślad oliwy na piasku

*Terytorium Aleppo, północna Syria, zima 1923*



Wiatr załopotał płócienną ścianą namiotu. Chłodny podmuch przenikał na wskroś. Doktor Skórzewski przykręcił knot lampy. Uchylił klapę, wyjrzał na zewnątrz. Niebo było cudownie wygwieżdżone. W powietrzu unosił się zapach stepu. Spętany koń dreptał, podjadając nieliczne żdźbła trawy. Linka szorowała po kamieniach.

– Noce Lewantu – westchnął lekarz. – Jak w arabskiej poezji. Zachciało mi się tej Syrii...

Przymknął oczy. Przypomnił sobie budynek, w którym mieścił się Oddział Farmaceutyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Sale sekcyjne, laboratoria zastawione niemieckimi mikroskopami, stoje z próbkami tkanek. Idealne warunki do pracy naukowej. Po latach badań wydawało mu się, że wreszcie jest na tropie, że zauważył coś, co przegapili inni. Wracał myślą do przeczytanej lata temu rozprawy doktora Ernesta Duchesne o antagonizmie między pleśniami a bakteriami. Uczony twierdził, że istnieją pleśni toksyczne dla bakcyli. Niestety, zmarł przedwcześnie, nikt bezpośrednio po nim nie podjął badań w tym kierunku.

Gdyby udało się powtórzyć doświadczenia, gdyby udało się wyizolować czynnik unicestwiający zarazki... Niestety. Skórzewskiego wyśmiano. Badania tak niezwykle musiały być kosztowne. Uniwersytet i Ministerstwo Zdrowia odmówiły dalszego finansowania. Jego pomysły uznano za mrzonkę. Cały wysiłek badawczy skierowano na ten cholerny rad. Nakazano przerwać eksperymenty z pleśniami, z dnia na dzień wyrzucono go z laboratorium, wyhodowane z takim trudem kultury bakteryjne i grzybnie pospołu trafiły do pieca.

Poprosił o urlop. Zaciął się w uporze. Zacznie raz jeszcze, całkiem sam, bez wsparcia czynników naukowych. Musi tylko znaleźć środki finansowe. Podpisał półroczny kontrakt z legią cudzoziemską. Wizytacje garnizonów na Bliskim Wschodzie, ocena stanu zdrowia żołnierzy, przegląd uzębienia, doraźna pomoc medyczna dla legionistów oraz współpracujących z nimi tubylców... Znowu

ruszył w drogę, przed siebie. Tłukł się konno od obozu do obozu. Wykrywał syfilityków, leczył, opatrywał rany, przeprowadzał zabiegi, szczepił, douczał pospiesznie felczerów. Prosta, zwyczajna, przyjemna praca wojskowego lekarza. Siedem krzyżyków na karku też mu nie przeszkadzało.

Tu, na pustyni, odnalazł spokój. Chciał odpocząć od ludzi, wsłuchać się w pustkę, patrzeć na wygwieżdzone niebo. Zapomnieć. Spełnił te marzenia. I wtedy właśnie, gdy sądził, że już odciął się od przeszłości, gdy podążał na ostatni posterunek, dopadła go melancholia.

– Co robić? – westchnął. – Co dalej... Wracać do Warszawy czy zacząć gdzie indziej?

Dalecy krewni w Polsce oferowali mu gościnę, mógłby kupić dom gdzieś na prowincji i tam w spokoju prowadzić badania. Tylko co by osiągnął bez dostępu do laboratoriów uniwersyteckich? Co wyznacza ścieżki kariery? Sława? Kilkadziesiąt artykułów? Wiedza? Czy naprawdę mijają już prawie pięćdziesiąt lat, od kiedy zakończył studia? Zupełnie tego nie czuł... A jednak medycyna zrobiła w tym czasie ogromny krok do przodu. Był przy tym obecny. Sam dokładał kolejne ważne cegiełki do gmachu nauk medycznych.

Kilka lat temu wrócił do swojej wymarzonej Polski. Wtedy nagle okazało się, że jest nikim. Tytuły zdobyte na petersburskich uczelniach nikogo nie interesowały. Jakby z litości jeden z dawnych znajomych załatwił mu miejsce na Uniwersytecie Warszawskim. Wszystkie uzyskane wcześniej wyniki badań i odkrycia pochłonęło bagno Sowdepii. Uratował tylko to, co miał w głowie. Zaczynał od zera. W ciągu roku katorżniczej pracy osiągnął stopień zaawansowania doświadczeń taki, jak w chwili gdy przerwała je wojna. Był gotów wykonać kolejny krok i właśnie w tym momencie uznano go za wariata marnującego bezcenny potencjał uniwersytetu.

Zsuł buty i naciągnął jeszcze jedną parę skarpet z wielbłądziej wełny. Stopy odmrożone na lodach Zatoki Fińskiej w chłodne noce bardzo go bolały. Wrócił na posłanie. Spojrzał na brulion ze swoimi notatkami. Zabrał go tutaj, by przemyśleć kilka zagadnień. Przemyśleć? Wiedział, że oszukuje sam siebie. Do jakich wniosków można dojść bez dostępu do bibliotek i materiału doświadczalnego?

– Niech to piekło pochłonie – mruknął. – Tyle odkryliśmy, a ludzie wciąż umierają na banalne infekcje i choroby opisane jeszcze w starożytności.

Złożył wszystkie papiery. Zakręcił kałamarz. Rozwinął pled z grubej wełny. Zmęczenie nadeszło falą. Po chwili zasypiał, wsłuchany w szmer piasku niesionego podmuchem.



Legioniści nadjechali o świcie. Skórzewski związał właśnie namiot. Pewnie

dałby się zupełnie zaskoczyć, lecz jego uwagę zwróciły błyski heliografu. Trzyosobowy konny patrol pojawił się na wzgórzu, daleko przed nim.

Lekarz nie miał jak odpowiedzieć, więc wyjął z kieszeni lusterko i błysnął ku nim. Zanim zjechali w dolinę, zdążył wszystko zapakować, ściągnąć juki rzemieniami, okulbaczyć i objuczyć konia.

– Kapitan Jules Aurignac. – Dowódca patrolu zasalutował. – Witamy, doktorze.

Skórzewski przywitał się, wymieniając swoje imię i nazwisko.

– Przed południem powinniśmy dotrzeć na teren wykopalisk – wyjaśnił kapitan. – Okolica jest niemal zupełnie bezpieczna, zabłądzić też nie sposób, jednak profesor stanowczo nalegał, byśmy wyjechali panu na spotkanie.

– To miło z jego strony.

Pomknęli co koń wyskoczy traktem. Na grzbietach wzgórz trafili na szeroką, brukowaną drogę. Kopyta zastukały na wygładzonych przez czas i piasek kamiennych płytach.

– Rzymski trakt – zidentyfikował lekarz.

– Owszem. – Kapitan skinął głową. – Koncesja profesora leży przy tym właśnie szlaku.

Posuwali się szybko przez rozległą, jałową wyżynę. Suchy step miejscami ustępował połaciom żwiru i piachu. Tam, gdzie znalazło się nieco wilgoci, rosły sykomory oraz oliwki. Parokrotnie mijali ślady wiosek, cembrowiny zasypanych studni, ułożone z kamienia fundamenty chat czy resztki murów wyznaczające granice ogrodów i zagród dla zwierząt.

– Kiedyś ta okolica była gęściej zaludniona – wyjaśnił kapitan – ale od lat coraz mniej deszczów tu pada, szlak handlowy zamarł przed wiekami, więc i ludzie się wynieśli.

Na kolejnym wzgórzu zamajaczyły pozostałości sporej budowli. Legioniści jak na komendę zjechali z traktu. Lekarz, poganiając konia, ruszył w ślad za nimi. Ściany i kształt blanek wydawały mu się nieomal znajome. Rozwaliska wyglądały zupełnie jak ruiny któregoś z francuskich zamków.

– To była niewielka strażnica krzyżowców – powiedział jeden z żołnierzy. – Pilnowali szlaku, obserwowali okolicę. Pewnie templariusze tu siedzieli albo joannici.

– Robimy tu popas? – zainteresował się gość.

– Konie napoimy – wyjaśnił dowódca.

Z dawnej twierdzy nie zostało wiele. Stropy runęły dawno. Działziniec otaczały resztki portyku kolumnowego. W jednym z kątów lekarz zobaczył dobrze zachowaną kamienną cembrowinę studni.

Zeskoczyli z siodeł. Drugi z żołnierzy odczepił skórzane wiadro i

opuściwszy je na linie, naciągnął wody. Konie wyraźnie się ożywiły. Klacz lekarza została napojona jako pierwsza.

Kapitan legł w cieniu, upał dał mu się widać we znaki. Doktor podszedł do ozdobnego portalu kaplicy. Przekroczył dawne wrota. Na jednej ze ścian pozostały resztki fresku. Słońce sprawiło, że wyblakł, lekarz widział tylko zarysy postaci – prawdopodobnie byli to Adam i Ewa. Najlepiej zachowało się drzewo wiadomości dobrego i złego, miało nawet resztki koloru. Obok ziała dziura i schodki prowadzące gdzieś w dół. W doktorze obudziła się ciekawość.

Gdybym tak miał karbidówkę, pomyślał Skórzewski. Albo chociaż pochodnię.

Usłyszał czyjeś kroki. Drugi z żołnierzy właśnie nadszedł. Ocierał pot z czoła.

– Pod posadzką jest krypta – wyjaśnił. – Chciałby pan rzucić okiem? Mam świecę i zapalki.

– Z przyjemnością. Tylko czy wystarczy nam czasu? – zaniepokoił się przybysz.

– Oczywiście. Kapitan zarządził odpoczynek. Możemy się rozejrzeć po ruinach. Jest tu kilka ciekawych miejsc.

Zapalił świecę i w jej mdłym blasku zeszli do lochu. Strome, oślizgłe schodki zaprowadziły ich w podziemia. Krypta nie była zbyt rozległa. Pod ścianami stały cztery kamienne sarkofagi.

– Wszystko było porozwalane, kości rozwłóczono – wyjaśnił legionista. – Poskładaliśmy je i umieściliśmy z powrotem w sarkofagach. Ostatecznie to mogli być rycerze z Francji, a i my też kiedyś będziemy Francuzami – dodał po rosyjsku, puszczając do lekarza oko.

No tak, legia cudzoziemska, pomyślał Skórzewski. Idealne miejsce dla miliona uciekinierów spod władzy Sowietów...

– Były tylko fragmenty zbroi – dodał żołnierz już po francusku. – Przeżarte przez rdzę, widać na nic się rabusiom nie przydały. W każdym razie leży tu czterech rycerzy...

Lekarz przyjrzał się kamiennym płytom. Na jednej widać było jeszcze zarys drzewa podobnego jak na fresku. Spróbował odczytać inskrypcję wykonaną gotykiem w średniowiecznej łacinie.

– *Stal ani siła ich nie pokonały, padli ofiarą zdrady i trucizny* – odcyfrował. – Czy zachowały się jakieś informacje o tym miejscu? Może legendy? – zagadnął.

– Minęło zbyt wiele czasu – odezwał się kapitan, stając z drugą świecą u wejścia do krypty. – Przyznam, że sam się tym interesowałem, pisałem do kuzyna w Paryżu, żeby spróbował mi coś wyszukać na ten temat. Niestety, znalazł tylko datę powstania strażnicy i jej dawną nazwę. Miejscowych to



zupełnie nie obchodzi... – westchnął. – Konie odpoczęły. Pora ruszać. Jeśli ciekawia pana te ruiny, możemy tu jeszcze przyjechać.

– Profesora nie zaciekawiało to miejsce? – zapytał lekarz, gdy szli przez dziedziniec.

– Pociąga go raczej antyk, to, co młodsze niż tysiąc pięćset lat, całkowicie sobie lekceważy. Obejrzał ruiny, wykonał szkice fresków, próbował odczytać inskrypcje na sarkofagach. Kilka dni tu posiedział i najwyraźniej miał dosyć. Woli swoje kupy gruzu, dziury w ziemi, zwały spieczonej gliny niż sympatyczny chłodek i wilgoć tych lochów. Ruszajmy.

Pojechali naprzód starożytną drogą.

– Tędy maszerowały rzymskie legiony – odezwał się jeden z żołnierzy. – Potem krzyżowcy i muzułmanie. Nasze kości dawno rozpadną się w proch, a tę drogę przemierzać będą kolejni wędrowcy.

– Aż do skończenia świata – mruknął kapitan. – Jak jest dobra droga, zawsze znajdzie się ktoś, komu będzie potrzebna.



Namioty ustawiono w kwadrat. Sześć szarych należało do legionistów. Dwa duże i brązowe były własnością profesora. Obozowisko umocniono, stawiając wokół murek z kamiennych bloczków, pozyskanych prawdopodobnie w ruinach. Konie ulokowano w zagłębieniu nakrytym plandeką rozciągniętą na stelażu.

– Woda do picia jest tam. – Kapitan wskazał stojące w cieniu dębowe beczki. – Do mycia w beczkach z namalowanym krzyżykiem. Proszę oszczędnie gospodarować.

– Nie ma tu studni? – zdziwił się lekarz.

– Osada miała wodociąg prowadzący ze wzgórz – wyjaśnił profesor, wychodząc z namiotu. – Niestety, w jednym miejscu był mały akwedukt i jakiś wstrząs sejsmiczny go obalił. Trafiłem na dwie studnie, zamierzamy je niebawem przekopać... Pierre Dubois – przedstawił się, ściskając dłoń gościa. – Tu będzie miejsce na pana namiot. – Wskazał przygotowany już placyk. – A na razie oprowadzę pana po moim małym królestwie.

– Będzie to dla mnie wielka przyjemność – odparł Skórzewski.

Jeden z żołnierzy zabrał konia, inny przeniósł bagaże lekarza i położył je w cieniu. Opuścili obóz ledwo widoczną ścieżką. Starożytna wioska leżała tuż obok posterunku.

– Osada ta jest niezwykle interesująca z etnograficznego i archeologicznego punktu widzenia – zaczął uczony. – Leżała na jednym ze szlaków prowadzących z Turcji do Palestyny. Ścierały się tu rozmaite wpływy...

Skórzewski szedł w ślad za archeologiem, rozglądając się na boki. Kupy

kamieni miejscami układały się w zarysy fundamentów. Tu i ówdzie widać było jeszcze ślady dawnych alejek. Niewielka świątynka objawiła się jako stos połamanych kolumn. To w jej pobliżu profesor założył dwa wykopy.

– Wioska istniała tu od niepamiętnych czasów – odezwał się ponownie uczony. – Prawdopodobnie założono ją jeszcze w okresie przed niewolą babilońską. W najniższych przebadanych warstwach znalazłem kilka skorup z literami bardzo archaicznej odmiany hebrajskiego alfabetu. Potem teren ten wielokrotnie przechodził z rąk do rąk, wreszcie powstało to, co widzimy. Resztki factorii handlowej, którą wzniesli Rzymianie.

– Rozumiem.

– Przede wszystkim zająłem się dokumentacją i selekcją zabytków wartych tego, by wysłać je do Paryża. Niestety, niewiele ich – zasępił się. – Brakuje przedmiotów o wysokich walorach artystycznych i wartości antykwarycznej, która zapewniłaby opłacalność transportu. Wykopy założyłem w celu odszukania wcześniejszych poziomów osadniczych i dla pozyskania ciekawszych eksponatów. To typowy tell.

– Tell?

– To archeologiczne sformułowanie. Pagórek utworzony przez kolejne warstwy, powstające skutkiem osiedlania się tu ludzi. Gruz, glina, śmieci...

– Rozumiem.

– Chcę również przekopać ujęcia wody tej osady. Wie pan, nasi przodkowie lubili wrzucać różności do nieczynnych już studzien.

– W mojej części świata na wsiach do dziś jest tak samo. – Lekarz uśmiechnął się lekko. – Kapitan wspominał o akwedukcie...

– Owszem, ale znalazłem i cembrowinę zasypanej piachem studni. Na razie zszedłem, z pomocą żołnierzy, dwa metry w głąb. Mam nadzieję, że za dwa lub trzy dni oczyścimy ją całkowicie. Ale zapraszam do magazynu, pokażę panu kilka ciekawostek.

W jednym z namiotów stał stos drewnianych skrzynek wypełnionych drobnymi przedmiotami, najwyraźniej wyszukanyymi w ruinach. Uczony pokazywał gościowi gliniane lampki oliwne, jakieś lustro z zaśnieżonego brązu, kilka obtłuczonych figurek z terakoty. Skórzewski starał się nie okazywać rozczarowania. Słyszając o wykopaliskach, wyobrażał sobie wielkie rowy w ziemi, dziesiątki robotników z łopatami, skarby przeszłości wydobywane na światło dzienne. Zamiast tego zobaczył trochę gruzu, dwa dołki oraz garść drobnych antyków.

Wieczorem zaszył się w namiocie. Zapalił świecę i w jej blasku dłuższą chwilę studiował swoje zapiski.

To na nic, myślał, zamykając brulion. Nigdy chyba nie zdołamy leczyć

przewlekłych zakażeń bakteryjnych. Potrzebujemy nowych, mocniejszych leków. Leków, które wygubią bakcyle, ale nie zrujną przy tym organizmu.

Szczepionki to ogromny krok do przodu, nie da się jednak zaszczepić wszystkich przeciw wszystkiemu. Poza tym to profilaktyka, owszem, potrzebna i przydatna, ale potrzebujemy też czegoś, by przywracać do zdrowia ludzi już chorych.

Zawinął się w gruby koc, zdmuchnął świecę i po chwili już spał. Sen, który przyszedł, był dziwny. Doktor szedł starożytną drogą, potem wspinał się na jakieś wzgórze. Znalazł strumyk dziwnej, mętnej, brązowej cieczy...

Obudził się w środku nocy. Wyszedł przed namiot i zapalił fajkę. Chłodny wiatr był przyjemną odmianą po upalnym dniu. Gdzieś daleko zawyło jakieś zwierzę. Uczony również nie spał, lecz wertował jakieś księgi, jego cień wyraźnie odcinał się na podświetlonym płótnie namiotu.

On kłamię, pomyślał Skórzewski. W czasach antycznych mogło tu żyć nie więcej niż kilkadziesiąt rodzin. Wioska na mało istotnym szlaku. Czasem zatrzymywała się tu jakaś karawana, ale mieszkańcy nie byli bogaci. Malutka świątynia, żadnych dekoracji, reliefów, nic... Można przekopać to miejsce po dziesięciokroć, lecz nie znajdzie się żadnych posągów, mozaik, dekorowanych waz, bo ich tu po prostu nie było i nie mogło być.

Pyknął kilka razy z fajki.

A jednak Dubois czegoś tu szuka, pomyślał, patrząc, jak naukowiec otwiera kolejny opasy wolumin.



Ranek spędził na badaniu żołnierzy. W zasadzie większość była zupełnie zdrowa. Nieliczne niedomagania wynikały z dawnych ran postrzałowych i innych kontuzji. O dziwo, żaden nie cierpiał na choroby weneryczne. Wreszcie przyszła pora złożyć wizytę w pobliskiej wiosce. Kapitan wziął dwóch ludzi i ruszyli starą rzymską drogą na północ.

Obozowisko znikło za wzgórzem. Przez kolejne dwie godziny posuwali się przez jałowy step, tylko od czasu do czasu mijając pojedyncze skupiska drzewek. Słońce wspinało się coraz wyżej i nieźnośnie piekło.

– Jeśli tak jest tu w zimie, to co dzieje się latem? – odezwał się lekarz.

– Jest gorzej – westchnął któryś z legionistów.

– Założyliście obóz dość daleko od ludzkich siedzib – zauważył doktor.

– Owszem, ale nie ufam tym naszym sojusznikom – przyznał dowódca. –

Wolę mieć ich w bezpiecznej odległości. Poza tym jesteśmy posterunkiem przygranicznym, w razie czego lepiej, aby pierwsze uderzenie wojsk tureckich trafiło w próżnię.

– Sądzi pan, że zechcą odbić Syrię?

– Kto ich tam wie... Nawojowałem się z nimi. Bitni są. Jest takie przysłowie: „Gdy tupniesz nogą, Arab się przestraszy, a Turek sięgnie po kindżał”. Przekiekamy spiekotę tu, w ruinach. – Kapitan wskazał wyciągniętą ręką rozwaliska domów rysujące się na zboczu pagórka.

Wioska musiała spłonąć jakieś dwadzieścia lat temu. Pustynia wolno zacierała ślady. Ciągłe jeszcze widać było zwęglone belki stropów, a na spieczonej ziemi leżały skorupy potłuczonych naczyń. Okna i drzwi powyrywano z framug.

Zatrzymali się w jedynym budynku, który miał cały dach. Wewnątrz pierwotnie znajdował się spichlerz. W cieniu było przyjemnie i chłodno. Grube mury chroniły przed upałem. Rozkulbaczyli konie.

Tu także ktoś szalał, pod ścianą leżały resztki worków i beczek, połamane meble, potłuczone garnki...

– Orgia zniszczenia – mruknął Skórzewski.

– Teraz to nic, doktorze – odezwał się kapitan. – Gdy obejmowałem tu służbę w zeszłym roku, ludzkie kości walały się po chatach. Kazałem pozbierać i ot, pogrzebaliśmy. – Wskazał widoczny za oknem stos głazów ozdobiony drewnianym krzyżem.

– To nasi, chrześcijanie – dodał jeden z żołnierzy ponuro. – Jezydzi ich wyróżnili. Wszystkich jak leci, nawet dzieci nie oszczędzili!

– Jezydzi? – nie zrozumiał Skórzewski.

– Nasi sojusznicy – wyjaśnił cierpko kapitan. – Żyje ich tu może kilkanaście tysięcy. Czyciele szatana... To ich znak. – Wskazał wydrapany na okopconej ścianie rysunek przypominający ptaka.

– Nigdy o nich nie słyszałem – stwierdził lekarz.

– Parszywa banda. – Dowódca wyjął z bukłaka zatyczkę i pociągnął łyk herbaty. – Umyślili sobie jakąś dziwną koncepcję, że niby Bóg wybaczył Lucyferowi i czczą diabła, nazywając go Tause Malak, Anioł-Paw czy jakoś tak. Uważają dumę i pychę za cnotę. Niewielu ich już zostało. I całe szczęście. Pech sprawił, że musimy współpracować. Nie wiem, czy z tą akurat bandą, czy z jakąś inną, ale mimo wszystko nieprzyjemnie...

Przekiekali najgorszy upał, napoili konie wodą z blaszanych baniek i byli gotowi ruszać dalej. Kolejne godziny w siodle, znowu kurz i upał...



Obozowisko wyglądało nędznie. Składało się z kilku chat, obok których rozbito namioty. Za płótkami plecionymi z chrustu pasły się kozy. Kobiety czerpały wodę ze studni. Kilka koni rżało na pastwisku.

– Tu właśnie mieszkają jezydzi. – Kapitan skrzywił się ostentacyjnie. – To najdalej na północ wysunięty teren, gdzie sięga nasza władza. Za tymi pagórkami

już Turcja.

– Czciciele diabła – zamyślił się Skórzewski. – Zapewne inni mieszkańcy ich nie lubią?

– Tak. Dla nas jednak są pożyteczni, bo wie pan, jak to bywa na pograniczu. Czasem przemknie się jakaś grupka, wędruje w głąb kraju na kilkadziesiąt kilometrów, złupi kogoś, zabije i już pędzi stada kóz do siebie. Ja z moimi dwunastoma ludźmi upilnować mogę co najwyżej traktu. Bywa, że ruszamy w pościg, parę razy rabusie podeszli i usiłovali nas wziąć z zaskoczenia. A tak na co dzień mamy do pomocy jezyców. Wiedzą, że mają pilnować granicy, w zamian dostarczamy im amunicję, czasem inne towary i pozwalamy obdzierać trupy, jak kogoś dorwą.

– I pomyśleliście, że dla zacieśnienia współpracy przydałoby się też zapewnić sojusznikowi pomoc medyczną?

– A żeby pan wiedział. W zeszłym roku nawet im szczepienia załatwiliśmy, choć tanio nie było...

– Pozwolili się zaszczepić? – zainteresował się Skórzewski.

– A tak z jedna czwarta – westchnął kapitan. – Dowództwo nakazuje utrzymywać dobre kontakty, lecz mimo wszystko nie do końca nas lubią.

– Podejrzewam, że przejrzeni wasz sprytny plan, polegający na tym, by tubylcy pilnowali i podgryzali się nawzajem, oszczędzając wam roboty z pilnowaniem porządku – stwierdził lekarz z uśmiechem.

– Mam świadomość, że pozostajemy tu ciałem obcym... Nawet jeśli pod władzą Francji miejscowym żyje się lepiej, to z pewnością wielu tęskni do dawnych, dobrych czasów rabowania karawan i łupienia sąsiednich wsi.

Wjechali ostrożnie między namioty. Na ich spotkanie wyszło kilku starców. Witani się przyjaźnie, kalecząc nieco francuski.

Jest nas tylko czterech, myślał Skórzewski. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie mamy szans. Zadnych.

Jednak trójka legionistów nie podzielała jego obaw. Spokojnie wymieniali powitania. Przybycie lekarza wywołało małą sensację. Zbadał trzech dogorywających na gruźlicę starców, obejrzał kilka kobiet cierpiących z powodu wola, wreszcie szejk zaprosił go do swojego brudnego namiotu.

– Mojego syna coś trawi – powiedział. – Chciałbym, żeby pan go obejrzał.

– Syna? – Lekarz przeniósł wzrok na rosłego młodzieńca.

– Młodszego – uściślił wódz wioski.

Zaraz też przyprowadzono wymizerowanego chłopca, mogącego liczyć sobie nie więcej niż dziesięć lat.

Doktor w skupieniu oglądał znamiona na barkach dziecka.

– Trąd? – zapytał stary.

– Zwykły liszaj, tylko że paskudny – wyjaśnił Skórzewski.  
– Zatem nie ma ratunku, oszpeci go. – Szejk zasępił się jak chmura gradowa.  
– Jest.  
– Co? – Powleczone mgiełką oczy spojrzały bystro.  
– Od kilku lat istnieje już lekarstwo. Maść, robią ją w Berlinie.  
– Wiele tygodni drogi, ale pojedę. – Oczy starszego chłopaka zabłysły ogniem.

– Nie ma potrzeby. Dowolny szpital z pewnością jest w stanie sprowadzić lek na zamówienie. Najbliższy jest w Aleksandrecie. Jeśli tam się nie uda, jedźcie do Aleppo lub Damaszku i popytajcie w angielskich składach aptekarskich. Zapiszę wam nazwę oraz dawkowanie.

Wyszedł z namiotu i odetchnął świeżym powietrzem.

Ci ludzie umierają na choroby, które w Europie leczy się od ręki, myślał ponuro. Europejczycy zaś umierają na choroby, których nie potrafimy leczyć wcale. A na badania mogące przynieść rozwiązanie skąpi się pieniądze.

Drugi z członków starszyzny, gnąc się w ukłonach, zapraszał na poczęstunek.



Gdy wracali, było już późno. Słońce niebawem miało zapaść za horyzont. Po całym dniu spędzonym w siodle Skórzewski czuł szaloną ochotę, by ułożyć się wreszcie i odpocząć.

– Piwa bym się napił – westchnął. – Takiego z piwnicy, dobrze schłodzonego...

– Mamy jedynie miejscowy trunek. Coś w rodzaju wina z daktyli – powiedział kapitan. Po nim też widać było zmęczenie. – Ale obawiam się, że będzie raczej ciepłe. Za to podjemy sobie czegoś dobrego, bo te ostre baranie szaszłyki do tej pory skaczą mi po żołądku...

– Nie żałowali przypraw, to fakt – przyznał któryś z żołnierzy. – A zaboli nas to danie raz jeszcze, gdy do latryny pójdziemy.

Roześmiali się.

Wyjechali na przełęcz, z której widać już było obozowisko. Namioty stały w karnym szeregu, między nimi płonęło ognisko. Kapitan uniósł do oczu lornetkę.

– Na kolację będzie chyba gulasz – zawyrokował. – A profesor jeszcze chyba kopie... Może znalazł coś ciekawego?

Konie ożywione widokiem domu podreptały żwawiej. Pół godziny później zmęczeni podróżni przekroczyli bramę posterunku. Zastępca kapitana dokonał przekazania dowodzenia nad obiektem. Ktoś zajął się końmi, napił je i zaprowadził do zaimprovizowanej stajni. Kolacja była już niemal gotowa.

Wbrew przypuszczeniom kapitana nie podano gulaszu, ale przepyszny omlet

oraz zrazy jagnięce, upieczone z ząbkami czosnku.

Profesor też zaraz nadszedł. Wyglądał na wyjątkowo zadowolonego i podekscytowanego. Skórzewski pomyślał, że pewnie Dubois znalazł coś interesującego, i ciekaw był, czy się pochwali.

Po posiłku znalazło się trochę daktylowego wina. Zasiedli w kręgu przy ogniu. Któryś z legionistów grał na drumli.

Po kolacji profesor zaprosił doktora i kapitana do swojego namiotu. Zajęli miejsca przy stole, nabili fajki.

– Panie doktorze, czy umiałby pan dokonać rozbioru chemicznego substancji? – zapytał uczony.

– Rozbioru chemicznego? W tych warunkach?

– Ma pan ze sobą całe laboratorium...

– To do produkcji niezbędnych leków – zaprotestował Skórzewski. – Poza tym co to za laboratorium? Tygiel do topienia w płaszczu wodnym, proste aparaty do destylacji. A w czym problem?

– Znalazłem coś dziwnego – mruknął archeolog. – Pamięta pan, jak mówiłem, że to ważna osada handlowa?

– Pamiętam.

– Kilka dni temu trafiłem wreszcie na studnię. Przekopałem ją do samego dna, lecz trafiłem jedynie na piasek zlepiony czymś dziwnym. Wygląda mi na jakąś skamieniałą maź...

– Mogę spróbować określić, co to było, ale tu trzeba by skomplikowanych metod analitycznych.

Uczony podszedł do skrzyni i wrócił ze słojem pełnym bryłek dziwnej czarnej substancji. Skórzewski wziął kawałek, potarł palcem i powąchał.

– Nie jest to asfalt ani ropa naftowa – zawyrokował. – Wydaje mi się, że to raczej jakiś bardzo stary, stężały olej. Gdy oglądałem w Petersburgu sekcje mumii egipskich, czasem bandaże były przesycone czymś podobnym.

– W studni nie było mumii. To zupełnie inny region świata – zaprotestował archeolog. – W tych stronach w ogóle nie konserwowano ciał zmarłych.

– Hmm... – Lekarz rzucił grudkę na ostrze kozika i umieścił je nad świecą. – Wie pan, tamte bituminy używane przy balsamowaniu ciała mają ładny zapach... A to nie bardzo.

Płomień liznął ziarenko. W powietrze uniosła się smużka dymu. Bryłka pachniała teraz jakby gorzkim piernikiem. Ujął niewielki kawałek i położył na dłoni. Pod wpływem ciepła jego ręki grudka stopiła się, zamieniając w maź.

– A niech mnie – szepnął. – Przecież jesteśmy kilkaset kilometrów od Kaukazu.

Oczy archeologa zabłyśły. Skórzewski dotknął powierzchni językiem.

Substancja była gorzka.

– Rozpuszcza się w wodzie – dodał profesor. – Niech pan powie, przybywa pan przecież z Rosji. Czy to mumio?

– Mumio albo coś niezwykle podobnego – przytaknął lekarz. – Tylko skąd, u licha, wzięło się tutaj?

– A co to takiego to mumio? – zainteresował się milczący dotąd kapitan. – Bo nazwa...

– Nazwa jest dość myląca – rzekł z uśmiechem Skórzewski. – Mumio to substancja, którą wydobywa się na Kaukazie, w Pamirze, Ałtaju i w górach Tien-Szan. Tamtejsze ludy stosują je od tysięcy lat jako lek na zranienia, stłuczenia, a także choroby wewnętrzne. Ponoć to istne panaceum. Słuchałem w Petersburgu wykładów na temat farmacji ludów z południa Imperium Rosyjskiego. W Europie mumio jest prawie nieznane. Grecki lekarz Dioskurides już w pierwszym wieku opisał zalety niezwyklej substancji wydobywanej w górach Persji.

– Ale co to właściwie jest, tak z chemicznego punktu widzenia? – zainteresował się wojskowy.

– Nie bardzo wiadomo. Jedni mówią, że skamieniały wosk górskich pszczół, inni – że miód czy olej, który przez tysiące lat wystawiony był na mróz i słońce.

– Znam pewną ormiańską legendę – odezwał się archeolog. – Wedle zapisanych w Biblii i apokryfach przekazów ziemia Edenu przesycona była wonnym oleum. Gdy ludzie zostali wygnani, rajski ogród popadł w zapomnienie. Z czasem nikt nie umiał już odszukać drogi do niego. Wonne oleum zastygło na wieczność.

– Inna legenda, nawiązująca do tradycji greckiej, mówi, iż Prometeusz za przekazanie ludziom wykradzonego bogom ognia przykuty został do skał Kaukazu. Tam drapieżny sęp po wieczność wyrywa mu kawałki wątroby. Łzy i krew herosa, spływając przez tysiąclecia po skałach, mieszały się i zastygały, tworząc panaceum, lek na wszystkie choroby – uzupełnił Skórzewski. – Podania górali z Tien-Szan przedstawiają jeszcze inną wersję. U zarania dziejów po świecie wędrowały butne i dumne olbrzymy, Devowie. Z czasem ogłosiły się półbogami. Prawdziwi bogowie, nie mogąc znieść ich pychy, stworzyli człowieka, istotę drobną i niepozorną, która jednak zepchnęła gigantów w zimne, jałowe góry. Olbrzymy z rozpaczy obróciły się w kamień, ale w głębi masywów pozostały ich żywe dusze. Gdy istoty te płaczą nad swym upadkiem, łzy wykraplają się na powierzchni skał i zastygają w postaci życiodajnego balsamu.

– Ale skąd to, u licha, tutaj? – zdziwił się kapitan.

– Nie wiem. Może to tylko coś podobnego. Na przykład



nieprawdopodobnie stara oliwa – powiedział doktor. – Albo olejek zapachowy, który zastygł i skamieniał. Może to, co pan rozkopał, profesorze, to nie studnia, tylko podziemna cysterna na oliwę?

– Wykluczone.

– A może – dumał dalej Skórzewski – w czasach na przykład Imperium Rzymskiego były tu wielkie składy mazideł i pachnideł? I ktoś, dajmy na to, w okresie wypraw krzyżowych, wykopał tę dziurę, by odzyskać resztki, które po zniszczeniu składów wsiąkły w piach?

Archeolog łypnął okiem i zamyślił się.

– Może uniwersytet w Bejrucie lub Damaszku zrobi panu analizę – podsunął Skórzewski.

– Ale może to być mumio? – myśli profesora nadal krążyły wokół zagadkowego specyfiku.

– Trudno powiedzieć, widziałem je tylko kilka razy w życiu. Lekarze w Rosji eksperymentowali z nim, jednak dla większości autorytetów medycznych to tylko zabobon i kurfuszerstwo.

Na twarzy uczonego odmalowało się głębokie zadowolenie, jakby potwierdzały się jego teorie.

– Pora na mnie. – Kapitan wstał od stołu. – Gawędzi się przyjemnie i ciekawych rzeczy się dowiaduję, ale trzeba skontrolować warty.

Wyszedł z namiotu.

– Dużo tam tego w dole zostało? – zapytał Skórzewski.

– Prawie nic – powściągliwie odpowiedział archeolog. – Bryłki tworzyły coś w rodzaju spękanej skorupy grubości pół centymetra i szerokiej na dwie dłonie, ale pokład ciągnie się z północy na południe i z pewnością sięga dalej. To nie studnia, lecz coś w rodzaju kopalni. Ktoś wykopał szyb, a potem chodnik w ślad za złożem. To, co mam, wyskubałem spod litej skały na jego końcu.

– Na wszelki wypadek nie mówmy może naszym przyjaciołom, ile to jest warte – zaproponował doktor.

– To drogie? – zdumiał się archeolog. – Słyszałem piąte przez dziesiąte... Zna pan ceny?

– Jedynie przedrewolucyjne. W Petersburgu... – spróbował sobie przypomnieć. – Chyba gram mumio dziewięćdziesiąt kopiejek.

– Nic mi to nie mówi.

– Mniej więcej za gram substancji gram złota. Ja oczywiście będę milczał.

– Podzielimy się – obiecał uczonego.

– O ile ktoś to zechce kupić. Rynki zbytu w Sowietach są dla nas niedostępne.

– Emigranci?

– Może. Tyle że groszem to oni nie śmierzają. Choć na takim leku chyba nie będą oszczędzali.

– Wie pan – uczony zmienił temat – znalazłem grudki w jednym z sarkofagów na zamku krzyżowców. Rycerzy też zainteresowała ta substancja. Tylko nakopali jej chyba gdzie indziej. W chodniku znalazłem motykę z brązu i dwie lampki oliwne z epoki jeszcze przed ekspansją Rzymu, zatem ten szyb jest starszy.

– Z tego, co wiem, na obecnych terytoriach Gruzji i Armenii używano tego leku już około trzy tysiące lat temu. – Z trudem stłumił ziewnięcie. – Spać pora...



Skórzewski obudził się przestraszony. Co wyrwało go ze snu? Głuchy huk przetoczył się przez niebo. Wiatr uderzył w płótno namiotu.

– Burza – mruknął.

Odnalazł zapalki i zapalił świeczkę. Kolejny rozbłysk rozdarł ciemność. Doktor liczył. Doszedł do dwudziestu, gdy huknęło.

Wiatr łopotał płótnem tropiku, ale jak do tej pory nie spadła choćby jedna kropla deszczu. Ponownie błysnęło, tym razem o wiele mocniej. Rozległ się dźwięk, jakby po brukowanej uliczce przejechały wagony pełne kamieni... Piorun uderzył gdzieś tuż obok, może w ruiny antycznej wioski, może w któreś z lichych drzewek. Jeszcze jeden huk. Wiatr dał, jakby chciał porwać namiot.



Baby na wsi powiedziałyby, że ktoś się powiesił albo że Bóg się gniewa, rozważał. Tylko o co miałyby się gniewać? Wszak nie zrobiliśmy nic zdrożnego. Burza cichła, odchodziła. I nadal nie spadła ani kropla deszczu...



Ranek odegnał ponure myśli. Doktor zaszczepił dwóch legionistów przeciw ospie. Zgodnie z instrukcją miał pozostać na miejscu przez trzy doby i obserwować, czy nie wystąpią jakieś powikłania.

– Trzy dni – dumał niemal wesoło. – Ostatnie trzy. A potem konno do

Damaszku, odbieram pokwitowanie, jadę do Paryża, wypłacam całą kwotę za pół roku służby i mogę wracać do kraju.

Archeolog zbierał się do pracy.

– Pora na nas – przywitał doktora.

– Na nas?

– Chciał pan mumio. Nakopiemy go trochę.

– Ach tak... Zapomniałem.

Maszerując z motyką na ramieniu w ślad za profesorem, poczuł lekki niepokój. Czy naprawdę mówił coś podobnego?

Do studni spuszczone długą drabinę sznurową. Zeszli dobre cztery metry. Profesor nie wybrał całego rumoszu zalegającego dno, znalazłszy wylot chodnika, przekopał się do niego. Zapalili karbidówki i zagłębili się w loch. Tunel wykuty w piaskowcu był niski i wąski, a sufit silnie okopcony. Szli pochyleni, co jakiś czas szorując łokciami o skałę. Na dnie czerniły się plamy zagadkowej substancji.

– Chodnik idzie zakosami – zauważył uczony.

– Pewnie szli za żyłą – wyraził przypuszczenie lekarz.

W powietrzu wyraźnie wyczuwał woń mumio, coś w rodzaju zapachu piernika, tylko spaskudzonego nutą goryczy. Pomyślał z żalem o straconym mieszkaniu, o depozytach w rosyjskich bankach. Fortuna... Tu w ziemi spoczywała fortuna, dzięki której miałby jak finansować badania. Jeśli dopisze mu szczęście, powetuje sobie tamte straty. Widać los się odwrócił.

Tunel się skończył.

– Tu żyła mumio wchodzi w skałę – pokazał archeolog.

Skórzewski przyjrzał się śladom.

– Wygląda jak wyschnięty ciek – ocenił. – Potem jakaś erupcja go zasypała i wszystko skamieniało...

Położył się i wsunął dłoń w szparę.

– Tak głęboko, jak byłem w stanie sięgnąć nożem, wybrałem – wyjaśnił profesor. – Niestety, nasi przyjaciele legioniści jak na złość nie mają ani jednego kilofa.

– Pożyczyli mi coś odpowiedniego – pochwalił się lekarz, wyciągając z torby długi czworograniasty bagnet.

– Doskonały pomysł!

Pracował spokojnie i w skupieniu. Mumio dawało się bez większego problemu łupać. Wygarniał grudki, a profesor pakował je do słoja i lekko ugniatał.

– Chciałbym, żeby coś mi pan wyjaśnił – odezwał się doktor. – To odkrycie, choć bardzo ciekawe, nie było dla pana zaskoczeniem. Wydaje mi się, że usiłuje

pan rozgryźć jakąś tajemnicę przeszłości, a ten chodnik i złoże potwierdzają teorię, którą od dawna nosił pan w sobie.

– Rozgryzł mnie pan – przyznał profesor. – Istotnie, od lat próbuję badać pewien ciekawy trop.

– Więcej chyba nie wygrzebiemy. – Skórzewski wygarnął ostatnie okruchy. – Trzeba by wrócić tu i zabrać się za to poważnie. Kilofami i łomami. Może nawet dynamitem. Jaki to trop? Jeśli oczywiście chce się pan podzielić przypuszczeniami.

– Gdy wrócimy do obozu, pokażę, co znalazłem w starych księgach.

Z niechęcią opuścili chłodne podziemia. Słońce stało wysoko i prażyło niemiłosiernie. Poszli prosto do namiotu uczonego. Doktor opadł w wygodny trzcinowy fotel, a archeolog otworzył skrzynię, wydobywając zeń opasłe woluminy.

Otworzył pierwszą księgę.

– To bardzo ciekawa pozycja – powiedział. – Wydano ją w Paryżu w roku tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym. Zawiera wypisy z kronik i pism rycerzy biorących udział w kolejnych krucjatach. Niestety, bez indeksu, więc trzeba czytać strona po stronie w poszukiwaniu użytecznych informacji. Znalazłem tam informację o pobliskiej strażnicy i nawet ustaliłem imiona czterech francuskich rycerzy pogrzebanych w lochu pod dawną kaplicą.

– Zaskakujące.

– Prawda? Tyle lat minęło. Umarli otruci. Gdy towarzysze przybyli ich złuzować, znaleźli tylko trupy... Giernkowie przepadli bez śladu, sam zameczek został spalony przez niewiernych, nazwanych przez kronikarza *iside*. Zapewne chodzi o jezydów.

– Tak, to bardzo prawdopodobne.

– Ale mam i coś ciekawszego. Fragment zapisków jednego z nich, Nicolasa, znaleziony w pozostałościach archiwum zakonu. Gdzie to było? – Wertował opasły tom, szukając odpowiedniej zakładki. – O, mam. Proszę czytać.

– *Albowiem pobłogosławił mnie Pan i do sekretów dopuścił. Oto znalazłem ślad oliwy w piaskach i skałach, a rzeka zastygła pod ziemią drogą jest do Ogrodu* – odczytał doktor. – To tłumaczenie? – upewnił się.

– Ze starofrancuskiego.

– Hmm...

– Tych kilka zdań natchnęło mnie, by tu przyjechać. Znalazłem też informację o wiosce, którą badam... O, tutaj.

Profesor otworzył kolejną księgę.

– *Powiadają, iż wosk górski nie tylko w górach Kaukazu pozyskać można. Ponoć w czasach starożytnych słynęła z niego także osada leżąca gdzieś na północ od Damaszku* –

przeczytał. – To dzieło Awicenny, znanego alchemika i lekarza.

– Słyszałem o nim. Zatem...

– Jeśli zestawimy te dwie informacje, mamy ciekawy ślad. Widział pan, doktorze, złoża mumio na Kaukazie?

– Nie.

– Ja, niestety, też polegać muszę tylko na opisie. Ponoć wygląda, jakby substancja ta tworzyła mniejsze i większe owalne plamy o różnej miąższości. Coś na kształt skamieniałych kałuży czy sadzawek. Jak szeroko rozlana rzeka, która zaczęła wysychać...

– To bzdura. – Skórzewski wzruszył ramionami. – Mumio wydobywa się na różnych wysokościach... Żadna rzeka nie płynie pod górę.

– Być może te góry wypiętrzyły się później.

– Do czego pan zmierza?

– Raj... Eden, miejsce, w którym został stworzony człowiek... Co o nim pan wie?

Doktor zamyślił się na chwilę.

– Tradycja ludowa lokuje raj gdzieś tam. – Wskazał niebo. – Mnie się jednak wydaje, że zbawieni przechodzą do innego świata...

– Nie przechodzą, dopiero przejdą – sprostował profesor. – Kto umarł, jest martwy, a dla jego duszy czas nie płynie. Aż Bóg wskrzesi go na dzień Sądu Ostatecznego.

– A czyścić?

– Przyznam, że to bardzo kusząca koncepcja, ale należy wyłącznie do naszej religii. Ścisłej mówiąc, do katolicyzmu. Prawosławni już w to nie wierzą.

– A...

– Jeśli przeczytamy opracowania teologów niektórych herezji protestanckich, dowiemy się, że wskrzeszeni zaludnią Ziemię. Tę samą Ziemię, po której stąpamy, tylko że odrodzoną. Teraz pytanie, jak było na początku? Czy rajski ogród mógł znajdować się na naszej planecie? Wszak właśnie w nim, jak uczy Biblia, powstało wszelkie stworzenie, które zamieszkuje Ziemię.

– Gruzini, Ormianie oraz Abchazi wierzą, że raj był właśnie na Kaukazie – odezwał się Skórzewski.

– Teraz pytanie najważniejsze. Czy ogród przestał istnieć po wygnaniu z niego ludzi?

– Wydaje mi się, że nie – zadumał się doktor. – Choć z drugiej strony być może został zniszczony, a raj, do którego trafimy po śmierci, to inne miejsce. Gdy człowiek został wygnany, zatracił możliwość powrotu. Albo ogród został zniszczony, albo po prostu ludzie zapomnieli doń drogi. Jeśli tylko zapomnieli, to być może gdzieś nadal istnieje.

– Jak go znaleźć? – zapytał uczony. – Zakładając oczywiście, że jest to możliwe.

– Nie wiem – westchnął Skórzewski. – Los mnie doświadczył, widziałem w życiu wiele rzeczy dziwnych. Niektóre uznałbym za niemożliwe, gdyby nie fakt, że przytrafiły się mnie osobiście. Ale znalezienie drogi do rajy...

– Znajdujemy się na niej – powiedział archeolog poważnie.

– Proszę? – Lekarz wytrzeszczył oczy.

– Co mówi Biblia? W okolicach, gdzie znajdował się ogród Edenu, brały początek cztery rzeki. Dwie z nich to być może Eufrat i Tygrys. Dwie pozostałe... Jedna zamiast wody toczyła mleko, druga oliwę.

– Oliwę? – zdumiał się Skórzewski. – Czy sądzi pan, że...

– Spójrz pan na ten wąwóz. Czyż nie przypomina doliny rzeki? A jeśli ocenisz ją okiem geologa, co ujrzysz? Coś niemożliwego. Jedyne źródła biją na zboczach. Ta osada wodę sprowadzała akweduktem. A tu i w wymarłej wiosce dość wykopać odpowiednio głęboką dziurę, by trafić na piaski przesączone resztą tego, co przed tysiącami lat niosła rzeka...

– To może być zjawisko naturalne... – bąknął doktor.

– Tak? A niby jakie? To, co znalazłem, nie jest ropą naftową ani asfaltem. To mumio. Takie samo jak na Kaukazie. Tylko tam jego złoża znajduje się w szerokim pasie. Tam była delta, może rozlewiska rzeki. Tu mamy co innego. Ciek, sądząc po śladach, był wąski. Bardzo wąski. Jesteśmy blisko źródła. Blisko miejsca, skąd wypływała.

– Czy to...

– Rycerze byli przekonani, że są na tropie. Te wszystkie freski przedstawiające rajską jabłoń... Nie, nie jabłoń – zreflektował się profesor. – Drzewo. Dopiero w średniowiecznych francuskich legendach wymyślili, że owoc z drzewa zakazanego to jabłko. Tu, w ruinach, w rozwaliskach zamku i w spalonej przez jezuidów wiosce, również powtarza się podobny motyw drzewa życia.

– Ten symbol jest chyba dość popularny.

– Ale tu występuje niemal wszędzie – upierał się.

– A gdybyśmy spróbowali odnaleźć ogród – powiedział Skórzewski ostrożnie – co by nam to dało? Jakie korzyści? Czy moglibyśmy tam zostać? Na własne oczy zobaczyć drzewo poznania dobrego i złego?

– To nam niepotrzebne. Wszak umiemy już odróżnić dobro i zło. Prawdopodobnie skutkiem grzechu pierworodnego z tą cechą się rodzimy. Ale... Księga Genesis podaje, że w rajy rosły różne drzewa. To, z którego owoc zerwała Ewa, było niezwykle ważne, lecz nie jedyne.

– Co ma pan na myśli?

– Drzewo życia. Proszę sobie wyobrazić, że zjedzenie jego owocu może zapewnić życie wieczne lub uleczenie ze wszystkich chorób. Jako lekarz powinien się pan tym zainteresować – wyszczerzył zęby.

– Zatem aby znaleźć raj, trzeba po prostu iść śladem żyły mumio?

– Tak właśnie przypuszczam.



To czyste wariactwo, myślał Skórzewski, kładąc się spać. Tkwiąc w obozie wojskowym na pustyni, w towarzystwie szaleńca, który wierzy, że ślady dziwnego bituminu doprowadzą go do Edenu...

Noc przyniosła nowe sny. Doktor szedł starą rzymską drogą, minął osadę jezydów, potem wężozem wspiął się na szczyt wzgórza. Przed sobą ujrzał potrzaskane obmurowanie źródła. Jednak krynica musiała wyschnąć już przed laty, tylko ciemne plamy nadal znaczyły piaskowiec, jakby ktoś kiedyś zachlapał powierzchnię kamienia oliwą.

Minął źródł i powędrował ścieżką przed siebie. Znalazł się na rozległym plateau, zarośniętym kolczastymi krzewami. Wśród chaszczki dojrzał resztki muru wzniesionego z niewielkich okrzesków skalnych spajanych gliną.

Lekarz odnalazł miejsce, gdzie niegdyś była brama. Wszystko zarosło cierniem i lichą trawą, ale tu i ówdzie zachowały się resztki ścieżek wyłożonych kamienną mozaiką. Przypomnił sobie ruiny antycznej willi, które zwiedzał kiedyś w okolicach Neapolu. Opuszczony ogród rzymskiego patrycjusza wyglądał podobnie.

Natrafił na szerszą alejkę prowadzącą najwyraźniej ku środkowi założenia. Po obu jej stronach rosły nieprawdopodobnie stare drzewa oliwne o powykęcanych pniach. Schylił się, by przejść pod zbitym gąszczem gałęzi i wyszedł na centralny plac. Pośrodku rosły dwa rozłożyste drzewa obsypane owocami. Brzoskwinie? Tak wyglądały. Podszedł i wyciągnął dłoń, chcąc zerwać jedną z nich. Niestety, sen nagle przysł.

Znowu był w namiocie. Napięte płótno łopotało smagane piachem.

Przysypiał już, marząc o funduszach na badania, gdy nieoczekiwanie ktoś zaskrobał w płótno.

– Kto tam? – zapytał zaskoczony lekarz.

Zapalił lampę naftową. Syryjski chłopiec, ciemnowłosy i czarnooki, może ośmioletni, stanął w drzwiach namiotu i uklonił się głęboko.

– Witajcie, panie.

– Czym mogę służyć? – zapytał lekarz.

– Wieści przynoszę. Starszy syn szejka wrócił nocą z Damaszku. Znają środek, który pan przepisał. W szpitalu przyjęto zamówienie. Za dwa miesiące osada otrzyma lekarstwo – mówił po francusku z dziwnym zaśpiewem, ale



można go było zrozumieć. – A to dla pana. – Wyciągnął przed siebie zawiniątko. W kawałek cienkiego płótna zawinięty był owoc.

– Cóż to takiego? – Skórzewski wziął podarunek do ręki.

Trzymał wielką, dojrzałą brzoskwinię. Wyglądała smakowicie, jej skórka ugięła się pod palcami, obiecując soczysty miąższ.

– Przecież pan wie – odparł chłopiec z uśmiechem. – Przynajmniej od kiedy odkopaliście studnię.

– Zerwaliście go w ogrodzie... – szeptał doktor. – To niemożliwe... Drzewo życia?

– Drzewo życia lub drzewo poznania dobra i zła. Będzie tym, którego pan potrzebuje. To przez nie przodkowie wasi odejść musieli z Edenu. Sięgnęli po mądrość, która nie była dla nich przeznaczona. Ta jest przeznaczona dla was, panie.

– Czyli...

– Kto raz go spróbuje, zawsze odróżni to, co dobre, od tego, co występne. Pan już tę wiedzę posiadał. Ale pozwala zdobyć też mądrość potrzebną, by słusznie pokierować własnym życiem. Co najważniejsze, leczy wszystkie choroby, a także przedłuża życie nawet o trzydzieści lat. To nasz dar w uznaniu waszej mądrości.

– Kim ty jesteś!? – zapytał lekarz.

Gdy spojrział w stronę chłopca, ten już zniknął. Skórzewski wyjrzał przed namiot, lecz w ciemnościach nikogo nie dostrzegł. Wrócił i spojrział na nieoczekiwany prezent leżący na stoliku. Uniósł owoc do góry... Kropla soku spłynęła mu po palcu. Strząsnął ją na ziemię.

– Tak po prostu? – zdziwił się. – Weszli i zerwali... Gdzie gniew Boży? W dodatku to czciciele diabła! Do Damaszku daleko. Nie zdążyliby jeszcze wrócić. To wszystko kłamstwa.

A potem uchylił płótno i cisnął brzoskwinię daleko w ciemność.



Ocknął się, jęcząc z bólu. Spojrział na swoją dłoń i momentalnie rozbudził się całkowicie. Dniało. W słabym świetle przedświt ujrzał, że cały kciuk ma zaczerwieniony. Skórę znaczyły bąble jak od oparzenia. Przypomniał sobie natychmiast nocną wizytę.

– Sen? Czy może... – Rozważania przerwał nieoczekiwany huk.

Doktor, weteran wielu bitew, zareagował instynktownie. Padł natychmiast na ziemię. Upiorny łomot i gwizd poraził mu uszy. Ktoś wypruł serię z karabinu maszynowego!? Przywarł do klepiska, wczołgał się między skrzynki. Rozległo się kilka wystrzałów, parę zabłąkanych kul przebiło płótno namiotu i świsnęło mu wysoko nad głową.

Napad na strażnicę! – przemknęło mu przez głowę. Rabusie karawan zaskoczyli legionistów, wybiją nas tu do nogi!

Doczołgał się do torby i wymacał rewolwer. Odbezpieczył. Na zewnątrz odezwały się francuskie karabiny. Widocznie pierwszy atak został odparty. Trzeba iść i pomóc, każda para rąk na wagę złota. Już miał się podnieść, gdy znów ktoś wypruł z kulomiotu. Nastąpiła cisza przerywana jedynie gwizdkami. Skórzewski nie znał legionowych komend. Obrońcy przegrupowywali się? Do namiotu wpadł kapitan Jules.

– Żyje pan?

– Tak – sapnął. – Już jestem do dyspozycji. – Uniósł broń.

– Proszę zostawić tę armatę i szybko się zbierać. Potrzebna pańska pomoc! Mamy rannych!

Otumaniony wsunął spluwę do kieszeni, złapał torbę i wybiegł przed namiot. Dniało. Na przedpolu obozu leżało kilkanaście zabitych koni i liczne trupy ludzi w białych burnusach.

Tak to jest, jak się na karabin maszynowy idzie z jednostrzałowymi kapiszonowymi flintami, pomyślał z nieoczekiwanym smutkiem.

Dwaj legioniści krążyli między ciałami, przyglądając się zabitym i przeszukując sakwy przytroczone do siodła.

– Kto... – zaczął lekarz.

– Nasi tak zwani sojusznicy – parsknął kapitan.

Dwaj żołnierze byli ranni. Jeden otrzymał postrzał w ramię. Na szczęście, kość pozostała nienaruszona. Skórzewski odkaził ranę, wyjął kulę i pospiesznie założył opatrunek. Drugiemu pocisk urwał kawał ucha. Lekarz założył szew na małżowinę.

– Czyli, można powiedzieć, odparliście ich niemal bez strat własnych – stwierdził wesoło, przecinając nić.

– Profesor nie żyje – powiedział kapitan poważnie.

– Co!?

Uczony leżał w namiocie. Skórzewski widział wcześniej wiele trupów, ale to, co ujrzał, wprowadziło go w kompletne zdumienie. Twarz poczerniała i napuchła, siny język zwisał bezwładnie z ust. Wytrzeszczone oczy wpatrywały się w sufit.

– Co pan o tym sądzi? – zapytał wojskowy.

– Trucizna. Potwornie silna trucizna...

W tym momencie przypomniał sobie o poparzonym kciuku.

– Chłopak! – syknął. – To on go otruł. Brzoskwinią!

– *Merde!* – zaklął kapitan. – U pana też był? Bo do mnie przylazł i bredził coś, że chce mi podarować owoc zerwany w ogrodzie Eden.

– Tak.

– I co pan zrobił z owocem? A, już wiem. Wyrzucił pan. Jeden z koni znalazł i zdechł...

– Owszem. A pan?

– Zgłupiałem, takie to było nieoczekiwane. Nawet nie wezwałem wartowników, choć przecież trzeba było dzieciaka zatrzymać. Pomyślałem, że zastanowię się nad tym rano, więc zawiązałem w szmatkę i schowałem. Chodźmy to obejrzeć.

Z owocu została tylko jakaś cuchnąca breja.

To logiczne, dumął Skórzewski. Ja i profesor wiedzieliśmy, kapitana mogli podejrzewać, że został przez nas dopuszczony do sekretu. Jesteśmy najważniejsi, więc trzeba wyeliminować nas przed atakiem. Paru rzeczy jednak nie przewidzieli. Na przykład tego, że na posterunku ukryty jest karabin maszynowy...

Musieli nas podsłuchiwać, rozważał, gdy żołnierze kopali grób dla pechowego archeologa. Zorientowali się, że wiemy, że się domyślamy... Oni tego pilnują. Pilnują ogrodu, czy może tego, co zeń zostało. Poszli tam i zerwali trzy owoce. Nie zrywali ich ani z drzewa życia, ani z drzewa poznania. Najwidoczniej rośnie tam także drzewo śmierci... Wysłali chłopaka. Profesor zjadł brzoskwinie i umarł. Ja wyrzuciłem swoją w ciemność. Kapitan schował na później i to uratowało mu życie. Rano jeźdźcy przyjechali dokończyć dzieła. A może to zwykłe zatrute brzoskwinie? Trucizna spowodowała szybki rozkład mięszu... Gdyby mieli prawdziwe owoce, czy musieliby jechać do Damaszku po maść dla chorego?

Ktoś zaintonował modlitwę i już po chwili grudy ziemi pokryły ciało naukowca.

– Wysłałem człowieka, aby nadał sygnały do garnizonu w Aleppo. – Kapitan wskazał radiotelegrafistę wdrapującego się na wzgórze. – Gdy tylko przybędą posiłki, spalimy wioskę.

– Kiedy?

– Jeśli wyruszą natychmiast, będą tu jeszcze wieczorem. Musimy utrzymać się do tego czasu. Jutro to my przejmujemy inicjatywę.

– I wszystkich wymordujecie? – spytał Skórzewski z przerażeniem.

– Bynajmniej. Kobiety i dzieci, za wyjątkiem tego przekłętego chłopaka, oszczędzimy. A co do reszty, kto się podda, tego odstawimy do garnizonu. Tam wyduszą z nich prawdę. Kto nas atakował, kto wpadł na ten pomysł... I dopiero po procesie powiesimy na postrach innym. No, chyba że będą stawiać opór.

– Na pewno będą – westchnął doktor.

– Wojna. – Legionista wzruszył ramionami.



Skórzewski stał na stosie gruzu antycznej osady, patrząc, jak ekspedycja karna posuwa się starożytną drogą na północ. W obozie zostało tylko pięciu nieznanych mu żołnierzy. Wszyscy ludzie kapitana Jules'a ruszyli wyrównywać porachunki. Wśród tych, którzy przyjechali z garnizonu, było dwóch młodych lekarzy. Uznali, że Skórzewski nie będzie potrzebny. Nie upierał się. Spodziewał się niezłej jatki, a już parę razy w życiu widział takie rzeczy. A co najważniejsze, miał inne plany.

Wartownicy nie zwracali uwagi na lekarza. Prawdę powiedziawszy, niewiele ich obchodziło. Zasiedli w cieniu, zaparzyli sobie kawę i paląc papierosy, grali w karty. Doktor wyszedł na przedpole z łopatą na ramieniu i zawiniątkiem pod pachą. Trupy napastników ułożono rzędem, ale jeszcze ich nie pogrzebano. Wybrał ciało człowieka mniej więcej w swoim wieku, o zbliżonej karnacji i budowie. Rozebrał trupa, naciągnął nań swoje zapasowe ubranie. Obok mogiły pechowego archeologa wykopał dół. Zepchnął tam zwłoki. Następnie połał twarz i ręce nieboszczyka silnie podgrzany roztworem nasyconym sodą kaustycznej. Odczekał kwadrans, by reakcja chemiczna solidnie zniekształciła rysy, a potem zasypał grób i uformowawszy kopiec, wetknął weń krzyż.

Nawet jeżeli rozkopią, powinni dać się nabrać, pomyślał. Choć na jakiś czas, zanim się doliczą zabitych...

Osiadł swojego konia. Wszedł do namiotu profesora. Skrzynie z antykami stały nietknięte. Otworzył jedną z nich i wydobył słoń pełen kawałków mumio.

– Przepraszam – powiedział pod adresem nieboszczyka. – Ale tobie to już i tak niepotrzebne, a ja, jeśli uda mi się to spieniężyć, będę miał za co przez dwa lata finansować badania...

Zawinął naczynie w chustę, wsunął do torby i przerzucił ją sobie przez ramię.

– Wybieram się na przejażdżkę – wyjaśnił żołnierzom grającym w cieniu namiotu. – Wróć może za dwie godzinki. Uważajcie na siebie, oni mogą wrócić. Na pewno wrócą... – dodał z naciskiem.

Zbyli go machnięciem ręki. Po chwili pędził co koń wyskoczy na południe.

Dotknął tajemnicy, rozmyślał. Sekretu, który od wieków jest starannie chroniony. Ludzie żyjący na tej ziemi zabijają każdego, kto wie, każdego, kto się domyśli. Oddział, który poszedł ich spacyfikować, z pewnością wpadł prosto w pułapkę. Ci, którzy zostali w strażnicy, także nie wydostaną się stąd żywi. Tylko ja mam szansę...

Był już daleko za przełęczą, gdy echo przyniosło huk wystrzałów. Uderzył konia piętami. Torba z rewolwerem i trzema kilogramami bezcennego specyfiku tłuła mu się o biodro. Pędził, uciekał najszybciej jak się dało, zmuszając

wierzchowca do szaleńczego biegu. Jeśli zdoła umknąć, jeśli wszystko dobrze pójdzie, za pięć dni zobaczy białe mury Damaszku. Za miesiąc może być już w Warszawie. Sprzeda mumio. Będą fundusze na badania. Założy nową hodowlę tej zadziwiającej pleśni.

Kula wystrzelona z arabskiej strzelby skałkowej jest szybsza niż dźwięk. Doktor nawet nie zdążył się przestraszyć.